

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 7/201 - 8/202

1964



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

POEZJA PRZED SĄDEM W LENINGRADZIE

T. TERLECKI :

FESTIWAL SZEKSPIROWSKI W LONDYNIE

W.A. ZBYSZEWSKI :

IMPRESJE HISZPAŃSKIE

Cz. DOBEK :

OPIEKA I POMOC

SPIS RZECZY

—	<i>Poezja przed sądem w Leningradzie</i>	3
Zbigniew A. Jordan:	<i>Trzydziesty piąty podpis pod protestem 34</i>	29
Józef Łobodowski:	<i>O cyganach i katastrofistach (I)</i> ..	38
Tymon Terlecki:	<i>Festiwal szekspirowski w Londynie</i>	49
W. A. Zbyszewski:	<i>Impresje hiszpańskie</i>	77
Jerzy Zubrzycki:	<i>Rola inteligencji murzyńskiej</i>	107



Alicja Szczepka:	<i>Feliz Ano Nuevo</i>	121
------------------	------------------------------	-----

WIERSZE

Wacław Iwaniuk:	<i>Psalm na spotkanie z nocą</i>	131
Wacław Iwaniuk:	<i>Ptaki</i>	133
Wacław Iwaniuk:	<i>Ciągle się boję że przedwczesna noc</i>	134
Artur Marya Swinarski:	<i>Trzy wiersze</i>	136

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Zmierzch WASPS</i>	138
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	146

SPRAWY GOSPODARCZE

Damian S. Wandycz:	<i>Rurociąg naftowy „Przyjaźń”</i>	155
--------------------	---	-----

SPRAWY I TROSKI

Czesław Dobek:	<i>Opieka i pomoc (III)</i>	167
----------------	-----------------------------------	-----

KRAJ

—	<i>List od przyjaciół</i>	182
j. w.:	<i>Korupcja</i>	194
K. A. Jeleński:	<i>Konsekwencje protestu 34</i>	194
—	<i>Dalsza lista oportunistów</i>	199

SĄSIEDZI

Józef Łobodowski:	<i>Taras Szewczenko 1814-1964</i>	201
Czesław Miłosz:	<i>O Franciszku Anczewicu</i>	207
L.:	<i>Antykolonialny „manifest” rumuński</i>	210
m. k.:	<i>Posąg dla Ulbrichta</i>	213

KRONIKA KULTURALNA

K. Mochlińska i Z. Wilczyńska:	<i>O czytelnictwie na emigracji</i>	216
—	<i>Komunikaty</i>	225

KSIAŻKI

Londyńczyk:	<i>„Polityka Becka”</i>	228
Magdalena Czajkowska:	<i>System totalitarny dla zaawansowanych</i>	230
Andrzej Chciuk:	<i>Czerwone salto</i>	234
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	235



J. Czapski, M.K. Dziewanowski, B. Kamiński-Durocher, R. Wajda, K. Zademski, Sz. K. Zimmer:	<i>Listy do Redakcji</i>	237
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień - Juillet-Août 1964

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Maria Baake, Liban — dla uczczenia pamięci Męża, śp. Bolesława Baake, w pierwszą bolesną rocznicę Jego śmierci	25,00 F
Joseph Comati, Liban, dla uczczenia pamięci swego wielkiego przyjaciela, malarza polskiego Bolesława Baake, wiernego czytelnika i przyjaciela „Kultury”	25,00 „
Ks. Donald Malinowski, Winnipeg, Man (Kanada)	31,50 „

DZIĘKUJEMY

SPROSTOWANIE

W numerze 6/200 (czerwiec 1964) „Kultury” zaszła przykra pomyłka w czasie druku, mianowicie w „Requiem” Anny Achmatowej (strony 61-68) drukarnia pomyliła strony 62 i 63: *Strona 63 jest de facto stroną 62, a strona 62 — stroną 63*. Za tę omyłkę bardzo przepraszamy naszych czytelników i prosimy o poprawienie w „Kulturze”.



W tym samym numerze „Kultury” na stronie 174, w liście Jerzego Niemojowskiego zrobiono omyłkę w czasie poprawiania błędów, mianowicie ostatni wiersz przyłączył powinien być na miejscu 7 wiersza (*przyłączyła*). Ostatni wiersz tego listu winien brzmieć *emigracji*.



Jak co roku bieżący numer „Kultury” jest podwójny, za miesiąc lipiec i sierpień 1964. Następny zeszyt ukaże się w pierwszych dniach września. REDAKCJA.

Poezja przed sądem w Leningradzie

S T E N O G R A M

Ulica Powstańcza 36. Sędzia — Saweljewa. 18 II 1964

PIERWSZA ROZPRAWA SĄDOWA PRZECIW JOSIFOWI BRODSKIEMU

SĘDZIA: Jaki jest wasz zawód?

BRODSKIJ: Pisuję wiersze. Przekładam. Uważam że...

SĘDZIA: Żadne „uważam”! Stańć jak należy! Nie opierać się o ścianę! Patrzeć na sąd! Odpowiadać sądowi w przyzwoity sposób! (Do mnie) Natychmiast przerwać robienie notatek, bo każę opuścić salę! (Do Brodskiego) Czy macie stałą pracę?

BRODSKIJ: Uważałem, że to jest stała praca.

SĘDZIA: Należy odpowiadać ściśle!

BRODSKIJ: Pisałem wiersze. Miałem nadzieję, że zostaną wydrukowane. Jestem zdania, że...

SĘDZIA: Nas nie interesuje wasze zdanie. Powiedzcie, dlaczegoście nie pracowali?

BRODSKIJ: Pracowałem. Pisałem wiersze.

SĘDZIA: To nas nie interesuje. Chcemy wiedzieć, z jaką instytucją mieliście kontakt.

BRODSKIJ: Miałem umowę z wydawnictwem.

SĘDZIA: Mieliście tych umów dostatecznie, aby utrzymać się? Wyszczególnijcie: co za umowy, z którego dnia, na jakie sumy?

BRODSKIJ: Dokładnie nie pamiętam. Wszystkie umowy posiada mój adwokat.

SĘDZIA: Chcę wiedzieć od was.

BRODSKIJ: W Moskwie ukazały się dwa zbiory moich przekładów (*wymienia*).

SĘDZIA: Jaki jest wasz staż pracy?

BRODSKIJ: Więc na przykład...

SĘDZIA: Żadne „na przykład”!

BRODSKIJ: Pięć lat.

SĘDZIA: Gdzieście pracowali?

BRODSKIJ: Na fabryce. W ekipach geologicznych...

SĘDZIA: Ile czasu pracowaliście na fabryce?

BRODSKIJ: Jeden rok.

SĘDZIA: W jakim charakterze?

BRODSKIJ: Jako frezownik.

SĘDZIA: A właściwie jaka jest wasza specjalność?

BRODSKIJ: Poeta. Poeta i tłumacz.

SĘDZIA: A ktoś to uznał, że jesteście poetą? Kto was zaliczył do poetów?

BRODSKIJ: Nikt. (*Bez wyzywającej tendencji*): A kto mnie zaliczył do ludzkiego rodzaju?

SĘDZIA: Uczyliście się tego?

BRODSKIJ: Czego?

SĘDZIA: No, żeby zostać poetą? Nie próbowaliście skończyć Wyższego Zakładu Szkolnego, gdzie przygotowują... gdzie uczą...

BRODSKIJ: Nie sądziłem, żeby to można było zdobyć nauką.

SĘDZIA: A jak?

BRODSKIJ: Sądzę, że to... (*skonfundowany*) pochodzi... od Boga...

SĘDZIA: Czy macie jakąś prośbę do sądu?

BRODSKIJ: Pragnąłbym dowiedzieć się, za co zostałem aresztowany?

SĘDZIA: To jest pytanie, a nie prośba?

BRODSKIJ: W takim razie nie mam żadnych prośb.

SĘDZIA: Czy obrona pragnie zadać jakieś pytanie?

OBRONCA: Tak jest. Obywatelu Brodskij, czy zarobione pieniądze przeznaczacie na utrzymanie rodziny?

BRODSKIJ: Tak.

OBRONCA: Wasi rodzice także zarabiają?

BRODSKIJ: Rodzice są na emeryturze.

OBRONCA: Mieszkacie razem z rodziną?

BRODSKIJ: Tak.

OBRONCA: Wobec tego wasze zarobki wchodzą do rodzinnego budżetu?

SĘDZIA: To nie jest zadawanie pytań, to jest uogólnianie. Obrona pomaga mu w udzielaniu odpowiedzi. Proszę nie uogólniać, tylko zadawać pytania.

OBRONCA: Czy jesteście zarejestrowani w przychodni psychiatrycznej?

BRODSKIJ: Tak.

OBRONCA: Czy przechodziliście szpitalniane leczenie?

BRODSKIJ: Tak, od końca grudnia 1963 roku do 5 stycznia roku bieżącego przebywałem w szpitalu imienia Kaszczenki w Moskwie.

OBRONCA: Czy nie uważacie, że wasza choroba nie pozwalała wam na dłuższą pracę w tym samym miejscu?

BRODSKIJ: Być może. Na pewno. Zresztą, nie wiem. Nie, do prawdy, nie wiem.

OBRONCA: Czy przekładaliście wiersze do antologii poetów Kuby?

BRODSKIJ: Tak.

OBRONCA: Czy przekładaliście hiszpańskie Romansero?

BRODSKIJ: Tak.

OBRONCA: Czy byliście w kontakcie z sekcją tłumaczy Związku Pisarzy?

BRODSKIJ: Tak.

OBRONCA: Wnoszę, aby sąd zechciał dołączyć do aktów sprawy charakterystykę, wydaną przez biuro sekcji tłumaczeniowej... Spis ogłoszonych drukiem wierszy... Kopie umów... Depeszę o treści: „Prosimy przyspieszyć termin podpisania umowy” (*wymienia*). Wnoszę o skierowanie obywatela Brodskiego na zbadanie lekarskie, dotyczące stanu jego zdrowia, i czy ten stan uniemożliwiał systematyczną pracę. Ponadto, wnoszę o natychmiastowe zwolnienie obywatela Brodskiego spod aresztu. Uważam, że nie dokonał on żadnego przestępstwa, wobec czego trzymanie go pod aresztem stanowi bezprawie. Ma on stałe miejsce zamieszkania i każdej chwili może zjawić się na wezwanie sądu.

(Sąd udaje się na naradę. Po chwili wraca i sędzia odczytuje decyzję).

Poddać obywatela Brodskiego sądowo-psychiatrycznej ekspertyzie, która ma odpowiedzieć na następujące pytania: czy Brodskij podlega jakimś psychicznym zaburzeniom i czy takie zaburzenia uniemożliwiają wysłanie go do daleko położonych miejscowości dla odbycia pracy przymusowej? Biorąc pod uwagę, iż z rozwoju choroby widać, że Brodskij nie chciał poddać się szpitalnej kuracji, zarządza się, aby oddział milicji nr 18 doprowadził go do przeprowadzenia sądowo-psychiatrycznej ekspertyzy.

SĘDZIA: Czy macie jakieś zapytania?

BRODSKIJ: Mam prośbę. Prosiłbym o dostarczenie do celi pióra i papieru.

SĘDZIA: Należy o to poprosić komendanta milicji.

BRODSKIJ: Już prosiłem, ale mi odmówiono. Proszę o pióro i papier.

SĘDZIA: *(łagodnie)* Dobrze, każę dostarczyć.

BRODSKIJ: Dziękuję.

Kiedy wszyscy wyszli z sali sądowej, w korytarzach i na schodach zobaczyli olbrzymi tłum, w większości młodzież.

SĘDZIA: Co za tłum! Nie przypuszczałam, że zbiorą się takie tłumy.

GŁOS Z TŁUMU: Nie codziennie staje przed sądem poeta!

SĘDZIA: Dla nas to nie ma znaczenia: poeta, czy kto inny!

Zdaniem obrońcy, Z.N. Toporowej, sędzia Saweljewa powinna była zwolnić Brodskiego spod aresztu, aby następnego dnia mógł on z własnej woli udać się do wskazanego szpitala psychiatrycznego dla przeprowadzenia ekspertyzy, Saweljewa jednak zarządziła utrzymanie aresztu, wobec czego Brodskiego doprowadziła do szpitala milicja.

DRUGA ROZPRAWA SĄDOWA PRZECIW JOSIFOWI BRODSKIEMU

Fontanka, 22, Sala Klubu Budowniczych. 13 marca 1964

Wnioski z ekspertyzy są następujące: Nie ulega wątpliwości, że w charakterze Brodskiego występują cechy psychopatyczne, ale nadaje się on do pracy. Wobec tego mogą być zastosowane do niego środki administracyjne.

Wchodzący do sali sądu czytają wywieszone zawiadomienie:
ROZPRAWA PRZECIW DARMOZJADOWI BRODSKIEMU.
Wielka sala Klubu Budowniczych jest wypełniona publicznością.

— Wstać Sąd idzie!

Sędzia Saweljewa zapytuje Brodskiego, czy ma jakieś prośby do sądu. Okazuje się, że zarówno przed pierwszą rozprawą, jak przed drugą, Brodskiego nie zaznajomiono z jego sprawą. Sędzia ogłasza przerwę. Milicja wyprowadza Brodskiego, aby miał możliwość zapoznać się ze swoją sprawą. Po jakimś czasie przyprowadzają go ponownie. Brodskij oświadcza, że wiersze zacytowane na stronicach 141, 143, 155, 200 i 234 (wylicza kolejno), są

nie jego autorstwa. Ponadto prosi o wyłączenie ze sprawy dziennika, który prowadził w roku 1956, gdy miał zaledwie szesnaście lat. Adwokatka popiera prośbę oskarżonego.

SĘDZIA: Jeśli chodzi o tak zwane wiersze, sąd bierze prośbę pod uwagę, natomiast co do zeszytu z osobistymi zapiskami, nie ma powodu go wyłączać. Obywatelu Brodskij, od roku 1956 trzynastokrotnie zmieniliście miejsce pracy. Pracowaliście przez rok na fabryce, a następnie przez pół roku nie pracowaliście. W lecie należeliście do ekipy geologicznej, zaś następnie nie pracowaliście przez cztery miesiące. *(wylicza miejsca pracy i przerwy, które potem nastąpiły)*. Wyjaśnijcie sądowi, dlaczego w tych przerwach nie pracowaliście, prowadząc pasożytniczy tryb życia.

BRODSKIJ: W przerwach pracowałem. Byłem zajęty tym samym, czym zajmuję się w chwili obecnej: pisałem wiersze.

SĘDZIA: A więc pisaliście tak zwane wiersze? Powiedzcie, jaki był pożytek z tego, że tak często zmienialiście pracę?

BRODSKIJ: Miałem piętnaście lat, kiedy zacząłem pracować. Wszystko mnie interesowało. Zmieniałem pracę dlatego, że chciałem jak najlepiej poznać życie i ludzi.

SĘDZIA: I cóż pożytecznego zdziałaliście dla ojczyzny?

BRODSKIJ: Pisałem wiersze. To jest moja praca. Jestem przekonany... wierzę, że to, co napisałem, przyniesie ludziom pożytek, i to nie tylko obecnie, lecz również przyszłym pokoleniom.

GŁOS SPOŚRÓD PUBLICZNOŚCI: Widzisz go! Też sobie wyobraża!

INNY GŁOS: Od tego jest poeta. Powinien tak myśleć.

SĘDZIA: A więc uważacie, że te wasze, tak zwane wiersze przynoszą ludziom pożytek?

BRODSKIJ: Dlaczego mówicie o moich wierszach „tak zwane”?

SĘDZIA: Mówię — „tak zwane”, ponieważ nie mam dla waszych wierszy innego określenia.

SOROKIN *(oskarżyciel społeczny)*: Obywatel mówił o przyszłych pokoleniach. To znaczy że co? Uważacie, że obecnie tych wierszy nikt nie rozumie?

BRODSKIJ: Tego nie powiedziałem. Po prostu moje wiersze jeszcze nie zostały wydane i ludzie ich nie znają.

SOROKIN: Uważacie, że gdyby je poznali, to by przyznali im wartość?

BRODSKIJ: Tak.

SOROKIN: Powiedzieliście, że wszystko was interesuje. To dlaczego nie chcieliście odbyć służby w Sowieckiej Armii?

BRODSKIJ: Nie będę odpowiadać na pytania tego rodzaju.

SĘDZIA: Macie odpowiedzieć!

BRODSKIJ: Zwolniono mnie od służby wojskowej. Nie to, że „nie chciałem”, tylko byłem zwolniony. To zupełnie co innego. Zwalniano mnie dwukrotnie. Za pierwszym razem, bo zachorował mój ojciec, za drugim z powodu mojej własnej choroby.

SOROKIN: Czy można utrzymać się za sumy, które zarabiacie?

BRODSKIJ: Można. Przebywając w więzieniu, coraz to podpisywałem, iż na moje utrzymanie wydawano dziennie 40 kopiejek. A przecież zarabiałem dziennie więcej niż 40 kopiejek.

SOROKIN: Ale przecież trzeba obuć się, ubrać...

BRODSKIJ: Mam jedno ubranie, stare, ale jakie jest, takie jest. Drugiego mi nie potrzeba.

ADWOKAT: Czy specjaliści wydawali opinię o waszych wierszach?

BRODSKIJ: Tak. Czukowski i Marszak wypowiadali się bardzo pozytywnie o moich przekładach. Bardziej nawet pozytywnie, niż ja na to zasługuję.

ADWOKAT: Czy mieliście jakiś kontakt z sekcją przekładową Związku Pisarzy?

BRODSKIJ: Tak. Brałem udział w almanachu, który nazywa się „Po raz pierwszy w mowie rosyjskiej”. Czytałem moje przekłady z polskiego.

SĘDZIA (*do obrońcy*): Powinniście pytać go, czy zajmował się pożyteczną pracą, a wy pytacie gdzie i kiedy występował z czytaniem przekładów...

ADWOKAT: Właśnie jego przekłady stanowią pożyteczną pracę.

SĘDZIA: Wy, Brodskij, lepiej wyjaśnijcie, dlaczego w przerwach między jednym i drugim zajęciem, nie pracowaliście.

BRODSKIJ: Pracowałem. Pisałem wiersze.

SĘDZIA: Ale to pisanie przeszkadzało wam w pracy.

BRODSKIJ: Przecież mówię, że pracowałem. Pisałem wiersze.

SĘDZIA: Są osoby, które pracują na fabryce, a jednocześnie pisują wiersze. Dlaczego nie postępowaliście w taki sam sposób?

BRODSKIJ: Jeden człowiek do drugiego nie jest podobny. Różnimy się, chociażby kolorem włosów, wyrazem twarzy.

SĘDZIA: To nie żadne odkrycie. Wszyscy o tym wiedzą. Lepiej wyjaśnijcie, jak należy ocenić wasz udział w naszym wielkim, postępowym ruchu ku komunizmowi.

BRODSKIJ: Budownictwo komunizmu nie polega wyłącznie na obsłudze maszyny, albo uprawianiu ziemi. Istnieje także praca umysłowa, która...

SĘDZIA: Tylko bez wygłaszania bombastycznych frazesów! Le-

piej odpowiedźcie, jak zamierzacie zorganizować waszą pracę w najbliższej przyszłości.

BRODSKIJ: Zamierzałem pisać wiersze i przekładać. Ale jeżeli to pozostaje w sprzeczności z jakimiś ogólnie przyjętymi normami, to poszukam jakiejś stałej pracy i w dalszym ciągu będę pisać wiersze.

ŁAWNİK TIAGŁYJ: U nas każdy człowiek pracuje. Jakże to się stało, żeście próżnowali tyle czasu?

BRODSKIJ: Wy mojej pracy nie uważacie za pracę. A ja uważam, że pisanie wierszy to praca.

SĘDZIA: Czy wyciągnęliście należyte wnioski z wystąpień prasy?

BRODSKIJ: Artykuł Lerner'a był kłamliwy. To jedyny wniosek, jaki z niego wyciągnąłem.

SĘDZIA: To znaczy, że nie wyciągnęliście żadnych innych wniosków?

BRODSKIJ: Nie, nie wyciągnąłem. Nie uważam siebie za człowieka, który prowadzi życie pasożytnicze.

ADWOKAT: Oświadczyliście, że artykuł „Truteń kręcący się przy literaturze” ogłoszony w piśmie „Wieczorny Leningrad” jest niesłuszny. Pod jakim względem?

BRODSKIJ: W tym artykule jedynie moje imię i nazwisko odpowiada rzeczywistości. Nawet mój wiek jest podany niedokładnie. Nawet zacytowane wiersze nie są mego autorstwa. Artykuł wymienia jako moich przyjaciół osoby, których w ogóle nie znam, albo znam bardzo mało. Więc jakże mógłbym uznać ten artykuł za słuszny i wyciągać z niego jakieś wnioski dla siebie?

ADWOKAT: Uważacie swoją pracę za pożyteczną. Czy świadkowie, zgłoszeni przeze mnie, będą w stanie waszą opinię potwierdzić?

SĘDZIA: *(do adwokata, ironicznie)*: Wasi świadkowie zostali zgłoszeni tylko po to?

SOROKIN *(oskarżyciel publiczny)* *(do Brodskiego)*: W jaki sposób mogliście samodzielnie, nie korzystając z cudzej pracy, robić przekłady z serbskiego?

BRODSKIJ: To jest pytanie ignoranta. Niekiedy umowa przewiduje korzystanie z dosłownego przekładu. Znam dobrze polski; serbski znam gorzej, ale to są języki pokrewne, więc porządząc przekładem dosłownym, mogę robić tłumaczenie.

SĘDZIA: Świadek Grudnina!

GRUDNINA: Od przeszło jedenastu lat kieruję pracą początkujących poetów. W ciągu siedmiu lat byłem członkiem komisji od pracy z młodymi autorami. Obecnie kieruję grupą poetów wyższych klas w Pałacu Pionierów, oraz kółkiem

młodych literatów przy fabryce „Świetłana”. Na zamówienie wydawnictwa ułożyłam i zredagowałam cztery kolektywne zbiory młodych poetów. Do tych zbiorów weszło ponad dwieście nowych nazwisk. Toteż, praktycznie biorąc, orientuję się dobrze w działalności wszystkich młodych poetów naszego miasta.

Prace Brodskiego, jako początkującego poety, znam na podstawie jego wierszy z lat 1959 i 1960. Były to wiersze jeszcze niedoskonałe, ale zawierające szczęśliwe odkrycia i obrazowanie artystyczne. Nie włączyłam ich do żadnego zbioru, ale zawsze uważałam go za utalentowanego autora. Aż do jesieni 1963 roku osobiście z Brodskim nie zetknęłam się. Po ukazaniu się w „Wieczornym Leningradzie” artykułu „Truteń kręcący się przy literaturze”, zaprosiłam Brodskiego na rozmowę, ponieważ młodzi interweniowali ze wszystkich stron, prosząc o zabranie głosu w sprawie spotwarzanego człowieka. Na pytanie, czym zajmuje się obecnie? — Brodskij odpowiedział, że uczy się obcych języków i od półtora roku pracuje nad poetyckimi przekładami. Wzięłam od niego rękopisy dla zaznajomienia się z tymi przekładami.

Jako poetka z zawodu i badaczka literatury z wykształcenia, twierdzę, że przekłady Brodskiego są na wysokim poziomie zawodowym. Brodskij posiada specyficzny, rzadko spotykany talent artystycznego tłumaczenia wierszy. Przedstawił mi prace obejmujące 368 linijek, ponadto czytałam 120 linijek wierszy przełożonych przez niego i ogłoszonych drukiem w różnych wydawnictwach moskiewskich.

Na podstawie osobistego doświadczenia, wiem, że taka praca wymaga nie mniej niż półtora roku czasu i to wytężonej pracy, nie licząc starań o wydanie wierszy i konsultacji ze specjalistami. Jak wiadomo, nie podobna ściśle określić czas, jaki zabierają tego rodzaju starania. Jeżeli przeprowadzimy, nawet według najniższych istniejących stawek, ocenę tych przekładów, które widziałam na własne oczy, to okaże się, że Brodskij zarobił już 350 rubli w nowej walucie, i rzecz polega tylko na tym, kiedy całość dokonanych przekładów ukaże się w druku.

Oprócz kontraktów na przekłady, Brodskij przedstawił mi umowy na prace radiowe i dla telewizji. Zamówienia te zostały już dokonane, chociaż jeszcze nie zapłacone.

Z rozmowy z Brodskim i ze znającymi go osobami, wiem, że żyje on bardzo skromnie, odmawia sobie wydatków na ubieranie się i rozrywki, większą część rozporządzalnego czasu poświęcając pracy pisarskiej. Zarobione pieniądze wpłaca na wspólne wydatki rodzinne.

ADWOKAT: Czy aby dokonać artystycznego przekładu, potrzebna jest ogólna znajomość twórczości przekładanego autora?

GRUDNINA: Tak, żeby robić dobre przekłady, takie jak przekłady Brodskiego, trzeba znać twórczość tłumaczonego autora i oswoić się dostatecznie z jego poetyckim klimatem.

ADWOKAT: Czy honorarium ulega zmniejszeniu, jeżeli tłumaczenie jest robione na podstawie dosłownego przekładu?

GRUDNINA: Tak, ulega zmniejszeniu. Kiedy tłumaczyłam węgierskich poetów na podstawie dosłownych przekładów, otrzymywałam o rubla mniej od wiersza (*według starego kursu*).

ADWOKAT: Czy tłumacze stosują system tłumaczenia na podstawie dosłownych przekładów?

GRUDNINA: Tak, to jest bardzo rozpowszechnione. Jeden z wybitniejszych leningradzkich tłumaczy, A. Gitowicz, przekłada ze starej chińskiej literatury, na podstawie dosłownych przekładów.

ŁAWNIK LEBIEDIEWA: Czy można własnym wysiłkiem, samemu nauczyć się obcego języka?

GRUDNINA: Niezależnie od języków, których uczyłam się na uniwersytecie, samodzielnie opanowałam jeszcze dwa języki.

ADWOKAT: Czy Brodskij, pomimo, że nie zna serbskiej mowy, jest w stanie dokonać wartościowych artystycznie przekładów z tej mowy?

GRUDNINA: Oczywiście, może.

ADWOKAT: A czy świadek nie uważa, że praca przy pomocy dosłownego przekładu stanowi godne potępienia wykorzystywanie cudzej pracy?

GRUDNINA: W żadnym wypadku!

ŁAWNIK LEBIEDIEWA: A ja tu sobie książkę oglądam. W tej książce tylko dwa małe wierszyki Brodskiego.

GRUDNINA: Chciałabym złożyć pewne wyjaśnienia, dotyczące specyficznych cech pracy literackiej. Rzecz w tym...

SĘDZIA: Nie potrzeba. Więc ostatecznie, jaka jest opinia świadka o wierszach Brodskiego?

GRUDNINA: Według mnie, jest to bardzo utalentowany poeta i o całą głowę przewyższa niejednego z tych, którzy są uważani za zawodowych tłumaczy.

SĘDZIA: A dlaczego Brodskij pracuje indywidualnie i nie bierze udziału w żadnych zjednoczeniach literackich?

GRUDNINA: W roku 1958 Brodskij prosił o przyjęcie go do literackiego zjednoczenia. Ale doszły do mnie wiadomości, że to historyczny młodzieniec, więc nie chciałam go przyjąć, odepchnęłam go własnoręcznie. To był mój błąd i bardzo tego żałuję. Obecnie bardzo chętnie przyjmę go do naszego

zjednoczenia i będę z nim współpracować, jeżeli tego za-
pragnie.

ŁAWNIK TIAGŁYJ: A czy świadek kiedykolwiek widział oso-
biście, jak Brodskij pracował, pisać wiersze, czy też może
korzystał on z cudzego wysiłku?

GRUDNINA: Nie widziałam Brodskiego podczas pisania. Ale
również nie widziałam Szołochowa, siedzącego i piszącego
za biurkiem. A przecież to nie znaczy...

SĘDZIA: Nie należy zestawiać Brodskiego z Szołochowym. Czyż-
by świadek nigdy nie wyjaśniał młodzieży, że nasze państwo
wymaga, aby młodzież uczyła się? Przecież Brodskij ukoń-
czył zaledwie siedem klas!

GRUDNINA: Brodskij posiada bardzo wiele wiadomości. Przeko-
nałam się co do tego, czytając jego przekłady.

SOROKIN: A czy świadek zna jego bardzo brzydkie wiersze por-
nograficzne?

GRUDNINA: Nie, nigdy ich nie czytałam.

ADWOKAT: Mam jeszcze jedno pytanie dla świadka. Wyniki
pracy Brodskiego w roku 1963 są następujące: wiersze w
książce „Jutrznia nad Kubą”, przekłady wierszy Gałczyń-
skiego (*co prawda, jeszcze nie wydane*), wiersze w książce
„Poeci Jugosłowiańscy”, pieśni *gauchos* i rzeczy ogłoszone
w czasopiśmie „Ognisko”. Czy można to wszystko uważać
za poważną pracę?

GRUDNINA: Niewątpliwie. To cały, dobrze przepracowany rok.
I ta praca przyniesie wyniki finansowe, jeżeli nie od razu
to za kilka lat. Nie jest właściwe oceniać wysiłek młodego
autora sumą honorariów, otrzymanych w danej chwili. Młó-
dy autor może spotkać się z niepowodzeniem, być może,
będzie konieczna nowa, przewlekła praca. Jest taki dowcip:
różnica między darmozjadem i młodym poetą polega na
tym, że darmozjad nie pracuje, lecz je, zaś młody poeta
pracuje, lecz je nie zawsze.

SĘDZIA: Sądowi nie podobało się wasze oświadczenie. W na-
szym kraju każdy otrzymuje według wykonywanej pracy, a
więc nie może tak być żeby ktoś dużo pracował i mało za-
rabiał. Powiadacie, że w naszym kraju, gdzie tyle uwagi i
pomocy udziela się młodym poetom, ci poeci głodują? Dla-
czego świadek oświadczył, że młodzi poeci nie mogą się
żywić?

GRUDNINA: Tak nie powiedziałam. Uprzedziłam, że to kawał,
w którym tkwi ziarenko prawdy. Młodzi poeci zarabiają w
sposób bardzo nierównomierny.

SĘDZIA: No, to już od nich zależy. Nam tym spraw nie potrzeba wyjaśniać. Dobrze, wyście oświadczyli, że wasze słowa to rodzaj żartu. Przyjmujemy to wyjaśnienie.

(Zostaje wywołany inny świadek — Efim Grigorjewicz Etkind)

SĘDZIA: Poproszę o legitymację, ponieważ wasze nazwisko brzmi jak gdyby niezbyt wyraźnie. *(bierze do ręki paszport)* Etkind... Efim Gierszewicz... Słucham was.

ETKIND: *(członek Związku Pisarzy, wykładowca w Instytucie imienia Hercena)*: Z racji mojej społeczno-literackiej pracy, mającej za zadanie wychowywanie początkujących tłumaczy, zdarza mi się bardzo często czytać i wysłuchiwać przekłady młodych pisarzy. Mniej więcej przed rokiem zdarzyło mi się poznać prace J. Brodskiego. Chodziło o przekłady wierszy znakomitego polskiego poety, Gałczyńskiego, którego utwory rzadko jeszcze były u nas przekładane. Wyrazistość poetyckich zwrotów, muzykalność, temperament i siła w oddaniu właściwości oryginału wywarły na mnie duże wrażenie. Uderzyła mnie również i ta okoliczność, że Brodskij sam, bez niczyjej pomocy, opanował język polski. Recytował on wiersze Gałczyńskiego w oryginale z niemniejszym przejęciem, niż przekłady tych wierszy na język rosyjski. Zdałem sobie sprawę, że mam do czynienia z tłumaczem wyjątkowo utalentowanym, a przy tym — co jest równie ważne — zdolnym do systematycznej i usilnej pracy. Przekłady jego, z którymi miałem możliwość zetknąć się nieco później, potwierdziły w całości tę pierwszą opinię. Mam na myśli, na przykład, jego przekłady kubańskiego poety, Fernandez, ogłoszone w książce „Jutrznia nad Kubą”, oraz współczesnych poetów jugosłowiańskich, wydrukowane w antologii Goslitizdata. Wielokrotnie rozmawiałem z Brodskim i byłem zaskoczony jego orientacją co do literatury amerykańskiej, angielskiej i polskiej.

Tłumaczenie wierszy to praca niesłychanie trudna, wymagająca żarliwości, wiedzy i talentu. Pisarz, który wybrał ten kierunek, musi liczyć się z licznymi niepowodzeniami, podczas gdy materialny zysk — to sprawa dalekiej przyszłości. Zdarza się, że poświęca się pracy przekładowej kilka lat i nie zarabia się ani jednego rubla. Tego rodzaju praca wymaga ofiarnego umiłowania poezji i umiłowania samej pracy. Trzeba uczyć się obcej mowy, historii, kultury danego narodu — tego wszystkiego nie można opanować od razu. To co wiem o pracy Brodskiego, wystarcza, abym był przekonany, że ma on przed sobą świetną przyszłość, jako poeta i tłumacz. To

nie jest wyłącznie moja opinia. Kiedy w biurze sekcji tłumaczeniowej dowiedziano się, że Wydawnictwo zerwało umowę, zawartą z Brodskim, powzięta została jednomyślna decyzja interwencji u dyrektora wydawnictwa, aby ponownie zaprosił Brodskiego do pracy i odnowił z nim umowę.

Wiadomo mi, poza wszelką wątpliwością, że taką samą opinię mają o Brodskim największe u nas autorytety w dziedzinie sztuki przekładowej — Marszak i Czukowskij, którzy...

SĘDZIA: Proszę mówić tylko we własnym imieniu!

ETKIND: Brodskij zasługuje, aby mu umożliwić pracę w dziedzinie poetyckich przekładów. Poza wielkim miastem, gdzie nie ma ani potrzebnych książek, ani środowiska literackiego, to byłoby bardzo trudne, prawie niemożliwe. Powtarzam: idąc w tym kierunku, Brodskij ma przed sobą wielką przyszłość. Muszę dodać, że byłem niezmiernie zdziwiony, gdy przeczytałem ogłoszenie: „ROZPRAWA PRZECIW DARMOZJADOWI BRODSKIEMU”.

SĘDZIA: Znane wam było już przedtem to określenie.

ETKIND: Owszem. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że sąd przyjmie to określenie. Gdyby Brodskij chciał produkować tandetę, to rozporządzając tak wielką techniką wierszowania, mógł przekładać wiersze na setki, mógłby sobie pracę ułatwiać. To, że zarabia niewiele pieniędzy, bynajmniej nie dowodzi, że nie lubi pracować.

SĘDZIA: A dlaczego Brodskij nie należy do żadnego kolektywu?

ETKIND: Był niejednokrotnie na seminarium przekładowym...

SĘDZIA: E, tam, seminaria...!

ETKIND: Należy do tego seminarium w tym sensie, że...

SĘDZIA: A jeżeli bez sensu? *(na sali rozlega się śmiech)* Chcę przez to zapytać, dlaczego Brodskij nie należał do żadnego zjednoczenia?

ETKIND: U nas nie istnieje członkostwo, wobec tego nie mogłem powiedzieć, że Brodskij „należał”. Ale przychodził do nas, czytał swoje przekłady...

SĘDZIA *(do Etkinda)*: A czy świadek nie miał jakichś nieporozumień czy trudności w swojej pracy, albo w życiu osobistym?

ETKIND *(zdziwiony)*: Nie. Co prawda, od dwóch dni nie byłem w Instytucie. Może tam rzeczywiście coś się stało...

*(Świadek najwidoczniej nie zrozumiał pytania sędziego.
Audytorium również)*

SEDZIA: Dlaczego świadek, mówiąc o umiejętnościach Brodskiego, podkreślał sprawy związane z literaturą obcą? Dlaczego świadek nie mówi o naszej literaturze ojczystej?

ETKIND: Rozmawiałem z Brodskim jako z tłumaczem, więc interesowała mnie jego orientacja w literaturze amerykańskiej, angielskiej i polskiej. Jego zainteresowania są bardzo obszerne, różnorodne i bynajmniej nie powierzchowne.

SMIRNOW (*świadek oskarżenia, komendant Domu Obrony*): Osobiście Brodskiego nie znam, ale pragnę powiedzieć, że gdyby wszyscy obywatele mieli taki sam stosunek do akumulacji dóbr materialnych, jak Brodskij, to nie prędko udałoby się nam zbudować komunizm. Rozum — to niebezpieczna broń dla jego właściciela. Wszyscy tu opowiadali, jaki on jest mądry i niemal genialny. Ale nikt nie powiedział, co z niego za człowiek. Wychował się w inteligentnej rodzinie, ale posiada zaledwie siedmioletnie wykształcenie. No, niech obecni powiedzą, czy który z nich chciałby mieć syna, który skończył zaledwie siedem lat szkoły. Do wojska nie poszedł, bo niby jedyny żywiciel rodziny. A jakież z niego żywiciel? Tutaj powiadają, że jest utalentowanym tłumaczem, a dlaczego nikt nie mówi, że w głowie u niego wszystko poplątane? A także, że pisuje rzeczy antysowieckie?

BRODSKIJ: To nieprawda.

SMIRNOW: Brodskij powinien zmienić bardzo wiele w sposobie swego myślenia. Stawiam pod znakiem zapytania orzeczenie, wydane Brodskiemu w przychodni psychiatrycznej co do choroby nerwowej. Jego wielmożni przyjaciele zaczęli bić w wielkie dzwony i żądać — ratujcie młodzieńca! A jego trzeba leczyć przy pomocy pracy przymusowej i żadni wielmożni przyjaciele tu nic nie pomogą. Nie znam go osobiście. Znam go z prasy. I wszystkie orzeczenia też znam. Lekarskie orzeczenie, które zwolniło go od służby wojskowej, stawiam pod znakiem zapytania. Ja tam nie jestem żadna medycyna, ale podaję orzeczenie w wątpliwość.

BRODSKIJ: Kiedy byłem zwolniony jako jedyny żywiciel, ojciec był chory, leżał po zawale serca, a ja pracowałem i zarabiałem. A potem sam zachorowałem. Co wy o mnie wiecie, żeby wydawać opinie tego rodzaju?

SMIRNOW: Czytałem osobiste notatki w waszym dzienniku.

BRODSKIJ: Na jakiej podstawie?

SEDZIA: Uchylam to pytanie.

SMIRNOW: Czytałem wiersze Brodskiego.

ADWOKAT: Do sprawy dołączono wiersze, których Brodskij nie pisał. A skąd świadek wie, czy wiersze, które czytał, istot-

nie są Brodskiego? Przecież świadek mówi o wierszach, które jeszcze nie zostały wydrukowane!

SMIRNOW: Wiem i — tyle!

SĘDZIA: Świadek Łogunow.

ŁOGUNOW (*zastępca dyrektora Ermitażu w dziale administracyjnym*): Brodskiego osobiście nie znam. Po raz pierwszy spotkałem się z nim tutaj, na rozprawie sądowej. Ale tak żyć jak Brodskij, nie wolno! Nie zazdroszczę rodzicom, którzy mają takiego syna. Pracowałem razem z pisarzami, obrałem się między nimi. Mogę porównać Brodskiego z Olegem Szestinskim. Oleg jeździł z brygadą agitatorów, ukończył Państwowy Uniwersytet w Leningradzie, jak również uniwersytet w Sofii. A ponadto Oleg pracował w kopalni. Pragnę wystąpić w tym sensie, że każdy powinien pracować, dawać ze siebie wszystko dla kultury. Wiersze, jakie układa Brodskij, będą wówczas prawdziwymi wierszami. Brodskij powinien rozpocząć nowe życie.

ADWOKAT: Trzeba jednak, żeby świadkowie mówili o faktach. A tymczasem...

SĘDZIA: Obrona będzie miała potem możliwość dać swoją ocenę zeznań świadków. Świadek Denisow!

DENISOW (*układacz rur UNR-20*): Brodskiego osobiście nie znam. Znam go na podstawie tego, co pisała prasa. Występuję tu jako obywatel i przedstawiciel społeczeństwa. Po zapoznaniu się z artykułem w czasopiśmie oburzyło mnie postępowanie Brodskiego. Postanowiłem poznać jego książki. Idę do biblioteki — nie ma tych książek. Pytałem znajomych, czy znają takiego pisarza. Okazało się, że nie znają. Jestem robotnikiem. Przez całe życie zmieniałem miejsce pracy tylko dwa razy. A Brodskij? Wcale mnie nie zadawała jego twierdzenia, że zna wiele fachów. W tak krótkim czasie nie można nauczyć się żadnego fachu. Powiadają, że Brodskij coś tam reprezentuje jako poeta. To dlaczego nigdy nie był członkiem żadnego zjednoczenia? Czy jego postawa jest zgodna z dialektycznym materializmem? Przecież Engels uważał, że to praca tworzy człowieka. Ale Brodskiemu to sformułowanie nie odpowiada. Uważa, że jest inaczej. Być, może jest bardzo utalentowany, ale dlaczego nie może znaleźć swojej drogi w naszej literaturze? Dlaczego nie pracuje? Pragnę wypowiedzieć opinię, że mnie, jako robotnika, jego działalność zawodowa nie zadawała.

SĘDZIA: Świadek Nikołajew!

NIKOŁAJEW (*emeryt*): Osobiście Brodskiego nie znam. Chcę powiedzieć, że znam go już od trzech lat na podstawie tego rozkładającego wpływu, jaki on wywiera na swoich rówieś-

ników. Jestem ojcem. Na własnym przykładzie przekonałem się, jak to ciężko mieć takiego syna, który nie chce pracować. Niejednokrotnie widziałem wiersze Brodskiego w rękach mego syna. Poemat w 42 rozdziałach i poszczególne wiersze. Znam Brodskiego w związku ze sprawą Umanskiego. Jest takie przysłowie: powiedz, kto jest twoim przyjacielem... Umanskiego znałem osobiście. To człowiek nastawiony zdecydowanie antysowiecko. Kiedym tu słuchał Brodskiego, poznawałem w nim własnego syna. Mój syn także mówił, że uważa siebie za geniusza. Podobnie jak Brodskij, mój syn nie chce pracować. Tacy ludzie jak Brodskij i Umanskij, wywierają rozkładający wpływ na swoich rówieśników. Dziwię się rodzicom Brodskiego. Widocznie go zachęcali. Śpiewali na jego nutę. Forma utworów Brodskiego świadczy, że potrafi on układać wiersze. Ale w tym rzecz, że jego wiersze przynoszą jedynie szkodę. Brodskij to nie jest zwykły darmozjad. To jest darmozjad wojujący! Z takimi ludźmi, jak Brodskij, należy postępować bez litości.

(Oklaski)

ŁAWNIK TIAGŁYJ: Czy uważacie, że wiersze Brodskiego wywarły wpływ na waszego syna?

NIKOLAJEW: Tak.

ADWOKAT: A skąd świadek wie, że to były wiersze Brodskiego?

NIKOLAJEW: Wiersze były w teczce. A na teczce napis: „Josif Brodskij”.

ADWOKAT: Wasz syn znał Umanskiego?

NIKOLAJEW: Tak.

ADWOKAT: To dlaczego świadek sądzi, że to Brodskij, a nie Umanskij podzielał rozkładająco na jego syna?

NIKOLAJEW: Brodskij i tamten razem z nim. Wiersze Brodskiego są haniebne i antysowieckie.

BRODSKIJ: Proszę wymienić te antysowieckie wiersze. Proszę przytoczyć z nich choćby jeden wiersz.

SEDZIA: Cytować nie pozwalam!

BRODSKIJ: Ależ ja chcę wiedzieć o jakich wierszach jest mowa! Może to w ogóle nie są moje wiersze?

NIKOLAJEW: Gdybym wiedział, że wystąpię przed sądem, to bym teksty sfotografował i przyniósł.

SEDZIA: Świadek Romaszowa!

ROMASZOWA: (wykładowczyni marksizmu-leninizmu w szkole imienia Muchinej) Osobiście Brodskiego nie znam. Ale jego

tak zwana działalność jest mi dobrze znana. Puszkina mówił, że talent to przede wszystkim praca. A co z Brodskim? Czy pracuje, czy zrobił wysiłek, aby jego wiersze stały się zrozumiałe dla ludu? Bardzo mnie dziwi, że moi koledzy stwarzają dokoła Brodskiego jakąś aureolę. To tylko w Związku Socjalistycznym jest możliwe, aby sąd z taką dobrą wolą rozmawiał z poetą i tak po przyjacielsku radził mu zabrać się do nauki. Jako sekretarz partyjnej organizacji przy szkole imienia Muchomowa, muszę stwierdzić, że wpływ Brodskiego na młodzież jest negatywny.

ADWOKAT: Czy świadek widział kiedykolwiek Brodskiego?

ROMASZOWA: Nigdy. Ale znajomość tak zwanej działalności Brodskiego pozwala mi wyrazić o nim opinię.

SĘDZIA: Czy możecie przytoczyć jakieś fakty?

ROMASZOWA: Jako wychowawczyni młodzieży, znam jej opinie o wierszach Brodskiego.

ADWOKAT: A czy sam świadek zna te wiersze?

ROMASZOWA: Znam. To okropność! Nie uważam za możliwe cytować tych wierszy. Są okropne!

SĘDZIA: Świadek Admoni! Jeśli nie macie nic przeciw temu, poproszę o legitymację, bo nazwisko macie raczej niezwykle.

ADMONI: (*profesor Instytutu imienia Hercena, filolog, historyk literatury, tłumacz*) Kiedy dowiedziałem się, że Josifa Brodskiego postawiono przed sądem z oskarżenia o darmożadztwo, uznałem, że moim obowiązkiem jest wypowiedzieć przed trybunałem moją opinię. Uważam, że mam do tego prawo, ponieważ od trzydziestu lat wychowuję młodzież jako wykładowca Wyższych Szkół, a również dlatego, że od dawna pracuję jako tłumacz.

Brodskiego znam bardzo mało. Pozdrawiamy siebie nawzajem, ale bodaj nigdy nie zamieniliśmy między sobą kilku zdań. Jednakże, w ciągu, powiedzmy, ubiegłego roku, a może nawet dawniej z uwagą przyglądałem się jego pracy przekładowej, jego wystąpieniom na wieczorach, poświęconych przekładowi, i temu, co drukował... Bo jego przekłady są wybitne, wykazujące duży talent. Na podstawie przetłumaczonych wierszy Gałczyńskiego, Fernandeza i innych autorów mogę oświadczyć z całą odpowiedzialnością, że wymagały one niezwykle dużej pracy i wysiłku ze strony Brodskiego. Świadczą one o prawdziwym mistrzostwie i kulturze literackiej tłumacza. Cudów, jak wiadomo, nie ma. Mistrzostwo i kultura literackie nie powstają same przez się. Konieczna jest stała i uporczywa praca. Nawet jeżeli tłumacz pracuje na podstawie dosłownego przekładu, konieczne jest, aby utrzymać wyniki na dobrym poziomie, ogólne pojęcie o charakterze języka, z któ-

rego się przekłada, wczucie się w jego ducha, konieczna jest znajomość zwyczajów i kultury danego narodu i tak dalej. A przecież Josif Brodskij studiował oprócz tego także i języki. Więc jest dla mnie oczywiste, że Brodskij pracuje — pracuje z wyteżeniem i uporem. A gdy jeszcze do tego dziś dowiedziałem się — dopiero *dziś!* — że Brodskij ukończył zaledwie siedem klas, stało się dla mnie jasne, iż zdobył się on na pracę prawdziwie gigantyczną, bez której nie posiadłby tak wielkiego mistrzostwa i tak głębokiej kultury literackiej. Do pracy poety-tłumacza w całości można zastosować to, co Majakowski powiedział o pracy poety: „Marnujesz tysiące ton słownej rudy, aby znaleźć słowo jedyne”.

Ustawa, według której Brodskiego pociągnięto do odpowiedzialności, skierowana jest przeciw takim, co za mało pracują, a nie przeciw tym, co mało zarabiają. Darmozjady to ci, którzy mało pracują. Toteż oskarżenie Brodskiego jako darmozjada stanowi zupełny nonsens. Nie można o to oskarżać człowieka, który — jak Brodskij — pracuje bardzo dużo i z uporem, nie myśląc o wysokich zarobkach, ogranicza się do rzeczy niezbędnych, aby tylko udoskonalić się w swojej sztuce i dawać utwory o pełnej wartości artystycznej.

SĘDZIA: Co świadek tam mówił coś, że należy stawiać przed sąd tych, co mało zarabiają?

ADMONI: Powiedziałem: Ustawa przewiduje, że należy sądzić tych, co za mało pracują, a nie tych co mało zarabiają.

SĘDZIA: Co świadek chce przez to powiedzieć? Czy świadek czytał Dekret z 4-go maja? Komunizm może powstać tylko pracą milionów.

ADMONI: Każda praca, pożyteczna dla społeczeństwa, zasługuje na szacunek.

ŁAWNIK TIAGŁYJ: Gdzie Brodskij czytał swoje przekłady i w jakich obcych językach?

ADMONI: (z uśmiechem) Czytał po rosyjsku. Brodskij przekłada z obcych języków na rosyjski.

SĘDZIA: Jeżeli prosty człowiek zapytuje, to świadek powinien mu wyjaśnić, a nie uśmiechać się.

ADMONI: Właśnie wyjaśniam, że Brodskij przekłada z polskiego i serbskiego na rosyjski.

SĘDZIA: Proszę zwracać się do sądu, a nie do publiczności.

ADMONI: Proszę mi wybaczyć. To już takie profesorskie przyzwyczajenie — mówiąc, zwracamy się do audytorium.

SĘDZIA: Świadek Wojewodin! Czy znacie Brodskiego osobiście?

WOJEWODIN: (Członek Związku Pisarzy) Nie. Pracuję w Związku dopiero od pół roku. Osobiście Brodskiego nie poznałem. Rzadko przychodzi do Związku i to wyłącznie na

wieczory przekładowe. Widocznie zdawał sobie sprawę, jak zostaną przyjęte jego wiersze i dlatego na inne zebrania nie przychodził. Czytałem jego epigramaty. Towarzysze sędziowie, dostalibyście rumieńców, gdybyście te epigramaty przeczytali. Tutaj była mowa o talencie Brodskiego. Miara talentu jest powszechne uznanie. Brodskij takiego uznania nie ma i nigdy go mieć nie będzie.

W Związku Pisarzy otrzymano teczkę z wierszami Brodskiego. Mamy w nich trzy tematy. Pierwszy temat to samotność, odosobnienie; drugi temat — pornograficzny; trzeci temat — to niechęć do ojczyzny, do ludu, wiersze, w których Brodskij wyobcowuje się z ojczyzny. Chwileczkę, zaraz sobie przypomnę... „jednostajny jest tłum rosyjski...”. Niech te potworne wiersze zaciążą na sumieniu ich autora. Jako poeta Brodskij nie istnieje. Może istnieje jako tłumacz, ale jako poeta nie istnieje! Całkowicie podtrzymuję wystąpienie towarzysza, który nam opowiedział w jaki rozkładający sposób podzielał Brodskij na jego syna. Brodskij odrywa młodzież od pracy, od świata i życia. Pod tym względem odgrywa on wielką antyspołeczną rolę.

SĘDZIA: Czy na komisji była dyskutowana sprawa talentu Brodskiego?

WOJEWODIN: Było jedno krótkie zebranie, na którym mówiono o Brodskim. Ale z rozmów tych nie wynikła żadna ogólna dyskusja. Powtarzam: działalność swoją Brodskij ograniczał do sprośnych epigramatów, zaś do Związku przychodził bardzo rzadko. Poeta Kuklin, który jest moim przyjacielem, swego czasu z estrady dobitnie wyraził swoje oburzenie z powodu wierszy Brodskiego.

ADWOKAT: Informację o Brodskim, przez was napisaną, popiera cała komisja?

WOJEWODIN: Z Etkindem, który jest innego zdania, tej informacji nie uzgadniałem.

ADWOKAT: A czy inni członkowie komisji znają treść waszej informacji?

WOJEWODIN: Nie, nie wszyscy.

BRODSKIJ: A w jaki sposób dotarły do was moje wiersze i mój dziennik?

SĘDZIA: Uchylam to pytanie. Obywatelu Brodskij! Obywatel pracował od wypadku do wypadku. Dlaczego?

BRODSKIJ: Już mówiłem: pracowałem cały czas. Najpierw na etacie, a potem pisałem wiersze. (z rozpaczą) Pisanie wierszy to przecież praca!

SĘDZIA: Ale zarabiacie bardzo mało. Mówiliście, że w ciągu roku wypłacono wam 250 rubli, ale według informacji, przedstawionej przez milicję, wypada tylko sto rubli.

ADWOKAT: Na poprzedniej rozprawie postanowiono, żeby milicja sprawdziła swoje informacje co do zarobków. Tego nie wykonano.

SĘDZIA: Do sprawy została dołączona umowa, którą wam przysłało wydawnictwo. Przecież to zwyczajny papierek, nawet bez podpisu.

(Ktoś z publiczności przekazuje sędziemu notę, informującą, że umowę najpierw podpisuje autor, a dopiero potem kierownik wydawnictwa)

SĘDZIA: Proszę mi więcej żadnych not nie posyłać.

SOROKIN: *(społeczny oskarżyciel)* Nasz wielki naród buduje komunizm. W sowieckich ludziach rozwija się nadzwyczajna cecha — upojenie pracą, przynoszącą pożytek społeczny. Kwitnie tylko takie społeczeństwo, w którym nie ma próżniaków. Brodskiemu obce są uczucia patriotyczne. Zapomniał on o najważniejszej zasadzie: kto nie pracuje, ten nie je. Przez długie lata Brodskij prowadzi życie darmozjada. W roku 1956 rzucił szkolną naukę i poszedł do fabryki. Miał wtedy piętnaście lat. W tym samym roku zwalnia się z pracy. *(Oskarżyciel odczytuje wykaz służbowy i przerwy w etatowej pracy ponownie określa jako próżniactwo. Przechodzi do porządku dziennego nad zeznaniami świadków obrony, stwierdzających, że zajęcia literackie również stanowią pracę).*

SOROKIN: Zostało sprawdzone, że za jedną swoją pracę Brodskij otrzymał 37 rubli. A on twierdzi, że 150!

BRODSKIJ: To była zaliczka! To była tylko zaliczka! Część tego, co otrzymam później!

SĘDZIA: Brodskij, zamilczcie!

SOROKIN: Wszędzie, gdzie pracował Brodskij, budził oburzenie swoim brakiem dyscypliny i niechęcią do pracy. Artykuł w „Wieczornym Leningradzie” wywołał powszechny odzew. Zwłaszcza młodzi napisali dużo listów, ostro potępiając postępowanie Brodskiego. *(czyta listy)* Młodzież uważa, że Brodskij nie powinien pozostać w Leningradzie. Że powinno się go surowo ukarać. Brodskij nie ma najmniejszego pojęcia, czym jest sumienie i poczucie obowiązku. Każdy uważa sobie za szczęście służbę w Czerwonej Armii. Brodskij uchylił się od niej. Ojciec Brodskiego posłał go na konsultację do przychodni, a ten przynosi stamtąd zaświadczenie, przyjęte przez łatwowierny komisariat wojskowy. A jeszcze zanim go

wezwali do wojskowego komisariatu, Brodskij napisał do swego przyjaciela Szachmatowa, który później został skazany, że „mam przed sobą wizytę w Komisji Wojskowej. Mam nadzieję, że moje jamby znajdą w twojej szufladzie niezawodne schronienie”.

Brodskij należał do takiej paczki, która, słysząc słowo „praca” reagowała szatańskim śmiechem i z szacunkiem wysłuchiwała wskazań Umanskiego, swego führera. Brodskiego łączy z nimi nienawiść do pracy i do literatury sowieckiej. Wśród tych osobników niezwykle powodzenie mają zwłaszcza pornograficzne słowa i pojęcia. Brodskij nazywał Szachmatowa *sirem*. Właśnie tak, nie inaczej! A Szachmatowa skazano. Oto z jakiego cuchnącego bagienka wyszedł Brodskij. Mówi się, że Brodskij posiada talent. Któż to mówi? Tacy sami osobnicy, jak Brodskij i Szachmatow.

KRZYK NA SALI: Kto? Czukowski i Marszak są tacy sami jak Szachmatow?!

(DRUŻYNNICY (1) wyprowadzają z sali autora okrzyku)

SOROKIN: Brodskiego bronią łobuzy, darmozjady, stonogi i wszelkie insekty. Brodskij to nie poeta, to ktoś, kto usiłuje pisać wierszyki. Brodskij zapomniał, że w naszym kraju każdy powinien pracować, tworzyć wartości: maszyny, żywność, albo wiersze. Brodskiego należy zmusić do pracy administracyjnie. Należy go wyeksmitować z bohaterskiego miasta. To jest darmozjad, cham, łobuz, człowiek brudny z punktu widzenia ideologicznego. Wielbiciele Brodskiego pluą jadowitą śliną. A przecież Niekrasow powiedział:

Nie musisz być poetą,
ale musisz być obywatelem.

Tu przed sądem stanął dzisiaj nie poeta, lecz darmozjad. Dlaczego tu broniono człowieka, który nienawidzi własnej ojczyzny? Należałoby sprawdzić, jakie jest moralne oblicze tych, którzy go bronili. Brodskij napisał w jednym wierszu: „Kocham nie moją ojczyznę”. A w jego dzienniku jest taka notatka: „Już od dawna zastanawiałem się, żeby wyjść poza czerwoną linię. W mojej rudej głowie dojrzewają konstruktywne pomysły”. Również napisał, że „Ratusz w Sztokholmie budzi we mnie większy szacunek, niż zamek w Pradze”. Marksa nazwał „starym żarłokiem, w wianuszkach ze świerkowych szyszek”. W jednym ze swoich listów Brodskij napisał: „A co mi Moskwa! Pluję na nią!”.

(1) „Drużynnicy” — ochotnicza straż robotnicza.

Oto co reprezentuje Brodskij i ci wszyscy, którzy go bronią! *(Następnie oskarżyciel cytuje list jakiejś młodej dziewczyny, która wypowiada się o Leninie z brakiem szacunku. Absolutnie nie wiadomo, jaki związek ma ten list z Brodskim. Ani go pisał, ani do niego jest adresowany).*

Nagle sędzia zwraca się do mnie: Przestać notować!

JA: Towarzyszu sędzio, proszę o pozwolenie notowania.

SĘDZIA: Nie pozwalam!

JĄ: Jestem dziennikarką, należę do Związku Pisarzy, zajmuję się sprawami dotyczącymi wychowania młodzieży, proszę o pozwolenie na notowanie.

SĘDZIA: Ja nie wiem, co wy tam notujecie! Natychmiast przestać!

GŁOS NA SALI: Odebrać jej te notatki!

(Sorokin kontynuuje swoje przemówienie, po czym zabiera głos adwokatka. Ponieważ nie pozwolono mi prowadzić dalej notatek, przemówienie obrony mogę jedynie streścić, uwytłumaczając główne tezy).



Oskarżyciel publiczny wykorzystał materiały, które do sprawy nie były dołączone, które ujawnione zostały po raz pierwszy i których z Brodskim nie skonfrontowano, więc też nie mógł złożyć on odpowiednich wyjaśnień.

Autentyczność materiałów, dotyczących specjalnego procesu, który toczył się w roku 1961-ym, nie została sprawdzona. Podobnie nie jesteśmy w stanie sprawdzić cytat zawartych w oskarżeniu. Jeśli chodzi o dziennik Brodskiego, pochodzi on z roku 1956, kiedy Brodskij był jeszcze niepełnoletnim chłopcem. Społeczny oskarżyciel powołał się na listy czytelników do redakcji pisma „Wieczorny Leningrad”, jako na wyraz opinii publicznej. Autorzy listów Brodskiego nie znają, nie czytali jego wierszy, opierają się na artykule wysoce tendencyjnym i zawierającym szereg twierdzeń nie odpowiadających faktom. Społeczny oskarżyciel nie tylko znieważył Brodskiego, nazywając go „chamem”, „darmozjadem”, „antysowieckim elementem”, ale również zelżył osoby, które wystąpiły w obronie Brodskiego, mianowicie Marszaka, Czukowskiego i godnych szacunku świadków. Wniosek: społeczny oskarżyciel nie rozporządza dowodami obiektywnymi i stosuje niedozwolone chwyt.

Czym dysponuje oskarżenie?

A) Wykaz służbowy z lat 1956-1962. W roku 1956-ym Brodskij miał szesnaście lat, miał prawo tylko uczyć się i zgodnie z obowiązującym prawodawstwem, znajdować się na utrzymaniu rodziców do ukończenia 18-tu lat. Częste zmiany pracy to wpływ psychopatycznych cech charakteru i nieumiejętność znalezienia sobie od razu miejsca w życiu. Poza tym niektóre przerwy były uzasadnione sezonową pracą w ekspedycjach. A więc aż do roku 1962-go nie było powodu do mówienia o uchylaniu się od pracy.

(Obrońca mówi o swoim szacunku do tawników, ale wyraża żal, że nie ma wśród nich nikogo, kto by posiadał kompetencje w zakresie pracy literackiej. Gdy oskarżonym jest niepełnoletni, obowiązkowo wśród tawników znajduje się pedagog; jeżeli na ławie oskarżonych zasiada lekarz, wśród tawników musi być również lekarz. Dlaczego więc ten sprawiedliwy i rozumny zwyczaj nie jest stosowany, gdy w grę wchodzi literatura?).

B) Od 1962 roku Brodskij nie pracował na żadnym etacie. Jednakże przedstawione umowy z wydawnictwem z listopada 1962 i października 1963, zaświadczenie studium telewizyjnego, informacja z redakcji czasopisma „Ognisko”, wydany zbiór przekładów poetów jugosłowiańskich świadczą o twórczej pracy Brodskiego. A teraz co do JAKOŚCI tej pracy. Istnieje opinia, podpisana przez E. Wojewodina, zdecydowanie negatywna, wysuwająca niedopuszczalne zarzuty antysowieckości pod adresem Brodskiego. Opinia ta przypomina dokumenty z najgorszych czasów kultu jednostki. Wyszło na jaw, że nie była ona dyskutowana na komisji, że członkom tej komisji jest nieznana, wobec czego stanowi jedynie osobisty osąd prozaika Wojewodina.

Natomiast istnieją opinie wybitnych znawców, mistrzów w dziedzinie poetyckiego przekładu, takich osób, jak Marszak i Czulkowski. Opinia świadka W. Admoniego, wybitnego historyka literatury, filologa i tłumacza. Opinia E. Etkinda, znawcy literatury przekładowej, członka biura sekcji zawodowych tłumaczy i członka komisji opiekującej się pracą młodych autorów. Następnie opinia Grudninej, pisarki i filologa, która ma za sobą wiele lat współpracy z młodymi autorami. Wszyscy wymienieni bardzo wysoko stawiają twórczą pracę Brodskiego i twierdzą, że potrzebny był duży wysiłek, aby napisać to wszystko, co Brodskij napisał w roku 1963-im.

WNIOSEK: Informacja Wojewodina nie jest w stanie obalić opinii wymienionych osobistości.

C) Ani jeden ze świadków oskarżenia nie zna Brodskiego, wierszy jego nie miał w rękach i nie czytał. Świadcowie oskarżenia składają zeznania na podstawie jakichś niesprawdzonych i nie

wiadomo w jaki sposób otrzymanych dokumentów, i na tej podstawie wyrażają swoje opinie i wygłaszają oskarżycielskie przemówienia.

Żadnych innych materiałów oskarżenie nie posiada.

SĄD POWINIEN USUNĄĆ Z PRZEWODU:

I. Materiały dotyczące specjalnego procesu, który toczył się w roku 1961-ym. Sprawa przeciw Brodskiemu została ówczesnie umorzona.

Gdyby Brodskij, czy wtedy, czy w późniejszym czasie popełnił przestępstwo antysowieckie i pisał antysowieckie wiersze, organy państwowego bezpieczeństwa byłyby wdrożyły śledztwo. Istotnie Brodskij znał Szachmatowa i Umanskiego, znajdował się pod ich wpływem. Ale na szczęście już dawno od tego wpływu uwolnił się. A tymczasem społeczny oskarżyciel czytał notatki z tamtych lat, umiejscawiając je poza czasem i przestrzenią i wywołując w ten sposób niechęć publiczności do Brodskiego. Społeczny oskarżyciel stworzył wrażenie, że Brodskij również obecnie podziela swoje dawne poglądy, co absolutnie nie odpowiada rzeczywistości. Wielu młodzieńców, którzy byli w otoczeniu Umanskiego, powróciło do normalnego życia, dzięki interwencji starszych, rozumnych osób. To samo stało się w ciągu ostatnich dwóch lat z Brodskim. Zaczął on dużo i owocnie pracować. Ale właśnie teraz go aresztowano.

II. Sprawę wartości wierszy Brodskiego.

W tej chwili w ogóle nie wiemy, które z dołączonych do sprawy wierszy są pióra Brodskiego. On sam zeznał przecież, że niektóre z nich nie zostały przez niego napisane.

Aby uznać, czy wiersze te są rozkładowe, dekadenskie, czy pesymistyczne czy liryczne, należałoby się oprzeć na autorytatywnej ekspertyzie znawców literatury. Tego zagadnienia ani sąd ani zainteresowane strony same rozstrzygnąć nie mogą.

Nasze zadanie polega na ustaleniu, czy Brodskij istotnie jest darmozjadem, utrzymującym się z dochodów, na które nie zapracował, prowadzącym pasożytniczy tryb życia.

Brodskij jest poetą i tłumaczem, który poświęcił się pracy nad przekładami poetów braterskich republik, krajów ludowej demokracji, walczących o pokój światowy. Nie jest pijakiem ani człowiekiem amoralnym, ani łapczywym na pieniądze. Wyrzucają mu, że otrzymywał niewielkie honoraria, a więc nie pracował.

(Adwokat omawia specyficzne cechy pracy literackiej, mówi o systemie wypłaty honorariów. Mówi, że praca przekładowa wymaga wielkiego wysiłku i czasu, o konieczności poznania obcych języków i twórczości przekładanych poetów. Wspomina o tym,

że nie wszystkie składane prace są przyjmowane przez wydawnictwa i płacone).

Co do systemu zaliczek. Sumy, podane w aktach sprawy, są nieścisłe. Zgodnie z twierdzeniem Brodskiego było ich więcej. Należało to sprawdzić. Te sumy są nieznaczne. Z czego więc żył Brodskij? Mieszkał on razem z rodzicami, którzy w okresie poetyckiego formowania się syna pomagali mu finansowo.

Z ŻADNYCH ŹRÓDEŁ DOCHODU NIE OPARTYCH NA PRACY BRODSKIJ NIE KORZYSTAŁ. Żył w niedostatku, byle by tylko móc poświęcić się swej ukochanej pracy.

WNIOSKI:

Nie stwierdzono winy Brodskiego. Brodskij nie jest darmozjadem, więc nie wolno stosować do niego środków administracyjnego przymusu.

Znaczenie Dekretu z 4-go lutego 1961 roku jest ogromne. Stanowi środek na wyczyszczenie miasta z prawdziwych darmozjadów i pasożytów. Ale stosowanie go w sposób bezpodstawny dyskredytuje myśl, która Dekretowi przyświeca.

Uchwałą z dnia 10 marca 1963 roku Plenum Najwyższego Sądu Związku Sowieckich Socjalistycznych Republik zobowiązało sądy ustosunkowywać się krytycznie do przedstawionych materiałów, nie dopuszczać do skazywania osób pracujących, przestrzegać prawa oskarżonych do zapoznania się ze sprawą i złożenia dowodów swej niewinności.

Brodskij został bezpodstawnie zatrzymany w dniu 13 lutego 1964 roku i *pozbawiony* możliwości złożenia dowodów swej niewinności.

Ale i z tych dowodów, które zostały przedstawione w czasie rozprawy, wystarczy, żeby dojść do wniosku, że Brodskij nie jest darmozjadem.

(Sąd udaje się na naradę. Przerwa).

ROZMOWY NA SALI SĄDOWEJ:

— Pisarze! Należałoby zniszczyć ich wszystkich!

— Inteligenci! Powłazili nam na kark!

— A cóż to inteligencja? Może nie pracuje? Także pracuje.

— Widzisz go! Cóż to, nie słyszałeś, jak ona pracuje?! Z cudzej pracy korzysta! Ja także mogę wziąć dosłowny przekład, zrobiony przez innego, i zacząć wiersze tłumaczyć!

— A czy wiecie, co to jest dosłowny przekład? Wiecie, jak wygląda praca na podstawie dosłownego przekładu?

— Ale, też mi pracownicy!

— A ja znam Brodskiego! To porządny chłop i dobry poeta.

— Antysowiecki element ten wasz Brodskij. Bo to nie słyszeliście, co oskarżyciel mówił?

— A co obrońca mówił, nie słyszeliście?

— Obrońca mówił, bo mu pieniądze zapłacili, a oskarżyciel mówił bezpłatnie. Znaczy, że rację miał oskarżyciel.

— Pewnie, obrońcy tylko na to patrzą, żeby jak najwięcej forsy otrzymać. Wszystko im jedno, co powiedzą, byle napchać portfelików do kieszeni.

— Bzdury opowiadacie!

— A tak, wyzywacie mnie! Zaraz zawołam drużynnika! Słyszeliście, jakie tu cytaty podawali?

— Brodskij to pisał bardzo dawno.

— To i co, że dawno?

— Jestem nauczycielem. Gdybym nie wierzył w możliwość poprawy poprzez wychowanie, to co ze mnie byłby za nauczyciel?

— Takich nauczycieli jak wy, nam nie potrzeba!

— Właśnie, posyłamy do nich nasze dzieci — i czego tylko ich uczą?

— Ale przecież Brodskiemu nie pozwolono nawet bronić się!

— Dosyć już! Nasłuchaliśmy się tego waszego Brodskiego!

— A wy co? Tak, wy, coście robili notatki! Po coście te notatki robili?

— Jestem dziennikarką. Pisuję na tematy wychowawcze i chcę napisać także o tej sprawie.

— A co tu pisać? Wszystko przecież jasne. Widać, do tej samej ferajny należy. Najlepiej byłoby odebrać wam te notatki!

— Spróbujcie.

— A co się wtedy stanie?

— Nic! Spróbujcie odebrać, to wtedy zobaczycie!

— Ach tak, grozicie mi?! Obywatelu z drużyny! Tu jedna się odgraża!

— Drużynnik to przecież nie policjant żeby zaraz łapać za byle słowo!

— Obywatelu z drużyny, tu was policjantem nazywają! Wysiedlić by was wszystkich z Leningradu, dowiedzielibyście się zaraz jak to smakuje, darmozjady!

— Ależ, towarzysze, co wy tu wygadujecie! Brodskiego uniewinni! Słyszeliście przecież co powiedziała adwokatka.



Sąd wraca na salę i SĘDZIA ogłasza wyrok:

Brodskij systematycznie nie wykonuje obowiązków każdego sowieckiego człowieka w dziedzinie wytwarzania materialnych wartości i osobistego zabezpieczenia, co wynika z faktu częstej zmiany pracy. W roku 1961-ym i w 1962-gim Brodskij był kolejno ostrzegany przez organy MGB i milicję. Obiecał przystąpić do stałej pracy, ale wniosków z tego nie wyciągnął, w dalszym ciągu nie pracował, pisał i czytał na zebraniach swoje dekadencje, rozkładowe wiersze. Z opinii wystawionej przez Komisję współpracy z młodymi pisarzami, widać, że Brodskij poetą nie jest. Czytelnicy gazety „Wieczorny Leningrad” potępilli postępowanie Brodzkiego. Toteż sąd uważa za wskazane zastosować Dekret z 4-go lutego 1961 roku i zesłać Brodzkiego do oddalonych miejscowości na pięć lat przymusowych robót.



DRUŻYNNICY, przechodząc koło obrońcy: No i co? Prze-
graliście sprawę, towarzyszeko adwokatko?

Z rosyjskiego przełożył Józef ŁOBODOWSKI



Josif Brodskij w chwili obecnej przebywa na robotach przymusowych w Okręgu Archangielskim. Stenogram procesu w licznych odpisach podawany jest z rąk do rąk. Tekst otrzymaliśmy bez wiedzy osoby, która notowała. REDAKCJA.

Trzydziesty piąty podpis pod protestem 34

Nie jest rzeczą powszechnie znaną, iż we wczesnym okresie swej pisarskiej działalności Marks poświęcił wiele wysiłku walce z cenzurą oraz obronie wolności prasy. Warto przypomnieć jego wypowiedzi o tych sprawach, gdyż zachowały nie przemijającą aktualność.

Wśród publikacji Marksa dwa artykuły, „Uwagi dotyczące nowej pruskiej instrukcji o cenzurze” oraz „Debaty nad wolnością prasy”, zajmują się w całości problemem swobody myśli i słowa (1). Pierwszy z nich był również pierwszą publicystyczną wypowiedzią Marksa. Napisany w 1842 roku, nie mógł ukazać się w Niemczech i został opublikowany dopiero w rok później w Szwajcarii, „na emigracji”, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, w zbiorze prac niedopuszczonych przez cenzurę niemiecką do druku pt. *Anekdota zur neuesten deutschen Philosophie und Publicistik*. Drugi z wymienionych artykułów był krytyczną oceną debaty nad wolnością prasy w Landtagu reńskim na wiosnę 1841 roku i ukazał się w *Rheinische Zeitung* w maju następnego roku. *Rheinische Zeitung* był organem reńskich liberałów znajdujących się w opozycji do pruskiego absolutyzmu. Marks współpracował z *Rheinische Zeitung* oraz przez kilka miesięcy był naczelnym redaktorem pisma. Władze pruskie oburzone niezależnością redaktorów, po dwuletnim istnieniu zakazały dalszego jego ukazywania się. *Pod tym względem* nie ma różnicy między autokratycznymi rządami XIX

(1) Karol Marks i Fryderyk Engels, *Dzieła*, T. 1, Warszawa, Książka i Wiedza, 1960. Poniżej ten tom dzieł zbiorowych Marksa i Engelsa będzie cytowany w skrócie jako *Dzieła*. Oprócz wyżej wymienionych publikacji „Artykuł wstępny w nrze 179 *Kölnische Zeitung*”, „Zakaz rozpowszechniania *Leipziger Allgemeine Zeitung*” oraz „Odpowiedź korespondenta znad Mozeli”, drukowane w *Rheinische Zeitung* (lipiec, 1842 — styczeń, 1843) zajmują się omawianymi problemami.

i XX wieku, między Berlinem Fryderyka Wilhelma IV i Warszawą Gomułki.

Wolna prasa jest duchowym zwierciadłem społeczeństwa

Marks pisał, iż cenzura, jak każda władza despotyczna, ujarzmia i zrównywa wszystkich obywateli, gdyż odbiera im ich ludzką wartość.

Iluzoryczne stają się wszystkie inne wolności, jeżeli nie ma wolności prasy. Każda forma wolności jest zależna od innych tak jak jeden organ ciała od drugiego... Jeżeli obala się jakąś formę wolności, obala się samą zasadę wolności i wolność może już być tylko życiem pozornym, jest wtedy bowiem rzeczą czystego przypadku, w jakiej dziedzinie niewola będzie niepodzielnie panowała. Niewola staje się regułą, a wolność jedynie wyjątkiem od reguły, dziełem przypadku i samowoli (2).

Twierdzi się, że cenzura jest niezbędna, gdyż zapobiega rozpowszechnianiu społecznie niebezpiecznych i moralnie zgubnych idei. Jeżeli taki cel przyświeca prewencyjnej cenzurze, obrany środek nie jest racjonalny, a skutek odwrotny od zamierzonego. W kraju, w którym istnieje cenzura, każda zakazana publikacja staje się wydarzeniem. „Nabiera znamion męczeństwa, a nie ma męczeństwa bez aureoli i wyznawców”. Ponadto, prewencyjna cenzura zakłada, iż jakaś jednostka może się wykazać „boską inspiracją”, to znaczy wszechwiedzą, w sprawach zła i dobra. Ale jeżeli jednostka chępi się tak niezwykłym darem, istnieją osoby zdolne wykazać bezpodstawność pretensji do nieomyślności, mianowicie psychiatrzy (3).

W sporze między obrońcami i ciemniznami wolności słowa i myśli chodzi w rzeczywistości o wybór różnych systemów wartości.

Liberalna opozycja jest wskaźnikiem poziomu zgromadzenia politycznego (4), tak jak opozycja w ogóle jest wskaźnikiem poziomu społeczeństwa. W czasach, w których podawanie w wątpliwość istnienia upiorów uchodzi za śmiałość filozoficzną, a protestowanie przeciw procesom czarownic — za niedorzeczność, w takich czasach upiory i procesy czarownic uznawane są za coś legalnego. Kraj, który jak starożytne Ateny uważa lizusów, darmozjadów, pochlebców za wyjątki sprzeczne z rozumem narodu, za narodowych błaznów — jest krajem niezależnym i suwerennym. Naród zaś, który jak wszystkie narody dobrych starych czasów tylko błaznom nadwornym przyznaje prawo myślenia i mówienia prawdy — taki naród może być tylko narodem zależnym

(2) *Dzieła*, str. 91.

(3) *Dzieła*, str. 61, 71.

(4) Marks miał na myśli ciała ustawodawcze lub debatujące jak reński Landtag, do którego te słowa się odnoszą.

i pozbawionym własnej osobowości... Liberalna opozycja wskazuje nam... do jakiego stopnia wolność ucieleśniła się w człowieku (5).

Marks zgadzał się ze zwolennikami cenzury, iż wolna prasa ma również wady, ale bez jej wad nie można korzystać z jej dobrodziejstw.

Wolna prasa — to zawsze czujne oko ducha narodu, ucieleśnienie zaufania narodu do siebie samego, wymowna więź łącząca jednostkę z państwem i ze światem, ucieleśniona kultura, która przeobraża walki materialne w walki duchowe i uszlachetnia ich surowy kształt cielesny. Jest absolutnie szczerą spowiedzią narodu przed sobą samym, a jak wiadomo, wyznanie ma moc wyzwalającą. Jest duchowym zwierciadłem, w którym naród widzi samego siebie, a poznanie samego siebie jest pierwszym krokiem do mądrości. Jest światłem ducha państwowości, zdolnym przenikać pod każdą strzechę, tańszym niż materialne światło gazowe. Wolna prasa jest wszechstronna, wszechobecna, wszechwiedząca. Jest ona światłem idei, które wciąż wyłania się ze świata rzeczywistego i wciąż wzbogacając się duchowo, ożywczym strumieniem znów do niego powraca (6).

Argumenty w obronie cenzury prasy

Obrońcy cenzury powołują się na to, iż cenzura narodziła się wraz z prasą. Z tego argumentu wynika jedynie wniosek, iż wolność prasy, z której korzystają czynniki ustanawiające cenzurę, też wymaga cenzury.

Cenzura — to urzędowa krytyka; jej normy są normami krytycznymi, tym bardziej więc nie mogą one być wyjęte spod krytyki, która jest tego samego co one rzędu (7).

Któż ma natomiast cenzurować, to znaczy krytykować prasę rządu — bo ten sens wyrażenia *cenzura* mają teraz jej obrońcy na myśli — jeżeli nie prasa narodu?

Argument, iż cenzura narodziła się wraz z prasą warty jest szeląga. Tyleż wart jest inny argument mianowicie, iż cenzura polega na poparciu prasy dobrej przeciw prasie złej. Te piękne słowa użyte są w brzydkiej sprawie, bronią samowoli i przywileju grupy rządzącej.

Cenzura nie likwiduje walki, czyni ją jednostronną, walkę otwartą przemienia w ukrytą, walkę zasad w walkę bezsilnej zasady przeciw wyzutej z zasad sile. Prawdziwą cenzurą, wpływającą z samej istoty wolności prasy, jest krytyka, jest ona sądem, który z siebie wyłania wolność prasy. Cenzura jest krytyką zmonopolizowaną przez rząd. Czyż jednak krytyka nie zatracą swego racjonalnego charakteru, jeśli nie jest jawna, lecz tajna, jeśli nie jest teoretyczna,

(5) *Dzieta*, str. 39.

(6) *Dzieta*, str. 72.

(7) *Dzieta*, str. 3.

lecz praktyczna, jeśli nie stoi ponad stronami, lecz sama jest stroną, jeśli analizuje nie ostrym skalpelem rozumu, lecz tępymi nożycami samowoli, jeśli chce tylko uprawiać krytykę, a nie chce jej podlegać, jeśli urzeczywistniając się wyrzeka się samej siebie, jeśli jest wreszcie tak dalece niekrytyczna, że bierze jednostkę za uniwersalny rozum, nakazy władzy — za nakazy rozumu, plamy atramentu — za plamy na słońcu, krzywe kreski cenzora — za konstrukcje matematyczne, a bicie — za niezbite argumenty? (8).

Wreszcie często się twierdzi, iż cenzura prasy nie ogranicza wolności słowa a tylko jej nadużycia. Stara to prawda, iż nikt nie zwalcza wolności a jedynie wolność innych, którzy jej nadużywają. „Dlatego też każdy rodzaj wolności istniał zawsze, z tą tylko różnicą, że w pewnych wypadkach istniał jako szczególny przywilej, a w innych jako powszechne prawo” (8a).

*Cenzura jest usankcjonowanym
bezprawiem grupy rządzącej*

Gdy inne argumenty za cenzurą prasy zawodzą, broni się jej jako obowiązującego prawa, którego należy przestrzegać, z szacunku dla własnego narodu, w obronie przed „plotkami pochodzącymi od ludzi złej woli albo źle poinformowanych” lub przed opiniami szkalującymi rzeczy święte i nietykalne. Ten argument opiera się na fałszywym pozorze. Ma on umocnić uczucia narodowe a czyni użytek z poglądu poniżającego naród.

Ci ludzie nie wierzą w ludzkość w ogóle, a kanonizują poszczególnych ludzi. Malują odstraszaające obrazy natury ludzkiej, a jednocześnie żądają, byśmy padali na kolana przed świętymi obrazami jednostek uprzywilejowanych. My wiemy, że poszczególna jednostka jest słaba, ale wiemy zarazem, że społeczeństwo jako całość jest silne (9).

Żąda się postępowania zgodnego z prawem i szacunku dla prawa, ale jednocześnie każe się nam szanować instytucje, które pozbawiają nas naszych praw i zamiast prawa stosują samowolę (10).

Obrona cenzury jako prawa społecznie ustanowionego jest nadużyciem tego pojęcia, gdyż cenzura jest usankcjonowanym bezprawiem, mierzącym świat podwójną miarą.

Prawo ścigające za przekonania nie jest prawem państwa dla obywateli, lecz prawem jednej strony przeciw drugiej. Prawo przeciw tendencji znosi równość obywateli wobec prawa. Jest to prawo, które dzieli, a nie jednoczy, a wszystkie prawa, które dzieli są reakcyjne. A zatem nie jest ono prawem, lecz przywilejem. Jednemu wolno robić to, czego drugiemu robić nie wolno, nie dlatego że brak mu jakiejś obiektywnej właściwości — jak na przykład

(8) *Dziela*, str. 65.

(8a) *Dziela*, str. 60.

(9) *Dziela*, str. 77.

(10) *Dziela*, str. 18.

dziecku do podpisywania umów — lecz dlatego, że podejrzane są jego myśli, jego przekonania. Państwo moralne wychodzi z założenia, że jego członkowie kierują się państwowym sposobem myślenia, nawet jeżeli są w opozycji wobec jakiegoś organu państwa, jeżeli są w opozycji wobec rządu; ale w społeczeństwie, w którym jeden organ mieni się jedynym, wyłącznym posiadaczem rozumu państwowego i moralności państwowej, rząd, który zajmuje pozycję zasadniczo przeciwną narodowi i dlatego uważa swój antypaństwowy sposób myślenia za powszechny, normalny sposób myślenia — nieczyste sumienia rządzącej koterii wynajdują prawa przeciw tendencji, prawa zemsty, prawa przeciw sposobowi myślenia, który w rzeczywistości właściwy jest tylko członkom rządu. Prawa wymierzone przeciw przekonaniom oparte są na braku przekonai, na niemoralnym, przyziemnym poglądzie o państwie. Są krzykiem, który mimo woli wyrwał się nieczystemu sumieniu. A jak wykonuje się prawo tego rodzaju? Za pomocą środka jeszcze bardziej oburzającego niż samo prawo, za pośrednictwem szpiegów, albo też przez uprzednie uzgodnienie, że całe kierunki literackie należy uważać za podejrzane” (11).

Prawo które nie zajmuje się działaniem a przekonaniem lub tendencją działającego jest niezgodne z istotą prawa. Jak Marks żartobliwie dodał, lepiej już strzyc brody urzędowo, jak to kazał czynić car swym kozakom, niż za kryterium, czy strzyc lub nie strzyc brody przyjąć motywy, które mnie skłoniły do jej noszenia.

Ustawa ścigająca za tendencję karze mnie nie tylko za to, co czynię, lecz za to co myślę, niezależnie od czynu. Jest więc obrazą honoru obywatela, jest ustawą skrycie wymierzoną przeciw memu istnieniu (12).

Absurdalność cenzury

Instytucja cenzury opiera się na przesłankach, jakie wystarczy sformułować, by okazać ich nedorzecznosc.

Wychodzie z założenia, że urzędnicy będą postępowali całkowicie bezstronnie, beznamietnie, bez nienawiści, ograniczonosci i innych słabości ludzkich. Ale to, co bezstronne, idee, wydaje się wam pełne osobistych intryg i subiektywnej nikczemności. Instrukcja żąda bezgranicznego zaufania do stanu urzędniczego, a jej punktem wyjścia jest bezgraniczna nieufność do stanu nie urzędników (13).

Założenie, iż można mianować państwowych funkcjonariuszy „nadzorcami serc, wszechwiedzącymi filozofami, teologami, politykami, stawiając ich na równi z Appolinem delfickim”, jest „zarozumiałym wyobrażeniem państwa policyjnego”, które nie do-
wierza społeczeństwu nawet w najprostszych sprawach, ale stoi na stanowisku, iż „dla urzędników nawet rzeczy niemożliwe mają być możliwe” (14).

(11) *Dziela*, str. 16-17.

(12) *Dziela*, str. 16.

(13) *Dziela*, str. 19.

(14) *Dziela*, str. 18, 28.

Marks analizował ten aspekt instytucji cenzury wnikliwie i dowcipnie oraz sugerował w konkluzji, iż założenia, na jakich cenzura się wspiera, są obelgą dla ludzkiej inteligencji. Jeśli cenzor ma wydawać sąd o publikacjach wszelkiego rodzaju, musi on być człowiekiem o niezwykłych kwalifikacjach.

Jeśli w Prusach żyje takie mnóstwo znanych rządowi uniwersalnych geniuszy — a każde miasto ma przynajmniej jednego cenzora — to dlaczego te encyklopedyczne umysły nie występują jako pisarze? Lepiej niż za pomocą cenzury można by położyć koniec zamętowi w prasie, gdyby ci urzędnicy, przepotęźni przez swą liczbę, jeszcze potężniejsi dzięki uczoności i geniuszowi, naraz wystąpili i przytłoczyli swoją wagą tych nędznych pisarzy, z których każdy działa tylko w jednej dziedzinie bez urzędowo uznanych kwalifikacji. Dlaczego milczą ci wypróbowani mężowie, którzy tak jak gęsi rzymskie mogliby gęganiami swym ocalić Kapitol? Są to ludzie nazbyt powściągliwi. Świat nauki ich nie zna, lecz zna ich rząd.

A jeżeli są to rzeczywiście tacy mężowie, jakich nie mogło znaleźć żadne państwo — bo żadne państwo nie znało całych klas składających się wyłącznie z uniwersalnych geniuszy i uczonych o encyklopedycznej wiedzy — to o ileż genialniejsi muszą być ci, którzy ich wybierają. Jakąż oni muszą posiadać wiedzę tajemną, by urzędnikom, którzy nie są znani w świecie nauki, móc wystawić świadectwo o ich uniwersalnych naukowych kwalifikacjach. Im wyżej wnosimy się po drabinie tej urzędowej inteligencji, tym wspanialsze napotykamy umysły. Czy państwu, które posiada takie filary doskonałej prasy, opłaci się robić z tych mężów strażników złej prasy, czy postępuje ono rozsądnie zniżając to, co doskonałe, do roli środka służącego temu, co niedoskonałe?

Ilu cenzorów angażujecie, tylu szans polepszenia pozbawiacie królestwo prasy. Zabieracie ze swej armii zdrowych, by robić z nich lekarzy dla chorych.

Tupnijcie tylko nogą jak Pompejusz, a z każdego gmachu rządowego wyskoczy Pallas Atena w zbroi. Wobec prasy urzędowej płytka prasa codzienna rozpadnie się w nicłość. Wystarczy, by pojawiło się światło, a pierzchają ciemności. Niech się świeci wasze światło, nie chowajcie go pod korcem (15).

O wewnętrznym cenzorze

Jak to ma często miejsce w polemicznych pismach Marksa, poza ironią i śmiesznością miażdżącą oponentów tętni głębokie i żywiołowe oburzenie w stosunku do ludzkiej niegodziwości. Cenzura jest nie tylko „policyjnym środkiem przeciw wolności” i usankcjonowanym bezprawiem, opartym na absurdalnych założeniach, które strzegą psychopatycznej zarozumiałości i ochraniają samowolę rządzących. Cenzura poniża ludzką i obywatelską godność pisarza.

Prawda jest powszechna, nie należy do mnie, lecz do wszystkich, ona rządzi mną, a nie ja nią. Moją własnością jest forma, forma jest moją indywidualnością duchową. *Le style c'est l'homme*. Więc jakże? Prawo pozwala

mi pisać, ale mam pisać stylem innym niż mój własny. Wolno mi pokazać moje oblicze duchowe, ale przedtem muszę mu nadać przepisowy wyraz. Jakież człowiek z honorem nie zaczerwieni się wobec tego osobliwego żądania i nie będzie wołał skryć głowy pod togą? Pod togą będzie można przynajmniej domyślać się głowy Jowisza (16).

Marks zdawał sobie jednak sprawę, iż nie każdy piszący jest lub może być Jowiszem. Marks przeczuwał pojawienie się warunków, w których pisarze mieć będą wewnętrznego cenzora, przekonywującego ich nieustannie, iż jedyną racjonalną i skuteczną rzeczą jest pisać dobrowolnie tak jak cenzor i władza oczekują.

Tę ideę znajdujemy w polemicznej książce Marksa *Święta rodzina*, w rozdziale poświęconym rozprawie z Bruno Bauerem, przywódcą grupy młodoheglistów, do której Marks sam kiedyś należał. Młodohegliści zawiedzeni obojętnością społeczeństwa w stosunku do swych liberalnych i postępowych idei we wczesnych latach czterdziestych ubiegłego wieku, powzięli uczucia nienawiści w stosunku do biernej „ludzkiej masy” i uznali w „krytycznej krytyce”, to znaczy w pretensjonalnej spekulacji i pojęciowej ekwilibryście, z jakich słynie niemiecki idealizm, jedyny motor historycznego postępu. Prowadziło to z kolei do oportunistu, cynizmu i postawy obojętności w stosunku do zła istniejącego. Jeśli rzeczywistość społeczna nie podąża za ideami, jak to mistrz Hegel obiecywał z katedry berlińskiego uniwersytetu, należy idee dostosowywać do rzeczywistości i w ten sposób osiągnąć jedność bytu i myśli. „Krytyczny krytyk”, stwierdzał Bruno Bauer, nie uczestniczy w cierpieniach i radościach społecznych. Pisał z patosem, oburzającym Marksa, iż „krytyczny krytyk” przebywa w „samotności i tylko niekiedy z ust jego rozlega się śmiech bogów olimpijskich z przewrotności świata”.

Tych kilka słów wyjaśnienia jest niezbędne dla zrozumienia wyводу Marksa oskarżającego Bruno Bauera, iż pisał z podszeptu wewnętrznego cenzora i działał na szkodę rozszerzenia zakresu wolności w Niemczech, gdzie Bauer — w przeciwieństwie do Marksa — nadal przebywał. Zamiast posługiwać się myślą krytyczną, by zwalczać zło społeczne, Bauer użył jej by uzasadnić „przedustawną harmonię krytyki krytycznej i cenzury”.

Z punktu widzenia krytyki walka pisarza z cenzurą nie jest walką człowieka z człowiekiem. Cenzor to właściwie tylko mój własny takt upersonifikowany dla mnie przez troskliwą policję, to mój własny takt, który toczy walkę z moim brakiem taktu i krytycyzmu. Walka pisarza z cenzorem jest tylko pozornie, tylko dla naszych złych zmysłów czymś innym niż wewnętrzną walką pisarza z sobą samym. Cenzor, jako indywiduum ode mnie rzeczywistość odrębne, jako zbiór policyjny, który źle się obchodzi z produktem mego ducha, ponieważ stosuje doń kryteria zewnętrzne, obce samej sprawie — ten

cenzor to czysty wymysł masy, to tylko niekrytyczna chimera. Jeśli z powodu cenzury nie mogły w Niemczech ukazać się Feuerbacha *Tezy o reformie filozofii*, to winę za to ponosi nie oficjalne barbarzyństwo cenzury, ale brak kultury feuerbachowskich tez. Dla czystej krytyki nie zmaćconej ni masą ni materią również cenzor jest postacią czysto eteryczną, oderwaną od wszelkiej masowej rzeczywistości (17).

Marks a terażniejszość

Po opuszczeniu Niemiec, w okresie działalności na emigracji, Marks do problemu cenzury i wolności prasy nie powrócił. Nie ma jednak podstaw do przypuszczeń, by poglądy swe zmienił. Marks cytuje gdzieś słowa Tacyty, iż rzadkie i wyjątkowo szczęśliwe to czasy, kiedy wolno myśleć co się chce i mówić co się myśli. Chociaż był przekonany, iż jedynym radykalnym uzdrowieniem cenzury byłoby jej zniesienie, gdyż jest to zła instytucja, złe instytucje nie znikają ponieważ są za złe uznane. Ale nawet ci, którzy dla własnego interesu twierdzą, że cenzura jest koniecznością, winni zgodzić się z poglądem, iż złagodzenie i liberalizacja cenzury są jeszcze bardziej konieczne. Marks mówił o tych, którzy wydają wyrok potępiający na wolność prasy, iż wydają wyrok na samych siebie. „Prasa cenzurowana jest pozbawionym kręgosłupa upiorem niewoli, cywilizowanym potworem, uperfumowanym pokraką” (18).

Marks walczyłby przeciw władcom, którzy głoszą i praktykują ideologię samowolnych ograniczeń słowa i myśli, niezależnie od tego, czy władcy ci są synami królewskimi, czy też synami ludu. Nie znalazłby usprawiedliwienia dla tych intelektualistów, którzy depcą jego ideały i udzielają poparcia ciemniejszym swobody myślenia i publikacji. „Pisarz musi oczywiście zarabiać, aby móc istnieć i pisać, ale w żadnym razie nie powinien istnieć i pisać po to, aby zarabiać... poeta przestaje być poetą, gdy poezja staje się dla niego środkiem” (19). Można wprowadzić prasę i literaturę traktować jako rzemiosło, ale wówczas są one sprawą drukarzy i księgarzy, a nie pisarzy i publicystów.

Dla pisarza praca jego bynajmniej nie jest środkiem. Jest ona celem sama w sobie; tak dalece nie jest środkiem dla niego samego i dla innych,

(17) *Święta rodzina*, Warszawa, Książka i Wiedza, 1957, str. 102. Tymczasowe tezy o reformie filozofii Feuerbacha nie przeszły przez ucho igielne cenzora i ukazały się w drugim tomie wspomnianego wyżej zbioru artykułów nie dopuszczonych do druku w Niemczech *Anekdoty zur neuesten deutschen Philosophie und Publicistik*, który opublikowany został w Szwajcarii w 1843 roku.

(18) *Dziela*, str. 64.

(19) *Dziela*, str. 84.

że dla jej istnienia, jeśli trzeba, pisarz poświęca własne istnienie i tak jak głosiciel religii, choć na inny sposób, wyznaje zasadę: „Służyć Bogu bardziej niż ludziom”, do których to ludzi należy on sam ze swymi ludzkimi potrzebami i dążeniami (20).

Trudno wnosić pretensję do tytułu obrońcy intelektu i intelektualnych swobód, gdy się jednocześnie głosi, że „prasa stoczy się momentalnie do rynsztoka, jeśli dwóch policjantów nie chwyci jej pod ramiona”, gdy wierzy się w „rozum oficjalny”, w naukowe lub literackie natchnienie cenzury (21). Podzielając pogląd o wyższości wiedzy urzędowej nad wiedzą zdobytą przez wzajemną krytykę rządzonych i rządzących na prawach obywatelskiej równości, intelektualista staje na stanowisku hinduskiego braminy, który dowodzi świętości ksiąg Wedy rezerwując dla wybranych wyłączne prawo ich czytania i komentowania.

Zestawił: Zbigniew A. JORDAN

(20) *Dziela*, str. 84.

(21) *Dziela*, str. 107-108, 228-29.

✓

TRAF W SEDNO!

**SZYBKIM PRZEKAZEM
PIENIĘŻNYM DO POLSKI**

TAZAB 22, ROLAND GARDENS • LONDON S.W.7

TEL. FR - 3175



O cyganach i katastrofistach (I)

Wspólny pokój przy ulicy Dobrej w Warszawie zrobił nie byle jaką karierę. Kiedy przed kilkunastu laty zamieściłem w „Wiadomościach” krótkie o nim wspomnienie, anim się mógł spodziewać, że z biegiem czasu potoczy się prawdziwa lawina przyczynków, artykułów, ba, książek, częściowo lub w całości poświęconych pokojowi, wynajętemu pewnego majowego popołudnia 1934 roku przez trzech młodych literatów. Byli to — Bronisław Ludwik Michalski, Stanisław Piętaś i Józef Łobodowski. Wkrótce dołączył Henryk Domiński. Z tej czwórki tylko ja jeden pozostałem przy życiu.

Prawda, zjawił się również Wacław Mrozowski, ale tego nie biorę pod uwagę, gdyż nigdy nie był pełnoprawnym lokatorem, „waletował” jedynie przez jakiś czas. Najważniejsze, że nie brano go na serio, tolerowano zaledwie, kręcił się na literackim i przyjacielskim marginesie i do prawdziwej konfidencji nie był dopuszczany. Przysłowiowe piąte koło u wozu.

W kraju weszło już w zwyczaj pisać o mieszkańcach „wspólnego pokoju” i najbliższych im rówieśnikach jako o poetach z „kręgu Czechowicza”. Tak właśnie końcową i najdłuższą część swoich „Ballad przed burzą” nazwał Wiesław Szymański. Sądzę, że to nieporozumienie. Oczywiście, wpływ Czechowicza był niewątpliwy — na jednych trwały, na innych przelotny. Ale ważnych kręgów poetyckich było więcej, stykały się ze sobą, zachodziły jeden na drugi i rzadko kiedy wykluczały się nawzajem.

Bliskie stosunki osobiste z autorem „Dnia jak codzień” nie zawsze były równoznaczne z bezkrytycznym poddaniem się jego wpływowi. Satelitów mu nie brakowało, co nie znaczy, że stał się planetą dla wszystkich. Michalski np. skrytykował się poetycko, zanim poznał Czechowicza i jego poezję. Piętaś zawdzię-

cza mu to i owo, zgoda, tym niemniej szedł od początku własną drogą i, niezależnie od tego, jak jego lirykę ocenimy, stanowił swój własny krąg, mocno zindywidualizowany i samowystarczalny.

Czy warto raz jeszcze pisać o „wspólnym pokoju” na Dobrej i o tym prawdziwym, czy wyimaginowanym „kręgu czechowiczowskim”? Chyba tak, gdyż dokoła tej sprawy narosło zbyt wiele legend i fałszywych interpretacji. Z tym jednak, że przy okazji warto tematykę rozszerzyć, obejmując możliwie największy wachlarz nazwisk i zjawisk. Dzieje „wspólnego pokoju”, owszem, ale na tle tego, co działo się w młodej poezji w Warszawie i poza Warszawą. A działo się w owych latach sporo rzeczy interesujących i to nie tylko dla historyka literatury — również dla socjologa.

Preliminaria lubelskie

Poetyckie początki Czechowicza łączą się ściśle z Lublinem. Był najmłodszym członkiem grupy „Reflektor”. Zapowiadało się bardzo ciekawie i skończyło krótkotrwałym fajerwerkiem. Po Grędzińskim i Bielskim została garść niezłych, a nawet tęgich wierszy — bez dalszego ciągu. Tylko jeden Czechowicz poszedł dalej i stanął w pierwszym szeregu poetów dwudziestolecia.

Na początku lat trzydziestych wydawało się, że Lublin zdobędzie się na własny ośrodek literacki z widokami na trwałość i kontynuację. Wychodzący przez czas jakiś „Kurier Lubelski”, początkowo właśnie pod redakcją Czechowicza, poświęcał bardzo wiele miejsca sprawom literackim, coraz to urządzano wieczory autorskie, w samym Lublinie i w sąsiednich miastach powiatowych: Chełm, Krasnystaw, Lubartów — coraz to ukazywały się efemerydy periodyków, jak „Trybuna”, „Barykady”, „Dźwiękary”.

To wtedy Czechowicz „odkrył” Michalskiego. Bronek drukował już to i owo w dodatkach literackich prowincjonalnych pism, nie miał jednak jeszcze debiutu książkowego, nie bardzo wierzył we własne siły, zachowywał się nad wyraz skromnie. Na którymś z posiedzeń „Łoży Wielkiego Uśmiechu”, która akurat wtedy powstała i zbierała się w cukierni Semadeniego, na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Staszica, Czechowicz zjawił się w towarzystwie wybitnie przystojnego bruneta o rozwichrzanej, kędzierzawej czuprynie i melancholijnym spojrzeniu. Zmusił go do przeczytania kilku wierszy, po czym wstał i zwrócił się uroczysto do zebranych: „Panowie, czy po tym, cośmy usłyszeli, mogę oświadczyć: *Ecce poeta?!'*”. Od tego popołudnia Michalski stał się nieodłącznym towarzyszem naszych zebrań.

O Henryku Domińskim nikt z nas wtedy jeszcze nie słyszał. Dopiero w jesieni 1932 roku zjawił się w redakcji „Kuriera Lubelskiego” chudy i długonosy, niemal przezroczysty od niedojadania młodzieniec i wręczył mi wiersz, prosząc o przejrzenie: „Jeżeli pan uzna, że nadaje się do druku...”. Uznałem, że po paru poprawkach nadaje się, i wydrukowałem. Chyba to był jego debiut, a nie w „ABC”, jak podaje Szymański. Domiński pisał wiersze jakby „na siłę”, w każdym razie bardzo rzadko, długo je w sobie nosząc i poddając wielokrotnym poprawkom. Męczył się w niepewności, czytał gorące jeszcze teksty kolegom, radził się... Z lubelskiej paczki był bodaj najbardziej „czechowiczowski”. Niektórzy mawiali żartem, że wiersze pisze z ambicji, bo uparł się, że także potrafi. Myślę, że był lirykiem wtórnym, bez wyraźnej indywidualności; gdyby nie zginął tak młodo — dwadzieścia osiem lat! — miałyby zapewne poważne szanse w prozie i krytyce literackiej.

Wszystkie publikacje o „wspólnym pokoju” i Czechowiczu, że wymienię wspomnianą już końcową partię „Ballad przed burzą” Wiesława Szymańskiego. „Portrety i zapiski” Stanisława Piętaka, „Cyganerie” Wacława Mrozowskiego, także esej o Czechowiczu Czesława Miłosza z tomu „Kontynenty”, grzeszą brakiem uwzględnienia okresu 1930-1934, lubelskich preliminariów przed przeniesieniem się do Warszawy. Czechowicz w tych latach porastał w pióra literackie a następnie finansowe; dla Michalskiego i dla mnie był to czas zdobywania ostróg poetyckich, dla Domińskiego — wczesnego terminowania. Władysław Podstawka, syn chłopca z pobliskich Jakubowic Końskich, świeżo upieczony maturzysta, trzymał się na razie na uboczu, miał doszłusować nieco później, chociaż aż do końca pozostał wolnym strzelcem, zjawiającym się nieczęsto i w najmniej spodziewanych chwilach.

Co nas wszystkich łączyło w dość sennym, mimo uniwersytetu i licznych instytucji kulturalnych, środowisku prowincjonalnym? Czy tylko bezpośrednie sąsiedztwo? Żeby zapukać do okna pokoju Czechowicza, wystarczyło skrócić ze Staszica na Radziwiłłowską, skąd do redakcji „Kuriera” było sto kroków, do Sema-deniego — trzysta. Obijaliśmy się o siebie na każdym kroku, jakże więc nie miało dojść do zbliżenia.

Ale nie tylko to. Ambicje osobiste ludzi o tak bardzo odmiennych indywidualnościach znajdowały wspólny mianownik w zamiłowaniach regionalnych, w sentymencie do miasta urodzenia, czy chociażby tylko zamieszkania. To dlatego Lubelski Związek Pisarzy, powstały po długim i skomplikowanym porodzie, nie miał nic wspólnego z centralnym Związkiem Zawodowym, był niezależną, regionalną organizacją. Gdyby nie wyjazd na stałe naj-

wybitniejszych jego członków, miałby wiele w Lublinie do zdziałania. Niestety, stary gród trybunalski nie dawał możności utrzymania się z pióra, Warszawa była nadal swoistą pompą, która żarłocznie wysysała prowincję. Nie tylko lubliniacy, również wybitni wilnianie (Miłosz, Zagórski) ulegli zachłanności stolicy.

Emigranci nie zrywali jednak kontaktu ze Związkiem. W rok po wyjeździe Czechowicza ukazał się zbiór wierszy o Lublinie, pt. „Stare kamienie” — owoc współpracy poetyckiej z seniorką pisarzy tego miasta, Franciszką Arnsztajnową. Zwoływano się od czasu na wspólne wieczory autorskie, dawna współpraca przypomniawszy się na łamach „Antologii poetów lubelskich”, zredagowanej przez znanego bibliofila i historyka, księdza Ludwika Zalesskiego, który akceptował i lubił tytuł proboszcza parafii poetyckiej, „bez rządu dusz”, jak sam skwapliwie podkreślał.

Wspomniany już Podstawka i przybyły z Chełma Zdzisław Popowski reprezentowali młodsze pokolenie. Na uniwersytecie powstała grupa poetycka o dużych pretensjach, lecz niewielkich możliwościach. Związana z młodzieżą narodową i z jedną z wielce nobliwych korporacji, boczyła się wyraźnie na Związek. Tylko jeden z nich, Jerzy Szczepowski, był autentycznym poetą w stadium fermentu i poszukiwania. Była to interesująca zapowiedź wkrótce przecięta kulą sowieckiego mordercy w lasu katyńskim. Niewiele młodszy od niego Jerzy Pleśniarowicz, kijowianin z pochodzenia, przeniósł się zaraz po maturze do Warszawy na studia. Wojnę przeżył, ale do liryki, zdaje się, już nie powrócił.

„Łoża Wielkiego Uśmiechu”, zbierająca się niemal codziennie przy marmurowych stolikach u Semadeniego, a w niedzielę u Rutkowskiego, nie składała się z samych poetów. Początkujący artysta-malarz, kandydat na rzeźbiarza, aktor z powołania, który nigdy na scenę zawodową nie wszedł — mieli obok nas pełnoprawne miejsce i głos. Nie brakowało kibiców, w dość kapryśnym i często zmieniającym się składzie. Rodziły się przyjaźnie — niektóre z nich miały przetrwać długo.

Jedna z legend głosi, że wszyscy z „kręgu czechowiczowskiego” byli przyjaciółmi autora „W błyskawicy”. To nieprawda, naturalnie, jeśli brać słowo „przyjaciół” na serio. W owych lubelskich latach byłem bardzo blisko Czechowicza, a jednak nie zamierzam twierdzić, że istniała między nami kiedykolwiek prawdziwa przyjaźń. Po prostu pasowaliśmy do siebie jak pięść do nosa, a nie jest to zbyt dobre sąsiedztwo.

Czechowicz nie był w pożyciu człowiekiem łatwym. Wbrew łagodnym pozorom odznaczał się wielką apodyktycznością. Ułożył wierszem żartobliwą listę członków loży i o sobie napisał: „Dusze chce łowić Józef Czechowicz”. Tego rodzaju łowcy każdą schwytaną duszę chcą prowadzić na smyczy, choćby nawet jedwab-

nej, ale na smyczy. Byłem wtedy szczeniakiem krnąbrnym i o zbyt zjeżonym karku, aby taka operacja mogła się udać. Z zarzucania sieci łowca szybko zrezygnował.

Do moich przygód i awantur politycznych ustosunkował się z ironiczną wyrozumiałością. Wróżył mi, że „zabawa w marksizm musi kiedyś skończyć się”, bo jedno z dwojga: albo komunizm, albo poezja. Po tylu latach przyznać muszę, że w przeciwieństwie do sądów lubelskich, Wydział Bezpieczeństwa traktował mnie wówczas bardzo przyzwoicie; wyrozumiałość wpływała z nadziei, że z czasem zmienię, lub przynajmniej złagodzę poglądy polityczne. Tacy jak Czechowicz, urabiając opinię w odpowiednim kierunku, przyczyniali się do podtrzymania tej wyczekującej postawy. Stąd, jako syn marnotrawny, z potępieniem którego zwleka się do ostatniej chwili, mogłem sobie pozwolić na bardzo wiele rzeczy. Bolesław Piach — będzie o nim mowa w dalszym ciągu — kładł ręce na głowie i mówił, na pół przerażony, na pół zachwycony: „Gdybym napisał połowę tego, co ty, to by mnie zakopali dwa kilometry pod ziemią”.

W swojej paszkwilanckiej „Cyganerii”, wydanej w Lublinie w 1963 roku, Wacław Mrozowski, ów „walet”, tolerowany przez nas z litości na Dobrej, napisał, że, gdy zerwałem z komunizmem, „nawet Czechowicz nie umiał sobie wytłumaczyć postępowania Łobodowskiego”. Doskonale „umiał” i cieszył się, przypisując sobie jakąś część zasługi, że tak się stało. Uważał zawsze, że mój skrajny radykalizm hamuje rozwój poetycki i podawał inne, analogiczne przykłady takiegoż zahamowania: u Lucjana Szenwalda, u Elżbiety Szemplińskiej, a po wyjściu „Trudnego życiorysu” także u Mariana Czuchnowskiego, którego kilka lat wcześniej, w okresie „Poranku goryczy” i „Kobiet i koni”, witał radośnie jako „polskiego Rimbauda”.

Lubelska gromadka poetycka rozleciała się w roku 1933. Czechowicz otrzymał doskonałą posadę w Centrali Wydawniczej Związku Nauczycieli, Michalski wyjechał szukać szczęścia do Krakowa, ja otrzymałem wezwanie do podchorążówki przy 44 pułku Strzelców Kresowych w Równem. W rok później spotkaliśmy się wszyscy w Warszawie. Otworzył się krótki, ale doniosły w wydarzenia rozdział pod tytułem „wspólny pokój na Dobrej”.

Miedzy Dobrą i Smulikowskiego

Z więzienia wojskowego zwolniono mnie w końcu marca, święta wielkanocne 1934 roku spędziłem w Lublinie, po paru tygodniach wyjechałem do Warszawy. Szybko porozumiałem się z Michalskim, któremu w Krakowie nie udało się zapuścić korze-

ni, i z poznanym właśnie Piętakiem. „Wynajmiemy duży pokój na trzech, będziemy pracować i wspomagać się nawzajem. Na kupie zawsze łatwiej”. Pokój odpowiednio rozległy, z balkonem na ulicę, znalazł się na Powiślu, przy Dobrej, między Tamką i Solcem. W ostatnich latach pisano w kraju o tym „wspólnym pokoju” bardzo dużo, bodaj że o wiele za dużo i przeważnie bardzo niedokładnie, a niekiedy powierzchniowo i kłamliwie, w czym brylował, oczywiście, Mrozowski.

Pamięć ludzka jest zawodna. Nie można jej zaufać całkowicie. Na początku marca 1934 odbył się w Warszawie wielki wieczór poetycki, nazwany bojowo „Najazdem awangardy”. Organizował go tygodnik młodo-legionowy, „Państwo Pracy”, pod protektorem Kadena-Bandrowskiego. We wszystkich bez wyjątku wspomnieniach, także w pierwszym tomie „Pół wieku” Putramenta, czytam o moim osobistym w tym wieczorze udziale. Wszyscy są zgodni w powtarzaniu tej pomyłki. W „najeździe” udziału nie brałem i brać nie mogłem, bo dwa dni przedtem zostałem aresztowany w Równem i osadzony w wojskowym więzieniu w Lublinie, mieszczącym się podówczas w gmachu pokarmelickim przy kościele świętego Józefa. Tyle, że ktoś przeczytał parę moich wierszy. A wydawało się, że skoro wszyscy zanotowali moją obecność, to muszą mieć rację.

Niektóre minione fragmenty występują z oddalenia wyraziście, jak gdyby działy się wczoraj: inne — zamglone, zamazane w mroku. Odległość w czasie nie zawsze decyduje, pamięć rządzi się własnymi, jakże kapryśnymi prawami. W jednych wypadkach zawodzi całkowicie, kiedy indziej przekazuje przeszłość z fotograficzną wiernością. Trzeba więc być bardzo ostrożnym i ograniczać kategoryczność wypowiedzi do wydarzeń niewątpliwie dokładnie zapamiętanych.

Przytoczę dwa jaskrawe przykłady. Wspominając pierwsze zetknięcie się z Michalskim, Stanisław Piętaś w swoich „Portretach i zapiskach” opisuje go w następujący sposób: „Wzrostu był średniego, proporcjonalnie zbudowany, głowę miał piękną, czarnowłosą, może tylko trochę za dużą do szczupłego, jeszcze w zarysie chłopięcego korpusu...”. Michalskiego znałem dawniej i dłużej niż Piętaś. Niejednokrotnie kąpaliśmy się razem, czy to w lubelskiej Bystrzycy, czy w Wiśle, Broniek miał mocny, atletycznie zbudowany tors, nic „szczupłego”, nic „chłopięcego”. Drugi przykład: w opisie rozmowy z siostrami Michalskiego, gdy przyjechały na pogrzeb brata, Piętaś powiada, że obydwie były „prezencjonalnie uszmińkowane”, zaś młodsza miała „ufryzowane, popielate włosy”. Młodszą siostrę Bronka widywałem po kilka razy w tygodniu, mieszkała na Konopnickiej, a ja na rogu Szopena i Solnej; kto zna Lublin, wie, że częste spotkania na ulicy były nie-

uniknione. Nie miała popielatych włosów, przeciwnie — była silną brunetką. Nie szminkowała się nigdy, studentki w Polsce przedwojennej nie miały zwyczaju malowania się, tym bardziej studentki Katolickiego Uniwersytetu. Czyżby uszminkowała się i to „pretensjonalnie” na pogrzeb własnego brata? Nie posądzam Pięta o celowe przekręcanie, po prostu osoba widziana raz jeden tylko w życiu, skojarzyła mu się po latach z kim innym. Oto dowód, jak bardzo trzeba być ostrożnym i nadto nie ufać zawsze zawodnej pamięci.

Sprowadziliśmy się na Dobrą w pierwszych dniach maja, przykładnie zapłaciwszy za miesiąc z góry. Komorne wynosiło 60 złotych, po dwadzieścia od łebka, z tym że mieliśmy prawo korzystać z prymusa i niejakich posług gospodyni, Rozalii Sawickiej, która w opinii komentatorów i wspominkarzy była stręczycielką i lichwiarką, albo znów awansuje do roli „dobrego ducha” niesfornych lokatorów. Ani jedno ani drugie. Stary Tartuffe w spódnicy, z rączkami nabożnie złożonymi na brzuchu, dość głupia i nieco rozwydrzona baba, nie stroniąca od nikłych uciech, jakich mogła jeszcze skąpo zaznać od życia, lubiła nas po swojemu, a najbardziej Bronka Michalskiego, nacierpiała się też z naszej przyczyny niemało. Niekiedy próbowała zarywać, ale bez powodzenia, przeciwnie, sama padała ofiarą stałych zapewnień: „Niech Różia zaczeka do następnej wypłaty...”. Bała się tylko mnie, a zresztą tylko ja płaciłem regularnie, bo zarabiałem znacznie więcej niż reszta.

Z niektórych wspomnień czytelnik może odnieść wrażenie, że prawie cały czas mieszkańców „wspólnego pokoju” pochłaniały libacje alkoholowe. Po literackiej Warszawie krążyły wersje, jakoby zakasowaliśmy nawet „wspólny pokój” nr 1, uwieczniony w słynnej i osławionej powieści Zbigniewa Uniłowskiego. Ano co tam gadać, od kieliszka wódki nikt z nas nie stronił, ani przedtem w Lublinie, ani potem na Dobrej, z wyjątkiem jednego Czechowicza, który rzadko tylko, od wielkiego dzwonu, przekraczał granicę dwóch-trzech kolejek. W okresie „Reflektora” również nie pijał, jeśli wierzyć świadkom, choć były to lata — dla mnie jeszcze sztubackie — stojące pod znakiem „Ody” Konrada Bielskiego. Znana była w Lublinie szeroko i w wiele lat później.

*W Paryżu Wezuwiusze szampa tryskają w górę,
na Ukrainie piją spirytus i politurę,
po dwóch butelkach Murzyn jest przyjacielem Anglika...
Jeden jest duch alkoholu od zwrotnika do zwrotnika.*

O, najpiękniejsza z chorób, biała gorączko!

„Ode” wydrukowałem jeszcze w roku 1932 w pierwszym numerze lubelskiego miesięcznika „Barykady”. Znalazła się w towarzystwie wiersza Stanisława Grędzińskiego o romansie diabła z urodziwą dziewczyną, oraz „Erosa i Psyche” Czechowicza. Na domiar złego dałem na wkładkę litografię Witolda Chomicza (dziś profesor w Krakowie), przedstawiającą kościół Bernardynów. Tkwiła w tym zarówno chęć zbicia z pantałyku pana cenzora, jak i prowokacyjna przekora w stosunku do miejscowych marksistów, oskarżających mnie o brak „wykrystalizowania”, bo poza tym treść numeru była skrajnie lewicowa. Cenzura dała się zwodzić przez krótki czas, następne numery „Barykad” uległy konfiskacie (za jeden dostałem rok, za drugi dwa lata, zawieszone w apelacji); ortodoksi zaś odezwali się w jednodniówce, ostro zmywając mi głowę. „Eros i Psyche? — dziwił się anonimowy, choć znany mi dobrze autor — I cóż ta para ma do roboty na barykadach?”.

Relacje z naszego alkoholizmu były jednak mocno przesadzone. Michalski wpadł w nałóg, który po roku doprowadził go do samobójczej śmierci, w końcowym stadium istnienia „wspólnego pokoju”, gdy ja bywałem w nim tylko rzadkim gościem. Na codzienne pijaństwo nie starczyłoby zresztą pieniędzy. Zupełne banialuki opowiada na ten temat Mrozowski w „Cyganerii”. Ciekawe, że z trzech wymienionych powyżej książek: Mrozowskiego, Piętaka, Szymańskiego — najuczciwsza, choć miejscami bardzo nieścisła jest książka właśnie Szymańskiego, które informacje czerpał z drugiej, lub trzeciej ręki, zaś z większością mieszkańców Powiśla w ogóle się nie zetknął, bo już nie żyli.

„Pamiętnik Mrozowskiego — pisze w posłowie do „Cyganerii” jej lubelski wydawca — należy traktować jako literacki dokument epoki, pewnego rodzaju „spowiedź dziecięcia wieku” i zbeletryzowaną kronikę mieszkania przy Dobrej 9. Autor prostuje i wyjaśnia wiele fałszywych sądów i faktów, związanych z historią „wspólnego pokoju”, jego mieszkańcami i gośćmi”. Wydawca informuje ponadto, że książka „ze względu na obfitość materiału, kompozycję i inne względy, została poważnie zredukowana i czytelnik otrzymuje właściwie pewną część wspomnień autora”. Po przeczytaniu „Cyganerii” nie trudno zdać sobie sprawę co by to było, gdyby nie dobroczynny ołówek wydawcy.

Na dwa lata przed swoją tragiczną śmiercią Stanisław Piętał wyrwał się na krótką eskapadę do Paryża. Przysłał mi stamtąd dwa ostatnie tomiki wierszy i długi, serdeczny list, wspominający dawne czasy. „Mrozowski — pisał między innymi — przygotowuje dużą rzecz o nas wszystkich. Dał mi do przejrzania — czego on tam nie ponawypisywał, zwłaszcza o tobie! Starałem się to i owo skorygować, ale to beznadziejna robota”.

Według Mrozowskiego, na Dobrej piło się właściwie co dzień. I to jak! — nie jakąś tam zwykłą wódkę — z reguły wódki gatunkowe. „Wyjął z kieszeni pół litra cytrynowki” (str. 57). „Napijemy się, co? Mam tu jakiś spirytusik!” (str. 61), „nalewałem jakąś słodką wódkę” (str. 75), „wróciłem niebawem z żytniówką” (str. 68). I tak stale. A francuskiego koniaczku i szampana nie było? Oczywiście bzdury! Piło się czystą wyborową, a jeżeli z pieniędzmi było bardzo źle, Rozalia przynosiła butelkę z „granatową kartką”. Bronek Michalski zaczął z czasem, gdy już zjawiały się pierwsze groźne oznaki delirium tremens, upijać się spirytusem, było to jednak znacznie później. Oczywiście, nie ma większego znaczenia, czy piliśmy zwykłą wódkę, czy żytniówkę, ale różnica ta świadczy jak bardzo Mrozowski fantazjuje i mija się z prawdą nawet w drobnych, obyczajowych szczegółach.

Gdyby pijaństwa były tak regularne, jak to z wielu relacji wynika, kiedyż byśmy mieli czas na pracę? A przecież owego lata Piętaś wykończył do druku swój pierwszy tom, „Alfabet oczu”, zmuśnię szlifując wiersze w ostatecznej redakcji, sporo czytał, powstawały pierwsze fragmenty z „Legend dnia i nocy”, próby prozy, z których później wykuła się „Młodość Jasia Kunefala”. Usilnie pracował nad sobą Domiński. Gdy go poznałem w jesieni 1932, był to niedokształcony zółtodziób, chciwy wiedzy i życia, pod pozorami skromności kryjący duże ambicje. Zdawał sobie sprawę z olbrzymich braków i nadrabiał je szybko, może w chaotyczny, źle zorganizowany sposób, ale z konsekwentnym uporem. Już w rok po śmierci Bronka i zlikwidowaniu wspólnego pokoju, na łamach „Kuriera Porannego” zaczęły ukazywać się jego recenzje literackie, coraz lepsze i o coraz solidniejszym podkładzie niewątpliwej erudycji. Tego zaimprovizować nie można. A więc wódkę zagryzał nie tylko serdelkami i jajecznicą, ale również lekturą książek, których obecność dawała się odczuć z każdym rokiem. Było tych książek więcej niż butelek.

Co do mnie... Co raz to wypadałem do Lublina, skąd robiłem piesze wycieczki do Krasnystawu, Zamościa, Chełma... Uprawiałem sport — intensywnie, choć niesystematycznie. W jesieni założyłem miesięcznik „Dźwigary”, co kosztowało mnie sporo pracy i jeszcze więcej wysiłku finansowego, który znowu był wynikiem pracy zarobkowej. Wkrótce zacząłem brać żywy udział w działalności Związku Pisarzy Lubelskich i przez jakiś czas byłem jego prezesem. Przygotowałem i wydałem tom wierszy „Rozmowa z ojczyzną”, oraz przekłady z rosyjskiego „U przyjaciół”. Do tego dochodziły prace i zajęcia bardziej osobistego charakteru. To wszystko w ciągu niespełna roku. A tu z niegdysiejszych wspomnień okazuje się, że chodziłem bez przerwy pijany!

Z Michalskim było gorzej, ale to osobny temat. Natomiast Mrozowski istotnie wałkonął się i cała jego działalność literacka w ciągu sześciu lat (1934-1939) ograniczyła się do jednego szczupłego tomiku wierszy pt. „Dobranoc... dobranoc...”. Zajmował się innymi sprawami, raczej oddalonymi od zainteresowań pisarskich. Pamiętam, że gdy Domińskiego ktoś zagadnął o przybysza z Chełma, odpowiedź brzmiała zazwyczaj następująco: „Dobranoc, dobranoc, dowidzenia, znam inne tematy...”.

Swego rodzaju opiekunem gromadki z Dobrej stał się od pierwszej chwili Józef Czechowicz. Ze Smulikowskiego, gdzie w gmachu Związku Nauczycieli miał swoje mieszkanie (1), było do nas dosłownie sto kroków. Nie ma racji ani Jan Śpiewak, który napisał że „do wspólnego pokoju Czechowicz nigdy prawie nie zaglądał”, ani Roman Rosiak, gdy twierdzi, iż „był on niemal codziennym gościem”. Ani jedno ani drugie. Po prostu zaglądał dość często. Nie musiał windować się na drugie piętro — po schodach chodzić nie lubił. Przecież było lato, drzwi od balkonu stale otwarte, wystarczyło zawołać z ulicy.

Czechowicz wywierał bardzo duży wpływ, jako poeta i człowiek, na Domińskim i Piętaku, chociaż z czasem, gdy nieco podrośli i opierzyli się, potrafili zdobyć się na stosunek krytyczny do mistrza. Po Michalskim w owym czasie wszelkie wpływy ześlizgiwały się, żył własnym, bardzo trudnym i bolesnym życiem wewnętrznym, i ta izolacja zapewne przyspieszyła nieuniknioną katastrofę. Ze mną było inaczej. Ceniłem autora „Ballady z tamtej strony” bardzo wysoko, ale rozumiałem, że jego tor poetycki prowadzi w kierunku dla mnie obcym i niewłaściwym. Prawa do arbitralnych posunięć mu nie przyznawałem, do roli giermka nie nadawałem się, pewne postawy i nawyki odrzucałem kategorycznie. Toteż w późniejszych latach stosunki nasze — wówczas przyjazne, *nie przyjacielskie* — znacznie ochłodziły i mało brakowało, a byłoby doszło do otwartego zerwania.

Jaką właściwie rolę odegrał? Był znacznie starszy, wyjąwszy Michalskiego, od każdego z nas: sześć do dziewięciu lat to w tym wieku poważna różnica. Gdy inni dopiero zaczynali, miał już ustaloną pozycję pisarską. Orientował, sugerował w sposób nie nazbyt natarczywy, pożyczał książki, wprowadzał jakiś ład do wiedzy literackiej młodych, przeważnie słabo zaopatrzonych w bagaż intelektualny poetów. Ułatwiał debiuty i współpracę, chętnie służył pomocą finansową, zresztą w skromnej skali i dość kapryś-

(1) Myli się Szymański, pisząc, że na Smulikowskiego Czechowicz mieszkał w „wysokiej suterenie”. To był wysoki parter. Pamiętam doskonale że aby zapukać do okna, trzeba było — przy średnim wzroście, jak mój, wspiąć się na palce. W pół-suterenie mieściło się mieszkanie na Narbutta.

nie, to znaczy nie zawsze wtedy, gdy była najbardziej potrzebna. Ale jednocześnie zarażał własnymi urazami i kompleksami, na przykład, doprawdy zbyt już przesadzoną niechęcią do skaman-drytów.

Wyglądało to dość zabawnie, gdy taki młodziak, idąc za przewodem mistrza i mentora, przekreślał za jednym zamachem Lechonia czy Słonimskiego, w najlepszym razie udzielając amnestii niektórym wierszom Tuwima. Wkrótce po powstaniu „wspólnego pokoju” zjechał triumfalnie do Warszawy Tadeusz Hollender, zdobywca pierwszej nagrody na konkursie mickiewiczowskim „Wiadomości Literackich”. Miotał się między stołem i kanapą, w oburzeniu nie mogąc dopiąć szelek, i wychodził ze siebie. Właśnie Domiński „zlikwidował” przed chwilą Wierzyńskiego. „Nie do wiary — wołał rozwścieczony Hollender — wszędzie wielki poeta, a w tym pokoju — grafoman!”. Domiński twardo stał przy swoim, zachwycony wywołanym wrażeniem.

Własnej szkoły, w sensie twórczej kontynuacji, Czechowicz nie stworzył, a liczni naśladowcy przynieśli mu więcej szkody, niż chwały. Co prawda, trudno przesądzać; gdyby nie wybuch wojny, ośrodek, który zaczynał się koło niego krystalizować, być może, nabrałby z czasem cech określonego kierunku poetyckiego, tym bardziej, że do liryków dołączyli młodzi, obiecujący krytycy.

Sam Czechowicz miewał często złudzenia. Najmocniej poczuł się w roku 1934. Wyszedł wtedy tom „W błyskawicy”, który ostatecznie utwierdził niewątpliwe przewodnictwo w poezji zwanej awangardową; miał poważne wpływy w „Pionie” i „Drodze”, zamierzał wydawać własne pismo. Doskonała sytuacja finansowa dała mu po raz pierwszy całkowitą niezależność i pewność siebie. „Mimo woli — pisał do Czernika — przez agresywność charakteru, osiedlenie się w Warszawie, zacząłem przewodzić awangardzie. Montuję teraz pismo literackie, miesięcznik typu „Drogi”, tylko ściśle literacki. Poganiam Lubelski Związek, trenuję wileńczyków, do Krakowa sięgam. Przyboś chętnie się podporządkował, Czuchnowski również, a Piętaka po prostu sprowadziłem do Warszawy. Rozruszam ich — nie ma obawy”.

Z tych buńczucznych zapewnień ani jedno nie odpowiadało rzeczywistości. Nie rozruszał po swej myśli nikogo, każdy poszedł własną drogą, rzadko tylko równoległą do drogi Czechowicza. Wbrew pozorom, mimo liczego dworu, pozostał samotnikiem aż do końca, jak nim był, kiedy w maleńkim lubelskim mieszkanku przy Radziwiłłowskiej pisał gorzkie wiersze o zbliżającej się śmierci.

(D. c. n.)

Józef ŁOBODOWSKI

Festiwal szekspirowski w Londynie

Miasto, które było kolebką bardzo średniego, jak się zdaje, aktora imieniem William Shakespeare (nigdy nie zbliżył się on do szczytów, osiągniętych współcześnie przez Richarda Tarletona, Edwarda Alleyna czy Richarda Burbage'a) i największego dramaturga wszystkich czasów, znanego w historii pod tym samym imieniem — uczciło czterechsetlecie jego urodzin w obskurnym kiedyś miasteczku Stratford upon Avon wielkim międzynarodowym festiwalem teatralnym. Obok wielu innych form obchodzenia tej rocznicy — setek wydawnictw rozmaitego charakteru, znaczków pocztowych, na których głowa „barda” widnieje obok głowy JKM Elżbiety II, cyklu wszystkich dramatów historycznych Szekspira, od „Ryszarda II” do „Ryszarda III” (łącznie siedem), wystawionych przez Królewski Teatr Szekspirowski w Stratfordzie, bardzo kontrowersyjnej wystawy odbywającej się w tym mieście — festiwal, *pageant*, rewia zespołów teatralnych kontynentu europejskiego wydaje się formą szczególnie trafną i szczególnie wymowną. Szekspir jest ciągle najszerzej granym dramaturgiem, najbardziej teatralnym pisarzem świata, ciągle budzi żywe echo, ciągle pod wszystkimi niemal szerokościami geograficznymi wyraża uczucia widzów. Jest — jak go pięknie nazywa francuski tytuł znanej książki Jana Kotta — *notre contemporain*, naszym współczesnikiem.

Festiwal szekspirowski w Londynie trwał trzy pełne miesiące. Objął 13 premier, 14 sztuk i ponad 90 przedstawień, które oglądało ok. 100.000 widzów. Uczestniczyły w nim zespoły siedmiu narodowości: Komedia Francuska z Paryża, Teatr im. Schillera z Berlina zachodniego, kompania Peppina de Filippo z Rzymu, The Abbey Theatre z Dublina, Teatr Współczesny z Warszawy,

Grecki Teatr Sztuki z Aten i Moskiewski Teatr Artystyczny. Była to — jak ktoś określił — „największa inwazja teatralna, jakiej Londyn kiedykolwiek doświadczył”.

Każdy festiwal kryje w sobie zasadę kompozycyjną — jest pochodem, jest ruchomą panoramą i tak postaram się go tutaj przedstawić. Przedtem chciałbym odtworzyć podłoże tej imprezy. Bo teatr jest z nim związany i zależy od niego, jest najbardziej materialną, choć najbardziej przelotną, ze wszystkich postaci autoekspresji artystycznej człowieka.

Szekspir, kurtyna i... słuchawki

Trzymiesięczny kurs komparatystyki teatralnej w Londynie był bardzo pouczający od strony czysto zewnętrznej, technicznej. Przedstawienia festiwalowe odbywały się w Aldwych Theatre, londyńskiej siedzibie Królewskiego Teatru Szekspirowskiego, który od wczesnej wiosny do późnej jesieni gra w mieście rodzinnym Szekspira, a w stolicy Wielkiej Brytanii ma swoje *pied-à-terre* i, poza takimi okazjami jak festiwal, zaznacza tu swoją obecność przez cały rok. Teatr położony o kilkaset metrów od Strandu czyli lewego, nieszekspirowskiego brzegu Tamizy (kariera aktorska i dramatopisarska Szekspira była związana z prawym brzegiem rzeki; tam znajdowały się słynne budynki teatralne ery elżbietańskiej „The Theatre”, „The Swan Theatre”, „The Globe”) liczy trochę ponad 1000 miejsc, ale jest staroświecki i banalny. Zespół Szekspirowski ożywiony nowym duchem, a przede wszystkim dążeniem do rozbicia sceny pudełkowej przeprowadził w nim znamienne zmiany. Wyrzucił kurtynę, rozłamał ramę sceniczną wysunawszy w widownię tzw. fartuch (*apron*), czyli duże przedscenie. Ten reformistyczny rygorizm jest posunięty tak daleko, że np. w „Fizykach” Dürrenmatta przed zaczęciem się akcji na otwartej i odsłoniętej scenie przez pół godziny leżał trup pielęgniarki zamordowanej przez „Einsteina”.

Było bardzo interesujące obserwować, jak w ciągu trzech miesięcy festiwalu zmieniał się wygląd tej sceny. Dla Francuzów zawieszono kurtynę z czerwonego pluszu, przywrócono do łask rampę oświetlającą aktorów od dołu i zbudowano wysoką budkę suflerską, dla której trzeba było wyciąć specjalny otwór w podłodze; oczywiście przedscenie zmieniło się w *no-man's land*, w ugor sceniczny. Niemcy usunęli rampę i tylko na jednym przedstawieniu zachowali budkę suflera, wstydliwie przyczajoną przy ziemi. W przedstawieniu włoskim schowek dla suflera przybrał się w ozdobny baldachim, a jednolita pokrywa rampy rozbiła się na rząd lampek, lecz stało się to z natchnień stylizacyjnych: miało

naśladować teatr dziewiętnastowieczny z epoki oświecenia gazowego czy jeszcze olejnego. Na przedstawieniach irlandzkich budka i rampa znowu znikły. Polacy i Grecy wyszli pierwsi na przedscenie, które dla Greków było tylko namiastką sceny-platformy, otoczonej z trzech stron przez widzów. Z Rosjanami nastąpiła jeszcze jedna metamorfoza: kurtyna zmieniła kolor z czerwonego na szaro-oliwkowy z herbowym znakiem Mchatu, białą mewą pośrodku; widać przywieźli ją z sobą. Przestrzeń przed ramą sceniczną znowu leżała odłogiem, ale dla tego teatru zainstalowano wielką platformę obrotową (36 stóp średnicy), bez której nie można by było zagrać „Martwych dusz”.

W całości była to mała lekcja pogładowa konwencji scenicznych zupełnie różnych i sprzecznych, a także pewnych nawyków i upodobań. Nasuwała ona nieraz myśl, że każdy zespół jest czymś organicznie związanym ze swoim podłożem materialnym, jak drzewo z gruntem, do czego wypadnie wrócić obszerniej we wnioskach ogólnych.

Wszystkie zespoły narodowe (z jednym wyjątkiem Irlandczyków, którzy mówili po anglo-irlandzku) były spętane innym ograniczeniem: językiem. Starano się to ograniczenie przełamać w sposób, który miniaturowej olimpiadzie teatralnej ku czci geniusza urodzonego 400 lat temu nadał na wskroś nowoczesny charakter. W całym teatrze zaprowadzono niewidoczną dla oka, krótkofalową instalację radiową. Pozwalała ona przy pomocy słuchawki typu tranzystorowego (obywającej się bez kontaktu i drutu), przytrzymywanej ręką przy uchu mniej więcej tak jak kiedyś trzymało się *lorgnon* przed oczami — słuchać równoczesnego przekładu granej sztuki na język angielski; gospodarze, mający upodobanie do nowotworów z przyrostkiem francuskim, nazywali je według wzoru *laundrette* i *usherette* — *lorgnette-receivers*. Te grubsze u nasady, przewężone w środku i zaokrąglone u góry *lorgnons* do słuchania, prawdziwe pałeczki Prospera z szarego plastyku, nadawały widowni swoisty, nieoglądany przedtem wygląd, ale były też przedmiotem cowieczorowych egzort administracji i przedmiotem zainteresowania prasy. Używane nieostrożnie, puszczone „na cały regulator” tworzyły one w rozmaitych miejscach teatru gniazda natrętnego szelestu, rozpraszającego aktorów i widzów. Zabawniejsze było to, że w pierwszych tygodniach widzowie zabierali je z sobą, zapewne jako *souvenirs*, przedmioty pamiątkowe, bo poza odpowiednią instalacją nie mają one żadnej wartości użytkowej. Zrazu znikwały one w takim tempie, że przed upływem trzymiesięcznego sezonu groziło im wyginiecie jak żółwiom morskim, a nad przedsiębiorstwem wisiała ruina finansowa (jedna słuchawka podobno kosztuje 5 gwinei!).

Poważniejszą sprawą, która przeszła na łamy pism i wywo-

łała podział opinii, była ocena tego eksperymentu bodaj po raz pierwszy podjętego na taką skalę. Senior krytyków londyńskich, recenzent „Daily Telegraphu”, Darlington, wystąpił ze skrajną tezą, że *lorgnettes* nie pomagają lecz przeszkadzają w odbiorze widowiska teatralnego. Uwaga widza, który jednym uchem słucha w przekładzie pełnego dialogu, drugim mimo woli chwytając strzępki lub pogłosy tekstu oryginalnego i patrzy na grę aktorów jest tak podzielona, jego mózg musi wykonywać tak duży wysiłek asocjujący, że wynik chybia celu: albo słucha się przekładu i nie absorbuje w pełni ruchu scenicznego, gry aktorskiej, gestu i mimiki albo na odwrót. Moje osobiste doświadczenie wskazuje, że system jednoczesnego przekładu ulepszał się w ciągu trzech miesięcy, że w ciągu tego czasu przywykał do korzystania z niego mój aparat recepcyjny. Na ostatnich przedstawieniach jedno i drugie stało się niemal rutyną.

Nie kusząc się o rozstrzygnięcie tej złożonej sprawy technicznej, trzeba stwierdzić, że zaważyła ona ujemnie na polskim udziale festiwalowym, o czym będzie mowa później. Warto też zaznaczyć, że stała się ona mimowolnie argumentem przemawiającym za prawdą, że teatr nie jest tylko tekstem literackim rozłożonym na głosy, lecz także i przede wszystkim manifestacją wizualną, widowiskiem.

Gdy czytelnicy są już wtajemniczeni w uroki, nowości i kłopoty festiwalu, można otworzyć pochód jego uczestników.

Comédie Française

Festiwal rozpoczęła Komedia Francuska nie dźwiękiem dzwonek elektrycznych, nie gongiem, ale trzema tradycyjnymi uderzeniami laski o podłogę. Oddanie jej pierwszego miejsca nie budzi sprzeciwu. Jest ona *doyenne* wszystkich scen narodowych kontynentu europejskiego, istnieje blisko 300 lat; ktoś słusznie powiedział, że jest z nią tak jakby szekspirowski teatr „Pod Kulą Ziemią” nie spłonął, ale trwał bez przerwy do dzisiaj. Tymczasem w rzeczywistości angielski Teatr Narodowy jest jednorocznym niemowlęciem, dobiega pod szczęśliwą dyрекcją Laurence’a Oliviera, lecz jeszcze nie w swoim budynku, końca pierwszego sezonu.

Komedia Francuska, która od swego założyciela nazywa się również Maison Molière, wystąpiła z dwiema sztukami: jedną oczywistą, tym jeszcze oczywistszą, że nigdy przez ten zespół niegraną w Londynie, z „Tartuffem” i drugą zaskakującą, z farsą Feydeau „Un fil à la patte”. Był to wybór dwu skrajności. Jednych wprowadził w nadmierny zachwyt, innych z lekka zgorszył,

ale w sumie odebrał wkładowi francuskiemu do festiwalu nadmiar namaszczenia, pokazał skalę możliwości i skalę tolerancji repertuarowej.

Przypadek zrządził, że „Tartuffe ou l'imposteur” obchodził w Londynie trzechsetcie swoich urodzin (1664), choć właściwie rodził się trzy razy i dopiero za trzecim razem urodził się naprawdę i na nieśmiertelność. Z odległości wieków trudno sobie wyobrazić, że sam Ludwik XIV nie mógł obronić tej sztuki przeciw stronnictwu religijnemu na dworze, przeciw połączonym siłom jezuitów i jansenistów, że arcybiskup Paryża rzucił klątwę na każdego, kto by się odważył jej słuchać, że Molier pisał ją trzy razy, zmieniając tytuł, przeobrażając duchownego obłudnika w osobę świecką, dodając do trzech aktów dwa dalsze. Powstał w ten sposób twór osobliwy, nawet trochę dziwotworny, w którym Tartuffe pojawia się dopiero w trzecim akcie, lecz twór o niewietrzejącym, niewyczerpującym się przez stulecia ładunku wybuchowym. Siedemnastowieczna „policja duchowna” utraciła swoje znaczenie, ale odradzają się raz po raz nowe policje uzbrojone w oręż zakłamania, oszustwa, szantażu i terroru. Istnieją nawet ustroje i państwa policyjne. I słowa „tartuffe”, „tartuferia” stały się imionami pospolitymi.

Komedia Francuska gra „Świętoszka” rok w rok przez trzydzieści lat albo, żeby już być całkiem ścisłym, od 295 lat, od jego trzeciego, triumfalnego powrotu po kilkuletnich tarapatkach — jest to jedyny utwór tak uprzywilejowany w jej repertuarze. Z przedstawieniem sprzed 295 lat, w którym Molier grał rolę Orgona, naiwnej ofiary tartuferii, a jego żona Armanda Elmirę Orgonową, każde następne przedstawienie łączy sukcesja apostolska, nieprzerwana tradycja. Ale z tą tradycją nie jest taka prosta ani mechaniczna sprawa. Fotografie puszczane w obieg przed występem londyńskim pokazywały obecnego wykonawcę roli tytułowej w innym uczesaniu, słynną scenę, w której obłudny lubieżnik zakrywa dekolt Doryny w innym układzie, co prawda drobnych szczegółów. Można więc przyjąć, że jest to tradycja nie litery lecz ducha, nie litery lecz słowa, tradycja kultywująca to co istotne.

Przedstawienie pokazane w Londynie nie należało zapewne do najlepszych w historii scenicznej „Tartuffa”. Miało kilka słabych punktów obsadowych (Marianne, Damis), kilka postaci bardzo nikłych (Orgon) lub spornych w ujęciu (Dorine). Sam Tartuffe Louis Seigniera z długimi włosami zaczesanymi za uszy i opadającymi na ramiona z przodu, był zbyt stary, zbyt obrzydliwy i odpychający (ktoś porównał go do chytrego, folgującego sobie wieprza, ktoś inny do opasłej ropuchy), zbyt ciężki, żeby można uwierzyć w jego możliwości zwodzenia pozorami i możliwości uwodzicielskie. W intencji i wizji Moliera jest to młody awantur-

nik, którego przy przedzierzgnięciu z osoby duchownej w świeckiego kawalera, przybrał w mały kapelusik, wielką kryzę, inkrustowaną szpadę i koronki. To wszystko i więcej jest anegdotyczną, kronikarską prawdą, lecz również w londyńskim „Tartuffie” rozstrzygnęła prawda artystyczna — kryształowa czystość, prawie dotykalna wyrazistość, muzyczna dźwięczność słowa. Drugi dialog Tartuffa i Elmiry (ślicznej, wytwornej Annie Ducaux) słynny dialog, który go demaskuje w oczach Orgona, był teatrem absolutnym, teatrem, który zostawia rzadkie poczucie, że dalej, wyżej w tym rodzaju interpretacji postąpić już nie można.

Nieco trudniej to powiedzieć o drugim udziale Komedii w festiwalu szekspirowskim, o „Un fil à la patte” (po polsku można by to chyba oddać zwrotem „kula u nogi”, a jeśli tak, jakaż perspektywa otwiera się w tym jednym powiedzeniu na psychologię dwóch języków!). Autor tej farsy był pół-Polakiem, urodził się z Żeleńskiej, co stanowi dosyć zabawne curiosum. Jego twórczość, kilkadziesiąt utworów pokrewnego typu, napisanych z boską łatwością, stanowi więcej niż *curiosum*, bo mały i odrobinę kłopotliwy problem. Można go załatwić mówiąc, że jest to produkcja czysto użytkowa i komercyjna, lecz można twierdzić i są tacy co tak twierdzą, że Feydeau był prekursorem współczesnego teatru absurdałnego, teatru z żelazną logicznością natrząsającego się z logiki. Można uważać to co robił za gatunek bardzo tani i niezmiernie wyrafinowany, sięgający szczytów bezinteresowności artystycznej. W końcu wpada się w sieci nierozwiązalnego dylematu: rozrywka czy coś więcej, a jeśli coś więcej, to co?

Dlatego bezpiecznie jest nie schodzić z gruntu czysto teatralnego. Feydeau poza teatrem zresztą niczym się nie interesował. Teatr był dla niego równoważnikiem świata pewnie już od tego czasu, gdy jako aktor-amator występował w salonie pani Armand Caillavet, podchwytyjąc słowa z ust gorliwego suflera-amatora, Marcela Prousta.

Sztuka teatralna Feydeau gra dwoma walorami. Jeden z nich to wielka, niezwykła, właściwie czarodziejska pomysłowość w motaniu intrygi, w piętrzeniu najbardziej niespodzianych, nieprawdopodobnych, niezwykłych sytuacji, w tworzeniu na scenie architektury astralnej, jednocześnie piórkowo lekkiej i stalowo spoistej. Drugi walor stanowi dialog biegnący po wierzchu, robiący często wrażenie potoku, który odbija się od swego łożyska, polatuje w powietrzu i mieni się wszystkimi kolorami tęczy. Oba te walory występują u Feydeau nie tylko w najwyższej jakości, ale i najniższej. Ten drugi kraniec skali reprezentują w „Un fil à la patte” panowie rozbierający się na scenie do bielizny i biegający po scenie bez spodni oraz tania, wiele razy powtarzana gra słów: *je pus — je pue*.

Komedia Francuska bierze Feydeau *tel quel*, gra nie tradycyjnie, lecz staroświecko, gra nie w dzisiejszym lecz dziewiętnastowiecznym stylu — z élanem, w oszałamiającym tempie, szeroko i jaskrawo. I na serio.

Najbardziej staroświecki, dziewiętnastowieczny jest w tym Robert Hirsch, bożyszcze każdej widowni: własnej, złożonej z przyjezdnych turystów i, jak w Londynie, złożonej z obcych widzów. Mały epizod, uboczną rolę (co prawda *sans culotte*) rozbudował on do rozmiarów zaćmiewających wszystko. Stał się państwem w państwie, sztuką w sztuce. Jego wirtuozeria jest interesująca bo pozwala w r. 1964 zobaczyć jak grał Coquelin czy nasz Alojzy Gonzaga Żółkowski. Budzi podziw dla bogactwa, inwencji, skali środków, miary ofiarności. Ale drażni przez to, że wywraca całą równowagę widowiska, czyni z jednej roli i to nie najważniejszej popis już nie sceniczny, ale ekwilibrystyczny, cyrkowy.

Jeszcze bardziej drażniąca jest staroświeckość scenografii. Można ścierpieć (nawet bez zaciskania zębów) dekorację do „Świętoszka” spatynowaną jak obraz szkoły holenderskiej. Trudno pojąć dlaczego w farsie, która jest pomyślana jako igranie z formą we wszystkich postaciach, widz musi patrzeć na ściany wzduymające się od każdego ruchu, a co gorsza nieopisanie brzydkie w kolorze i rysunku, zużyte doszczętnie jak dywanik ulicznego skoczka.

Pobyty Komedii Francuskiej w Londynie stanowił poglądową lekcję, że tradycja i staroświeczność, starzyzna, to nie to samo.

Teatr im. Schillera

Po wierzchu, z programu sądząc, Niemcy zachodni zaplanowali swój udział w festiwalu szekspirowskim wzorowo: jedną sztuką współczesną, wprowadzić nie niemiecką, lecz należącą do literatury szwajcarskiej w języku niemieckim, „Andorrą” Maxa Frischa i jedną sztuką klasyczną, już bezspornie niemiecką, wczesnym dramatem Goethego „Clavigo”. Pierwsza budziła zainteresowanie przez fakt, że kilka tygodni wcześniej wystawił ją Teatr Narodowy w Londynie, druga przez swoją dziewiczość nienaruszoną ani jednym przekładem angielskim.

Niemiecka „Andorra” była w znacznym stopniu inną sztuką. Zagrano ją w odmiennym kluczu, głębiej, powściągliwiej, a przez to wymowniej. To nie jest nawet dziwne. Przypowieść Frischa o antysemityzmie, wystawiona w ostatnim sezonie przeszło 900 razy w półsetce teatrów niemieckich, dla widowni tych teatrów stanowi po trochu rachunek sumienia. Stawia ona i ilu-

struje tezę, że wszystkie „antyzy” są urojeniem, wmówieniem społecznym, które nie odpowiada żadnej rzeczywistości, żadnemu nieodpartemu determinizmowi. Andri nie jest Żydem, staje się nim, bo tak chce płaskie tchórzostwo, fałszywy wstyd jego ojca, bo tę sugestię ochotnie podejmuje i konsekwentnie wmawia w niego otoczenie. Ginie z rąk „czarnych” najeźdźców jako Żyd, choć zna spóźnioną prawdę, ginie nie od rzeczywistej odmienności krwi, lecz od piętna społecznego. Łatwo sobie wyobrazić jak bardzo osobiście, prywatnie przeżywał tę sztukę jej reżyser, jeden z najwybitniejszych aktorów starszej, przedwojennej generacji, Fritz Kortner, który musiał uciekać z Niemiec hitlerowskich, żeby nie uprzedzić losu niewinnego wyrostka ze zmyślonej, lecz okrutnie rzeczywistej Andorri.

Zapewne te okoliczności sprawiły, że w zestawieniu z „teutońską histerią” — jak to określił „The Times” — ujęcia angielskiego, ujęcie przyjęte przez Teatr Schillera było pełne powagi, powściągliwości i umiaru. W przedstawieniu angielskim od początku panowała atmosfera mordu rytualnego i Andri był predestynowaną ofiarą tego mordu. W przedstawieniu niemieckim był on normalnym chłopcem, gorzkim, ironicznym, chwilami nawet błaznującym ze swego losu.

Ale i Kortner, jeden z głównych przedstawicieli ekspresjonizmu scenicznego, doszedł w berlińskiej „Andorze” do głosu: raz trafnie i celowo, gdy podkreślił gwałtowną tonację seksualną w stosunku Andriego do przyrodnej siostry Barblin, drugi raz mniej szczęśliwie, gdy w przejściach między scenami kazał pośledniejszym postaciom, odgrywającym rolę chóru, przemawiać zza barierki sądowej. Był to dosyć natrętny alegoryzm czy dydaktyzm, którego inscenizacja londyńska uniknęła jakby tylko przez przypadek.

Szczytowa scena sztuki, rozpoznawanie przynależności rasej po stopach i chodzie, jedna z najbardziej brutalnych i wstrząsających scen dramatu współczesnego, przemówiła mocniej w wersji angielskiej. Kortner skrył ją w półmroku, lecz zamazał układ sytuacyjny lub może nie zdołał go w pełni rozwinąć na obcej, o wiele szczuplejszej scenie.

Aktorsko berlińska „Andorra” prawie we wszystkich rolach górowała nad „Andorrą” londyńską. Zwłaszcza Martin Held jako nauczyciel, ojciec Andriego i Klaus Kammer jako Andri pozostawili w tyle wybitnych skąd inąd aktorów Cussacka i Courtneya.

Drugi wkład Niemców był zupełnym zawodem. Niewidziany, nieczytany, nietłumaczony, ledwie pamiętany Goethe okazał się niewart zachodu, przynajmniej zachodu teatralnego, który jest kosztowniejszy niż jakikolwiek inny, lecz i bardziej obowiązujący. Wszystko wokół „Claviga”, cała jego otoczka anegdotyczna,

warsztatowa, psychologiczna jest zajmująca, on sam — ani trochę lub bardzo niewiele.

Ten drugi utwór dramatyczny Goethego powstał w tym samym roku (1774), w którym ukazał się jego „romans liryczny” o Werterze, zdobył mu rozgłos europejski i rozpętał falę werteryzmu. Przyszły Olimpijczyk, któremu na napisanie „Fausta” trzeba było całego życia, podobno napisał „Claviga” w ciągu tygodnia na prowokację „żony” z zabawy towarzyskiej we frankfurckim salonie prowadzonym przez siostrę. Przejęty od czasu studiów strasburskich żarliwym kultem Szekspira stworzył tę sztukę metodą szekspirowską, udratyzował właśnie w tym roku wydany, cudzy pamiętnik nie byle kogo, bo Beaumarchais’ego, przyszłego autora „Cyrulika z Sewilii” i „Wesela Figara”. Myśląc naszymi kategoriami był to reportaż dramatyczny *avant la lettre*. Zarówno bohater tytułowy, z czasem dosyć znany pisarz hiszpański Clavijo, jak wszystkie inne osoby, jak całe zawikłanie dramatyczne — związek z Marią Beaumarchais zerwany ze względów oportunistycznych — były prawdziwe. Rzeczywisty Clavijo-Clavigo po obiegnięciu scen niemieckich i innych (w Warszawie pokazano go w r. 1782) żył jeszcze przeszło 30 lat i do końca życia nosił w sercu żal do Goethego za bezceremonialne potraktowanie.

Psychologicznie rzecz biorąc, Clavigo z dramatu, jak Weislingen z wcześniejszego „Götza”, Werter, Faust zwłaszcza z wczesnej redakcji, tzw. „Urfausta”, jak później Tasso jest wariantem człowieka o silnych pasjach i słabej woli, człowieka wahającego się między sprzecznościami. Chwieje się on między ambicją dworską i literacką kariery a miłością do panny Beaumarchais. Pod kolejnym wpływem jej brata i swego przyjaciela zmienia decyzje i w ten sposób ściąga podwójną katastrofę: śmierć narzeczonej od ataku serca i śmierć własną od szabli brata. Biografowie widzą w tym echo osobistej historii Goethego z Rikchen Brion, zamkniętej romantycznie, balladycznie i szekspirycznie pojedynkiem nad marami, który do żywego przypomina sceny z „Hamleta”. Jeśli Clavigo jest odbłaskiem księcia na Elsinorze, jego *counterpart*, sprawca wszystkiego, demoniczny kusiciel Carlos jest pierwszym szkicem, zarodkiem postaci Mefistofelesa.

„Clavigo” zrobił, już zdaje się na fali werteryzmu, wcale błyskotliwą karierę, choć przyjaciel i mentor poety, sceptyk i ironista J.H. Merck nazwał go ni mniej, ni więcej tylko „śmieciem”. Po tym wczesnym wzlocie zażywał długiego i zasłużonego spokoju. Dopiero w okresie powojennym wydobył go z zapomnienia Teatr im. Schillera, pełniący funkcję Staatstheater, który do dziś leży w gruzach we wschodniej części Berlina, opodal muru dzielącego go na dwie części. U podłoża tej decyzji leżał pietyzm dla Goethego i być może również pomyłone rozeznanie, że jego

infantylny bohater jest modnym dziś „antybohaterem”. Trochę w sprzeczności z tym założeniem nadano tej nikłej pierwocinie wielkiego poety piękną, retoryczną, wyczelowaną formę. Ale to nie wystarczyło, żeby przekonać obcego widza. „Clavigo” był w Londynie *a flop*, lub mówiąc z francuska *un four noir*.

W obu widowiskach przywiezionych z Berlina uderzał wątpliwy poziom scenografii. Tło „Andorry” miało białą-szarą, szorstką, kostropatą fakturę południowego miasta, pionowy akcent schodów, który zagrał symboliczną wymową Golgoty u końca sztuki, lecz dopełnienia tej stałej konstrukcji luźnymi ścianami, firankami, fermami były zadziwiająco nieskładne, kompozycyjnie niezharmonizowane. Czymś jeszcze bardziej zadziwiającym było ujęcie plastyczne „Claviga”, zaprojektowane przez jego reżysera Willi Schmidta. Mieszało ono realizm opisowy w jednych scenach z inną, na wskroś nowoczesną konwencją posługującą się powiększeniami fotograficznymi na całą ścianę i siatkami stalowymi w innych. Końcowa dekoracja, służąca za tło melodramatycznego pojedynku nad marami i śmierci Claviga u zwłok narzeczonej, wyglądała jak szalet miejski wykładany białymi kaflami, przez złe rozplanowanie zmieniała ostatni, najsłabszy akt sztuki — w kicz sytuacyjny.

Być może te dwa przykłady wskazują, iż Niemcy przestały być ośrodkiem twórczej scenografii. Jeśli tak, podwyższałoby to jeszcze znaczenie rzeczywiście niezwykłych dokonań polskich w tej dziedzinie.

Kompania Peppina de Filippo

Udział włoski w festiwalu był jednym z najskromniejszych, choć robiono wokół niego sporo sztucznego szumu, wyprowadzając rodowód kompanii Peppina de Filippo z *commedia dell'arte*. De Filippo urodził się w Neapolu, gdzie podobno jej echa są ciągle najżywsze, lecz nie gra już w miejscowym dialekcie i jest czynny głównie w Rzymie. Sam pisze dla siebie i dla swojej trupy sztuki, sam komponuje do nich muzykę i sam je reżyseruje. Pokazane w Londynie „Metamorfozy wędrownego grajka” były jednym z 60 płodów jego wszechstronnej Muzy.

Nie mówiąc o innych, ten utwór nie pozostawia najmniejszej wątpliwości, że Peppino nie jest Szekspirem ani Molierem, ani Goldonim, którzy wszyscy, zwłaszcza dwaj ostatni, czerpali pełną ręką z włoskiej komedii ludowej. Jest twórcą teatru popularnego, jakby się dziś powiedziało, „masowego”. Stanowi on zjawisko niezbyt wielkich wymiarów, ale na swój sposób wdzięczne.

Oczywiście przy prawie taśmowej produkcji sztuk i nie-

wielkiej wrodzonej inwencji de Filippo operuje schematami intrygi i charakterologii, dawnymi jak *commedia dell'arte* lub nawet dawniejszymi. „Metamorfozy” są jeszcze jedną historią miłości z przeszkodami. Kochankowie są młodzi, ci którzy stają w poprzek ich szczęściu są starzy. Dobrze i psotne duchy, wcielone w służących i ich przyjaciół, pomagają młodemu przeciwko starym. Po bardziej lub mniej zabawnych perypetiach wszystko się dobrze kończy. Pomysłowość Peppina sprowadza się do tego, że odwieczny schemat nafaszerował mnóstwem luźno powiązanych epizodów i podwoił tradycyjne postaci: jest dwóch Pantalonów czyli niedobrych, niemądrych starców, są dwaj amanci, jeden serio i jeden komiczny i odpowiednio się nazywający, Conte Sasa Cicci di Soppressa. Dla siebie autor, antreprenier i gwiazdor zawarował rolę Pulcinelli i skupił na niej całe światło.

W „Metamorfozach” jest ulicznym muzykusem, ex-aktorem, który artystycznie zmyśla historie o wspaniałych rolach i jeszcze wspanialszych triumfach, które kiedyś odnosił także w sztukach „Szészpira”. Blagując na potęgę pokazuje z kamienną twarzą niezliczone *lazzi*, komiczne gierki słowne i gestyczne. Jeśli publiczność je potwierdzi śmiechem, nie waha się powtórzyć ich po raz drugi i trzeci. Potem by pomóc parze zakochanych przemycić się do strzeżonej fortecy Pantalonów i jest kolejno statuą Juliusza Cezara z mechanizmem sprężynowym, wrzaskliwym, nieznośnym niemowlęciem i mumią turecką czy egipską. Wszystko przepłata taniutką, skoczna muzyka, jaką zapewne grało się w „kafeszantanach” i „teatrach ogródkowych”, autentyczne lub prawie autentyczne piosenki neapolitańskie. Zamyka tę naiwnie dziecinną zabawę oszałamiająca tarantela powtarzana *ad libitum*.

Występ kompanii Peppina mógłby być interesujący, gdyby jego talentowi komicznemu dorównywała inteligencja i kultura artystyczna. „Metamorfozy” są wystylizowane nie na *commedia dell'arte* (aktorzy grają bez masek), lecz na teatr z pierwszej połowy XIX wieku przy użyciu takich elementów jak kurtyna malowana na sztywnym płótnie w sute fałdy, rampa z olejnymi kinkietami, malowane kulisy, prospekty i paludamenty, nawet malowane kandelabry zjeżdżające z sufitu. Jest to wierna rekonstrukcja muzealna, może pouczająca, może nawet zabawna, lecz pozbawiona dystansu estetycznego, niedojrzana dzisiejszym okiem, nie zinterpretowana plastycznie. U nas Leon Schiller z upodobaniem, z rozbawioną czułością lubił wracać do „starego teatru”, Daszewski umiał go świetnie persyflażować. Bez tego — bez zmrużenia oka w uśmiechu lub wzruszeniu — taki powrót nie ma sensu estetycznego. Jest tylko wycieczką do rupieciarni na strychu lub do zakurzonego prowincjonalnego muzeum.

The Abbey Theatre

Irlandzki teatr narodowy (nb. obchodzący w tym roku 60-lecie istnienia) przyjechał na festiwal z dwiema sztukami największego żyjącego dramatopisarza irlandzkiego, Seana O'Casey: „Juno and the Paycock” oraz „The Plough and the Stars”. Ale nie jest to takie oczywiste jakby się mogło z pozoru wydawać. O'Casey, który już przekroczył osiemdziesiątkę, od kilkudziesięciu lat przebywa na dobrowolnym wygnaniu w Anglii, protestuje w ten sposób przeciw atmosferze panującej w jego ojczyźnie. Od kilku lat zakazał w niej grania swoich sztuk również na znak protestu przeciw ich traktowaniu przez sfery klerykalne. Był to więc i akt pojednania i akt solidarności narodowej, że jego dwie sztuki reprezentowały Irlandię na festiwalu ku czci Szekspira.

Są to utwory z wczesnej, przedemigracyjnej epoki, liczące bez mała pół wieku, jeszcze współczesne a już klasyczne. Obok dramatu „The Shadow of a Gunman” stanowią one bodaj najwyższe osiągnięcia O'Caseya. Jego wielki, różnolity dorobek z późniejszych czasów nosi znamię manieryzmu i obsesyjności, nadmiernej komplikacji i wysztucznienia. W dwóch sztukach świeżo pokazanych w Londynie przemawia Irlandia *slumów* i proletariatu dublińskiego, Irlandia dojrzana okiem jednocześnie krytycznym i miłującym, odczuta wrażliwością humorysty, satyryka i tragika w jednej osobie. Obie sztuki mają również zarazem charakter jednostkowy, dotyczą losów indywidualnych, i charakter społeczny, dotyczą losów zbiorowych: rozgrywają się w latach 1915-1922, w krytycznym okresie walk o niepodległość Irlandii i początków jej niepodległego istnienia. Obie też tak organizują materiał doświadczenia, obserwacji i refleksji, by miał on sens i wydźwięk uniwersalny.

Dotyczy to w większej mierze sztuki „The Plough and the Stars” (Pług i gwiazdy) mimo że od samego tytułu — symbolów używanych przez Irlandzką Armię Obywatelską — wydaje się ona sztuką *par excellence* lokalną i historyczną. Przedstawia tzw. Easter Rising, powstanie zaimprovizowane, chciałoby się powiedzieć, bardzo polskim trybem w r. 1916 i na kilka lat przed przyznaniem Irlandii niezawisłego bytu, stłumione przez Anglików najbardziej bezwzględnyymi metodami.

O'Casey spojrział na to wydarzenie jakby od dna, od poszycia. Ubogi dom czynszowy, jego lokatorzy, ich powiązania i animozje, troski i apetyty, odruchy i świadome czyny tworzą mikrokosmos, w którym odbija się makrokosmos narodowy. Nie jest to obraz pochlebiony, przeciwnie — ostro satyryczny. Irland-

czycy w jego ujęciu są podnieśliwi i próżni, zacofani i nietolerancyjni, zdradzają skłonność do frazesu i samoułudeń.

Powstanie, które daje asumpt do tej bogato wycieniowanej charakterystyki, jest ocenione równie surowo. O'Casey odsłania jego improwizacyjność i chaotyczność, nie tai nawet szabrownictwa. Ludzie są odheroizowani. Jedna z postaci, której uczucia osobiste wchodzi w tragiczny konflikt z zewnętrznym naciskiem atmosfery, która w powstaniowym tygodniu roni dziecko i traci męża, mówi o nim i jego towarzyszach: *they're afraid to say they're afraid* (boją się przyznać do tego, że się boją). Ale ukazawszy to w nagromadzeniu epizodów, które wiąże tylko miejsce i chwila, O'Casey odkrywa w ludziach utajone złoza ludzkości, dobroci i męstwa. Nie jest to koncesja sentymentalna. Przejmująca ironia poetycka i dramatyczna odsłania się zwłaszcza w postaci zieleniarki Bessie Burgess. Ta piekielnica, złodziejka, zwolenniczka Anglii, zaprzątnięta bardziej losem Belgii niż rodzinnej Irlandii zdradza nieprzewidziane rezerwy moralne i ginie — od kuli angielskiej.

Jeśli się zważy, że O'Casey napisał tę sztukę zaledwie w dziesięć lat po powstaniu, trzeba podziwiać jego odwagę artystyczną. Jego rodacy głośno demonstrowali na pierwszych przedstawieniach, ale nie zawahali się przywieźć „Pługa i gwiazd” na festiwal międzynarodowy, odbywający się w kraju niedawnych ciemnizycieli. Dość trudno sobie wyobrazić tę sytuację w przeniesieniu na nasze stosunki, np. podobną w duchu i ujęciu sztukę o powstaniu warszawskim.

Rzecz paradoksalna, że uniwersalizm drugiej, o dwa lata młodszej, sztuki O'Caseya „Juno and the Paycock” (1924) wydaje się o wiele mniejszy, choć jest to typowy *Familiendrama*, choć tutaj późniejsze od tamtych wydarzenia polityczne, bolesne rozbitcie wśród niepodległościowców irlandzkich w pierwszych latach wolnego istnienia, krwawe rozrachunki między nimi są cofnięte w tło głębne.

Najpiękniejszy, najbardziej odkrywczy wydaje się tytuł sztuki, stanowiący jej skrót metaforyczny. „Juno”, Junona jest to imionisko dublińskiej proletariuszki, które jej nadał mąż, bynajmniej nie uczony w mitologii, bo urodziła się w czerwcu (*June*), bo się z nią ożenił w tym miesiącu i jeszcze coś innego w nim się zdarzyło. „The Paycock” jest irlandzką, zniekształconą, „uludowioną” formą angielskiego słowa *the peacock* — paw. Te dwa wyrazy, zawarty w nich kontrast i przeciwieństwo streszczają całą sztukę.

Jej dwa bieguny tworzą „Juno”, matka-Irlandka, kobieta trzeźwa, ofiarna, dzielna, dźwigająca na barkach cały ciężar rzeczywistości, odpierająca wszystkie dociski losu i Jack Boyle, typowy

wy Irlandczyk, egoista i egotyk, mitoman, dekownik życiowy, wyzywający się w gadaniu, w bezustannym roztaczaniu pawiego ogona. (To przeciwieństwo często wraca u O'Caseya; kobiety są u niego ulepione z lepszej gliny: w „The Shadow of a Gunman” głośna, samochwalcza poza rewolucjonisty powoduje śmierć o wiele lepszej od niego dziewczyny).

Ośrodkiem zawikłania „Junony i pawia” jest dziedzictwo, które spada na rodzinę Boyle'ów, nawet „nie spada”, lecz majaczy na widnokręgu ich szarej egzystencji. Jeden raz pani Boyle nie sprawdza go swoim rozeznaniami, ale pochwytuje je wyobraźnią „kapitan” Boyle, bierze majak za rzeczywistość, pragnienie za spełnienie. I tym doprowadza rodzinę do ostatecznej ruiny i rozbicia. Słabością sztuki jest to, że klęska życiowa córki oszukanej przez pretensjonalnego i nieuczciwego amanta, a zwłaszcza śmierć syna, który utracił ramię w walkach o Irlandię i ginie z rąk przeciwników politycznych — dosyć mechanicznie wiążą się z główną perypetią i katastrofą.

Obie sztuki, zwłaszcza druga, były zagrane bardzo słabo, bez ostrości, bez właściwego O'Caseyowi bogactwa tonów, z tłumieniem, który w tym przypadku nie potęgował ekspresji. Zaważyło tu może to, iż przez lata te utwory nie były w repertuarze ich rodzinnego teatru. Od czasu, kiedy wyprowadził je pod światło sceniczne ten teatr bardzo zubożał, mimo że jest subwencionowanym teatrem państwowym (przyjazd do Londynu poprzedził strajk aktorów). Pozostał w tyle, stał się stojącą wodą. Zdziwiwały w nim pomyłki obsadowe zwłaszcza ról pani Boyle i Bessie Burgess, którą grała zupełnie na odwrót Eileen Crowe, aktorka szlachetna, najstarsza członkini zespołu, pamiętająca wczesne, bohaterskie lata The Abbey Theatre, kiedy był on nie tylko symbolem „odrodzenia irlandzkiego”, ale i szyldem tak sławnym na obu stronach Atlantyku, jak jest do dzisiaj (także już bez pełnego uzasadnienia) Moskiewski Teatr Artystyczny.

Prowincjonalne zapóźnienie szczególnie uderzało w kształcie plastycznym przedstawień irlandzkich. Należał on do przebrzmiałej konwencji realizmu mechanicznie kopiującego rzeczywistość na scenie, zamiast dokonywać w niej wyboru, artystycznie ją interpretować i komponować. Najwyraźniej Irlandczycy nic nie słyszeli o doświadczeniach polskiego neorealizmu i innych podobnych.

Teatr Współczesny z Warszawy

Na zaproszenie Polaków do uczestnictwa w festiwalu szekspirowskim zdecydowano się w jakiejś dalszej fazie przygotowań, które trwały dwa lata. Na pierwszej liście zaproszonych zespołów

figurował Berliner Ensemble ze wschodniego Berlina, lecz od chwili wzniesienia „muru Ulbrichta” nie ma on dostępu na wyspy brytyjskie. Celowość tej represji politycznej jest bardziej niż wątpliwa, ale w tej chwili obchodzi nas to, że odbiła się ona rykoszetem na Teatrze Współczesnym. Helena Weigel, wdowa po założycielu Berliner Ensemble, Bertoldzie, wniosła oficjalny sprzeciw, żeby Polacy wystawili w Londynie jego ostatnią czy jedną z ostatnich sztuk, „Karierę Artura Ui”, morderczy pamflet sceniczny o karierze Adolfa Hitlera.

Było to uderzenie bardzo bolesne. Sztuka Brechta liczy się do najbardziej udanych inscenizacji Teatru Współczesnego i do najlepszych ról Tadeusza Łomnickiego, który jest jedną z niespornych gwiazd aktorskich młodej generacji. Przedstawienie (ściślej mówiąc reżyseria założyciela i dyrektora Teatru Współczesnego, Erwina Axera) i rola tytułowa przeszły niezwykle próbę obcego zespołu i obcej widowni: zyskały sukces w Leningradzie. Także na Londyn był to wybór wyjątkowo wiele obiecujący, bo Wielka Brytania przeżywa w tej chwili falę zainteresowania Brechtem, oczywiście nie ideologiem, lecz dramatopisarzem, twórcą określonego stylu inscenizacyjnego i określonego stylu interpretacji aktorskiej. Wszystkie te rachuby zniweczył protest pani Brechtowej, w którym kompensacyjna gorliwość notorycznie niekochanej, notorycznie zdradzanej żony przemieszała się z urażoną ambicją i płaską zawiścią.

Teatr Współczesny musiał zastąpić „Karierę” czymś innym. Wybór padł na dwa jednoaktowe utwory Sławomira Mrożka „Czarowna noc” i „Zabawa”. Z partykularnego punktu widzenia była to zamiana na lepsze: obcego autora na własnego, wprowadzonej firmy na świeże nazwisko, już znanego stylu na styl nowy i oryginalny. Wśród polskich widzów potwierdziło się to w całej pełni. Tylko częściowo sprawdziło się u krytyków i widzów angielskich. Położyło się na polskim udziale gęstym cieniem.

Przyczyny tego są złożone. Teatr polski na terenie angielskim jest czymś egzotycznym, raczej barbarzyńsko niż atrakcyjnie egzotycznym; wiedzą o nim coś niecoś aktorzy, reżyserzy, krytycy, którzy znają Polskę. Teatrowi Współczesnemu brakło przysłowiowego łuta szczęścia, lecz ten brak pomnożyły własne pomyłki i zaniedbania. Zamiast skorzystać z dwuosobowej obsługi lektorów przekazujących na wewnętrzną sieć radiową jednoczesny przekład angielski, doskonalących się z dnia na dzień, przywieziono (czy zwerbowano) własnego lektora, który sam jeden podawał tekst i robił to z braku doświadczenia nieudolnie, z braku kultury prymitywnie. Mrożek, dramaturg na wskroś intelektualny, nie przebił się przez barierę języka, po prostu nie dotarł do wrażliwości obcych widzów. Fredro, najpoetyczniejszy z naszych komediopisa-

rzy (takie uroki stylu można jeszcze spotkać tylko u Zabłockiego), przepadł w infantylnie rymowanym przekładzie skleconym pośpiesznie z dziś na wczoraj. Z Mrożka chwymano tylko zewnętrzne układy sytuacyjne, które najnieśluszniej w świecie wydały się popłuczyną po Ionesco i Pinterze. Fredro przemówił tylko zewnętrzną, stylową malowniczością, co mimo wszystko było mniejszym złem.

A bez szowinizmu, wpadania w dyszkont pliszki chwającej swój ogon, wolno stwierdzić, że wkład polski był lub przy bardziej sprzyjających okolicznościach mógł być w kontekście festiwalu czymś znaczącym.

Przede wszystkim — Mrozek. Jest to chyba najwybitniejsza indywidualność, jaka objawiła się w dramacie polskim od końca wojny. Jest to humorysta pełen wewnętrznej powagi, gorzkiej zadumy nad światem i życiem. Jest to świetna, ostra, odkrywczą inteligencja artystyczna i inteligencja *tout court*. Dowodzą tego dwie jednoaktowe sztuki „Czarowna noc” i „Zabawa” (nawiasem mówiąc *menu* trochę za chude w porównaniu z trzygodzinnymi przedstawieniami Mchatu) — odmienne od siebie, a noszące znak jednej, już pewnej i jeszcze wiele obiecującej ręki.

Polskich widzów poruszyła bardziej „Zabawa”. Już na premierze komunałem stało się zestawienie tego utworu z „Weselem”, rozgorzały spory o jego interpretację i, co ważniejsze, powszechne było doznanie zbiorowego wstrząsu, którego nieczęsto doświadcza się w teatrze. Ostatnie słowa sztuki: „Ludzie, ludzie, gdzie się bawią?” — uskrzydliły się w tej samej chwili, w której padły ze sceny, w tej samej chwili weszły w obieg jak tyle cytat z pamiętnej prapremiery „Wesela”.

Po wierzchu rzecz biorąc nie ma do tego żadnych powodów. „Zabawa” jest utworem do ostateczności ascetycznym, świadomością pozbawioną efektywności. Trzej oznaczeni tylko literami „parobcy”, którzy przybyli na wesele, nie znajdują oczekiwanej zabawy. Cała sztuka jest dialektyczną analizą tego faktu, jest przełamaniem go w pryzmacie trzech wrażliwości, trzech temperamentów. Toczy się to w dialogu do ostateczności oddziwnionym, najbardziej szaro, płasko kolokwialnym:

- Ty nie myśl, nie daj się.
- Tak sobie myślę, co oni do nas mają.
- Nie myśl, mówię ci.

A przecież spoza słów wybrzmiewa przejmująca muzyka, wysuwa się z nich desperacki, choć po męsku powściągliwy wniosek, że nie ma „zabawy”, nie ma sensu, nie ma składu, nie ma idei przewodniej — co kto woli i jak kto daleko sięga — w wymiarze metafizycznym, w aktualnym momencie rozwojowym naszej kul-

tury czy tylko w dzisiejszej Polsce (tym „Zabawa” różni się od „Wesela”, że dopuszcza takie wielostopniowe rozumienie, że ma wydźwięk uniwersalny). Dawno już w sposób tak prosty, tak dotkliwie celny, tak nieodparty artystycznie nie powiedziano tak wstrząsającej prawdy.

W przeciwieństwie do „Zabawy” druga sztuka składająca się na *double-bill* mrozkowy w Londynie, „Czarowna noc”, ma mniejszy ciężar gatunkowy. Wyrosła ona z przenikliwej obserwacji satyrycznej, którą znamy ze „Słonia” i z „Wesela w Atomicach”, połączonej z błyskotliwym intelektem. W dwóch podróżujących urzędnikach, w stylu ich bycia i obcowania, w otaczającym ich tle rozpoznajemy znajome realistyczne szczegóły. Nabierają one niespodzianej, zabawnej wymowy przez pomysł że przygodni mieszkańcy wspólnego pokoju hotelowego śnią także wspólny sen, jeden sen na dwóch. W świetle tego snu widzą siebie inaczej niż w świetle dziennym, pod jego narkozą mówią do siebie i o sobie rzeczy, których by nigdy nie zaryzykowali na jawie. W tym uroczym drobiazgu jakby podały sobie ręce satyra i psychoanaliza.

Sztuka klasyczna, przedstawiona przez Teatr Współczesny, „Dożywocie” Fredry, sprawdziła się nieporównanie lepiej niż np. „Clavigo”. Wprawdzie klepano galicyjskiego hrabię po ramieniu, wypominając mu zależność od Moliera i Goldoniego, ktoś nawet dojrzał w nim skrzyżowanie Moliera... z Feydeau. Ale w obcym rezonatorze jego komedia zabrzmiała jak wesoly, egzotyczny *carillon*, na obcej scenie zaświeciła nadszpodziewanym blaskiem. Humor, walor ludzki najbardziej nieodporny na czas i źle, jak pewne subtelne wina, znoszący transport, okazał swoją trwałość poza czasem i przestrzenią, w których się narodził. To co ktoś określił jako „myślenie akcją” u Fredry, obroniło utwór nawet odarty z urody malowniczego, giętkiego dialogu (nie najlepiej, w każdym razie nierówno, mówionego po polsku i fatalnie przełożonego na angielski).

— O Leońciu, mój klejnocie,
Ratuj moje dożywocie! —

Łatka śmieszyl, bawił swoimi perypetiami z „Leońciem” Birbanckim i z odkupioną od niego za psie pieniądze dożywotną pensją. Bawił, śmieszyl tym skuteczniej, że nowa inscenizacja Jerzego Kreczmara uniknęła pokusy dramatyzowania i stylizowania. Na tym Fredrze nie „straszyło Gorkim”, na co skarżył się pewien krytyk krakowski u początku stulecia. Nie straszyło eksperymentatorstwem, od którego Fredro nie mało cierpiał bliżej naszych czasów. Łatkę grał fenomenalny, na wskroś nowoczesny, młody aktor Łomnicki. Jego bogactwo środków nasuwało porównanie z

Robertem Hirschem. Tylko że Łomnicki nie tłumił innych swoją wirtuozerią. Obok niego błysnęli: kontrastową ekonomią wyrazu i skupieniem charakterystyki Tadeusz Fijewski jako Twardosz, barwnie kontuszowy Orgon (Tadeusz Surowa) i świetny Filip (Mieczysław Czechowicz).

Wykonanie aktorskie sztuk Mrożka zwłaszcza „Zabawy” (Czechowicz, Michnikowski, Surowa), prowadzone przez inteligentnego reżysera Konrada Swinarskiego, stało jeszcze wyżej przez jednolitość stylu, koncentrację nastroju, ostrość konturu obrysowującego każdą postać.

Oba przedstawienia polskie — czego niestety nikt nie zauważył — były starannie przemyślane pod względem scenograficznym (Ewa Starowieyska). Nie były efektowne i efekciarskie, nie rzucały się w oczy, bo też i żadna z trzech sztuk nie dawała większego pola do podpisu, lecz praktycznie rzecz biorąc tylko na tych przedstawieniach można było mówić o scenografii nowoczesnej.

Grecki teatr sztuki

Z wszystkich pozycji programu festiwalowego „Ptaki” Arystofanesa wzbudzały chyba największe oczekiwanie, bo to i utwór najstarszy, urodzony o świcie teatru europejskiego, i utwór niezależnie od swojej dawności, przynależności do zamierzchłej konwencji teatralnej, najtrudniejszy jako zadanie realizacyjne. Z malowideł na wazach wiemy to i owo jak wyglądali aktorzy komedii staroattyckiej, nie wiemy nic lub prawie nic, jak wyglądał, jak sobie poczynął chór, drugi obok aktora, równie ważny, może ważniejszy bo starszy jej element składowy. Nie ma tu więc pokusy i nie ma możliwości rekonstrukcji archiwalnej, która w teatrze bywa z reguły czymś martwym. Jest tylko możliwość konstrukcji twórczej, wyprowadzenia formy teatralnej ze słów tekstu i z własnej wyobraźni. Dyrektor ateńskiego Teatru Sztuki, Karolos Koun dodaje: i z ziemi, która przed przeszło dwoma tysiącami lat zrodziła ten teatr i żywi ciągle współczesną wyobraźnię twórczą.

„Ptaki”, które pokazał w Londynie, można by określić jako skrzyżowanie *musicalu* z widowiskiem folklorystycznym w rodzaju „Mazowsza”, „Śląska” i dziesiątka podobnych mnożących się zwłaszcza w demokracjach ludowych. Można by się z tym zgodzić, choć stara komedia attycka, zwłaszcza w pojęciu Arystofanesa była gatunkiem bez porównania wyższym, niż dzisiejsza komedia muzyczna, stała chyba bliżej Brechta, bliżej „Mahagonny” czy „Dreigroschenoper”, niż „West Side Story”, choć najpewniej była widowiskiem utrzymanym w konwencjach świadomego artyzmu, a nie spontanicznym czy „ucywilizowanym” folklorem.

Można by — powtarzam — przyjąć koncepcję Kouna, gdyby ją urzeczywistniono przy użyciu lepszych jakości artystycznych.

Żeby zacząć od wierzchu, nie dorósł do zadania scenograf Yannis Tsarouchis, związany ze szkołą paryską i współpracujący z Operą Królewską w Londynie. Kompozycja przestrzeni przypominała bardziej teatr jarmarczny, teatr *commedia dell'arte*, nie teatr grecki: składała się z odkrytych pomostów, podestów i schodów, z jutowych opon zawieszonych na drągach w czarnym jak noc (dlaczego?) tle głębym. Pod koniec widowiska tego zgrzebnego ubóstwa dopełniły festony z kolorowych trójkątów płótna i... nagich żarówek elektrycznych. Był to nie szok anachronizmu, lecz przejaw złego smaku. Również rozwiązanie kostiumowe uderzało ograniczoną pomysłowością plastyczną i kolorystyczną. Zasadniczy strój ptaków stanowił cielisty trykot z brązowymi sutkami i przeważnie te same, takie same strzępiaste pióra na głowie, u ramion i u nasady krzyża. Z zabójczą monotonią powtarzały się tekturowe okulary, odróżniające wszystkie ptaki od ziemian. Ludzie byli przybrani w przykuse chitony, znane z malowideł na wazach (oczywiście bez monstualnych fallusów, które były czymś zwykłym, bo stosowanym również w dramacie satyrowym, dla greckiej konwencji obyczajowej, są czymś nie do pomyślenia dla naszej). Ale i tu idąc za najpewniejszym wzorem plastik pozwalał sobie na niewczesną Offenbachiadę, gdy dyplomacie ateńskiemu kazał nosić pierog z pióropuszem i monokl. Raziło niekonsekwencją przybranie w maski tylko bogów, i to maski przypominające karnawał nicejski, zbyt wielkie w proporcji do ciała, jaskrawe, brzydkie i trywialne. W sumie aspekt plastyczny „Ptaków” należy ocenić na trójkę z minusem.

Trójka z plusem przypadłaby choreografii. Wyobrażenie o niej dają nasze zespoły w rodzaju „Mazowsza”. Autentyczny materiał folklorystyczny przystosowano tu dla celów widowiskowych, raz przechylając się w stronę baletu (taniec słowiczki), drugi raz więznąc w jednostajności układów tanecznych. Ale ten składnik zalecał się, często czarował, największą świeżością wykonawczą, bo chór ptasi tworzyli młodzi adepci czy młodzi terminatorzy teatralni, pełni zapału, żaru, ofiarności.

Poniżej plastyki i choreografii stała oryginalna muzyka Manosa Hadżidakisa, który dał się poznać ilustracją do rozslawionego ponad zasługę filmu „Never on Sunday”. Jest to partytura naznaczona łatwą melodyczną i harmoniczną. Ona rozstrzyga o wrażeniu, że z Arystofanesa zrobiono amerykański *musical*, pomnażając grono męczenników mody, w którym są i Shaw i Dickens i nawet Wolter.

Cała inscenizacja nasuwała niekiedy skojarzenie z „Iliadą”

tłumaczoną chłopskim dialektem. Była przesadnie sprymityzowana, jeszcze bardziej uproszczona niż w ateńskim teatrze Dionizosa. Np. Koun nie użył ani razu *mechané*, maszyny powietrznej, która już w tym teatrze sprowadzała niebian z obłoków na ziemię; w ten sposób odebrał widowisku rys baśniowej cudowności. Zataił w znacznej mierze swoistą, niepodobną do niczego strukturę komedii staroattyckiej, podział na partie aktorskie i chóralne, przeciwstawne w nastroju, mieszające statykę z ruchem, groteskę, beczelny dowcip, szorstki, nawet wulgarny humor z najczystszym liryzmem, bufonerię z grą wyobraźni i problematyką polityczną, społeczną, filozoficzną. Widowisko wydawało się często źle rozplanowane w przestrzeni, nieprzejrzyste i chaotyczne, co zresztą mogło być spowodowane przeniesieniem oryginalnej inscenizacji z rodzimego podłoża na staroświecką, ciasną salę teatru Aldwych. *Summa summarum* trudno było zrozumieć dla czego to przedstawienie otrzymało w r. 1962 po Chr. pierwszą nagrodę w Paryżu, jak i to dla czego jego prototypowi w Atenach przypadła w r. 414 przed Chr. tylko druga nagroda.

Jest to partytura dramatyczna ciągle pełna nieodpartego uroku. Arystofanes, jak Kazimierz Wierzyński, znał się na ptakach i odczuwał je poetycko (nie wszystkie wprowadzone przez niego gatunki zdołano zidentyfikować). Miał twórczą wyobraźnię idącą w parze z werwą satyryczną, powiedzmy Adolfa Nowaczyńskiego. Sporo z tej werwy zwietrzało (Koun transponując „Ptaki” na język nowogrecki opuścił wszystkie zaczepione w nich nazwiska, które w angielskim przekładzie Gilberta Murraya tworzą wcale spory słownik). Sporo aluzji zgłuchło na zawsze. Ale to co z tej sztuki ostało się mimo działania czasu, każe ją odczuwać jako coś zrozumiałego, bliskiego, pociągającego. Dzisiejszy widz w równym stopniu jak jej autor widzi w niej odwet i ucieczkę, sztukę, która osądza otaczającą rzeczywistość i wyzwala z jej ucisku zuchwałym zakłębieniem fantazji. Ptasie miasto, Nefelokokkygia, „Chmurokukułków” (według młodopolskiej ale pięknej i ciągle żywej wersji polskiej Józefa Jedlicza), powstające między niebem a ziemią w czasie akcji „Ptaków” — jest przedmiotem także naszej tęsknoty. Peisthetarios („Radzidruh” Jedlicza), prze-myślny Ateńczyk, przedstawiciel ateńskiego zdrowego rozsądku jest po trochu naszym *porte-parole*, gdy mówi o „zacisznym i spokojnym mieście, mieście jak dywanik, na którym można by się położyć, zwinąć w kłębek i nie czuć kłujących cierni...”.

Moskiewski Teatr Artystyczny

Zatarg teatralny w bloku wschodnim, spór o „Artura Ui”

między warszawskim Teatrem Współczesnym a Berliner Ensemble, wyszedł na szkodę Polakom, na korzyść Moskiewskiemu Teatrowi Artystycznemu. Pierwotnie Polacy, jak wszyscy inni uczestnicy festiwalu, nawet ci, którzy przyjechali tylko z jedną sztuką (Włosi i Grecy) mieli wypełnić dwa tygodnie. Po niespodzianym zawodzie ze sztuką Brechta skrócili sami czy też skrócono im jednym czas pobytu do tygodnia. Drugi „zbywający” tydzień przypadł Rosjanom. W następstwie tych okoliczności grali oni najdłużej ze wszystkich i największą ilość sztuk, bo aż trzy: „Martwe dusze” Gogola, „Wiśniowy sad” Czechowa i „Kremłowskie kuranty” Pogodina.

Ten ciąg był pouczającym *descrescendo*, linią spadającą z niebardzo znacznej wysokości, lecz za to w zawrotny niż artystyczny. Nastawiwszy się krytycznie wobec pierwszego widowiska („Martwe dusze”), oceniwszy je w skali bezwzględnej, trzeba było po ostatnim („Kremłowskie kuranty”) przeprowadzać autorewizję własnych wrażeń w skali względnej. W niej Mchat jest bardziej wielką tradycją niż wielką aktualną rzeczywistością, jest wspaniałym muzeum a nie żywym warsztatem twórczym. Ostał się w nim pomimo naporu czasów poziom aktorski, sztuka reżyserska i to w podwójnym znaczeniu: jako cyzelerstwo psychologiczne i jako kompozycja scen zbiorowych. Zwietrzała w nim bez reszty scenografia, wszystko to, co jest o wiele już epok przedawnionym dziedzictwem naturalistycznym. Z dwóch klasycyzmów teatralnych: Komedii Francuskiej i Teatru Moskiewskiego, pierwszy — retoryczny, deklamacyjny, koturnowy — jest o wiele bardziej „klasyczny”, łatwiejszy do przyjęcia, niż drugi, ciągle ambicionujący na punkcie niewolniczego — zawodnego i bez nadziejnego — imitowania rzeczywistości.

Trzy pozycje rosyjskie rozdzieliły się zaskakująco: Gogol jest, mimo braków, imponującym widowiskiem, Czechow wspaniałą sztuką, Pogodin naocznym zaprzeczeniem jednego i drugiego w stopniu, jakiego by się nie oczekiwało na pokazie festiwalowym.

Wobec „Martwych dusz” doświadcza się podobnego działania dystansu historycznego jak wobec „Tartuffa”. Oglądając arcydzieło Gogolowskie w teatrze z pewnym zdumieniem przesuwają się z pamięci słowa Hercena: „Okrzyk zgrozy i wstydu, który wydaje człowiek upodlony przez nikczemne życie, gdy nagle zobaczy w zwierciadle swoją zbydloną gębę”. Winę za to, że przytoczone zdania wydają się przesadne, ponosi proces przeniesienia utworu z kart książki na deski sceniczne, proces transpozycji prozy opowiadającej na dzieło teatralne. Dzieli tę winę, choć w mniejszym stopniu, sam teatr.

Dramatyzacja „Martwych dusz” jest robotą nieporadną, w

istocie swojej niedramatyczną. Składa się z długiego szeregu mechanicznie połączonych epizodów, dotkniętych nieuchronną monotonią, ponieważ spora ich liczba powtarza ten sam schemat: oferta zakupu „martwych dusz” (zmarłych chłopów pańszczyźnianych) składana przez Cziczikowa — targ — dobicie targu. To co w tekście opowiadania ma perspektywę głębłą, groźną poezję, na scenie odsłania się jako nagi kościec.

Teatr (trudno powiedzieć czy wielki Stanisławski, założyciel Mchatu i reżyser „Martwych dusz” przed 30 z górą laty, czy jego następcy, konserwatorzy i renowatorzy jego dzieła) stępił ostrze tej okrutnej, jednej z najokrutniejszych, najbardziej przerażających satyr, na jakie zdobyła się wyobraźnia pisarska. W wielu epizodach satyra przechyliła się w stronę prawie dobrodusznej, aż nazbyt kolorowej, zabawnej malowniczości. Niektórzy Anglicy odczuwali „Martwe dusze” jako *high comedy*, co może tłumaczy się właściwością ich temperamentu. Trzeba bezstronnie przyznać, że kilka scen, zwłaszcza łotrowski targ między Cziczikowem a Sobakiewiczem miał coś z grozy walki dwu rekinów, dwu krabów o spotworniałych szczypcach. Ta i podobne sceny wskazują czym „Martwe dusze” powinny być lub czym może były, zanim zmieniły się w eksponat teatralny pieczołowicie przechowywany — o paradoksie! — przez państwo rewolucji proletariackiej.

Inna rzecz, iż ten eksponat do dziś dnia jest zdolny zadziwiać i zachwycać. Scena pierwszego spotkania między gubernatorem a Cziczikowem, między zdzieciniałą próżnością i lisim sprytem, przywodzi na myśl duet skrzypcowy grany przez Menuhina i Ojstracha-seniora, utkany z najbardziej precyzyjnych utrafień i najdelikatniejszych muśnięć. Takich scen, epizodów, krótkich spieć, dłuższych fraz aktorskich jest sporo — obok zakończenia, zagrane go byle jak i byle pędzej.

Majsterstwem innego wymiaru jest scena balu u gubernatora, dramatycznie właściwie zbędna, służąca jako tło do poznania gubernatorówny przez Cziczikowa, lecz teatralnie stanowiąca szczyt reżyserii tłumów; tłum tancerzy porusza się tu z precyzją szwajcarskiego mechanizmu zegarowego czy z tajemną precyzją organizmu. Ten efekt jest magicznie podwojony, gdy w parę sekund po scenie balowej patrzymy na bankiet, w czasie którego kilkadziesiąt osób przy dwóch stołach ustawionych pod kątem ostrym biesiaduje w taki sposób jakby siedziały przy nich od wielu godzin.

„Wiśniowy sad”, ostatnia, krótko przed śmiercią skończona sztuka Czechowa, na rocznicowym festiwalu londyńskim obchodziła swoje 60-lecie. Jest to komedia o końcu pewnego ogrodu, pewnego dworu, pewnej klasy, pewnego stylu życia, można by

powiedzieć — komedia o końcu świata. A także o początku innego. Rozumiano ją i odczuwano ją rozmaicie. Jako sztukę pesymistyczną i sztukę optymistyczną. Twierdzono, że Czechow „stoi po stronie” Raniewskiej, Gajewa i wiernego sługi, nieuleczalnego niewolnika Firsy. Marksisci oczywiście twierdzą, że „stoi po stronie” nowych ludzi, Łopachina, Trofimowa i młodziutkiej Ani. Wszystkie te podziały opinii i spory najoczywściej nie mają sensu. W „Wiśniowym sadzie” Czechow spojrział na świat niemal z boskiej perspektywy, jakby *de l'au delà*. Osiągnął w tym przedśmiertnym dziele obiektywizm prawie nadprzyrodzony, dystans miłującego, przebaczącego humoru. Osiągnął też szczyt artystycznej równowagi: w tej wieloosobowej sztuce, utkanej z pajęczynowej siatki uczuć, nie ma (może poza niemiecką guwernantką Charlottą Iwanowną) ani jednej zbędnej postaci, ani jednej zbędnej sytuacji, ani jednego zbędnego słowa — jak w doskonałym wierszu.

Należy stwierdzić, że Mchat nie narzuca temu arcydziełu, jednemu z najbardziej niespornych arcydzieł dramatycznych, żadnej sztucznej, z góry powziętej interpretacji. Chyba żeby za makiawelizm artystyczny uznać to, iż ostatnią posiadaczkę wiśniowego sadu panią Raniewską i jej lekkomyślnego brata Gajewa grają niedobrzy lub nienadający się do tych ról aktorzy, gdy Łopachin, przedstawiciel nowego świata, nabywca sadu i stojącego w nim dworu, syn chłopski, wnuk pańszczyźnianego chłopa, reprezentujący nie sentymentalny i bierny, lecz praktyczny i zdobywczy stosunek do rzeczywistości, ma świetnego odtwórcę. Dziwi to w teatrze takiej rangi jak Mchat, ale ostatecznie można mieć wątpliwości czy wykonawca roli Tartuffa, grający ją z tytułu starszeństwa (co prawda o kilka klas lepiej) był idealnie dobrany.

Dwa braki, dwa słabe punkty w obsadzie „Wiśniowego sadu” groziły zachwianiem równowagi artystycznej. Może najbardziej zdumiewające jest to, że jakoś do tego nie doszło, sztuka utrzymała się na powierzchni dzięki odkryciu i marocie Stanisławskiego — grze zespołowej. Obsada tego stosunkowo słabego wcielenia „Sadu” jest tak zgrana, jak obsada samolotu bojowego. Funkcjonuje jako całość i jako całość odnosi sukces, co prawda *un succès d'estime*.

Nie można tego powiedzieć o trzecim przedstawieniu Moskiewskiego Teatru Artystycznego i ostatnim przedstawieniu festiwalu — o „Kremlowskich kurantach” Mikołaja Pogodina, mimo że program informuje że ich pierwszym reżyserem w r. 1942 był Niemirowicz-Danczenko. Trudno sobie dziś wyobrazić co myślał i czuł ten partner Stanisławskiego, współinspirator, współtwórca wielkości Mchatu, gdy przyszło mu wziąć do rąk ten utwór urągający jego pojęciom o sztuce. Nawet nie całkiem można odtwo-

rzyć co z tego utworu teatralnie zrobił, jeśli później parało się nim aż czterech innych reżyserów (brakuje tylko jednego do przysłowiowej szóstki kucharek), jeśli uległ on takiej samej czystce jak mauzoleum na Kremlu i jaką praktykuje się w muzeum figur wojskowych Madame Tussaud i w Musée Grevin. W r. 1956 wyeksmitowano Stalina i sztuka nic na tym nie straciła po prostu dlatego, że nie miała nic do stracenia.

Biorąc rzecz w kategoriach zachodnich jest to sztuka niewiarygodna. W porównaniu z nią „Kościuszko pod Racławicami” i „Obrona Częstochowy”, rozmaite „bomby” z warszawskich teatrów ogródkowych w drugiej połowie XIX w. rysują się jako niebotyczne szczyty arcyzmu. Autor, dziennikarz z zawodu, propagandysta z zamiłowania, składa tu dowody najgorszego smaku i zupełnej nieporadności technicznej. Utwór (zresztą środkowy człon trylogii) jest miszkulacją wątku miłosnego, problematyki społeczno-politycznej i wreszcie topornie prostackiej symboliki (kurant z międzynarodówką w Kremlu). Te wszystkie ingredience ma łączyć osoba Lenina. Sztuka o romansie przystojnej panny Zabielinej z marynarzem Rybakowem, o biernym oporze jej ojca, inżyniera-specjalisty od budowy elektrowni, przeciw rewolucji październikowej i o naprawie dzwonów na Kremlu — jest pomyślana jako apoteoza wodza tej rewolucji. Ktoś dowcipnie powiedział, że jest on skrzyżowaniem Woltera, Napoleona, Billy Grahama i Baden-Powella, ale przy tym wszystkim nie ma ani krzty życia, ani jednej hemoglobiny. Jego zjawienie się jest prawie tak samo opóźnione jak i zjawienie się Tartuffa, lecz nie wywiera żadnego wrażenia. Pogodin robi z niego dobrą wrózkę i króla Maciusia z bajki, każe mu się zajmować kłopotami sercowymi wiernego rewolucjonisty, polowaniem na kaczki i flirtem z wiejskimi bachorami, nawracaniem opornego inżyniera i elektryfikacją Rosji, a także między nocną pogwarką z tramwajarzami i dyskusją z pisarzem zachodnim — owymi dzwonami i kuran-tami z tytułu sztuki. Wśród tych urozmaiconych zajęć oczywiście nie zaprzestaje ani na chwilę apostołskiej propagandy marksizmu-leninizmu. Reszta postaci jest z takiej samej nieoczyszczonej celulozy, z miazgi drzewnej służącej do produkcji papieru. Wśród niezliczonej ilości scen, które wyglądają jak pomieszana talia kart płaczą się one jak pomieszane lalki z teatru kukiełek.

Realizacja sceniczna tego pod-utworu jest najgorszym wyobraźalnym przedstawieniem, w każdym razie jednym z najgorszych przedstawień teatru zawodowego, jakie widziałem w życiu. Nawet forta Mchatu, tak uderzająca w opisanych scenach w Gogolu, tutaj zawodzi. Scena zbiorowa, otwierająca „Kremlowskie kuran-ty” jest sztuczna, chaotyczna, a przez wysunięcie na przód sceny robi wrażenie panopticum. W całej sztuce zagranej przez pierw-

szy zespół teatralny Rosji nie ma ani jednej prawdziwej figury, ani jednego akcentu prawdy artystycznej. Jest to naoczna demonstracja w jakiej mierze teatr, który jest czymś innym niż literatura, zależy od literatury.

Prawdy artystycznej nie zastępuje oczywiście prawda realiów: do zupełnego złudzenia wystudiowana masła Lenina, trójwymiarowe drzewa i pomniki, dymiący samowar itp. To wszystko jest nieważne, często nieznosne, na szerokim świecie dawno złożone do lamusa.

Można o „Kremlowskich kurantach” powiedzieć, że obnażyły one wczorajszłość, anachroniczność Moskiewskiego Teatru Artystycznego w sposób, w jaki nie potrafiłaby tego zrobić najzjadliwsza krytyka. Można jeszcze dodać, że stanowią one artystyczny majstersztyk antypropagandy wykonany z rozbrajającą naiwnością. Zdołała ona rozbroić nawet angielski *understatement*.

Wnioski końcowe

W ogólnym rachunku festiwal szekspirowski był mniejszym osiągnięciem niż można było oczekiwać po jego programie. Znalazły się w nim pozycje poniżej festiwalowego, reprezentacyjnego poziomu, nawet poniżej jakiegokolwiek poziomu.

Trzeba jednak stwierdzić, że sama idea festiwalu międzynarodowego nie jest czymś niespornym. Zakłada ona, że każdy teatr, każdy zespół można przenieść z jego przyrodzonego podłoża w każde inne, dowolnie wybrane, wstawić w inną przestrzeń rezonansową, w odmienny mechanizm sceniczny. Tymczasem teatr rośnie z ziemi i oddycha jej powietrzem, jest zrośnięty nie tylko z zapleczem swojej mowy, ale i ze swoim podścieliskiem materialnym. Pewnych udziałów w festiwalu nie można w pełni ocenić, np. inscenizacji „Ptaków”, która prawdopodobnie okaleczała przez przeniesienie z teatru plenerowego, że sceny-platformy na szczupłą scenę pudełkową. Bardzo być może, że wbrew wędrownym początkom, mitycznemu wozowi Tespisa, wozom średnowiecznego misterium, które w odpowiedniej kolejności podjeżdżały od jednej grupy widzów do drugiej, cygańskiej sztuce komediantów *dell'arte* — teatr w naszej epoce jest czymś przywiązany do miejsca. Bardzo być może, iż trzeba do niego pielgrzymować jak się pielgrzymuje do Bayreuth czy Salzburga, a nie wozic go z miasta do miasta i z kraju do kraju. Być może, iż w świecie wprawionym w ruch, który pochwycił na swoje pasy transmisyjne Wenus z Milo, Giocondę i Pietę Michała Anioła, teatr jest fenomenem wkorzenionym w ziemię, jak drzewo.

Gdziekolwiek jest słuszność w tej sprawie, festiwal londyń-

ski był pożyteczną, instruktywną, często pobudzającą konfrontacją. W jej świetle dokonały się znamienne rewizje.

Pewne znane firmy, przede wszystkim The Abbey Theatre, okazały się nazwami z już szczątkową treścią. Inne pod krytycznym, a nie nawykowym, snobistycznym spojrzeniem wiele straciły na swojej wadze, np. Moskiewski Teatr Artystyczny.

I na odwrót niektóre teatry narodowe zyskały na porównaniu. Dotyczy to ruchu teatralnego w Anglii, mimo jego skomercjalizowania, mimo że opieka społeczna dopiero w niewielkiej mierze umożliwia artystyczne planowanie. Dotyczy to również udziału polskiego, choć nie został on przez obserwatorów i krytyków z przyczyn, o których była już mowa, w pełni dostrzeżony i doceniony. Dość powiedzieć, że ani jeden zespół nie pokazał dekoracji unitarnej, ciągłej, która ukształtowała się w Anglii pod naciskiem wymagań stawianych przez dramat szekspirowski. Żaden nie pokazał nowoczesnej scenografii na poziomie polskim, choć był to jeden z *handicapów* niezawinionych przez Teatr Współczesny, że oba jego wkłady nie stworzyły sposobności do pełniejszego przedstawienia naszych osiągnięć w tym zakresie. W ogóle festiwal zdradził brak wrażliwości krytyki na plastyczny kształt przedstawień, prowadził do wniosku, że kultura scenograficzna gospodarzy i większości przybyszów jest jeszcze ciągle niezbyt odległa od punktu zerowego.

Ustawienie hierarchiczne tak różnolitego materiału, jaki złożył się na festiwal londyński, jest bardzo trudne. Nasuwa ono trudności, nawet gdy materiał zamyka się w obrębie jednego kraju. Dlatego niektóre pisma angielskie, porywające się raz do roku na taką kwalifikację, przeprowadzają ją według pewnych wyodrębnionych kategorii: „najlepsze przedstawienie”, „najlepsza reżyseria” itp. Oto próba zastosowania tej praktyki do festiwalu szekspirowskiego.

Najambitniejszy, najtrudniejszy jako zadanie teatralne utwór klasyczny: „Ptaki”. Najwybitniejszy dramatopisarz współczesny starszego pokolenia: O’Casey („The Plough and the Stars”). Najciekawszy, najbardziej obiecujący dramatopisarz współczesny młodszego pokolenia: Mroźek, zwłaszcza jako autor „Zabawy”.

Najwyższy kunszt słowa scenicznego: oczywiście i niespornie Komedia Francuska. Najwyższy kunszt aktorski, mimetyczny: mimo wszystko Moskiewski Teatr Artystyczny.

Najlepsza, nainteligentniejsza reżyseria kameralna: Teatr Współczesny (Swinarski — „Zabawa”). Najlepsza reżyseria psychologiczna: Schiller Theater (Kortner — „Andorra”). Najlepsza reżyseria scen zbiorowych: Moskiewski Teatr Artystyczny („Mar-twe dusze”).

Najlepszy, najpełniej zgrany, najbardziej wyrównany zespół:

trzyosobowa obsada „Zabawy”. Najlepsza rola indywidualna: może Gribow jako Sobakiewicz, Staniszyn jako Gubernator w „Martwych duszach”, Białokurow jako Łopachin w „Wiśniowym sadzie”.

Jak z tej szkicowej tabeli wynika, w kwalifikacji na punkty, z upodobaniem stosowanej w szkołach angielskich, Polacy otrzymaliby jedną z bardzo wysokich lokat. Ale trzeba powiedzieć, że nie jest to niestety *consensus* powszechny, nie jest to zwłaszcza ocena, którą można by w całej rozciągłości poprzeć głosami krytyki angielskiej. Wobec przybyszów z Warszawy zachowywała się ona często pobłażliwie, protekcyjnie, a nawet arogancko (arcysnob Harold Hobson z „Sunday Times” padający plackiem przed wszystkim co francuskie, znajdujący słowa wyrozumienia nawet dla „Kremlofskich kurantów”, który zdyskwalifikował Teatr Współczesny po jednym przedstawieniu). Zaważyła na tym ignorancja, szablon myślenia, nawyki i coś jeszcze, co nas prowadzi do „tabeli negatywnej”, tabeli ze znakiem minus.

Największa ilość błędów organizacyjnych i technicznych, dopełniająca braku szczęścia: Warszawski Teatr Współczesny. Najgorsza sztuka i najgorsze przedstawienie festiwalu: „Kremlofskie kuranty” Pogodina. „Klasyk” najbardziej wątpliwy dramatycznie i scenicznie: „Clavigo” Goethego.

Przechodząc od tych szczegółowych kwalifikacji do najogólniejszego konturu, należy stwierdzić, że festiwal ku czci Szekspira wywołał wielkie zainteresowanie nie tylko wśród grup narodowych osiadłych w Londynie, emigracji zarobkowych (grecka, włoska, irlandzka) i emigracji politycznych (niemiecka, polska, nawet szczątkowa rosyjska), lecz także wśród szerokiej publiczności angielskiej. Nazajutrz po zakończeniu podniosły się głosy, że taka olimpiada teatralna powinna się stać instytucją stałą, roczną. Jest to o tyle godne uwagi, że festiwal szekspirowski był przedsięwzięciem prywatnym impresaria Petera Daubeny pod patronatem tygodniowego pisma „The Sunday Telegraph”. Nie znam bilansu kasowego, lecz wiele wskazuje, że mimo kosztowności (wszystkie zespoły przywiozły z sobą wszystko od peruk i kostiumów do dekoracji i mebli, w sumie wyposażenie do 14 sztuk) festiwal był imprezą dochodową lub co najmniej samowystarczającą.

Teatralnie Anglia — opiewany przez Szekspira „klejnot srebrzystych mórz” — przestała być wyspą.

Tymon TERLECKI

Nowości

TOM XCVI

MAREK HŁASKO

WSZYSCY BYLI ODWRÓCENI
BRUDNE CZYNY

Marek Hłasko, dotąd celujący w „małych formach” okazuje się również świetnym powieściopisarzem.

Str. 356

Cena egz. 16,50 F (dol. 3,50; 24/6)



TOM XCVII

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

KUFER NA PLECACH

Jubileuszowy tom, obejmujący 70 nowych wierszy z okazji 70-ciolecia urodzin zawsze młodego poety

Str. 104

Cena egz. 7,50 F (dol. 1,75; 11/6)



TOM XCVIII

BOGDAN CZAYKOWSKI

SPÓR Z GRANICAMI

Poezje

Str. 64

Cena egz. 6 F (dol. 1,25; 9 sh.)

Impresje hiszpańskie

Wojna 1939-45 była wojną narodów dla Polski, być może dla Anglii, ale dla reszty świata była wojną ideologiczną: a wojna ideologiczna — to jest tylko współczesna nazwa dla prastarego zjawiska, to znaczy dla wojny RELIGIJNEJ. Wojna ta skończyła się nietylko zwycięstwem Ameryki czy nawet Rosji, co straszliwą klęską dla Europy. Osłabiona Reformacją Europa musiała się bezsilnie przypatrywać podbiciu nie tylko Bałkanów, ale i Węgier przez poza europejską Portę Ottomańską. Dużo bardziej osłabiona konfliktem naprzód czystych nacjonalizmów w latach 1914-18, potem rozdarciem „ideologicznym” czyli właściwie „religijnym”, Europa nie tylko biernie, ale jakby z ulgą, z radością, z entuzjazmem oddała omal pół Europy w jarzmo potencji poza-europejskiej, ZSSR. Europa, czy to co z niej zostało i co przemawiało w jej imieniu, bardziej się obawiała „faszyzmu” w krajach między Rosją a Niemcami, niż podbojów i potęgi rosyjskiej.

Wszyscy jesteśmy świadomi, że w środkowej Europie „Żelazna Kurtyna” przebiega mniej więcej wzdłuż granic, wytyczonych przez Karola Wielkiego, że cały późniejszy dorobek średniowiecza i czasów nowoczesnych został przez Europę stracony i zaprzepaszczone. Ale nie zdajemy sobie sprawy, że i na południu dzisiejsza kadłubowa Europa została po wojnie także zredukowana do rozmiarów państwa Karolingów. Odbudowana przez Papieża i potomków Karola Martela Europa kończyła się nie tylko na Łabie, ale i na Pirenejach. Arabowie, którzy wylądowali w Maladze w 711 roku, podbili w ciągu niewielu lat bez mała cały półwysep iberyjski, i tylko południowe człony łańcucha Pirenejów pozostały w orbicie Chrześcijaństwa, a więc Europy. Reconquista, czyli wyzwolenie Hiszpanii zaczęło się na dobrą sprawę dopiero w 11-ym wieku.

Europa składała się zawsze i nadal się składa z trzech elementów: z terytoriów geograficznych, z narodów i z ideologii. Któremu z tych trzech elementów przyznać większą, którym podrzedną wagę? W osobie gen. de Gaulle mamy szermierza tezy, że istnieją tylko narody, że geografia ma dużo skromniejsze znaczenie, a ideologie właściwie żadnego. Europejczycy Zachodni z 1945 roku wyznawali zupełnie odmienne poglądy: dla nich ideologia, demokratyczna, liberalna, parlamentarna czy socjalistyczna była wszystkim, poczucie geograficznej jedności Europy równało się zeru, poczucie praw narodowościowych było ściśle podporządkowane kryteriom ideologicznym. Narody „demokratyczne”, czy uznane za takie, miały jakieś prawa do samodzielnego bytu, narody niedemokratyczne, czy choćby po prostu słabe (bo trudno było twierdzić, że Finlandczycy, Estończycy i Łotysze byli anty-demokratyczni) byli skazani na okresy reedukacji przez możniejszych i bardziej „progresywnych” sąsiadów, przy czym termin tych mandatów reedukacyjnych nie był ograniczony z góry, a kontrola nad „reedukacją” nie istniała.

Można twierdzić, że stosunek sił w roku 1945 był tego rodzaju, że Europa nie mogła obronić swych włości za Łabą, że musiała z ciężkim sercem pogodzić się z zaborem całej Europy Wschodniej i dużej połaci Europy Środkowej przez państwo pozai-anty-europejskie, to znaczy przez Rosję. Dodatek z „ciężkim sercem” jest słownym „escapizmem”: w rzeczywistości jad ideologiczny był tak przemożny, zwłaszcza wśród socjalistów, że Jalta i Poczdam zostały powitane na „lewicy” z jeszcze większym uczuciem ulgi i radości, niż Monachium było swego czasu przyjęte przez zachodnio-europejską prawicę. Ba, nie brakło głosów już w tej kadłubowej Europie, że to jeszcze za mało. W krajach Zachodnio-Europejskich, przede wszystkim w Anglii i Francji, powstały potężne prądy polityczne, które nawoływały do dalszego cofnięcia się Europy, do opuszczenia Zachodniego Berlina, czy nawet całych Zachodnich Niemiec. Te aberracyjne teorie, zapoznające całkowicie podstawowe fakty geografii Europy, na szczęście nie zdołały odwrócić odruchów samoobrony: i trzeba przyznać, że Europa Zachodnia zawdzięcza zwycięstwo tego instynktu samozachowawczego raczej Stanom Zjednoczonym, niż sobie. Bez Ameryki, bez Trumana, Eisenhowera i Kennedy’ego, Europa może by i dzisiaj jeszcze kupiła „pokój” od Rosji kapitulacją w sprawie niemieckiej.

Ale jednocześnie, zaraz po roku 1945, Europa, tym razem już dobrowolnie, bez pistoletu u skroni, bez nacisku sowieckiego, okaleczyła siebie samą od Południa. Zerwanie stosunków dyplomatycznych z Hiszpanią, podyktowane wyłącznie względami „ideologicznymi”, zredukowało to co zostało z Europy do granic Karolingów już nie tylko od Wschodu, ale i od Południa... Dopiero dzi-

siaj, bez mała w 20 lat po tej dobrowolnej a tragicznej amputacji, szlabany na Pirenejach zaczynają się podnosić, a Hiszpania zaczyna wracać do swej macierzy-Europy.

Punkt ciężkości Europy

Pojęcie Europy jest przede wszystkim pojęciem geograficznym: Europa jest dużo starsza od obecnych narodów, nie tylko słowiańskich, czy narodu węgierskiego, czy od najazdu tureckiego; poprzedziła o tysiąclecia zjawienie się Francuzów, Niemców czy Anglików. I Europa pozostanie nadal Europą, nawet gdy wszystkie narody, dzisiaj zamieszkujące ten maleńki kontynent, znikną z powierzchni ziemi. Europa jest dzieckiem granic naturalnych na południu, na Zachodzie, na Północy: niestety, tych granic naturalnych na Wschodzie nie posiada, i to jest jej piętą achillesową, jej kolosalną słabością w porównaniu z Ameryką, która i w obu swych połówkach, i jako całość, jest doskonale od innych kontynentów odgradzona. Właśnie ten brak granicy wschodniej umożliwił naprzód Tatarom, potem Turkom, wreszcie Rosjanom, a więc trzem szczepom zupełnie obcym europejskiej kulturze, ale o dużych talentach wojskowych i pewnych talentach dyplomatycznych i zawsze wyposażonych w okrutne, bezwzględne i wyjątkowo sprawne aparaty policyjne, stale zagrażać naszej części świata, i, niestety, kolejno pastwić się nad jej wschodnią połówką.

Każdy obszar geograficzny ma swój rdzeń: Francja nie może istnieć bez doliny Sekwany, Anglia bez doliny Tamizy, Polska bez doliny Wisły itd. Otóż dla Europy tym rdzeniem będzie zawsze masyw alpejski i dolina Renu oraz ziemie, które ten rdzeń okalają. „Szóstka” Wspólnego Rynku (plus Szwajcaria i Austria) stanowią mniej więcej to nieodzowne minimum: gdy to minimum jest stracone, albo gdy ten rdzeń rozsadzają wewnętrzne konflikty, Europa przestaje istnieć. Europy nie było w latach 1914-18, nie było jej tym bardziej w latach 1939-45. Dzisiaj istnieje „Szóstka” Wspólnego Rynku, a więc istnieje załączek Europy: ale ta Europa jest nadal kadłubowa.

Zagadnienie rozszerzenie tej Europy na terytoria, które geograficznie do niej należą, jest głównym zadaniem dzisiejszego pokolenia Europejczyków. Trudno dzisiaj dekretować co jest zadaniem pilniejszym: rozszerzanie Europy czy też pogłębianie jej spójności w dotychczasowych wąskich ramach „Szóstki”. Myślę, że oba te zadania powinny być rozwiązywane jednocześnie. Każde pogłębianie więzów organicznych „Szóstki” zwiększa jej atrakcyjność, a więc skłania tych, którzy mają swobodę decyzji a dotąd pozostali poza jej obrębem, do zbliżania się do tego załączka Euro-

py. Każdy układ „Asocjacji” z Szóstką, zawarty przez kraj europejski (bo układy z Afryką, Izraelem etc. to już odrębne problemy), zwiększa spoistość „akcjonariuszów” Wspólnego Rynku, zachęca ich do kroczenia po raz wybranej drodze.

Mamy wszyscy świadomość różnicy, jaka zachodzi między Europą Zachodnią, bogatą i wolną, a Wschodnią Europą, nędzarską i zniewoloną, a skutkiem tego z każdym rokiem bardziej zafaną, bardziej też izolowaną i od Europy, i od świata. Ale — i nie jest to dziwne — mamy mniej wyostnione poczucie różnicy między Europą Północną a Południową. „Bliższa koszula ciału”. Zdajemy sobie sprawę z olbrzymiej straty, którą dla Europy powoduje odcięcie Europy Wschodniej od macierzystego pnia europejskiego. Nie zawsze sobie zdajemy sprawę, że dotąd Europa kończy się na Pirenejach.

Północ i Południe

Europa Wschodnia zajmuje w życiu i historii Europy dużo skromniejsze miejsce od swej Zachodniej Siostrzycy — tak skromne nawet, że wielu Zachodnich Europejczyków nie przyznaje się do pokrewieństwa, chętnie nas rzuca na pożarcie. Ale podział na Europę Północną i Południową jest nie mniej istotny i głęboki, i przewaga Północnej połówki jest bardzo świeżej daty, zaznaczyła się dopiero w 19-ym wieku. Przedtem Południe zawsze górowało: Europa utożsamiała się ze światem śródziemnomorskim. Tak było za Rzymian, i Papiestwo utrzymało ten pryncypat południowy, wzmocniony jeszcze od 16-go wieku potęgą Hiszpanii, przeniesieniem punktu ciężkości Niemiec nad Dunaj, mocnym związaniem basenu paryskiego z francuskim Midi. Nie tylko Skandynawia i Polska były „okrainami” tej zakotwiczonej na Południu Europy, ale także i Anglia robiła wrażenie ubogiego krewnego, który tylko z rzadka i niechętnie był zapraszany do uczt rodzinnej.

Dopiero wiek XIX ze swym węglem i towarzyszącą mu rewolucją przemysłową zmienił te ustalone hierarchie. We Francji punkt ciężkości przeniósł się z Lyonu czy znad Loiry i Burgundii do okolic Lille, gdzie znaleziono jakie takie złoża węglowe, gdzie więc powstał jaki taki przemysł. W Niemczech Austria zleciała do roli zubożałej cioci, serce Rzeszy zaczęło tętnić w Berlinie, w Hamburgu, w Ruhrze, słowem znacznie bardziej na Północy. Belgia stała się potentatem gospodarczym w Europie. A nade wszystko Wielka Brytania zaczęła odgrywać rolę, o której nigdy się jej nie śniło, rolę, która Ludwikowi XIV wydawałaby się bajką o Żelaznym Wilku. Nastąpiło zwichnięcie równowagi europejskiej, na swój sposób zbliżone do tego, które dzisiaj wpływa

z oddania Europy Wschodniej pod zabór rosyjski. Również miejsce Polski zajęła bardziej północna Rosja. Kraje Południowe spadły do roli satelitów wielkich potęg przemysłowych w Północnej Europie: Włochy z pochodni cywilizacji stały się zatabaczoną plebanią, Francja z „Grande Nation” stoczyła się do roli adlatusa Anglików, a Hiszpania wyszła na tych przeobrażeniach gospodarczo-politycznych możliwie najgorzej. Z południowej, katolickiej, rolniczej, śródziemnomorskiej, arystokratyczno-rycerskiej — Europa stała się północna, protestancka, przemysłowa i burżuazyjna, a oś jej wyraźnie przeniosła się nad brzegi Morza Północnego.

Pozostając sobą, Europa się stale zmienia: raz jedno, raz inne jej elementy wysuwają się na czoło, nadają ton całości. Pewna harmonia rozwoju wszystkich części leży w interesie całej Europy. Europa o dominacji angielskiej będzie zawsze miała nadmierną dawkę hipokryzji a nawet cynizmu. Europa, w której Hiszpania będzie dużą odegrywać rolę, będzie zawsze skłonna do skrajności, fanatyzm będzie silniejszy od kompromisu. Dla pewnych ludzi hipokryzja jest nie do zniesienia, dla innych fanatyzm. Tym niemniej Europa, która by dobrowolnie zrezygnowała z Anglii czy Hiszpanii czy Wschodniej Europy przestałaby być sobą. Bo, wbrew pozorom, nawet nasza uboga Wschodnia Europa wnosi całości pewne walory, pewne wiano. Być może wianem tym jest pewna dawka romantyzmu, pewien zastrzyk fantazji: może bez nas, bez Węgrów, Europa jest zbyt komercyjna, zbyt spowszedniała. Bez Hiszpanii duszy europejskiej, substancji europejskiej na pewno czegoś brak.

Hiszpania jest Europie potrzebna właśnie jako Hiszpania, a nie jako jeszcze jedna kopia Anglii czy Francji. Instytucje i mentalność rozwinięte w Anglii zawsze inaczej będą wyglądać w recypującym kraju; każdy naród przerabia wzory, które naśladuje na jakąś własną modłę, we własnym tajemniczym alembiku. Wszystkie państwa między Rosją a Niemcami skopiowały plus minus zasady wilsonowskie i konstytucję III Republiki, ale już w 10 lat później prawie wszystkie miały takie czy inne formy dyktatury czy rządów „silnej ręki”, bardziej dopasowane do ich psychiki i do ich warunków. To samo się stało po ostatniej wojnie, po przyznaniu Bóg wie ilu krajom i narodom „Tiers Monde’u” niepodległości i suwerenności. Wzorce demokratyczne i liberalne, narzucone im przez światowego Hegemona, to znaczy Stany Zjednoczone, czy zostawione w spadku przez niańki angielskie i francuskie, wszędzie szybko uległy radykalnej ewolucji w kierunku tyranii ukrytej pod listkiem figowym nacjonalizmu czy socjalizmu. Nkrumah jest gorszą powtórką kariery Waldemarasa.

Ziemia hiszpańska nie jest dobrym gruntem dla flanc i sadzonek, importowanych z Anglii i Francji. Gorset administracji na-

poleońskiej był stanowczo i wielokrotnie lepszy od zdeprawowanych rządów nikczemnika Godoya: a jednak cały naród hiszpański powstał w walce z francuskim najeźdźcą, u boku którego polskie siły zaciężne niesławną odegrały rolę. Po obaleniu monarchii cała Hiszpania odrzuciła ład parlamentarny, ustroj liberalny: dwa totalizmy hiszpańskie stanęły przed sobą oko w oko i wołały spór załatwić armatami, niż kompromisem. Niezmiernie wątpię, by najlepsza nawet konstytucja, skopiowana z angielskiej czy szwajcarskiej, zdała w Hiszpanii próbę życia. Wszak konstytucja Cypru została zredagowana w Zürichskim hotelu i była adaptacją konstytucji helweckiej. A jednak już po trzech latach Cypr w niczym nie przypominał spokojnych kantonów między Jurą a Alpami. Podobnie Hiszpanie szybko dostosują każde obce wzory, zwłaszcza jeżeli im będą narzucone, do swego narodowego temperamentu. Pewna skrajność leży w hiszpańskim charakterze. Dzisiaj ta skrajność przybiera cechy „prawicowe”. Ale jutro wypadki mogą stworzyć w Hiszpanii ośrodek bardzo „lewicowy”. Radykalnego dynamitu jest dzisiaj w Hiszpanii dużo, znacznie więcej, niż we Włoszech czy we Francji. Mimo tego, trzeba to ryzyko podjąć i Hiszpanię wciągnąć do europejskiego zespołu. Można, rzecz jasna, tę operację odroczyć na kilka czy nawet kilkanaście lat, można obmyśleć okresy przejściowe, ale w ostatecznym rachunku trzeba będzie się z obecnością Hiszpanii w Europie, niezależnie od jej ustroju pogodzić. Veta ideologiczne okazują się zawsze i błędne, i szkodliwe, i nieskuteczne. Anglia stanie się, może nie zaraz, ale za 10 lat, częścią Europy, mimo veta de Gaulle’a. Tak samo Hiszpania wejdzie do Europy, mimo veta Spaaka. Także w końcu wschodnia upośledzona połówka Europy, Europa B, znajdzie się znowu w unii z Zachodem, pomimo veta Chruszczowa. Do wcielenia wschodniej połówki Europy naprzód do łona Wspólnego Rynku, później do politycznej organizacji europejskiej dojdzie, bo geografia jest silniejsza od ideologii. Nie ideologie i nie nacjonalizmy ukształtują Europę i jej definitywne granice, ale geografia i klimat z jednej strony, wspólna kultura z drugiej.

Hiszpania i Północna Afryka

Aczkolwiek skłonny jestem sądzić, że rezygnacja z Algierii i w ogóle Maghrebu okaże się na dłuższą metę wielką katastrofą dla Francji i nawet dla Europy, to jednak dla Hiszpanii utrata przez Francję północnych brzegów Morza Śródziemnego jest politycznie atutem. Hiszpania straciła wprawdzie z tej okazji Maroko hiszpańskie, ale ten protektorat był tylko przyjemnością prestiżową, Hiszpanii nie wzmacniał, nic jej nie dawał. Natomiast póki

Francja kontrolowała brzegi Afryki Północnej neglegowanie Hiszpanii, zapoznanie jej roli w utrzymaniu przewagi europejskiej w całym basenie Morza Śródziemnego było łatwiejsze. Gibraltar, Mers-El-Kebir i Bizerta sprawiały, że wojskowi mogli lekceważyć współpracę z Hiszpanią; eksploataowanie łąnów, sadów i winnic Algierii było ciosem dla produkcji rolnej Hiszpanii, nawet jej wkład kulturalny wydawał się mniej potrzebny. A robotnik algierski, mało sprawny, mało wydajny, ale tani, kontentujący się małymi warunkami pracy, i zwłaszcza niegodnymi człowieka warunkami mieszkaniowymi stanowi po dziś dzień we Francji nielojalną konkurencję dla emigranta i robotnika iberyjskiego. Póki Anglia kontrolowała Gibraltar w 19 w. warunkach, póty mogła odpiśywać na zero wartość marynarki hiszpańskiej: dzisiaj Gibraltar nie może być bazą wojenną na wypadek wojny atomowej, bo jedna bomba A czy H wystarczy, by cała ta rzekoma baza przestała istnieć. Poza tym w Gibraltarze nie ma miejsca na lotnisko, z którego mogłyby startować nowoczesne samoloty bombardujące. Tak więc Gibraltar stał się bazą czysto reprezentacyjną, o takiej samej wartości wojskowej, jak defilady gwardii z okazji urodzin królowej angielskiej. Hiszpania nie potrzebuje wcale Gibraltaru odbierać, bo ta forteca jest dzisiaj muzealnym zabytkiem. Anglia dzisiaj w praktyce nie istnieje na morzu Śródziemnym, przestała być czynnikiem strategicznym i wojskowym na południowej flance Europy. Ujawniło się to jaskrawo w toku wypadków na Cyprze. Makarios, ten jadowity nacjonalista i rasista, który tak straszne szkody wyrządza moralnej postawie cerkwi prawosławnej, ani przez chwilę się nie liczył i nie liczy z Anglią, tylko z Ameryką i jej siódmą flotą, opartą o bazy włoskie, a więc o cały duży kraj.

Póki Francja siedziała w Maghrebie, mogła sobie też pozwalać na ignorowanie Hiszpanii. Dzisiaj kiedy na wypadek konfliktu same brzegi Prowansji są już zagrożone, dobre stosunki z Hiszpanią mają zgoła inne znaczenie. Cała taktyka rządu francuskiego dla zmniejszenia przewagi amerykańskiej w NATO jest oparta na tezie, że Ameryka nie może mieć armii w Europie, jeśli ta armia nie będzie miała zapewnionego przyjacielskiego francuskiego zaplecza. Franco może doskonale tym samym argumentem szantażować Francuzów. Jak może Francja zabezpieczyć swą pozycję na morzu Śródziemnym bez przyjaznej Hiszpanii? Nie trzeba być wielkim umysłem, by wpaść na tę myśl. Zasady tak zwanej Power Politics są proste i jasne i dostępne dla umysłów nawet bardzo prymitywnych. Francja mogła z lekkim sercem decydować się w 1945 roku na bojkot Hiszpanii i na odwoływanie z Madrytu swego ambasadora. Dzisiaj sądzę, że nawet rząd Defferre'a by nie mógł podobnego kroku zaryzykować.

Kopciuszek kapitalizmu

Wiek XIX, era kapitalizmu, obszedł się z Hiszpanią, jak zła macocha. Gorzej niż z Polską. Pomijając zabór pruski, a już specjalnie Śląsk, gdzie kwestia polskiego pochodzenia ludności nie odgrywała w decyzjach kapitalistów żadnej roli, Królestwo i Galicja zostały przed 1914 r. bardziej wciągnięte w nowoczesną gospodarkę, liberalną i kapitalistyczną, niż Hiszpania w tymże okresie. Kolej Karola Ludwika z Zebrzydowic do Krakowa i Lwowa, kolej Warszawsko-Wiedeńska, nawet kolej Terespolska były bez porównania lepsze od jakiejkolwiek kolei w Hiszpanii. Kapitał zagraniczny włożył więcej pieniędzy w inwestycje miejskie w Królestwie i w Galicji, w tramwaje, w gazownie, w elektryczność, zwłaszcza w Warszawie, we Lwowie i w Krakowie, niż umieścił w Madrycie i Barcelonie. W Królestwie powstało nie tylko zagłębie koło Sosnowca, ale także przemysł włókienniczy w Łodzi, przemysł hutniczy w Sosnowcu, przemysł maszynowy koło Warszawy, a Galicja była, jak na pierwsze lata XX wieku, bardzo wielkim producentem ropy naftowej: Galicja produkowała w roku 1911 2 miliony ton ropy naftowej, gdy cała światowa produkcja tego surowca wynosiła 50 milionów ton, a więc Polska produkowała wówczas aż 4% światowego wydobycia ropy. Dzisiaj Francja, razem z Saharą i Gabonem, produkuje 27 milionów ton na światową produkcję 1.250 milionów ton, a więc około 2%. Nawiasem wspomnę, że nie zdajemy sobie sprawy, jaką katastrofą ekonomiczną był dla nas fakt, iż borysławskie zagłębie naftowe okazało się niewielkie i wydobycie ropy w tym okręgu zamiast rosnać zaczęło maleć.

O ile porównywanie gospodarki polskiej z niemiecką, angielską czy francuską, a nawet włoską daje obraz spaczony, bo wielkości są nieporównywalne, o tyle Hiszpania bardzo się nadaje do tych porównań. Terytorialnie oba państwa należą do większych, a nie małych, oba mają dzisiaj po 30 milionów ludności, oba są zacofane w stosunku nie tylko do „Trzech Wielkich” Europy Zachodniej (Niemiec, Anglii, Francji), ale także w stosunku do Skandynawii, Beneluxu, Szwajcarii, nawet Austrii. W roku 1935 Hiszpania produkowała zaledwie trzy i pół miliarda kilowatt-godzin prądu elektrycznego, prawie dokładnie tyle co Polska. Hiszpania była zapewne przed ostatnią wojną jeszcze uboższa, niż Polska. Jej przemysł był jeszcze bardziej archaiczny. Jej transport był beznadziejny. Jej rolnictwo było zawsze i będzie zawsze biedniejsze od polskiego: z wyjątkiem Huerty koło Walencji, gdzie rosną pomarańcze, cytryny, orzechy i jarzyny, z wyjątkiem lesistej Asturii, kraju Basków i dolin niektórych rzek, kraj cały cierpi na suszę,

na upały, na zupełny brak wody, rola jest nieurodzajna, paszy nie ma, krów nie ma, świń nie ma, z rzadka można dostrzec kozę lub owcę. Reforma rolna nic Hiszpanii pomóc nie może. Tylko irygacja na wielką, na olbrzymią skalę może postawić rolnictwo hiszpańskie na nogi, ale czy ta irygacja jest technicznie możliwa? Zapewne tu i ówdzie daje się przeprowadzić: czytałem ostatnio, że w Andaluzji rząd nawadnia koło dwustu tysięcy hektarów. Ale co to jest 200 tysięcy ha dla kraju, którego powierzchnia przewyższa 50 milionów ha, i gdzie całe prowincje, jak La Mancha Don Kiszota, koło Albacete, są bezwodną pustynią?

W XIX wieku, i później, kapitał zagraniczny przybywał do Hiszpanii głównie z Anglii i lokował się głównie w kopalnictwie, w kopalniach węgla w Asturii, w kopalniach miedzi w Pennaroya i w kopalniach ołowiu w Rio Tinto, w obu wypadkach koło Huelwy. Poza tym powstał drobny przemysł tekstylny koło Barcelony, pewien eksport pomarańcz, trochę turystyki: w 1930 roku Hiszpanię odwiedziło zaledwie 100 tysięcy turystów zagranicznych (w roku ubiegłym 10 milionów!). Porty były nędzne, prymitywne, handel zagraniczny znikomy: jak wszystkie kraje biedne i zacofane, Hiszpania szukała ratunku (błędnie) w autarkii, w protekcjonizmie, w kontroli dewiz. Kapitalizacja wewnętrzna była minimalna, warstwy pracujące i warstwa średnia były zbyt ubogie, by cokolwiek oszczędzać, warstwa bogata nie umiała kapitalizować; jej konsumpcja (jak na kraj tak ubogi) była zbyt wysoka, inwestycje były przeważnie bezsensowne, w każdym razie mało rentowne.

Do tego doszły katastrofy zewnętrzne. Już dynastia Bourbonów była dla Hiszpanii klęską, najazd Napoleona, brutalny i zdzieriski, pogruchotał cały kraj, a restauracja Ferdynanda VII nie poprawiła sytuacji. W samej Hiszpanii uboga Kastylia zawsze żyła z wyzysku swego „obwarzanka” — Katalonii, Walencji, Asturii, Galicji etc. Na większą skalę ten proces powtórzył się w Imperium hiszpańskim: Niderlandy (potem zredukowane do hiszpańskich Niderlandów czyli dzisiejszej Belgii), Franche-Comté, Mediolan, Neapol, wreszcie obie Ameryki utrzymywały metropolię, która odcinała kupony, nic w zamian nie dając. W 18-ym wieku odpadły posiadłości europejskie: Austria przejęła Belgię, Mediolan i hegemonię we Włoszech, Neapol i Parma się usamodzielnili pod własnymi dynastiami. Koło 1820 roku odpadły kolonie, które dawały złoto i srebro i jakiś handel merkantylny, monopolistyczny, a więc niewielki, skromny, ale jednak źródło pewnych dochodów. Kuba i Filipiny, resztki dawnych splendorów odpadły dopiero w 1898 roku. Do ostatnich lat utrzymała się strefa hiszpańska Maroka, która jednak już nie była źródłem zysków, ale raczej okazją do dopłat. Hiszpan, przywykły do szukania z zewnątrz źró-

deł dochodów, musiał wreszcie szukać ich u siebie. Do tego doszły nieszczęsne wojny domowe, które niczego nie załatwiły, i niczego załatwić nie mogły. Ani jednej chwili nie wierzę, że zwycięstwo „Czerwonych” w roku 1939 mogło być dać Hiszpanii dobrobyt czy nawet rządy liberalne: co najwyżej można by twierdzić, że lata 1939-1959 (data decydującej reformy walutowej) nie byłyby pod rządami „republikańskimi” gorsze. Ale i ta teza wydaje mi się bardzo optymistyczna. Przy reżymie „czerwonym” Hiszpania by mniej otrzymała pomocy od Ameryki, napięcie wewnętrzne byłoby dużo większe, polityka gospodarcza byłaby i bardziej demagogiczna, i bardziej doktrynerska, a są to dwie śmiertelne wady: wreszcie turystyka rozwinęłaby się słabiej, a dopływ kapitału byłby równy zeru.

Trzy wizyty, trzy porównania

Nie znałem Hiszpanii przed wojną. Byłem w niej trzy razy: po raz pierwszy w 1947 roku, po raz drugi w 1959 roku, po raz trzeci ostatnio w maju 1964 roku. Za każdym razem pobyt mój wyniósł około 3 tygodni. Odniosłem wrażenie, że tym razem poznałem Hiszpanię bez porównania lepiej, niż za poprzednich podróży, że lepiej zrozumiałem istotę tego kraju i jego problemów, że rzadko kiedy podróż była równie pouczająca. Oto jak sobie samemu tłumaczę powody tej różnicy. Pierwsza podróż do nieznanego kraju daje tylko wzrokowe impresje, nie pozwala niczego zrozumieć, bo się nie ma do dyspozycji żadnej skali porównawczej. Podróż powinno się odbywać co pięć lat: rok to za krótki czasokres, by zauważyć poważne różnice, dwanaście lat — to za długo. Wreszcie po raz pierwszy poznałem teraz południową Hiszpanię: Walencję, Alicante, Andaluzję z Granadą, Seville i Algesirasem a także Costa del Sol. Tak jak Europa bez jej południowych kończyn, bez Włoch, Sycylii, Grecji, Hiszpanii nie jest całą Europą, nie może dać pełnego obrazu naszego kontynentu, tak jak Francja widziana tylko przez pryzmat Paryża, a bez znajomości niemej, milczącej, zaspanej, ale jednak dominującej „la Province”, nie jest Francją, lecz karykaturą, tak samo Hiszpania bez swych południowych przedłużeń nie wchodzi z przybysem w bliższy, intymny stosunek, rozchyła tylko dla niego drzwi, ale jej wnętrze, jej atrium pozostaje dla turysty zamknięte. Trzeba dopiero zobaczyć afrykańską spiekotę Andaluzji, trzeba zobaczyć absolutną jałowość połonin na wyprażonych Sierrach koło Murcii i Almeria, trzeba obejrzeć troglodytów czyli mieszkańców jaskiń koło Guadix, cyganów na Sacromonte w Grenadzie, by zdać sobie sprawę, że recepty, doskonałe dla Szkocji i Walii, czy Bayerischer

Wald, czy nawet dla województwa krakowskiego, muszą w Hiszpanii zawodzić.

W 1947 roku Hiszpania była państwem policyjnym, zacofanym, tępym, nieprzyjemnym; jej reżym był dla mnie obmierzły. Moim mentorem w Hiszpanii był wówczas Henryk Łubieński, który mieszkał już od czterech lat w Hiszpanii, gdzie w czasie wojny pełnił obowiązki nieoficjalnego attaché wojskowego. „Franco, mówił mi wówczas Łubieński, to jest Rydz, któremu się udało”. Ale ten człowiek inteligentny i realny, który nie umiał sprzedać swych wielkich zalet i walorów, zaraz dodawał: „Franco ma w każdym razie jedną olbrzymią wyższość nad Rydzem: oto zawsze rozumiał, że Hiszpanii nie stać na żadną wojnę, że każda skończy się dla niej katastrofą, i od pierwszej chwili postawił na neutralność, i żadne groźby, żadne upokorzenia go z tej drogi nie sprowadziły. Myślał co myślał, a neutralność zachował. Myślę, że tak jak przetrzymał Hitlera, tak obecnie przetrzyma Stalina i falę obecnych nacisków. A za obronę neutralności zawsze w końcu otrzymuje się dywidendę”. Te święte słowa się sprawdziły. Jestem przekonany, że na całym świecie sukcesy ekonomiczne, wzrost stopy życiowej decydują o popularności reżymów, rządów i tak zwanych wielkich ludzi, a nie ich polityka zagraniczna, ani ustrojowa: jedyny wyjątek od tej żelaznej reguły — to uratowanie neutralności na wypadek konfliktu światowego. Gdyby Franco był się opowiedział za Aliantami w roku 1940, Hitler by go połknął w dwa tygodnie; gdyby Franco był tę wojnę wypowiedział Niemcom w 1944 roku, to by go alianci wyrzucili, tak jak rzucili na pożarcie wszystkich swych aliantów w środkowej Europie, nie wyłączając Badoglio i króla Umberto. *Dla słabych polityka neutralności jest zawsze jedynym ratunkiem.* Gdy przedstawiciel małego narodu, czy jest nim Franco, czy Kekkonen, czy Suvanna Phuma to rozumie i umie tę politykę przeforsować, jest wielkim człowiekiem, choćby jego polityka wewnętrzna wydawała się nam ohydą. Gomułka był w Polsce popularny w roku 1956, bo Polacy sądzili, że wyprowadzi ich na drogę neutralności. Nie wyprowadził, przeciwnie w pewien sposób wzmocnił obrozę moskiewską, zależność od Rosji — i cały mir stracił. O ile nie wierzę w geniuszów „Power-Politics” i ich makiawelistyczne talenty, i jestem przekonany, że prędzej, nie później, ich gierki i kręactwa wzbudzą tylko pogardę czy politowanie, o tyle wierzę, że historia zawsze nagrodzi laurami tych, co obronili neutralność swego kraju. Wszak Szwajcaria nie miała ani jednego tak zwanego Wielkiego Człowieka, a jest najlepiej rządzonym, najbogatszym i najszczęśliwszym krajem Europy.

W 1964 roku

Już w 1959 roku miałem wrażenie, że reżym policyjny w Hiszpanii niezmiernie zelżał w porównaniu z rokiem 1947, poprawa była widoczna na każdym kroku. Ale w ciągu 12 lat 1947-1959 zmiany na lepsze były niczym w porównaniu z różnicą, którą skonstatowałem obecnie, za pięćdziesiąt lat 1959-1964. Kraj, który tkwił w marazmie znajduje się nagle w pełnej ekspansji, kraj ubogi nagle znajduje się u progu bogactwa, kraj smutny nagle stał się wesoły, kraj niezadowolony stał się krajem optymizmu, kraj zacofany robi nagle wrażenie dynamizmu, ekspansji, postępu. Sam Franco wygląda, jakby z reakcyjnego, tępego generała, stał się omal dobrodusznym Erhardem czy Pinayem, oszczędnym, gospodarnym włodarzem, który woła pod adresem wszystkich swych ziomków, jak ongi Guizot: „Enrichissez-vous!” Poza Niemcami (Zachodnimi oczywiście), Szwajcarią, Holandią, Włochami Północnymi i chwilkami i miejscami Francją nie znam ani jednego kraju w Europie, gdzie by „aggiornamento” ekonomiczne dokonywało się w takim tempie, z takim zapalem, z takim szwungiem. Odniosłem wrażenie, że Hiszpania po raz pierwszy odnalazła dynamizm, witalność, energię twórczą — nie to od zakończenia wojny domowej, ale od 18-go wieku, od chwili zastąpienia Habsburgów przez Bourbonów. Są oznaki zewnętrzne: nigdy nie budowało się tyle, nigdy tak dobrze, nigdy tak szybko, nigdy tyle nie przybywało mieszkań robotniczych. To nie są „wsie Potiemkinowskie” — nawet w Algesiras widziałem olbrzymie bloki domów robotniczych, a Madryt, Barcelona, Walencja są otoczone nie tylko lasem takich białych bloków mieszkalnych, ale co ważniejsze rusztowań jest dwa razy więcej, niż wykończonych budynków. Drogi z okropnych stały się znośne. Okropne slumsy w Madrycie zanikają: pięć lat temu Manzanares, madrycka rzeczka, cuchnął, cuchnął niemożliwie, dzisiaj płynie w betonowym korycie, i choć nigdy nie będzie dawał wiele świeżości, bo jest na to zbyt mały, jednak orzeźwia trochę spieczone madryckie powietrze. Za Puente de Toledo, mostem na drodze do Toledo, roztaczała się ohydna dzielnica chyba na poziomie Bałut łódzkich: dzisiaj zaszczurzone rudery znikły, wznosi się nowiutka dzielnica, która żywo przypomina nowe dzielnice Genui czy Mediolanu. Sklepy wyglądają zupełnie inaczej: a dwa madryckie uniwersalne sklepy, El Corte Ingles i Gallerias Preciados, mogą rywalizować z Galeries Lafayette czy szwajcarskim Migrosem. Znaczna część ludności zaczęła się myć, golić, czesać, dzieci bosych nie widzi się nigdzie, motoryzacja w miastach, zwłaszcza w Madrycie, jest już duża, w tramwajach i autobusach jest już więcej miejsca, autokary są bardzo porządne, w metro madryckie inwestuje się ogromne sumy. Koleje są jeszcze okropne, ale „automotory”,

nasze dawne luks-torpedy, nie są już wyłącznie 1-ej klasy: przeciwnie są, z kilku wyjątkami, wyłącznie drugiej klasy z dopłatą za szybkość, i w tej drugiej klasie przeważają robotnicy, którzy widocznie już mogą sobie na ten względny luksus pozwolić. Jedzenie jest zawsze podłe, kuchnia zła, wino bardzo nierówne, publiczność mało szykowna, poziom życia jest wciąż znacznie niższy, niż we Francji, niż nawet we Włoszech, ale jednak chyba wyższy, niż w Grecji, i nie gorszy niż na Sycylii, o tyle uboższej od reszty Włoch. Są i jeszcze ważniejsze zmiany, choć bardziej niewidoczne: wydaje mi się, że Hiszpanie nabrali zaufania do własnej waluty, bez czego zdrowego rozwoju gospodarczego nigdzie być nie może, wydaje mi się, że Hiszpan dzisiaj chętniej inwestuje we własnym kraju, niż zagranicą, że zaczyna rozumieć pewne elementarne prawa ekonomiczne, że wyrasta nowe pokolenie młodych techników, inżynierów, urzędników bankowych etc., które ma dużo więcej energii i przedsiębiorczości, a także wiadomości, od swych ojców. Wreszcie na oko powiedziałbym, że Hiszpanki, te z warstwy średniej, wreszcie zabierają się do pracy: bez pracy kobiet na dużą skalę, w rozumny sposób, nie może być prosperity, nie może być nowożytnego społeczeństwa: sami mężczyźni w wieku lat 18-60 nie mogą dość wytworzyć, by utrzymać dzieci i młodzież (a śmiertelność noworodków spadała ze stu pro mille na plus minus 25, jak i w innych krajach zachodnich), starców i staruszki (długość życia wzrosła poważnie) oraz połowę ludności w postaci kobiet. To za dużo. Pięć lat temu byłem oburzony, gdy młoda kobieta W Sitges, na pytanie co robi, powiedziała mi, że nic, poza doglądaniem 5-letniego dzieciaka, i tłumaczyła to tym, że skoro jej mąż jest mechanikiem w garażu, to pracować nie potrzebuje. Dzisiaj wszystkie młode niezamężne dziewczyny pracują, one też dostarczają ogromnej części kontyngentu pracowników w przemyśle hotelowym, zarówno w Hiszpanii, jak i zagranicą. Wszędzie widzi się pracujące dziewczyny i kobiety. Bez przesady: Hiszpania nie jest Turcją, gdzie w polu widzi się tylko kobiety w szarawarach, przy pługu (raczej są to sochy), czy przy wozie ze zwózką siana, a mężczyźni w haniebny sposób wylegają się przed ubogimi chałupami. Ale nieróbstwo kobiet jest zawsze nie tylko źródłem zacofania i ubóstwa; jest ponadto groźną chorobą społeczną, przyczyną zaburzeń nerwowych i nawet umysłowych. Wydajna, produkcyjna zarobkowa praca kobiet jest kardynalnym warunkiem dobrze funkcjonującej maszyny gospodarczej.

Turyści

Ale, oczywiście, głównym motorem ogromnego polepszenia

w Hiszpanii (tego „Mas Mejor”, które się słyszy od wszystkich i wszędzie, nawet w Algesiras, które było najuboższym miastem przeze mnie zwiedzonym) jest kolosalny wzrost turystyki. W roku ubiegłym obcy turyści, których połowę stanowią sami Francuzi, pozostawili w Hiszpanii netto 700 milionów dolarów; na rok bieżący te wpływy są preliminowane aż na 860 milionów dolarów. Turyści pokrywają 40% importu hiszpańskiego, przekazy emigrantów dają zapewne ze 200 milionów dolarów rocznie, a więc plus minus ekwiwalent dalszych 10% importu. Eksport pokrywa tylko połowę importu, więc bez turystów, i bez przekazów emigranckich Hiszpania by nigdy nie mogła związać swego bilansu płatniczego. Dopływ kapitałów zagranicznych w kwocie około 100 milionów dolarów rocznie (z czego przeszło połowa, dokładnie 57%, ma przypadać na kapitały amerykańskie) daje jeszcze większe „respiro” i zapewnia stały wzrost dewiz banku hiszpańskiego, których zapas dzisiaj doszedł, z zera w 1959 r., roku reformy walutowej, do miliarda dolarów obecnie.

Już ten moment wystarcza, by zdać sobie sprawę, jakim błogosławieństwem jest turystyka dla Hiszpanii. Największą trudność w epokach silnego i szybkiego rozwoju gospodarczego stanowi zawsze i wszędzie zbilansowanie obrotów z zagranicą, bo z natury rzeczy ta dziedzina jest najmniej podatna na dekryty i decyzje rządowe: żaden rząd nie może kazać cudzoziemcom nabywać jego towarów, żaden nie może kazać zagranicy udzielać mu kredytów, żaden nie może kazać obcym turystom przybywać do jego paszali. Te decyzje są pobierane przez obcych. Niemcy, teraz Japonia, skłoniły cały świat do kupowania ich towarów. Eksport Niemiec Zachodnich wynosił 16 i pół miliardów dolarów w 1963 roku, a Hiszpania oczywiście o podobnym tempie wzrostu eksportu nie może marzyć nawet na przestrzeni 40 lat, nawet w roku 2.000. Uprzemysłowienie kraju jest ZAWSZE kwestią przynajmniej jednego pokolenia, raczej dwóch. Uprzemysłowienie jest kwestią WYSZKOLENIA odpowiednich kadr dyrekcyjnych, organizacyjnych, kupieckich, handlowych, technicznych, naukowych, robotniczych, najrozmaitszych fachowców: nie wystarczają inżynierowie, majstrzy, mechanicy, technicy i robotnicy wykwalifikowani są równie potrzebni. Hiszpania ma dzisiaj tylko minimalną ilość wykwalifikowanego personelu czy to w przemyśle, czy w handlu, czy w administracji, czy w postaci wykwalifikowanych robotników, jej industrializacja musi więc być powolna, jej eksport może wzrastać tylko bardzo powoli; natomiast wobec tempa ekspansji, wobec konieczności podniesienia stopy życiowej jej import musi wzrastać znacznie szybciej. Stąd powstaje dylemat tak dobrze znany wszystkim krajom w tymże stadium ekonomicznym, jak np. Indiom, Turcji, etc.: deficyt bilansu handlowego stanowi

„bottleneck”, „goulot d'étranglement”, który zagraża całej ekspansji. Otóż z łaski Bożej Hiszpania znalazła sposób wyjścia z tego dylematu nie przez zebranie kredytów zagranicznych w instytucjach międzynarodowych, ale przez turystykę. Zamiast kredytu — dochód. Turystyka jest najlepszą, najbardziej rentowną formą eksportu. Eksporter musi stwarzać aparat handlowy, udzielać kredytu, często latami czekać na spłatę, uprawiać dumping, godzić się ze stratami, raz po raz płacić ciężkie frycowe. A przy turystyce kraj turystyczny inwestuje tylko u siebie w domu, w hotele, w drogi, w koleje, poza tym ma robić trochę reklamy, skasować wizy, paszporty i przepisy dewizowe, być uprzejmym, nauczyć się języków i trzymać ceny na tym samym poziomie. Resztę za niego robi słońce, morze i piękno kraju. Hiszpanie są w pozycji miliardera, który nie wiedział, że jest bogaczem, a teraz się spostrzegł, że ma niebываłe możliwości, i rzeczywiście pieczone gołąbki lecą mu same do gąbki.

Detraktorzy Hiszpanii mogą powiedzieć — i będą mieli rację — że zachodzi pewna analogia między obecnym boom'em turystycznym a odkryciem kopalni złota i srebra w Ameryce przez Pizarra i Corteza. W obu wypadkach natura zrobiła więcej niż przedsiębiorczość, w obu wypadkach decydujący impuls przyszedł z zewnątrz, nie został ciężko wypracowany. To jest prawda. Ale tak samo to jest prawdą, jeżeli chodzi o naftę w krajach arabskich. Same royalties, płacone rządowi arabskim przez kompanie naftowe, które wynosiły zaledwie 150 milionów dolarów w roku 1950, dochodzą teraz do półtora miliarda dolarów rocznie. A jednak stopa życiowa Arabów nie wykazuje żadnego wzrostu, przeciwnie w Syrii, teraz w Algierii szalenie spadła. Hiszpanie bez porównania mądrzej wykorzystują swą mannę z nieba.

Turystyka daje dzisiaj w Hiszpanii zatrudnienie kilku milionom osób w przemyśle hotelowym i gastronomicznym, w biurach podróży i w kantorach wymiany walut, na kolejach i na drogach, w garażach i w warsztatach reparacyjnych, przewodnikom i właścicielom stacyj benzynowych, pralniom i tłumaczom, sklepom i lokalom nocnym. Turystyka daje impuls i asumpt do olbrzymich inwestycji — w hotelach w pierwszym rzędzie, ale także w drogach, w kolejnictwie, w kanalizacji, w budowie ścieków i filtrów, w amenażowaniu wybrzeży i gór, w komunikacji pocztowej, telefonicznej i lotniczej. Na Costa del Sol powstaje innego typu turystyka: osiedlanie się ludzi zamożnych na stare lata, którzy tu kupują lub budują wille lub mieszkania. Można ubolewać, i ubolewam, że z tej okazji wielkie walory sceniczne i artystyczne nie są należycie zabezpieczane, np. śliczne partie andaluzyjskiej wioski Torremolinos są barbarzyńsko niszczone na rzecz nowego Miami czy Atlantic City; ale ta nowa Riviera koło

Malagi jest znowuż źródłem kapitałów dla właścicieli wybrzeża, i stałego dochodu dla Hiszpanii. Właśnie w Torremolinos widziałem po raz pierwszy w życiu ogłoszenia w pięciu językach: obok języka miejscowego, to znaczy hiszpańskiego, były z natury rzeczy ogłoszenia mieszkań i placów na sprzedaż w trzech światowych językach, to znaczy po angielsku, po francusku i po niemiecku, ale poza tym także po szwedzku! Szwedzi, a raczej Skandynawowie, mają dość swych wygodnych, dobrze zagospodarowanych, ale wiecznie zimnych i bezsłonecznych krajów i na stare lata przenoszą się masowo na Costa del Sol, tak jak Anglicy się tradycyjnie przenosili na Riwierę francuską, a Niemcy do Tessynu w Szwajcarii. Przybycie tej nowej kolonii bogatych starców i emerytów — to stały dopływ dewiz i kapitałów, to znowuż potężny, stały zastrzyk dla bilansu płatniczego. Drugi taki zastrzyk omal całoroczny — to Majorka. Costa Brava i Wybrzeże Kantabryjskie (Santander, San Sebastian) to zastrzyki sezonowe, od kwietnia do października, ale bardzo potężne. Hiszpania znalazła złote jabłko, prawdziwe kokosy.

Dzięki tym kokosom Hiszpania może się motoryzować, może importować surowce, może nieco polepszyć swe wyżywienie, swą „diet” jak mówią Anglicy. Dzięki turystyce Hiszpania korzysta z coraz większej ilości kredytów, na coraz lepszych warunkach. Po kredytach Międzynarodowego Funduszu Monetarnego, tego zwornika światowej struktury finansowej, i amerykańskiego Export-and-Import Bank przyszedł kredyt francuski w wysokości 150 milionów dolarów. Hiszpania jest obecnie w trakcie pertraktacji o kredyt z Banku Świata w kwocie 100 milionów dolarów na inwestycje portowe i drugie tyle na inwestycje kolejowe, pertraktuje z Anglią, z Niemcami, ze Szwajcarią. Wszyscy chętnie, ba, skwapliwie pożyczają nowemu dłużnikowi, o którym wiadomo, że ma zapewniony, murowany dochód dewizowy z turystyki w kwocie blisko miliarda dolarów rocznie. Te dochody, te kredyty pozwolą Hiszpanii, według dzisiejszych przewidywań, zwiększyć w ciągu kilku lat import o 40%: import maszyn, samochodów, surowców, żywności — bo Hiszpania odczuwa silny brak mięsa i nabiału, i tych braków nie może własną zwiększoną produkcją zastąpić, bo jej gleba nie daje paszy, gospodarka hodowlana nie może się więc rozwinąć. Hiszpania może i powinna zwiększyć swą produkcję owoców, jarzyn, ryżu, wina, może tytoniu, może zwiększyć swe połowy ryb morskich, ale mięsa będzie mieć zawsze bardzo mało. Musi je importować. A pamiętajmy, że dzisiaj wielu ekonomistów słusznie upatruje w konsumpcji mięsa na głowę ludności, w szczególności wołowiny, główny miernik bogactwa narodów. Gdyby ten miernik przyjąć, to by w 19-ym w. najbogatszym narodem w Europie była Anglia (co się widzi choćby w źródło-

słowie słów tak uniwersalnych, jak rozbeł, befszytk etc.), a dzisiaj jest nim Francja.

Niebezpieczeństwa

Niebezpieczeństwem numer jeden dla Hiszpanii, jak i dla reszty świata zachodniego, byłby dzisiaj nowy światowy kryzys gospodarczy, specjalnie gdyby obłąkane rządy chciały go zwalczać takimi samymi środkami, jak kryzys w latach trzydziestych, to znaczy zarządzeniami autarkicznymi. Wydatki wakacyjne należą do najmniej niezbędnych, więc rzecz jasna jakikolwiek powrót do kontroli dewiz natychmiast by zadał Hiszpanii cios śmiertelny. Ale nie ma dzisiaj kraju w Europie Zachodniej, który mógłby obojętnie akceptować perspektywę zmniejszenia się handlu międzynarodowego czy kryzysu deflacyjnego. Niemcy by oczywiście strasznie na nim ucierpiały. Anglia już nie może się łudzić, że jej „chasse gardée” w postaci tzw. Commonwealthu stępiłaby ostrze kryzysu wynikłego ze spadku eksportu do Europy. Nawet potężna Ameryka odczułaby boleśnie każdy kryzys w Europie: wszak jej prywatne inwestycje zagranicą są dzisiaj oceniane na 70 miliardów dol., Ford, General Motors mają już blisko 30% swych avoirów (assets) w Europie — w postaci filii czy partycypacji w europejskim przemyśle automobilowym. Standard Oil i in. towarzystwa naftowe są tak samo w najwyższym stopniu zależne od sprzedaży produktów naftowych przez swe filie w Europie. Wybuch poważnego kryzysu w Europie byłby dzisiaj omal taką samą katastrofą, co wybuch wojny światowej. Nikt nie może przewidzieć czym by się skończył kryzys, tak samo, jak nikt nie może sobie wyobrazić, jak wyglądałby świat po trzeciej światówce. Możemy tylko wierzyć, że instynkt samozachowawczy ludzkości jest na tyle silny, iż ani do wojny, ani do kryzysu nie dojdzie. Gdyby doszło do kryzysu na skalę 1930 roku, to wszystkie ustroje kapitalistyczne by pękły, obojętne czy w wydaniu francuskim czy hiszpańskim. Wielkie kryzysy mogą dzisiaj przetrzymać tylko ustroje komunistyczne, wszystkie inne będą na to za słabe, bo żaden ustrój „burżuazyjny” nie potrafi zastosować potrzebnej dawki terroru. Dzisiaj Franco by nie mógł stosować tychże metod rządzenia, które stosował zaraz po wojnie domowej. Dobrobyt stępieja dyktatury. Jeżeli w krajach satelickich i w Sowietach nastąpił wzrost stopy życiowej choćby na skalę Hiszpanii dzisiejszej, powrót terroru stałby się w Polsce też niemożliwy.

Drugie niebezpieczeństwo — niezmiernie realne w każdym kraju, w którym władza spoczywa w rękach armii, to znaczy

kasty oficerskiej — to poświęcanie nieproporcjonalnej części budżetu na siły zbrojne, a zwłaszcza nieproporcjonalnie wysokiej części kredytów inwestycyjnych, w tym także zagranicznych, na tak zwaną obronę państwa, albo selekcjonowanie obiektów inwestycyjnych pod kątem tak zwanych postulatów obronnych. Budżet wojskowy Hiszpanii nie jest tak bezsensownie, tak kretyńsko rozdęty, jak budżety Tity i Gomułki, ale jest na pewno za wysoki na potrzeby Hiszpanii. Dzięki pozycji geograficznej Hiszpanii nic jej na razie nie grozi: tylko Ameryka może ją obronić (jak i całą Europę) przed inwazją Sowieców, tylko Francja przed agresywnością Ben Belli. Armia hiszpańska ma znaczenie tylko symboliczne, ewent. jako rezerwa i pomoc dla „Guardia Civil” dla stłumienia ewent. rozruchów, wysoce nieprawdopodobnych w razie kontynuowania rozumnej polityki ekonomicznej i dalszego wzrostu stopy życiowej. Dawniej uważano, że armia broni kraju przed przewrotem; dzisiaj pogląd ten jest przedpotopowy — gwarancją przeciw rewolucji jest tylko wzrost dobrobytu. Nie ma tego wzrostu — to nawet w skomunizowanej i okupowanej Polsce powtórzy się Cegielski, to nawet pod terrorem Ulbrichta może się powtórzyć 17 czerwca. Można więc zostawić w Hiszpanii kilka niepotrzebnych dywizyj dla „pucu”, ale ani lotnictwa, ani marynarki, ani przede wszystkim przemysłu zbrojeniowego Hiszpania nie potrzebuje. Każdy grosz przeznaczony na armię, na zbrojenia jest groszem zmarnowanym, opóźnia dobrobyt i zagraża pokojowi socjalnemu.

Ale armia hiszpańska ma, jak każda armia, swoje klasowe interesy, i już teraz redukcja nadmiernej liczby oficerów, zupełnie zbędnych, natrafia na liczne trudności. Co gorsza, zagranica jest skłonna udzielać Hiszpanii „pomocy” w formie kredytów na zbrojenia. Właśnie takiej pomocy udzielały Hiszpanii Stany Zjednoczone: nieboszczyk Dulles nie rozumiał, nie chciał nawet zrozumieć że wkład hiszpański na wypadek wojny byłby zawsze równy zeru, że pieniądze, marnowane na zaopatrywanie armii hiszpańskiej w czołgi czy samoloty, byłyby bez porównania lepiej zużyte na koleje czy drogi czy budownictwo mieszkaniowe. Dzisiaj Francja i Anglia są największymi i najgorszymi (poza Sowiecami oczywiście) „handlarzami armat” na świecie, przemysły zbrojeniowe tych dwóch państw są w praktyce upaństwowione, więc oba te rządy walczą jak lwy o zamówienia dla swych Dassault i de Havillandów. Francja ma w ogóle fatalny „rekord” udzielania „pożyczek” w formie sprzętu wojennego; jak sami o tym doskonale wiemy: pożyczki francuskie nie zwiększyły naszego bezpieczeństwa, dostarczały nam zawsze przestarzałego albo i niepotrzebnego sprzętu, a obciążały nasz bilans dewizowy: byłyby nawet dla naszej obronności dużo bardziej wartościowe w formie kredytów

na rozbudowę kolei, dróg, motoryzację i uprzemysłowienie kraju. Toteż z niepokojem czytam, że w czasie pobytu w Madrycie Couve de Murville omawiał ewentualność przeznaczania części francuskiego kredytu 150 milionów dolarów na wspólne stacje spacjalne na wyspach Kanaryjskich, na wspólne badania atomowe, gdzieś koło Barcelony i na inne tym podobne imprezy. Można się upierać przy teorii (w którą osobiście ani chwili nie wierzę), że dla kraju takiego jak Francja badania atomowe czy spacjalne się w końcu opłacą, bo w ten sposób szkolą się młodzi „chercheurs” etc. Można ich dużo lepiej szkolić bez zbrojeń atomowych: niemieccy uczeni atomowi są dużo wybitniejsi od Francuzów, a sam Werner Heisenberg jest pewno więcej wart od wszystkich francuskich atomistów razem wziętych, jeżeli jest prawdą, co sami Amerykanie twierdzą, że jest to największy żyjący fizyk na świecie, nowy Einstein, tylko jeszcze genialniejszy. Ale Hiszpania nie może marzyć o żadnych specjalistach atomowych, ani o przemyśle atomowym, ani o rakietach, ani o satelitach ziemskich: więc każdy grosz wydany na te cele będzie groszem straconym; dużo lepiej te grosze przeznaczyć na inwestycje najprostsze, ale w ubogim kraju zawsze najbardziej rentowne, najkonieczniejsze ekonomicznie i socjalnie: kanalizację, elektryfikację, drogi, koleje, budownictwo mieszkaniowe, nawodnienie, inwestycje turystyczne. Podobnież Anglia ofiarowuje Hiszpanii kredyty na modernizację jej marynarki wojennej. Znowuż chodzi o ratowanie angielskich stoczn, które nie mają zamówień, o wyłączenie prestiżu angielskich konstruktorów okrętów wojennych, który to prestiż wygląda dzisiaj słabo. Ale po co Hiszpanii ta wspaniała marynarka? O ileż lepiej byłoby te kredyty przeznaczyć w całości na rozbudowę portów hiszpańskich, które są bez wyjątku zbyt małe, przestarzałe i pracują, tak samo jak koleje, i drogi, i bardzo powoli.

Trzecie niebezpieczeństwo polega na niedostatecznej kapitalizacji zarówno ze strony państwa, jak przede wszystkim samej ludności. Państwo jest dzisiaj wszędzie, a więc również w Hiszpanii, kapitalistą numer jeden, a więc musi być też inwestorem numer jeden. Państwo musi inwestować bezpośrednio, a także przez swe upaństwowione przedsiębiorstwa, a więc przez koleje, przez centrale elektryczne, czy gazowe etc. Via emisje biletów skarbowych, kasy oszczędności itd., państwo dzisiaj odgrywa wszędzie decydującą rolę na rynku pieniężnym. Tak zwane silne rządy mają możność lepszej gospodarki w upaństwowionych przedsiębiorstwach, bo są mniej zależne od parlamentu, od indywidualnych posłów i partyj, od związków zawodowych, od nacisków opinii, podburzanej przez demagogów. Gospodarka w Electricité de France, Gaz de France, SNCF, nawet Charbonnages de France poprawiła się za V-ej Republiki, i jest to oczywiście poważny

argument na rzecz obecnego ustroju. Tak samo polepszyła się gospodarka kredytowa i budżetowa Francji (ale nie podatkowa) od czasu reform Pinaya, i to znowuż uzasadnia, w pewnym stopniu, teorie głoszone przez obecnego prezydenta Republiki. Natomiast przebieg wypadków we Włoszech jaskrawo potwierdza, jak trudno utrzymać i prowadzić odpowiednią politykę gospodarczą przy rządach słabych, partyjnych, zależnych od onnipotencji parlamentu, od niewyrobionej opinii. Dobra gospodarka budżetowa i kredytowa wzmacnia rządy, inflacja i deficyty zawsze rząd podminowują. Nie wierzę, by obecny reżym Franco się długo po jego śmierci utrzymał, ale o ile gospodarka państwowa będzie rozrzucona i niedołężna, koniec reżymu musiałby nadejść bardzo szybko.

Wreszcie, przy ożywieniu gospodarczym, nacisk opinii w kierunku wzrostu płac zawsze wzrasta. Niedosyt konsumpcyjny jest w Hiszpanii duży, stopa życiowa jaskrawo nie wystarcza, podnoszenie płac jest socjalną i polityczną koniecznością. Wszelako umiar w tej dziedzinie jest szczególnie wskazany. Przykłady Anglii, Francji, obecnie Włoch po kolei w sposób miażdżący wykazały, że żadne państwo nie może wytrzymać generalnej zwyczajki płac powyżej 4% rocznie: gdy tylko ta proporcja jest przekroczona, koniunktura staje się inflacyjna i następują zwyczajki cen, które niwelują uzyskane podwyżki: na papierze robotnik dostaje o 8% więcej, ale ceny rosną o 5 czy 6%, i w rezultacie płace wzrastają o dwa lub trzy, a nie o cztery procent. Jest to proste, jasne i matematyczne pewne. A jednak po kolei robotnicy i pracownicy wszystkich krajów przekonywują się o tej prawdzie, o tym żelaznym prawie ekonomicznym tylko na własnej skórze, tylko po latach bolesnych i kosztownych doświadczeń. Bo zwyczajka cen nie tylko niweluje podwyżki płac ale także wywołuje szereg ubocznych szkód i krzywd: oszczędności się kurczą, a więc maleje pęd do oszczędności, emeryci, wierzyciele są zwyczajką cen pokrzywdzeni bez ekwiwalentu, stopa procentowa idzie w górę, ludność ucieka do wartości realnych, zagranica traci zaufanie. Trzymanie cen, a więc i płac jest kategorycznym obowiązkiem każdego rządu, a już zwłaszcza tak zwanych silnych rządów: jeżeli rządy „autorytatywne” nie umieją zapobiec zwyczajce płac i cen, tracą rację bytu. Jeżeli natomiast te rządy utrzymują jaką taką stałość cen i płac, ludność się godzi z ich istnieniem, bo stabilizacja jest bezcennym dobrym gospodarczym, dużo większym od całego planowania. Widzimy to teraz we Francji, gdzie na skutek planu stabilizacyjnego i rozumnego nacisku na płace przez Pompidou, tego neo-Pinaya, zwyczajka ustała, i burzliwe nastroje z ubiegłego lata bardzo opadły. Widzimy natomiast we Włoszech jak eksperyment „centro-sinistra” jest już prawie w agonii właśnie dlatego, że rząd Moro-Nenni

nie jest w stanie zapewnić stałości cen, a więc jego zwyżki płac stają się fikcyjne, a kraj cały pogrąża się w gorączce i histerii.

W Hiszpanii nacisk na rzecz zwyżki płac będzie przybierał na sile. Z jednej strony obecność tylu turystów stwarza dodatkową siłę kupna. Z drugiej strony emigracja na wielką skalę zmniejsza podaż rąk do pracy, a więc ułatwia walkę o podwyżki płac. Tym niemniej jest jeszcze bardzo daleko do resorbcji całej siły roboczej w Hiszpanii: zbędnych rąk na roli jest już dzisiaj na pewno przeszło milion, przy jakiej takiej mechanizacji rolnictwa ta nadwyżka wyniesie łatwo dwa miliony. Cały szereg przemysłów jest skazanych na zagładę przy obniżaniu ceł i znoszeniu kontyngentów: nie będą mogły dać rady konkurencji zagranicy. Poza tym jestem zdania, że w całej Europie Zachodniej kopalnictwo, w szczególności węglowe, musi być ograniczone i coraz bardziej zmechanizowane, bo nie można w XX wieku wysyłać robotnika pod ziemię, na katorżną pracę, nie można kształcić człowieka do 16 roku życia, by potem kazać mu iść na dożywotnie ciężkie roboty, bez żadnej możliwości poprawienia swego losu. W warunkach hiszpańskich, to znaczy w upale, przy bardzo biednych szybach węglowych, przy złym gatunku węgla, kopalnictwo węglowe jest szczególnie ciężką pracą. Strajki w Hiszpanii, o których ciągle słyszymy, mają miejsce prawie wyłącznie w okolicach Oviedo, to znaczy właśnie w kopalniach węgla i rudy. Myślę, że likwidacja wszystkich kopalni węgla w Hiszpanii jest nagłą koniecznością, tak samo jak nią było zamknięcie kopalń węgla w Borinage, w Belgii. Po zmniejszeniu wydobycia węgla w Belgii o jedną szóstą przez zamknięcie najmniej wydajnych kopalni wybuchły strajki, awantury, ale po roku nastąpiło uspokojenie, i stopniowo bezrobotni górnicy zostali wchłonięci przez inne, lżejsze, bardziej ludzkie zawody. Likwidacja kopalń węgla w Hiszpanii, możliwa na skutek wzrostu turystyki, opóźni wzrost płac w innych dziedzinach, opóźni nawet rozwój gospodarczy Hiszpanii, ale *per saldo* się sówicie opłaci.

Recepta Erharda

W moich artykułach o Niemczech i o Wspólnym Rynku wspominałem o doktrynie Erharda, skrupulatnie stosowanej przez NRF: dusić płace, natomiast zwiększać wydatki o charakterze socjalnym, przede wszystkim na budownictwo mieszkaniowe. A fortiori trzeba by tę zasadę forsować w Hiszpanii. W kraju o tak prymitywnym handlu, jak Hiszpania, o tak niskim poziomie życia, o tak infantylnej mentalności gospodarczej, o braku wszelkiej

tradycji oszczędzania i inwestowania, każde zbyt gwałtowne rozluźnienie śruby musi pociągnąć natychmiast podwyższenie konsumpcji, zwłaszcza konsumpcji żywności, a więc spowodować silną wyżkę kosztów utrzymania. Hiszpania nie może rzucić w ciągu roku 10% ekstra-siły-kupna na rynek artykułów spożywczych bez wywołania ogromnych perturbacji na tym rynku. Silne wyżki płac zmieniają też kalkulację rentowności hoteli, pensjonatów i restauracji, a wyżki cenników w tych zakładach mogą się odbić bardzo ujemnie na ilości turystów: a oni stanowią klucz do koniunktury.

Wszystko więc nakazuje rządowi dusić płace, zwlekać z podwyżkami, natomiast polepszać dolę klasy robotniczej przez inwestycje turystyczne i mieszkaniowe, oraz urbanistyczne. O ile mogę się zorientować rząd w dużej mierze właśnie tak postępuje. Sytuacja mieszkaniowa w miastach się wyraźnie i poważnie poprawia, nie tylko przez budowę mieszkań, ale także przez kanalizację, oświetlanie ulic, przez lepsze ścieki, przez nowoczesne zakłady oczyszczania miast, palenie odpadków etc.

Na drugim miejscu w hierarchii potrzeb postawiłbym, zaraz po mieszkaniach, inwestycje wodne: cała Hiszpania cierpi na szalony brak wody, i to stanowi piętę achillesową nie tylko jej rolnictwa, ale także jej przemysłu. Czytałem kiedyś jakąś statystykę niemiecką, z której wynikało, że od 1900 do 1960 roku najwięcej wzrosło zapotrzebowanie nie węgla, i nie stali, i nie żywności, ale wody: jej konsumpcja wzrosła w ciągu tych sześćdziesięciu lat osiemdziesięciokrotnie, 80 razy. Przemysł chemiczny, elektryczny muszą konsumować astronomiczne ilości wody. Pamiętam też uwagę niejakiego Erica Johnsona, który był jakoś wkrótce po wojnie prezesem Amerykańskiej Izby Handlowej i był jednym z pierwszych Amerykanów, którego Malenkov po śmierci Stalina, zaprosił do zwiedzenia ZSSR. Otóż ten Johnson po powrocie z Sowietów oświadczył, że za pierwsze kryterium sprawności przemysłowej uważa czystość, i właśnie brud fabryk, stołówek, sklepów sowieckich najbardziej go zafrapował, najbardziej ujemne na nim zrobił wrażenie. Każdego w Hiszpanii brud Niemile uderza: Hiszpanie są dużo brudniejsi od Włochów, są od nich gorzej ogoleni, są gorzej ubrani, są bardziej zaniedbani. Właśnie ten brud i to opuszczenie zwiększają wrażenie biedy hiszpańskiej. Mam wrażenie, że jest mniej źle z tą biedą, niżby się na pierwszy rzut oka zdawało. W Holandii czy w Niemczech deszcz bardzo często zmywa ulice, ściany, tory kolejowe. W Hiszpanii na skutek suszy i spiekoty każda droga jest zakurzona, nad każdym torem kolejowym, nad każdym wybrzeżem portowym unoszą się tumany kurzu, i każdy robotnik portowy czy kolejowy robi wrażenia osmarowanego od stóp do głowy. Gdyby w Hiszpanii lało równie czę-

sto, jak w Anglii, wrażenie brudu byłoby mniejsze. Ale w każdym razie *there is much room for improvement*. Hiszpania powinna wydać miliardy na wiercenie studzien artezyjskich, na irygację, na podlewanie wodotryskami pól, parków i gajów owocowych, ulic i szos, torów kolejowych i kompleksów fabrycznych. Hiszpania też powinna inwestować w badania możliwości desalinizacji wody morskiej na wielką skalę, bo tylko w ten sposób można będzie naprawdę brakowi wody w tym na połę afrykańskim kraju zaradzić.

Na trzecim miejscu postawiłbym inwestycje zdrowotne. Stan higieny w Hiszpanii jest wciąż wysoce prymitywny. Dzieci są blade, chude, nieładne, dość marnie ubrane, dzieci cygańskie w Andaluzji są skandalem, ale to jest cechą tej dziwnej indyjskiej rasy, która kocha się w brudactwie, i która używa niemowląt jako okazji do żebraniny. Całe starsze pokolenie Hiszpanów robi wrażenie schorowanego i zupełnie niezdolnego do jakiejkolwiek wydajnej pracy. Kalek, beznogich widzi się w Hiszpanii więcej, niż we Francji czy w Niemczech: wojna domowa była bardzo krwawa. Najbardziej jednak uderzyła mnie olbrzymia ilość niewidomych. W żadnym kraju tyłu ich nie widziałem. Są to ofiary nie wojny domowej, lecz rzerzączki, która była w Hiszpanii, podobnie jak syfilis, szalenie rozpowszechniona. Dzisiaj, dzięki penicylinie, choroby weneryczne już nie są tak groźne, ale nie są jeszcze całkiem wytępione, bo wśród ślepców widać nawet całkiem młodych ludzi. Odniosłem też wrażenie, że wariatów jest w Hiszpanii niezwykle wielu: zwłaszcza wśród starych bab widziałem dość wiele, które wyły, ryczały, robiły awantury publicznie bez cienia powodu: *la loca* — oto jedyne dla nich określenie. Zupełnie czarownice z akwareli genialnego Goyi, być może największego malarza naszych czasów. Palenie czarownic było zresztą tylko dość prymitywnym sposobem pozbywania się starych wiedźm, gdy nie było domów wariatów, ani nie znano psycho-analizy.

Hiszpanie twierdzą, że w ich więzieniach siedzi tylko 11 tysięcy osób, podczas gdy ludność więzień francuskich wynosi 31 tysięcy, a angielskich nawet 33 tysiące. Łobodowski, mój obecny Cicerone w Madrycie, a nasz największy żyjący Hispanista, tłumaczył mi, że jest to wynikiem metod policji hiszpańskich wobec tak zwanych huliganów (*nota bene*, słowo to pochodzenia irlandzkiego — *hooligan* — pisze się po polsku przez samo H, nigdy przez CH; ta ostatnia pisownia jest skandalicznym rusycyzmem!): gdy policja schwyta takiego młodego łobuza nie bawi się z wysyłaniem go do kryminału na dwa tygodnie, co nic nie pomaga, lecz tak spierze żulika, że ten się przez dwa tygodnie nie może się pozbierać i potem już się porządnie namyśli zanim drugi raz pójdzie na urządzenie brewerii. „Lanie” przez policję

wydaje mi się zawsze bardzo niebezpieczną metodą, ale kto wie, czy nie będzie trzeba powrócić do jakichś kar publicznych i cielesnych, bo rozpanoszenie mętów wielkomijskich, specjalnie w Londynie i Paryżu, zaczyna rzeczywiście przekraczać wszelkie dopuszczalne granice.

Jak wszędzie tak i w Hiszpanii trzeba popierać wszelkimi siłami szkolnictwo zawodowe, albo, jak to ściślej Francuzi nazywają, *formation professionnelle*, która przybiera nie tylko formę szkół, ale i praktyk, stażów etc. Robotników wykwalifikowanych w Hiszpanii prawie nie ma, majstrów, techników jest jeszcze mniej. Personel biurowy jest niedostateczny. Sprzedawcy są poza Madrytem nie na poziomie. Znajomość języków jest bardzo słaba, co również utrudnia Hiszpanom znalezienie dobrej pracy zagranicą. Hiszpan z ludu jest poza tym często dość chamowaty, w każdym razie znacznie mniej uprzejmy, niż Włoch czy Austriak.

Wreszcie jako użytkowca kolei — całą podróż z Port Bou aż do Irunu, dookoła całego półwyspu dokonałem koleją — pragnąłbym być świadkiem masywnych inwestycji w hiszpańskich Ferrocarrils. Bez zasadniczej renowacji kolei — torów, taboru, sygnalizacji, budynków dworcowych, bufetów, szybkości, mijanek, elektryfikacji, klimatyzacji etc. — nie widzę możliwości pełnego wykorzystania możliwości turystycznych, nie widzę rozwoju eksportu, nie widzę sprawnego handlu wewnętrznego, nie widzę wakacji dla mas hiszpańskich, nie widzę też możliwości wyrównania cen między prowincją, a wielkimi ośrodkami. W Walencji widziałem kilo pomarańcz już w sklepach po 7 peset (9 centów amerykańskich) — a kilo cytryn nawet po 5 peset, a już w Madrycie liczone mi w kafejce czy restauracji 4 pesety za *jedną* pomarańczą! Jazda koleją w Hiszpanii jest dzisiaj aktem heroizmu, jest dosłownie męczarnią. Mało widzę równie rentownych inwestycji w skali ogólnoeuropejskiej, co właśnie modernizację i elektryfikację kolei hiszpańskich. Te inwestycje umożliwiłyby milionom dalszych Europejczyków korzystanie z wczasów w Hiszpanii, a poza tym dostawy względnie tanich hiszpańskich owoców i jarzyn i ryżu prawie o każdej porze roku. Wielka pożyczka kolejowa dla Hiszpanii pod egidą Wspólnego Rynku byłaby częścią operacji, mającej na celu wciągnięcie do Europy trzydziestu milionów ludzi, którzy by pracowali dla reszty jako hotelarze, ogrodnicy, sadownicy, a Europa zyskałaby w nich 30 milionów konsumentów, *à part entière*, jak mawia de Gaulle. O ileż ta operacja bardziej się Europie opłaci, o ileż większe odrzuci korzyści, niż kłócenie się o Wietnam, niż imaginacyjne korzyści handlu z Chinami, niż próby ucłowieczenia Murzynów w afrykańskim buszu (konieczne, zapewne, ale jakże długoterminowe), niż próby wytłumaczenia Arabom, że mają odrabiać zacofanie wielu stuleci, a nie trwonić royalties naf-

towe na przewroty, rewolucje, mordy kapturowe, propagandę, zbrojenia i szykowanie się do „świętej” wojny z Izraelem.

Hiszpania i Francja

Cały Wspólny Rynek, cała Europa mogą tylko zyskać z chwilą, gdy dobrobyt zrobi z Hiszpanów 30 milionów konsumentów. Ale żaden kraj tyle nie zyska na tej zbawiennej REWOLUCJI, co Francja. O ile w 19-tym wieku ekonomia nie uznawała geografii, i pod przewodem Anglików upierała się przy twierdzeniu, że handel z Borneo jest intratniejszy i nawet szlachetniejszy, niż z najbliższym sąsiadem, o tyle teraz geografia odzyskała swe prawa: mamy dzisiaj gospodarkę bloków. Nawet Anglia zaczyna rozumieć, że bardziej się opłaca handlować z Calais czy Bremą, niż z Hong Kongiem i Tasmanią. Francja ma więc wszystkie dane, by stać się głównym partnerem handlowym Hiszpanii, a na razie tym pierwszym partnerem są Stany Zjednoczone, potem Niemcy, potem Anglia, dopiero potem idzie Francja. Francja może eksportować do Hiszpanii właśnie te towary, których uplasowanie sprawia jej najwięcej trudności, a więc maszyny, tabor kolejowy, samochody, chemikalia etc. Eksportując na ogromną skalę do Hiszpanii, Francja będzie w gruncie rzeczy zaskarbiać sobie jej zyski z turystyki: Hiszpania będzie zużywać swe nadwyżki turystyczne na zakup towarów francuskich! Jakaż operacja może się Francji lepiej opłacać? Poza tym Francja może znaleźć w Hiszpanii doskonałą, bo pewną i rentowną lokatę, dla swych kapitałów, dla inwestycji przemysłowych, dla nabywania hoteli i nieruchomości, dla kredytów bankowych i państwowych. I ileż lokaty w Hiszpanii będą się Francji lepiej opłacać od całej pomocy dla Tiers-Monde'u! Wreszcie Hiszpania może jeszcze przez długie lata dostarczać Francji idealnego imigranta, pracownika inteligentnego, uczącego się łatwo po francusku, dostosowującego się łatwo do francuskich warunków życia, podatnego do sfrancuzienia już w pierwszej generacji, prawie równie sprawnego, jak robotnik włoski, który dzisiaj staje się rara avis. Póki rządy komunistyczne państw satelickich nie będą pozwalały swym obywatelom emigrować na Zachód, werbowanie robotnika hiszpańskiego jest dla Francji omal jedyną deską ratunku, bo młodzi Francuzi nie chcą już pracować ani na roli, ani w kopalniach, ani w budownictwie, ani przy budowie dróg, ani w zakładach oczyszczania miast, ani w metrze: a ktoś te wszystkie prace spełniać musi. A o ileż lepszy jest Hiszpan od Portugalczyka czy Greka, o ileż łatwiej i szybciej się asymiluje — nie mówiąc naturalnie o Algierczykach, Murzynach,

Chińczykach, Wietnamczykach itd., których pojawienie się masowe już wywołuje wrzenie, a z czasem stworzy problemy równie groźne, jak problem murzyński w Stanach. Bardzo łatwo potępiać rasizm, gdy się nie ma Murzynów czy Arabów u siebie, ale gdy się zjawiają, okazuje się zawsze, że to właśnie klasa robotnicza najsilniej reaguje na przybycie i równouprawnienie intruzów, upatrując w nich zagrożenie dla swej stopy życiowej i skali zarobków.

Rezygnacja z Północnej Afryki jest gospodarczo dla Hiszpanii dużo większą katastrofą, niż dla Francji. Dwa lata temu plany gazociągu z Arzew i Mostagenem pod Morzem Śródziemnym, a wzdłuż wschodnich brzegów Hiszpanii — via Cartagena, Valencia, Barcelona — do Francji wydawała się bliska realizacji. Dzisiaj ktoś czasem o tym projekcie bąka z jakiejś solennej okazji, ale jest jasne, że nie ma kapitałów publicznych czy prywatnych na świecie, które by zaryzykowały konieczne miliardy na tę olbrzymią inwestycję, przynajmniej tak długo, jak długo Ben Bella lub jemu podobni pozostają u władzy w Algierze. Wywłaszczenie resztek osadników francuskich w Tunisie nikogo nie zachęca do lokat w Algierii. A ten gazociąg saharyjsko-śródziemnomorski miałby dużo większe znaczenie dla Hiszpanii, niż dla Francji. Francja może ściągnie gaz ziemny z nowo-odkrytych złóż holenderskich, może z Morza Północnego, którego prospekcja dopiero się zaczyna, poza tym Francja ma dużo więcej sił wodnych, ma lepszy węgiel i ma go więcej, ma Parentis i Lacq, ma *usine marémotrice* de la Rance, wreszcie ma dużo większe szanse wykorzystania energii atomowej, gdy ta stanie się realną, opłacalną możliwością. Natomiast Hiszpania nadal cierpi na brak źródeł energii i gazociąg z Arzew do Cerbère był jej dał po raz pierwszy możliwość taniego zaopatrywania w energię przemysłu na wybrzeżu śródziemnomorskim, od Algesiras aż do Port Bou. Teraz wszystkie te plany leżą. A bez taniej energii stworzenie potężnego nowoczesnego przemysłu jest omal niemożliwe, w każdym razie bardzo trudne. Przemysł hiszpański i tak produkuje powoli, drogo i źle, i w walce konkurencyjnej tani gaz ziemny byłby dlań wielkim atutem.

Czego możemy się od Hiszpanii nauczyć?

Wracamy zawsze do naszego podwórka, wszystko sprowadzamy do naszych spraw i kłopotów. Trudno się temu dziwić: jesteśmy ubodzy, skrzywdzeni i słabi, nasze możliwości wpływania nawet na los naszych braci litewskich czy węgierskich czy czeskich są równe zeru, cóż dopiero gdy chodzi o Zachodnią Europę. Tylko wariat może sobie wyobrażać, że Polska ma jakąkolwiek możliwość wpływania „wewtę czy wewtę” na ustrój Hiszpanii, na jej politykę zagraniczną, na jej politykę zagraniczną, na jej stosunki z Francją czy Wspólnym Rynkiem. Oficjalnie, czy to na emigracji, czy w Polsce, nie możemy się bawić w żadne bojkoty, ani

żadne pouczenia, ani żadne interwencje: za to wszystko zawsze się kiedyś płaci. Rząd szwajcarski, na którym powinniśmy się stale wzorować, ma stale zasznurowane usta, i ten przykład Gomułka powinien stale naśladować, ale prasa szwajcarska wyraża śmiało swe poglądy i upodobania, wszelako zawsze tylko tonem obserwatorów, a nie propagandzistów czy mentorów.

Podróż do Hiszpanii przekonała mnie co do kilku punktów, co do których miałem dotąd poglądy mniej zdecydowane. Przekonała mnie raz jeszcze o absolutnym prymacie spraw gospodarczych nad kwestiami ustroju, ideologii, polityki zagranicznej. Nasz świat zachodni zmienia się nie z powodu socjalizmu czy „silnej władzy”, czy nacjonalizmu, ale zmienia się przede wszystkim dlatego, że ten nasz świat zachodni staje się co roku *bogatszy*. Nieboszczyk Nehru wygłosił dużo głupstw, dużo banałów, i dużo kłamstw, bo był typem najgorszym angielskiego hipokryty, ale jedna jego uwaga zasługuje na to, by być wyryta w marmurze i znajdować się na biurkach wszystkich mężów stanu. „Prawdziwa rewolucja, powiedział kiedyś Nehru, polega na tworzeniu bogactwa, bo nędza istniała zawsze, i każdy ją stworzyć potrafi”. Otóż przekonałem się, że w Hiszpanii ta teza jest równie prawdziwa, co we Francji, w Niemczech, we Włoszech. Bogactwo zmieniło Niemców dużo bardziej niż denazyfikacja, bogactwo, dotąd bardzo względne ale realne, zmieniło i zmienia reżym Franco, a nie bojkot ONZetu czy nowe próby bojkotu p. Spaaka. Wzrost dobrobytu i stopy życiowej emancypuje olbrzymie siły, olbrzymie energie: za mordę można trzymać naprawdę tylko nędzarzy, policjant i jego pałka mogą być wszechmocne tylko gdy znaczna część ludności ma jedynie minimum egzystencji. Gdy tylko człowiek wznosi się ponad zwierzęcy poziom bytu, gdy tylko jest odżywiony, ma dach nad głową, ubranie na sobie, możliwość wychowania rodziny, gdy nadto ma wczasy, tym bardziej samochód — ten człowiek nie daje się tak łatwo zastraszyć, ani nie wierzy w to co mu władza opowiada, ani nie uważa władcy za przedstawiciela przedwiecznej mądrości. Człowiek zamożny odwraca się od dyktatury, tej nowoczesnej formy caratu, instynktownie żąda, by państwo pozostawiło mu coraz większy stopień samodzielności i swobody. To jest ewolucja, którą widziałem w Hiszpanii. Dzisiejszy reżym jest tylko nominalnie tym samym, którym był pięć czy tym bardziej siedemnaście lat temu. Jestem najgłębiej przekonany, że po wejściu Hiszpanii do Wspólnego Rynku reżym madrycki będzie dalej i silnie ewoluował w kierunku ustroju socjalnego i prawnego, który istnieje w tym organizmie, co prawda raczej w kierunku jakiegoś gaullizmu, niż socjalizmu p. Spaaka czy Wilsona.

Po wtóre nabrałem w Hiszpanii przekonania, że, jak po trochu wszędzie, warstwa do której należę, to znaczy inteligencja o wy-

kształceniu humanistycznym, nie jest w stanie objąć i zachować rządów. W Hiszpanii warstwa ta była zawsze słabsza, niż gdzie indziej, i doszła do władzy w stu procentach dopiero w 1931 roku, po upadku monarchii. Klasa ta, której rdzeń stanowili adwokaci, prawnicy, nauczyciele, urzędnicy okazała się niezdolną do rządzenia, doprowadziła do wojny domowej, a teraz, w ciągu 25 lat, okazała się niezdolna do obalenia reżymu. Upadek znaczenia tej warstwy inteligenckiej jest zjawiskiem wszechświatowym. Podobnie w Polsce poeci, dziennikarze, profesorzy, historycy sztuki etc. nie są w stanie zmusić Gomułki do podzielenia się władzą, czy choćby do poważniejszych ustępstw. Gil Robles nie będzie miał w Hiszpanii większych sukcesów, niż St. Mackiewicz i A. Słonimski w Polsce. Tak w Polsce, jak w Hiszpanii prawdziwa rewolucja może przyjść tylko od inteligencji technicznej, która wyłoni, raczej prędzej niż później, nową rządzącą klasę technokratów. Technokraci — to są *fachowcy* — eksperci techniczni, handlowi, organizacyjni, którzy poza tym mają poważne wiadomości ekonomiczne, zarówno teoretyczne, jak z własnego doświadczenia. W Hiszpanii elementem najbardziej niezadowolonym z obecnego reżymu, z jego powolności, kunktatorstwa, nieśmiałości, a także z własnych zarobków i swej roli w państwie nie są robotnicy, ale młoda inteligencja techniczna, która rumieni się nie gdy im się powie, że Hiszpania ma zły ustrój, bo to ich nie interesuje, ale gdy się im powie, że ma złe koleje: wówczas sami zaczynają krzyczeć, że to jest skandal, że rząd jest wszystkiemu winien itd.

Stworzenie Hiszpanii socjalistycznej, Hiszpanii o rządach robotniczych jest dzisiaj utopią: robotnicy hiszpańscy nie mają żadnych kwalifikacji, by objąć władzę w swe ręce. Co najwyżej władzę w ich imieniu, podobnie jak w krajach typu sowieckiego, mogłaby uchwycić część policji i biurokracji, operującej kłamliwie i fałszywie nazwą socjalizmu. Natomiast przesunięcie punktu ciężkości klasy rządzącej z klasy oficerskiej na klasę technokratów wydaje mi się i pożądane, i pilne, i na dalszą metę nieuniknione. Czy wojsko hiszpańskie jest gotowe na tę *capitis diminutio* po odejściu Franco? Czy Don Juan Carlos mógłby być instrumentem tej ewolucji — od armii i Guardia Civil do technokratów, do jakiegoś Ullastresa-Pompidou? Trzeba by znacznie dłużej przebywać w Hiszpanii, trzeba by znać język i poznać wielu ludzi, by móc na te pytania odpowiedzieć. Chciałbym wierzyć, że tak będzie. Bo pragnę serdecznie, by Hiszpania zajęła z powrotem miejsce, które się jej należy w Europie. Nawet dla Polski ten renesans Hiszpanii miałby, pomimo odległości geograficznej, pewne znaczenie. O ile mogę wierzyć moim obserwacjom Europy na przestrzeni długiego życia, tylko wśród katolików możemy liczyć na prawdziwe sympatie i prawdziwe zrozumienie. A Hiszpania jest

krajem katolickim, i z tego tytułu między Hiszpanią a Polską — nota bene dwoma ostatnimi twierdzami Kontr-Reformacji — będzie zawsze istniała pewna więź sympatii, silniejsza od tej, którą dzisiaj propagują zwolennicy nacjonalistycznej hucpy i kultu jednostki.

Wreszcie — i to może jest najważniejsze — odniosłem w Hiszpanii wrażenie, że w głębi hiszpańskiej świadomości narodowej nastąpiła zasadnicza rewaluacja celów hiszpańskich na świecie, innymi słowy ich stosunku do polityki zagranicznej. Widmo dawnego imperium „nad którym nie zachodziło słońce” straszło w Madrycie; biedny, ubogi, słaby kraj próbował odgrywać rolę zupełnie niewspółmierną do swych możliwości materialnych, militarnych, intelektualnych. Mam wrażenie, że teraz nastąpiła absolutna abdykacja, że „Hispanidad” nikogo nie interesuje, że ani w Afryce, ani w Ameryce Łacińskiej Hiszpania nie będzie próbować odgrywać jakiegokolwiek roli.

Hiszpania, tak jak i my, hołdowała do obłędu teorii: „*Les voisins de nos voisins sont nos alliés*”. Hiszpanie poszli jeszcze dalej od nas w tym kierunku, bo zafundowali sobie niemiecką dynastię, bo, poza unią personalną z Niemcami za Karola V, mieli stały taki związek unijny z innymi sąsiadami Francji, Niderlandami a także Mediolanem. Francja wyrządziła Hiszpanii straszliwe krzywdy, a Anglia też przyczyniła się decydująco do upadku imperium hiszpańskiego. Otóż teraz Hiszpanie po raz pierwszy puszczają te krzywdy w niepamięć. Po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że pragną bardziej żażyłości z Francją, niż z Anglią, niż z Niemcami. Turysta francuski przekonał ich, ile mają na Francji do zarobienia, pożyczki francuskie otworzyły im oczy na możliwości współpracy z Francją i w innych dziedzinach, staże i praktyki we Francji są dzisiaj marzeniem omal wszystkich młodych technokratów. Hiszpania rozumie potrzebę bloków, i rozumie, że do Europy wchodzi się nie po to, by judzić jednych przeciw drugim, by brać udział w bezsensownych rozgrywkach, lecz by być elementem zgody i jedności. Stąd Madryt nie podnosi rwetesu o veto Spaaka, ani o dąsy Włoch Nenniego, a choć reżym Franco jest z dniem każdym bliższy de Gaulle’a i V Republiki, to jednak Franco starannie unika zajęcia stanowiska w kłótniach między Francją a Ameryką czy między Francją a Anglią. Madryt się nie pcha, nie kładzie palca między drzwiami. Zbliżenie do Francji, współpraca sąsiedzka, uznanie prymatu kultury i języka francuskiego — ten ostatni punkt jest bardzo jaskrawy — nie są zwrócone przeciw nikomu.

Hiszpanie nas dzisiaj biją na całego na polu ekonomicznym — stopa życiowa w Hiszpanii wzrasta dużo szybciej, niż w Polsce. Hiszpanie nas biją na tle zacieśnienia stosunków z Europą,

na terenie emigracji zarobkowej do Europy, na terenie kształcenia swych „cadres”. Obawiam się, że naród polski może się okazać jeszcze mniej trzeźwym, jeszcze mniej wyrobionym, jeszcze bardziej archaicznym od narodu hiszpańskiego.

W. A. ZBYSZEWSKI

PKO - Dary do Polski wolne od cła
- Od 7 lat za pośrednictwem
oficjalnego przedstawicielstwa Banku PeKaO
ALIMEX - Handels-GmbH
8 München 2

Neuhauser Strasse 34/V, Tel. : 55 06 41
Skrytka pocztowa : 8 München 33, Schliessfach 140

lub :

Berlin : Alimex-Büro, 1 Berlin 12, Kantstr. 165/VI. Tél. : 91 32 59

Przyjmujemy wpłaty na paczki standardowe, artykuły różne (z mieszkaniami i jednorodzinnymi domami włącznie) oraz przekazy pieniężne dla wypłaty gotówką w złotych po dogodnym kursie Banku PeKaO w tym: — spadki, odszkodowania (z wyjątkiem bieżących rent miesięcznych) i alimenty.

ŻĄDAJCIE BEZPŁATNYCH CENNIKÓW

Nasze biuro udziela chętnie wszelkich informacji w języku polskim.

Rola inteligencji murzyńskiej

Problemy krajów rozwijających się, a szczególnie Afryki, stają się coraz bardziej modne na uczelniach uniwersyteckich świata (1). Do niedawna Afryka była osobnym tematem dla etnografów i etnologów interesujących się społeczeństwami pierwotnymi. Dla współczesnego badacza cywilizacji — socjologa, ekonomisty, antropologa i historyka — Afryka stała się ważnym fragmentem ogólnego zagadnienia tworzenia się świata, wspólnego dla całej ludzkości bez kolonializmu i bez podziału na narody panujące i narody podległe. Problemy Afryki — takie jak formowanie się i rozwój nowoczesnych instytucji społecznych, politycznych i ekonomicznych, procesy urbanizacji i industrializacji, powstanie nowych kultur narodowych w krajach afrykańskich stały się problemami świata współczesnego.

W procesie gwałtownych przemian, jakie obserwujemy na całym kontynencie afrykańskim a szczególnie w krajach leżących na południe od Sahary, które uzyskałyby niepodległość polityczną w ciągu ubiegłych dziesięciu lat, kluczową rolę odgrywa elita intelektualna i polityczna nacjonalistów murzyńskich. Żadna ocena linii rozwojowej tych krajów nie może pominąć przywódczej roli tamtejszej inteligencji — jeśli mi wolno posłużyć się terminem przyjętym w polskim piśmiennictwie socjologicznym oraz w mowie potocznej. W ocenie tej właśnie warstwy społecznej posta-

(1) Wymienić tu należy dla przykładu Międzynarodowy Instytut Afrykański działający pod egidą UNESCO, *School of African and Oriental Studies* w ramach Uniwersytetu Londyńskiego oraz podobną instytucję na Columbia University w Nowym Yorku. Założycielem i wieloletnim i wieloletnim kierownikiem tej ostatniej placówki był zmarły w 1963 r. prof. M.J. Herskovits. Przykładem rosnącego zainteresowania Afryką w Rosji jest Instytut Afrykański w ramach Radzieckiej Akademii Nauk pod kierownictwem prof. II. Potiechina. W Polsce od roku 1959 na Uniwersytecie Łódzkim działa ośrodek studiów afrykańskich pod kierunkiem prof. Józefa Chałasińskiego. W listopadzie 1962 ośrodek ten przekształcony został pracownię Zagadnień Społecznych i Kulturalnych Afryki Współczesnej, PAN.

ram się odpowiedzieć na następujące pytania. Skąd biorą się ludzie stanowiący elitę społeczną krajów rozwijających się? Jaką rolę odgrywa elita społeczna w procesie rozwojowym? Jakie są szczególne problemy psychologiczne w życiu publicznym i osobistym afrykańskiej elity przywódczej?

Model nowoczesności

Zanim przejdziemy do omawiania poszczególnych zagadnień, zastanówmy się po krótko nad niektórymi cechami charakterystycznymi społeczeństw w krajach rozwijających się. Mówiąc zaś o krajach takim mianem określonych mam na myśli społeczeństwa przechodzące w swej ewolucji Rubikon, dzielący fazę rozwojową którą nazwę stanem prymitywnym od fazy, którą określam mianem nowoczesności. Oczywiście oba te terminy, tj. społeczeństwo prymitywne i społeczeństwo nowoczesne, są sumą wielu uogólnień i uproszczeń. Trzeba tu podkreślić, że mamy do czynienia z pojęciem dynamicznym a nie statycznym. Społeczeństwo prymitywne podlega ciągle procesom rozwojowym takim jak różniczkowanie społeczne, ewolucja form rodziny, zmiany w instytucji własności, itd. Podobne przeobrażenia zachodzą w społeczeństwie nowoczesnym.

Dla potrzeb niniejszego artykułu ów „Rubikon”, o którym piszę wyżej, określić można jako zastąpienie więzi rodowej i szczepowej więzią nadrzędną, nazwijmy ją „narodową”. Nie bez powodu posługuję się tu cudzysłowem. Przykłady zaczerpnięte z rzeczywistości dzisiejszej Afryki i innych części świata, takich jak np. Nowa Gwinea, uczą nas, że wytworzenie się świadomości *narodowej* postępuje znacznie wolniej aniżeli tworzenie organizacji państwowej i, co za tym idzie, więzi politycznej. Termin „więź narodowa” oznacza w tym wypadku splót stosunków, instytucji i styczności społecznych, które przekraczają ramy grupy rodowej lub szczepu. Ważnym czynnikiem jest zwykle wymiana gospodarcza stwarzająca organiczne podstawy współzależności pomiędzy grupami endogamicznymi i skupiskami terytorialnymi.

Społeczeństwo prymitywne, przekraczające ów wspomniany Rubikon, a szczególnie jego elita intelektualna i polityczna wytwarza sobie pewien szczególny obraz nowoczesności. Osiągnięcie tej nowej fazy rozwojowej, którą nazywaliśmy nowoczesnością oznacza, po pierwsze, okres dynamicznych przemian. W umysłach warstwy przywódczej nowoczesność utożsamia się z dynamizmem. Społeczeństwo nowoczesne nie obawia się gwałtownych zmian, nie chce zachować *status quo*; przeciwnie jest utrzymaniu *ancien régime* i zespołu instytucji z tym związanych. Przejawy dynamizmu nowych państw i ich przywódców obserwować możemy na forum organizacji międzynarodowych, takich jak Narody Zjednoczone, w pewnej agresywności jaką posiadają studenci afrykańscy na uczelniach Europy i Ameryki — słowem wszędzie gdzie nacjonalizm afrykański styka się z nowoczesno-

ścią w jej formach dawno okrzepłych i stanowiących pierwowzór dla państw rozwijających się.

Drugą cechą charakterystyczną nowoczesności, do której dążą państwa afrykańskie, to pewna ściśle określona ideologia polityczna, zaczerpnięta wprawdzie z angielskiej myśli socjalistycznej, niemniej jednak wspólna wszystkim państwom sukcesyjnym w byłych koloniach brytyjskich i francuskich. Jest to ideologia brytyjskiego „Welfare State”, ideologia demokracji opartej o wolę ludu i równy podział dochodu narodowego. W imię takiego światopoglądu dzieją się rzeczy dobre i złe. Dążenie do wprowadzenia instytucji demokratycznych i zrównania różnic społecznych jest źródłem inspiracji, które prowadzi do sformułowania długoterminowych planów inwestycyjnych. Często jednak pod płaszczykiem troski o dobrobyt warstw upośledzonych i nieuprzywilejowanych — jak to obserwujemy w Afryce i Południowo-Wschodniej Azji — skrajne elementy lewicowe lub prawicowe sięgają po władzę drogą krwawej rewolucji.

Przyjęcie światopoglądu socjalizmu demokratycznego pociąga za sobą dalsze konsekwencje. Prowadzi ono często do zastąpienia tradycyjnej warstwy rządzącej, składającej się z arystokracji rodowej — nową warstwą, nową elitą składającą się z technokratów. Dalej, socjalizm prowadzi niechybnie do reformy rolnej, progresywnego opodatkowania, do złamania władzy kacyków, sułtanów i warstwy kapłańskiej. Światopogląd socjalistyczny w kontekście nowoczesności przyczynia się również do upowszechnienia dostępu do oświaty dla wszystkich bez względu na pochodzenie społeczne i płeć. Ten ostatni rys charakterystyczny jest może najważniejszym elementem reform i przemian w krajach rozwijających się.

Z upowszechnieniem dostępu do oświaty łączy się trzecia cecha charakterystyczna nowoczesności jako wzorca rozwojowego, a mianowicie zastosowanie naukowych zasad organizacji i planowania we wszystkich dziedzinach życia. Oznacza to podniesienie naukowych metod myślenia do rzędu rzeczy najważniejszych w społeczeństwie a co za tym idzie zerwanie z przesądami, zabobonem i magią. Elita rządząca stara się utwierdzić opinię publiczną w przekonaniu, że postęp w dążeniu do nowoczesności polega na zastosowaniu racjonalnej technologii, a co za tym idzie na zasadach naukowych. Stąd też postęp utożsamiany jest z wiedzą naukową i zastosowaniem odkryć naukowych dla dobra publicznego. W procesie rozszerzenia tego co można by nazwać mentalnością naukową — kluczową rolę odgrywa oświata. Jest ona narzędziem za pomocą którego burzy się stare, tradycyjne wierzenia i związane z nimi przywileje społeczne i kastowe.

Idea wiedzy i postępu stosowana jest w pierwszym rzędzie na odcinku gospodarki narodowej. Nowoczesność w tym kontekście oznacza zastosowanie najnowszych środków technologicznych, uprzemysłowienie i wyższy poziom życia. To z kolei wymaga planowania, zatrudnienia ekonomistów, statystyków, wprowadzenia ścisłej kontroli nad metodą użycia funduszy inwestycyjnych, czu-

wania nad bilansem płatniczym i stopą dyskontową, konstrukcji zakładów przemysłowych, urządzeń komunikacyjnych, instalacji dla nawadniania lub melioracji gruntu i szeregu innych środków, opartych na zastosowaniu wiedzy technicznej w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Czwartą cechą charakterystyczną krajów stojących u progu nowoczesności jest dążenie do suwerenności narodowej. W pojęciu elity rządzącej suwerenność oznacza jednak nie tylko niepodległość pod względem politycznym, ale również uznanie autorytetu danego państwa na arenie międzynarodowej. Z tym łączy się pojęcie nowoczesności jako równoznaczne z „westernizacją” lub europeizacją, lecz pozbawione politycznej zależności od dawnych mocarstw kolonialnych w Europie. Jest to pewnego rodzaju paradoks, w którym znajdziemy źródło konfliktów w życiu publicznym i osobistym przywódców wielu państw rozwijających się. Socjolog niemiecki stale przebywający w Nigerii, Beier, tak o tym pisze:

„Jeśli to paradoksalne, że ci którzy należą do najbardziej żarliwych nacjonalistów w Afryce Zachodniej, stanowią równocześnie grupę najbardziej zeuropeizowaną. Tylko ci którzy opanowali język, uzyskali wykształcenie i przyjęli sposób życia kolonialnych panów, potrafili ukuć broń którą kolonializm może być pokonany” (2).

Widzimy więc że osiągnięcie nowoczesności w pojęciu elity przywódczej polega na westernizacji czyli przyjmowaniu wzorów kultury zachodniej. Zachód z jego kulturą jest modelem nowoczesności. Jest to jednak model w pewnym sensie oderwany od swego geograficznego umieszczenia, a więc, po części abstrakcyjny.

Zmiany w strukturze społecznej

Do ogromu zagadnień organizacyjnych, technicznych i politycznych, które muszą być rozwiązane na drodze do nowoczesności, dodać musimy zmiany w strukturze społecznej. Społeczeństwo które wkracza na drogę szybkich wyżej wspomnianych przemian nie jest z reguły nowym tworem społecznym a raczej zlepkiem tradycyjnych instytucji, opartych o prawa grupy rodowej, wiarę w przodków lub inne wierzenia pogańskie i wreszcie niepisany kodeks prawny regulujący współzależność jednostek i grup. Czy możliwe jest wprowadzenie świadomych reform w tradycyjnej strukturze społecznej bez podważenia spoidła i sprężyn życia zbiorowego?

Przykład Afryki wskazuje na poważne niebezpieczeństwa i — powiedzmy to sobie szczerze — ujemne następstwa wprowadzenia

(2) Beier „In search of an African Personality” — artykuł w zeszycie miesięcznika angielskiego *Twentieth Century*, w całości poświęconym problemom Afryki, Londyn, czerwiec 1959.

dzenia modelu nowoczesności, to jest częściowej westernizacji, „zachodniej” technologii pracy, zerwania z mitologią, magią itd. Widzimy to w takich pojedynczych skupiskach jak osady górnicze w Zagłębiu Miedzi („Copperbelt”) w Północnej Rodezji, w miastach baraków i szałasów („shanty towns”) Południowej Afryki, w nowoczesnych metropoliach takich jak Accra, Logos lub Conakry. Widzimy to również w tragedii Kongo, rozbitego na dzielnice i poważnione ze sobą szczepy. We wszystkich tych wypadkach mamy do czynienia z procesami dezintegracji społecznej w następstwie zatracenia spoiwa społecznych i podstaw życia zbiorowego jakie dawała tradycyjna więź rodowa i terytorialna.

Przykłady rozkładu społecznego wskazują na konieczność dostosowania i reinterpretacji tradycyjnych instytucji społecznych i wzorców kulturowych do potrzeb nowoczesności. I tu dochodzimy do następnego paradoksu i źródła konfliktów u elity przywódczej: nowoczesność i związany z nią dynamizm i racjonalizm musi iść w parze z pewną dozą prymitywizmu, wsteczności i zachowawczości. Tylko w ten sposób można bowiem stworzyć pomost nad wspomnianym poprzednio Rubikonem. Stworzenie takiego pomostu jest koniecznością dla elity przywódczej jeśli dąży ona do pozyskania sobie opinii publicznej w swym kraju; jest to konieczność bez której reformy w dziedzinie oświaty i organizacji gospodarczej nie mogą być wprowadzone w życie i jest to wreszcie *conditio sine qua non* dla wprowadzenia ładu politycznego.

To wszystko co właśnie podkreśliłem jest jasne dla większości elity przywódczej Afryki. Podkreśla to uczeń Bronisława Malinowskiego, a dziś premier niepodległej Kenii, Jomo Kenyatta, w swojej książce *Facing Mount Kenya* (3). Jest to studium struktury społecznej plemienia Kikuyu, a szczególnie tych jego instytucji i praw oraz obyczajów, które mają wartość nieprzemijającą i które chronią przeciw dezintegracji. Ale nie trzeba być biegłym w literaturze i wiedzy antropologicznej — jak w przypadku Kenyatty — aby docenić konieczność zachowania tradycyjnych wartości i spoiwa społecznych. Światlejsi przywódcy afrykańscy zdają sobie sprawę, że nowoczesność do której dążą może być tylko urzeczywistniona w kontekście afrykańskim. W tym celu duży wysiłek intelektualistów afrykańskich idzie na badanie kultur afrykańskich. Problem ten był omawiany na pierwszej między uniwersyteckiej konferencji uniwersytetów Zachodniej Afryki we Freetown (Sierra Leone) w 1961 r. W rok później na Uniwersytecie Ghany utworzono Instytut Studiów Afrykańskich. Podobne zakłady naukowe powstały na Uniwersytecie w Ibadanie (Nigeria) i przy Uniwersytecie Marokańskim w Rabacie (4).

(3) Mercury Books, Londyn, 1961.

(4) Pracownicy naukowí tych instytucji, reprezentanci innych uczelni wyższych w Afryce i zaproszeni goście (w tej liczbie jeden z polskich afrykanistów, docent dr Andrzej Zajączkowski z PAN) wzięli udział w Pierw-

Pochodzenie elity przywódczej

Trudno przecenić rozmiary tej rewolucji jaka dokonuje się dziś w sposób gwałtowny w Afryce. Przejście od struktur pierwotnych wprost do zindustrializowanych form życia w nowoczesnych państwach typu euroamerykańskiego dokonuje się w ramach jednego pokolenia w mentalności Afrykanina. Przebieg tego gwałtownego procesu i stworzenie w krótkim czasie idei narodu zależne jest, jak już to powiedziałem, od ogólnego kierunku jaki nadaje temu elita przywódcza.

W powstaniu tej elity trzy czynniki odegrały główną rolę: urbanizacja, westernizacja i ideologia nacjonalistyczna. Kolejność w jakiej podają te trzy czynniki ma również znaczenie chronologiczne.

Urbanizacja krajów afrykańskich zaczęła się w epoce kolonialnej. Takie miasta, w krajach na południe od Sahary, jak Akra, Freetown, Dakar i Mombasa — jeśli wolno mi je wymienić jako przykłady — istniały już od wielu dziesiątków lat spełniając ważną rolę jako ośrodki handlu i administracji. Siłą rzeczy te właśnie ośrodki skupiać musiały przedstawicieli wolnych zawodów, nauczycieli, i urzędników państwowych. Początkowo byli to w większości Europejczycy ale powoli skład etniczny tej warstwy społecznej zmieniał się na korzyść Afrykańczyków. Z takich to właśnie ośrodków miejskich zamożniejsi kupcy i inni przedstawiciele nielicznej zresztą klasy średniej i klasy posiadającej wysyłali swych synów na studia wyższe w Europie lub Ameryce.

Westernizacja idzie w parze z urbanizacją i pokrewnymi wpływami życia wielkomiejskiego bądź to w Afryce bądź na studiach lub pracy zarobkowej w Europie i Ameryce. Jak już to podkreśliłem, przez westernizację rozumiem przyjmowanie zachodniej technologii, zachodnich wytworów i sposobu ich użytkowania przy odrzuceniu systemu wartości ukształtowanego pod wpływem kultury europejskiej. Przyjęcie zachodniej kultury materialnej przy odrzuceniu kultury duchowej to jeden aspekt westernizacji. Następstwem tego jest krystalizacja elity jako grupy posiadającej pewien określony styl życia całkowicie odmienny od reszty społeczeństwa. Drugi aspekt to studia zagraniczne.

Zdobywanie wykształcenia w Europie i Ameryce to przełomowa faza w kształtowaniu mentalności elity afrykańskiej. Tradycyjne szlaki studentów afrykańskich wiodły na wielkie, kosmopolityczne uczelnie świata zachodniego. Dla wielu magnesem przyciągającym studentów była (i nadal jest) London School of Economics na Uniwersytecie londyńskim. W latach dwudziestych i trzydziestych wykładali tam Harold Laski i Bronisław Malinow-

szym Międzynarodowym Kongresie Afrykanistycznym w Legon, koło Akkry w grudniu 1962 r. Tematem kongresu było znaczenie i rozwój studiów afrykanistycznych.

ski, którzy skupiali wokół siebie liczne rzesze studentów z Afryki, Indii i innych części Azji nie mówiąc już o słuchaczach z Europy i Ameryki. Laski przyciągał do siebie dyscypliną swego intelektu, którą demonstrował w wykładach teorii socjalizmu; Malinowski ujmował wiedzę o społeczeństwie prymitywnym w schemat nauk antropologicznych. Wspomniany już Jomo Kenyatta, premier Nigerii Abubakar Tafuwa Balewa, przywódca nacjonalistów w Północnej Rodezji Harry Nkumbula — oto przykłady wielu setek Afrykańczyków, którzy swój proces westernizacji odbyli w Londynie.

Obok murzyńskich uniwersytetów w St. Zjednoczonych, takich jak Fisk University i Howard University — Uniwersytet Kolumbia w Nowym Yorku — był najważniejszą instytucją przyciągającą przyszłych przywódców niepodległych państw Afrykańskich. Tu studiowali m.in. Nnamdi Azikiwe późniejszy premier Wschodniej Nigerii i dr James Kwegyir Aggrey, Murzyn ze Złotego Wybrzeża i pierwszy Afrykanin w gronie profesorskim Achimota College, załóżka obecnego Uniwersytetu Ghany. Tu też, na gruncie amerykańskim, studenci afrykańscy stykali się osobiście z działaczami murzyńskimi w Ameryce, takimi jak W.E.B. Du Bois, Booker T. Washington i Marcus Garvey. Ruch emancypacyjny Murzynów amerykańskich i hasła „Afryka dla Afrykanów”, „Z powrotem do Afryki” — były natchnieniem dla Kwame Nkrumaha (dzisiejszego prezydenta Ghany), dr. Hastings Bandy — przywódcy ruchu wyzwolenczego w Nyasaland, wspomnianego już Azikiwe i wielu innych.

W ten sposób przez Londyn, Nowy York a także Paryż (gdzie kształciła się elita intelektualna z kolonii francuskich) przebiegał krąg osobistych stosunków niewielkiego stosunkowo grona inteligencji afrykańskiej a stamtąd docierał z powrotem do Akkry, Lagos, Conakry, Nairobi i dziesiątków innych miast w Afryce. A były to wszystko ośrodki, w których urbanizacja i westernizacja wytworzyły ferment społeczny i polityczny.

Na tym gruncie i poprzez wpływy, idee przyniesione z Zachodu, rosła ideologia nacjonalizmu afrykańskiego. Jeszcze w latach czterdziestych założenia doktrynalne tego ruchu wypracowane były w Europie lub Ameryce. Warto tu wspomnieć o Piątym Panafrykańskim Kongresie który odbył się w roku 1945 w Manchesterze, a na którym przewodniczył sędziwy W.E.B. Bois. Na tym kongresie czołową rolę odegrał Kwame Nkrumah i on właśnie przeprowadził rezolucje formułujące program nacjonalizmu afrykańskiego jako ruchu masowego. W sześć lat później Nkrumah objął urząd pierwszego premiera Ghany. Od tego czasu kraj ten stał się głównym ośrodkiem nacjonalizmu afrykańskiego i tuteż rozpoczął się intensywny wysiłek gwałtownego szkolenia dalszych kadr afrykańskiej elity przywódczej. Do przykłady Ghany wrócimy jeszcze w dalszej części niniejszego artykułu.

Rola elity afrykańskiej

Zadania elity, która po większej części zdobyła wykształcenie na Zachodzie względnie w nielicznych wyższych uczelniach typu euroamerykańskiego w Afryce, nie skończyły się w chwili uzyskania niepodległości politycznej i urzeczywistnienia hasła „Afryka dla Afrykanów”. Zarówno w państwach, które uzyskały pełną niepodległość, jak i w tych które nadal pozostają pod władzą mniejszości europejskiej *masowy* ruch nacjonalistyczny rozwinął się dopiero w ostatnim dziesięcioleciu. Podkreślam tu słowo *masowy* aby odróżnić ruch nacjonalistycznych mas afrykańskich od ideologii przyjętej przez stosunkowo niewielką grupę wykształconych przywódców.

Z tym rozróżnieniem łączą się dwa aspekty roli elity afrykańskiej, które warto na wstępie zaznaczyć. Pierwsze — to podkreślenie, że warstwa społeczną którą tu nazywam inteligencją lub elitą przywódczą, jest równoznaczna pod względem składu osobowego z grupą intelektualistów afrykańskich. Świadczą o tym nie tylko tytuły naukowe i kwalifikacje zawodowe, zdobyte przez prezydentów, premierów i ministrów państw afrykańskich. Świadectwem tego jest również linia rozwojowa i struktura społeczna murzyńskiej Afryki.

Na wstępie tego artykułu podkreśliłem pewne cechy charakterystyczne wspólne większości krajów rozwijających się, a szczególnie ich wysoce złożoną strukturę społeczną z niewielką warstwą uprzywilejowaną i proporcjonalnie olbrzymią masą nieuprzywilejowaną. Ta dysproporcja odzwierciedlona jest również (choć w mniejszej skali) w stosunku mniejszości miejskiej do większości rolniczej. W takiej, wielce uproszczonej, strukturze społecznej i w braku silnej klasy średniej w ośrodkach miejskich ilość zawodów otwartych dla ludzi wykształconych jest ograniczona. Brak jest również silnych grup zawodowych, które dają ludziom wykształconym konieczne oparcie i świadomość przynależenia i wspólnoty interesów oraz zainteresowań. W tych warunkach działalność polityczna i świadomość przynależności do „narodu” jest dla inteligenta surogatem przynależności do grupy zawodowej i środkiem wiodącym do tego celu. Tłumaczy to dlaczego stawiam znak równania między elitą rządzącą a elitą intelektualną.

Z powyższego rozumowania wynika jasno zasadnicza rola elity afrykańskiej. Poprzednio wspominałem o tym ogólnie, mówiąc o stworzeniu pomostu między prymitywizmem i nowoczesnością; o reinterpretacji wartości i instytucji społeczeństwa opartego na tradycji, w społeczeństwie opartym na naukowej organizacji pracy, o stworzeniu nowego spoidła społecznego w oparciu o państwo a nie o grupy rodowe i plemienne. Wspólną cechą tych wszystkich zadań jest rola pośrednika, tłumacza i mediatora. Inteligencja afrykańska nie zamyka się więc w dusznej atmosferze kanapowych stronnictw i klubów dyskusyjnych. Hasłem wszy-

stkich wybitnych przywódców — takich jak wspomniany już Nnamdi Azikiwe w Nigerii i jego najbliżsi współpracownicy H.O. Davies oraz zmarły niedawno Herbert Macaulay, lub polityków tej miary co Felix Houphet-Boigny, premier Wybrzeża Kości Słoniowej lub jego kolega w Togo Sylvanus Olimpio — było „Frontem do Ludu”. Środkiem oddziaływania zaś były masowe organizacje nacjonalistyczne, które zamieniały się stopniowo w partie polityczne.

W dążności do wychowania ludu, do stworzenia mentalności narodowej, a więc ponad-plemiennej, widzimy również genezę skłonności do totalizmu, systemu jednopartyjnego tak powszechnie występującego w nowych państwach Afryki. Elity rządzące w tych krajach z niecierpliwością obserwują zachowawczość mas, które nadal tkwią w prymitywizmie metod używanych w rolnictwie, nie posyłają dzieci do szkół, nie okazują przywiązania do symboli narodowych i państwowych. Nacisk na zwiększoną dyscyplinę społeczną, solidarność, współpracę, przyczynia się do stworzenia pewnego rodzaju mentalności, która nie daje jednostce wyboru między „złem” i „dobrem”. W godzinie niepodległości — w mniemaniu większości przywódców afrykańskich — może być tylko jeden cel i jeden program działania do tego celu zmierzający. W tych warunkach musi być zachowana za wszelką cenę jedność, a więc nie może być miejsca na opozycję polityczną.

W realizacji tych szczególnych zadań jakie stoją przed elitą intelektualną krajów zacofanych niewątpliwie łatwiej jest zastosować metody dyktatorskie. W ramach dyktatury politycznej i systemu policyjnego rozwiązanie takich problemów jak np. separatyzm dzielnicowy, wprowadzenie wspólnego języka urzędowego, przesunięcie ludności do nowych osiedli przemysłowych — jest na pozór łatwiejsze aniżeli w systemie demokracji politycznej. Warto się zastanowić jednak nad tym, czy takie rozwiązanie jest rzeczywiście lepsze na dłuższą metę.

Przykładem rozwiązania w ramach modelu dyktatury jest Ghana, jedno z pierwszych państw afrykańskich jakie otrzymały niepodległość po 2-giej wojnie światowej. Ghana wkroczyła na drogę do niepodległości lat temu 13 pod hasłem demokracji. Przywódca większości parlamentarnej, Nkrumah, został premierem rządu niepodległego państwa afrykańskiego. Niestety żywot demokracji był krótki. Gdy tylko wystąpiły pierwsze trudności, związane z separatyzmem dzielnic odległych od stolicy — Nkrumah przeprowadził ustawę zawieszającą prawo wolności prasy i zebrania publicznych. Nastąpiły aresztowania członków partii opozycyjnej. Dziś przywódca opozycji w Parlamencie Ghany, znany socjolog afrykański prof. Busia przebywa na wygnaniu w Holandii. Ghana jest dzisiaj państwem policyjnym, którego przywódcy, dążąc do szybkiej modernizacji kraju, zapominają o konieczności stworzenia pomostu pomiędzy porządkiem tradycyjnym i nowoczesnością. W tradycyjnej strukturze kultur afrykańskich plemię i jego kultura, jego zwyczaje i obrzędy — nadawały sens życiu człowieka. W ich zamkniętych ramach toczyło się życie ludzkie i poza

nimi było one pozbawione sensu. Klika rządząca w Ghanie zburzyła podstawy plemienne kultury afrykańskiej nie dając w zamian niczego co dla mieszkańców Ghany stanowiłoby sens życia.

Inaczej ma się sprawa w Indiach. Przywódcy tego wielkiego kraju, liczącego dziś 460 milionów ludzi — obrali drogę demokracji w chwili kiedy uzyskali niepodległość, 18 lat temu. Zarówno Mahatma Ghandi jak i Pandit Nehru zdawali sobie sprawę z olbrzymich trudności, jakie stały przed ich ojczyzną. Rozbicie Indii na kilkadziesiąt państw i księstw, skomplikowany skład etniczny ludności, brak wspólnego wszystkim języka, przełudnienie i zacofanie w gospodarce rolniczej, to były, i nadal są, zagadnienia na skalę gigantyczną. Ale przywódcy nacjonalizmu hinduskiego zdecydowanie opowiedzieli się po stronie demokracji i trwają nadal przy tym stanowisku w obliczu piętrzących się trudności i pomimo bezpośredniego zagrożenia ze strony Chin komunistycznych.

Dwaj wybitni socjologowie amerykańscy opublikowali niedawno książki na temat roli elity intelektualnej i przyszłości demokracji w Indiach. Są to prof. Edward Shils z Uniwersytetu chicagowskiego i prof. Lipset z uniwersytetu stanu Kalifornia (5). Obaj zgodni są w ocenie kluczowej roli, jaką elita intelektualna Indii odegrała w procesie wprowadzenia i utrzymania modelu demokratycznego. Obaj przypisują to pozytywnej roli, jaką odegrała administracja brytyjska w Indiach na przestrzeni blisko stu lat, stwarzając zręby na których zbudowano indyjską służbę państwową. Pamiętać należy o tym, że w chwili kiedy Wielka Brytania przekazywała władzę w ręce Hindusów istniała już pokaźna kadra wyszkolonych urzędników państwowych na wszystkich szczeblach administracji państwowej. Obok tego Indie posiadały już blisko sto szkół wyższych, w których profesorami byli Hindusi, którzy swoje studia skończyli w Wielkiej Brytanii lub Ameryce. Ta elita administracyjna i naukowa wychowana była więc w tradycjach demokratycznych. Dla większości z nich modelem organizacji społecznej i gospodarczej był socjalizm humanistyczny brytyjskiej Partii Pracy.

Psychologia elity

Przykłady zaczerpnięte z najnowszej historii Afryki i Indii dowodzą jak trudna i odpowiedzialna jest rola inteligencji w krajach dowodzą jak trudna i odpowiedzialna jest rola inteligencji w krajach rozwijających się. Widzimy również jakie pokusy stoją przed tą warstwą społeczną w dążeniu do osiągnięcia za wszelką cenę nowoczesności oraz samodzielnego bytu państwowego.

(5) Edward A. Shils *Political Development in the New States* (Mouton, Haga 1962), Seymour A. Lipset *The Political Man* (Heinemann, Londyn 1960).

Tego rodzaju refleksje prowadzą nas do trzeciego z głównych zagadnień w powstawaniu i krystalizacji elit, a mianowicie do niektórych problemów psychologicznych u jednostek należących do tej szczególnie eksponowanej warstwy społecznej.

Wspomniałem już w pierwszej części tego artykułu o przepaści jaka dzieli Murzyna wykształconego na uniwersytecie w Europie lub Ameryce od reszty jego społeczeństwa tkwiącego jeszcze w zabobonie i ciemnocie prymitywnego sposobu życia. Nie tylko kultura materialna, jaką poznał na Zachodzie, zasób wiedzy, styl życia ale nawet język którym posługuje się w rozmowie z ludźmi swego pokroju, są obce w zetknięciu się z rzeczywistością afrykańską. Intelktualiści afrykańscy — a może w nieco mniejszym stopniu ich koledzy w Indiach i innych krajach południowo-wschodniej Azji — są więc w pewnym stopniu ludźmi stojącymi na marginesie społeczeństwa (6).

Bez względu na to czy intelektualista afrykański po powrocie do swego kraju odrzuca lub przyjmuje wartości kultury duchowej, z którymi zapoznał się w procesie westernizacji — źródłem jego pożywki kulturalnej i odnośnikiem są nadal wielkie stolice świata zachodniego. To właśnie u ludzi, którzy siłą rzeczy grawitują do uczelni Paryża, Londynu, Oxfordu, Bostonu lub Nowego Yorku — występuje konflikt lojalności, utrudniający wykonanie najważniejszego zadania przed nimi stojącego, a mianowicie, jak to już wielokrotnie podkreśliłem, stworzenia pomostu pomiędzy nieprzemijającymi wartościami cywilizacji pierwotnej, a wymogami cywilizacji nowoczesnej.

Profesor socjologii uniwersytetu chicagowskiego i świetny znawca struktury społecznej krajów rozwijających wspomniany Edward A. Shils się nazwał tę antynomię konfliktem pomiędzy metropolią i prowincją. Konflikt ten występuje na dwóch płaszczyznach: zewnętrznej i wewnętrznej. W pierwszym wypadku metropolia to zbiorowy termin określający cywilizację zachodu w odróżnieniu od prowincji, jaką jest rzeczywistość afrykańskiego kraju. W drugim wypadku mamy do czynienia ze sprzecznościami pomiędzy urbanizacją i westernizacją sposobu życia elit przywódczych państw rozwijających się, a resztą społeczeństwa żyjącego w zacofaniu i prymitywizmie bytowania na wsi.

Wiedza nabyta w procesie westernizacji skomplikowała stosunki pomiędzy elitą i masami (lub też metropolią i prowincją). Te dwie, liczebnie jakże różne, klasy oddaliły się od siebie. Powstała między nimi nie tylko bariera postępu technologicznego, ale i odmiennego sposobu myślenia, odmiennego języka, odmiennych obyczajów. To z kolei rodzi podejrzliwość, nieufność, pogłębia podziały społeczne. Zarządzenie temu stanowi rzeczy, problem znalezienia wspólnoty interesów w ramach organizacji politycznej jaką jest państwo — naród — to zagadnienie, które

(6) Socjolog amerykański Robert E. Park ukuł tu termin „Marginal Man”, który określa właśnie ten typ człowieka i jego ograniczony zakres styczności społecznych.

przez wiele jeszcze lat dominować będzie w rozwoju społeczeństw afrykańskich.

Integracja osobowości, „African Personality” i „Negritude”

Przykłady podane tu w ogólnym zarysie wskazują na rozległą skalę problematyki osobowości afrykańskiego intelektualisty. Dominującym rysem jest tu jednak brak „zaczepienia” społecznego lub tego co Simone Weil nazywa „zakorzeniem” (*L'enracinement*) u intelektualistów afrykańskich. Człowiek, którego dotychczasowe doświadczenia życiowe zamknięte były w ramach grupy plemiennej, odrywa się od niej i zostaje zawieszony w próżni społecznej. Tworząca się warstwa inteligencka jest zbyt szczupła i mało różniczkowana, aby dać oparcie jednostce. Dochodzi do tego jeszcze problem przepaści dzielącej elitę od mas i poczucie pustki duchowej u intelektualisty, u którego wierzenia religijne i oparcie w tradycji, zabite zostały w wielu wypadkach przez racjonalistyczny system oświaty.

Natura nie znosi próżni i stąd konieczność integracji jednostki nie tylko w środowisku społecznym, ale przede wszystkim w jakiejś ideologii.

Nie będę zatrzymywał się dłużej nad komunizmem, jako stosowną ideologią dla Afrykańskiej elity. Wszystko wskazuje na to, że wysiłki pozyskania intelektualistów afrykańskich dla komunizmu — wymienić tu należy przede wszystkim stworzenie w 1960 roku w Moskwie *Friendship University* przezwanego później uniwersytetem P. Lumumby — nie miały wyników wprost proporcjonalnych do środków w tym celu użytych. Studenci afrykańscy na ogół nie wywołą z Rosji pozytywnego wrażenia o systemie sowieckim, a częste wypadki dyskryminacji rasowej ze strony miejscowej ludności, jak również i jawnie prowadzona indoktrynacja w duchu komunistycznym spowodowały poważne demonstracje publiczne studentów afrykańskich na ulicach Moskwy w 1963 roku. Niemniej jednak pewne jednostki znajdują w komunizmie — choćby nawet na okres przejściowy — ideologię, która wyraźnie określa rolę elity w społeczeństwie. Komunizm przyciąga afrykańskich intelektualistów, bo potrafi stworzyć pozory tego właśnie zaczepienia czy też zakorzenia społecznego i ideowego, o którym wspomniałem (7).

Dla znakomitej większości murzyńskich intelektualistów problem znalezienia sobie właściwego miejsca w społeczeństwie, problem znalezienia filozofii życia, która by wyrastała z organicznego związku nie tylko z Afryką, ale i równocześnie z cywilizacją świata zachodniego — sprowadza się do poszukiwania afry-

(7) W roku akademickim 1962-63, 72 studentów afrykańskich, na ogólną liczbę 180-ciu z krajów rozwijających się, studiowało na polskich uczelniach (*Trybuna Ludu*, 31.1.1963).

kańskiej osobowości (African personality) (8). Warto zastanowić się przez chwilę nad znaczeniem tego terminu. Dla inteligencji afrykańskiej dążenie do wytworzenia osobowości afrykańskiej to w pierwszym rzędzie próba sformułowania pewnego konkretnego historycznego i socjologicznego, jaki wspólny jest wszystkim przedstawicielom rasy czarnej. Ten konkretny nazywa się często — szczególnie w byłych koloniach francuskich — mianem murzyńskości (*negritude*). Akcentuje tu się nieprzemijające wartości i tradycje w przeszłości historycznej i w organizacji społecznej ludów afrykańskich. Poeta z Martyniki, Aime Cesaire, który ukuł ten termin na konferencji Stowarzyszenia dla Badania Kultury Afrykańskiej w Paryżu w roku 1955, wyraźnie podkreśla, że ideologia *negritude* ma łączyć w sobie pierwiastki tradycyjne z opanowaniem nowoczesnej technologii. Tylko taka symbioza wyzwoli dynamiczne siły u Murzynów i wyznaczy drogę do dalszego rozwoju Afryki.

Drugim elementem osobowości afrykańskiej jest humanizm. Dla tak znakomitych jego przedstawicieli jak Leopold Senghor, prezydent Senegalu, znakomity poeta, filozof i mąż stanu, rola Afrykańskich Murzynów streszcza się w jednym: ocalić godność człowieka zagrożoną przez technikę oraz szowinizmy lokalne i narodowe. W tym dziele, szczególne pole do działania wyznacza Senghor inteligencji afrykańskiej, wielonarodowym uniwersytetom afrykańskim (jak np. w Dakarze i Kampala) oraz literaturze afrykańskiej.

Rozwój literatury afrykańskiej na przestrzeni ubiegłych 15-tu lat odzwierciedla doskonale humanistyczne i uniwersalistyczne ideały *African personality*. Czasopisma takie jak *Presence Africaine* (Paryż), *Black Orpheus* (Ibadan), *Afrique Nouvelle* (Dakar), *Transition* (Kampala) — otworzyły swe ramy dla licznej rzeszy literatów, którzy drukują tam swoje poezje, eseje krytyczne, odcinki powieściowe. Ilość tomów ogłoszonych przez murzyńskich poetów i powieściopisarzy jest już tak znaczna, że w pełni uzasadnione są rezolucje konferencji, jakie odbyły się w 1963 roku w Dakarze i Freetown, domagające się wprowadzenia literatury afrykańskiej jako przedmiotu obowiązkowego na wyższych uczelniach całego kontynentu (9).

Twórczość literacka intelektualistów afrykańskich jest świadectwem dynamizmu i niesłychanej żywotności warstwy przy-

(8) Książka pisarza południowo-afrykańskiego, Ezekiela Mphahlele, *The African Image*, Faber and Faber, Londyn 1962 — omawia ten problem.

(9) Wśród pisarzy afrykańskich piszących po francusku na czoło wysuwa się grupa Senegalczyków: Lamine Dakhatu, Birago Diop, Hamidou Kane, Sembene Ousmane, Ousmane Soce Diop oraz Ibrahima Sourang. Następnie należy wymienić Camara Laye z Gwinei, Tomasza Malone z Kamerunu i Nazi Boni z Górnej Wolty. William Conton, Sarif Easmon i Eldrer Jones (z Sierra Leone), David Rubadini (Niasaland), Joseph Kariuki (Kenia) i wspomniany już Ezekiel Mphahlele reprezentują literaturę murzyńską w języku angielskim.

wódczej tego kontynentu. Warto pamiętać o tym kiedy w prasie codziennej czytamy o niefortunnych posunięciach dyktatorskich niektórych polityków, o sporach granicznych i rozbiciu dzielnicowym. Ferment polityczny, społeczny i moralny, jaki rozpoczął się w Afryce w chwili upadku kolonializmu trwa nadal. Jednocześnie w tej płynnej i chaotycznej sytuacji znaleźć można elementy i tendencje pozytywne i wróżące lepszą przyszłość. Do nich należą poszczególne jednostki opanowane duchem niekłamane go humanizmu i uniwersalizmu, ludzie tacy jak wspomniany już prezydent Senegalu Leopold Senghor, skromny, ascetyczny w swym oddaniu sprawie równości społecznej i braterstwa ras (10), Julius Nyerere przywódca niepodległej Tanganyiki lub lekarz i mąż stanu, a zarazem naśladowca Ghandi'ego, prezydent Sierra Leone Sir Milton Margai. Dla przywódców tego pokroju idea murzynskości i osobowości afrykańskiej określa misję dziejową czarnej rasy w dziejach świata. Wyrazem tego poczucia odpowiedzialności Murzynów za los całej ludzkości jest ten oto fragment utworu poetyckiego Bernarda Dadie, poety z Wybrzeża Kości Słoniowej. Poemat nosi tytuł: „Dziękczynienie”.

*„Dziękuję ci, Boże, żeś mnie stworzył czarnym,
żeś uczynił ze mnie sumę wszystkich cierpień
i żeś na mojej głowie
położył świat.*

*Noszę uniform centaury
i noszę świat od pierwszego poranku.*

.....
.....
*Biały kolor jest kolorem okoliczności,
kolor czarny jest kolorem wszystkich dni.
Noszę świat od zarania czasów,
a mój śmiech w świecie wśród nocy tworzy dzień.
Dziękuję ci, Boże, żeś mnie stworzył czarnym. (11)*

Jerzy ZUBRZYCKI

The Australian National University,

(10) Świadczą o tym słowa hymnu narodowego Senegalu, którego autorem jest Prezydent Senghor: „Le Bantou est un frère, et l'Arabe et le Blanc”.

(11) *Poezja Czarnej Afryki*, Warszawa 1962, s. 58-59, wybrał i przełożył Bronisław Kamiński — Durocher. Cytuję za artykułem Bogdana Molińskiego „Człowiek organizacji, Człowiek techniki i Afrykańska Osobowość”, *Przegląd Socjologiczny*, tom XVII/1, Łódź 1963.

Feliz Ano Nuevo

Maria Rosa była przyzwyczajona do nocnej zmiany. Lubiała nawet noce. W dzień pielęgniarki miały dużo więcej pracy, którą ona uważała za zło konieczne. Zawsze była jednak niezadowolona, kiedy wypadał jej dyżur tej właśnie nocy: kiedy kończył się stary, a zaczynał nowy rok. Nie, żeby chciała iść na zabawę. *Dios mio*. Kto o tym myśli, kiedy ma czterdzieści dwa lata bez wielkiej nadziei, ani ochoty wyjścia za mąż. Nie, po prostu wołała posiedzieć sobie z rodziną Rodriguezów, od których wynajmowała pokój od wielu lat; od kiedy to w niespotykany w jej rodzinie sposób zbuntowała się przeciw zasnutemu pajęczyną losowi dwudziestoczteroletniej dziewczyny, która nie potrafiła zakochać się z nikim w miasteczku Azul, a bez tego śmiesznego warunku nie chciała wyjść za mąż.

Dziś myślała nieco inaczej, ale mniejsza z tym. Rodriguezowie byli jej drugą, lepszą rodziną, poradzili jej żeby została pielęgniarką, pomagali jej moralnie i materialnie. Chciała dziś z nimi posiedzieć, jak inni ludzie, wypić sidry, zjeść *pan dulce*, a nie wbijać igły w pośladki chorych i wynosić ich baseny. Co prawda w szpitalu, jak co roku, odbywała się mała uroczystość: wypijało się z koleżankami butelkę sidry... ale to była dziesiąta, a nie dwunasta. Takie przyspieszenie nowego roku nie podobało się Marii Rosie. Lubiała, żeby wszystko było na swoim miejscu i o swoim czasie. I obiad u Rodriguezów i obchód dyrektora oddziału, i Nowy Rok.

A o dwunastej już była sama z czternastoma pokojami, po dwie chore w każdym. Prawie zawsze był komplet. Na innych oddziałach stały puste łóżka — ale u nich prawie nigdy. Zawsze było pełno „wszelkiego rodzaju bab z nienormalnymi głowami”, jak myślała z umiarkowaną złością Maria Rosa. Nie, nie można

powiedzieć: była nawet dumna z tego, że pracowała na neurochirurgii. Jej oddział to była arystokracja szpitala.

Czasem któraś z chorych, już rekonwalescentek, dotrzymywała jej towarzystwa, ale rzadko. Dr Rowland trzymał krótko swój oddział i uważał, że w nocy chore mają spać, a pielęgniarki czuwać.

W imbryku szumiała woda: jeszcze ostatnia *mate* z Rodriguezową — i trzeba jechać. Żeby nie zapomnieć ciasta, bo akurat na nią wypadało w tym roku.

— *Chau, querida!* — powiedziała na pożegnanie Rodriguezowa. — Nie objedz się w szpitalu, bo jutro na obiad indyk.



Magdalena kończyła wypełniać swą służbową książkę. Za chwilę przyjdzie Maria Rosa. Będzie miała spokojną noc, nie ma ciężkich przypadków. Ta wiedźma Reyes już się czuje lepiej i śpi. Otworzyła lodówkę i sprawdziła temperaturę sidry. W dyżurce było cicho. Syczał usypiająco gaz i gotujące się strzykawki podzwaniały delikatnie. Na korytarzu rozległy się kroki. Za chwilę Norma, koleżanka z drugiej części oddziału wsunęła głowę:

— Zrobię jeszcze trzy zastrzyki i przyjdę. Maria Rosa też zaraz powinna nadejść.

Magdalena kiwnęła głową i kończyła notować zlecenia lekarza dla nocnej pielęgniarki. „Jak się pisze *tela adhesiva?*”. Tyle lat pracowała i nie mogła się tego nauczyć. W końcu zamknęła książkę i przeciągnęła się. Spojrzała na zegarek. Była dziesiąta — zdąży pojechać do domu i przebrać się. Roman będzie już gotów. Obiecał jej położyć dzieci do snu. W razie, gdyby się obudziły — da się im odrobinę sidry z wodą sodową i ciasta. Z pewnością sennymi głosikami zapytają czy to już dwunasta. Rodzice popełnią ostatnie kłamstwo w tym roku, powiedzą, że tak i dzieci spokojnie zasną, a oni pójdą na zabawę. W tym roku sami, nie umawiając się z nikim. Żeby było tak, jak wtedy w tego Sylwestra, przed ich ślubem, kiedy to poszli sobie — ot tak — na wariata, na włoską zabawę i tak się wspaniale bawili, że w trzy miesiące potem pobrali się. To było we Włoszech, na innej planecie, w innym wymiarze. Nie wiadomo co im strzeliło w tym roku do głowy, żeby wybrać się tylko we dwoje. Może chcieli na jedną noc pojechać w przeszłość?

Magdalena drgnęła, wyrwana z ciasnego pokoiku swych myśli. Na tle ciemnego prostokątu drzwi zamajaczyła biała postać Normy.

— Maria Rosa przebiera się, zaraz przyjdzie. Otwórz sidrę!

Dr Rowland kończył się golić. Żona, jej siostra z mężem i jego ojciec siedzieli na tarasie. Słyszał ich niezbyt odległe, a jednak dziwnie wśród nocy nierealne głosy. „Kto to miał jeszcze przyjść?” — myślał sobie. Mniejsza z tym. Ważne było to, że był w domu. Czuł się zmęczony fizycznie, ale zupełnie wypoczęty umysłowo. Wydawało mu się, że ciało jego należy do kogoś innego, starszego.

Ostatnia noc w roku od czasów dzieciństwa kryła w sobie jakąś zapowiedź radosnej niespodzianki. Jeszcze wtedy, kiedy mieszkali w Kanadzie, zanim jego ojciec zdecydował się na Argentynę, w poszukiwaniu terenów dla wyładowania swej niespożytej energii. Jeszcze teraz głos ojca brzmiał świeżo, kiedy opowiadał coś z ożywieniem.

Dr Rowland wszedł do sypialni. Z lustra spoglądała na niego niestara jeszcze twarz o znużonych oczach. Czytał dziś dużo i miał zmęczony wzrok. Mimo wieczoru włożył ciemne okulary. Przez okna sypialni wychodzące na taras słyszał brzęk kieliszków ustawianych na stole. Lekki brzęk, jak dzwonki sanek, które pamiętał z dzieciństwa. Zabawna rzecz, jak to dzieciństwo często do niego wracało. Może dlatego, że nie mieli dzieci, a tak bardzo dzieci lubił. Nie lubił ich tylko operować, za dużo go to kosztowało nerwów.

Wyszedł na taras. Światło padało na okrągły stół z małej lampki zawieszanej pod dachem. Kieliszki, słodycze, owoce — to samo, co we wszystkich innych domach. Ta myśl, to poczucie wspólnoty z niezliczoną masą innych, obcych domów, sprawiła mu niespodziewaną radość. Jego rodzina siedziała w cieniu. Na chwilę zabłysła twarz ojca, zapalającego papierosa. Siadł obok żony i wyciągnął długie nogi.

— Na kogo czekamy?

— Na Nowy Rok — aha, i na Carmen z córką — odpowiedziała ciemność głosem jego żony.

— Biedna dziewczyna. Spędzić zakończenie roku w takim nudnym towarzystwie, jak my...

— Trzeba było zaprosić jakiegoś młodego człowieka dla niej.

— Młodzi ludzie nie lubią teraz spokoju domowego ogniska. Wolą gonić po ulicy i rzucać petardy.

— Nie opowiadaj — ty sam nie możesz żyć bez twego szpitala — wtrąciła żona z konwencjonalną wymówką.

— Na co dzień tak, ale dziś nie.

Zaległa cisza. Trzasnęła zapalniczka. Z daleka doleciał szum przejeżdżającego samochodu. Cisza — mało znana Rowlandowi.

Nagle zadzwonił telefon. W domu lekarza słyszało się ten dźwięk po kilkadziesiąt razy dziennie. Ale tym razem — może jako raziący kontrast — wydawał się przejmujący i bolesny. Wszyscy drgnęli, jakby złapani na gorącym uczynku czegoś niedozwolonego. Po chwili weszła na taras służąca.

— Do pana doktora młodszego — powiedziała słowa, które wypowiadała po tyle razy dziennie.

Dr Rowland wstał z głębokim westchnieniem. Zatrzymał się na chwilę w drzwiach. Objął wszystkich wzrokiem: zdawali się być jacyś nienaturalni, spłoszeni. Chciał coś powiedzieć, co by sprowadziło ich z powrotem do dawnego, beztróskiego nastroju.

— Pewnie Carmen nie może znaleźć kluczy do auta i wzywa mnie na pomoc.

Ale sam rozumiał, że wyszło to głupio i nienaturalnie — i nic nie pomogło.



Tradycyjna, bezmyślna pukanina zaczęła się zaraz po zapadnięciu zmroku. Listonosz Perez podlewając wątłe roślinki w doniczkach na patio — jedynym skrawku wolnego powietrza, który posiadał wraz z rodziną — myślał sobie: „Kiedy wreszcie władze zabronią tej zabawy?” Jako dziecko sam gonił z kolegami i wielkim arsenałem różnego rodzaju rakiet i petard. Ale teraz strzelali nawet z broni palnej, do której listonosz Perez czuł wielki szacunek połączony ze strachem, od czasu, jak odbywał służbę wojskową. Co za idiotyzm pozwalać na takie rzeczy...

Mirta coś robiła w kuchni. Może matę? Przydałaby się mata — jeszcze brakowało tyle czasu do dwunastej. Na leżaku, na patio spała ich siedmioletnia córeczka Anamaria. W domu było duszno i uparła się, żeby spać tutaj.

„Jaki sen ma to dziecko, że jej te hałasy nie budzą...” — pomyślał z podziwem Perez.

— Ricardo — zawołał z kuchni jego żona — wynieś ten stolik z pokoju na patio, to poustawiamy na nim wszystko co potrzeba.

— Jeszcze czas, zrób matę...

— *Apurate viejo!* Po co to zostawiać na ostatnią chwilę? Przygotujemy wszystko i wtedy napijemy się maty. Obudzimy Anamarię o dwunastej.

Jak ta Mirta miała wszystko uporządkowane i przemyślane! Miała rację. Całe osiem lat ich wspólnego życia miała rację, była spokojna i trzeźwa. Oczywiście głośno jej tego nie przyznawał, bo się nie mówi kobietom takich rzeczy, ale to nie zmieniało faktu, że Mirta, a nie on, była głową domu.

— Już idę — powiedział więc, jak zawsze, i po chwili wynosił stolik.

— *Viejo*, weź ode mnie te szklanki — mówiła Mirta przez okno kuchenne wychodzące na patio.

Wyciągnął ręce, żeby je ostrożnie odebrać i w tym momencie dziwny świst przeszył powietrze.

— Co to? — zapytała Mirta.

— Ktoś strzelił.

— Zabierz Anamarię do domu. Z tymi *inconscientes* nigdy nie wiadomo...

Listonosz Perez zbliżył się do leżaka i zamarł. Z czoła córeczki sączyła się cieniutka strużka krwi.

— M i r t a !

W jednej chwili była przy nim. Obląkane przerażenie wyrzało jej z oczu. Nie miała odwagi zbliżyć się i dotknąć dziecka — jej dziecka. Jakaś straszna pustka w głowie stwarzała wrażenie, że jest zawieszona w próżni. Powoli, powoli, ruchami człowieka pokonywującego opór wody zbliżyła się i uklekła przy malej. Jej — nie jej ręka dotknęła krwi. Gardło miała suche i ściśnięte. Chciała coś powiedzieć i nie mogła. Odwróciła głowę żeby zapytać męża choćby wzrokiem, czy to prawda. Nie było go.

Kiedy wrócił po paru minutach z lekarzem — zastali ją zemdloną, rzuconą, jak kłębek szmat u nóg Anamarii. Listonosz Perez spojrział na doktora, który pochylał się nad dzieckiem. Perez nie widział co robi. Krępa postać przesłaniała wszystko i здаwało mu się, że cały jego świat teraz — to te plecy doktora, za którymi kryło się życie — albo śmierć. Doktor odwrócił się.

— *Hombre de Dios*, nie stój tak, weź żonę, zanieś do łóżka i daj jej coś mocnego.

— Ale... *y la nena*?

— Żyje. Idź zrób, co ci mówię.

Owłosiona ręka lekarza spoczęła na ramieniu Pereza. Była tak ciężka, że prawie się pod nią ugiął. Spróbował podnieść żonę z ziemi. Taka drobna, taka mała — a jednak ledwo doniósł ją do łóżka. Za chwilę znów stał przed doktorem.

— Posłuchaj, Perez. Niech się pan zajmie żoną, ja wyjdę na chwilę.

— Nie, nie... Pan nie może wyjść!

— Wyjdę i zaraz wrócę. Zatelefonuję po ambulans i do mego przyjaciela dr. Rowland. Trzeba ją będzie operować.

— Operować? — powtórzył bezmyślnie.

— Jasne, człowieku. Przecież nie będzie żyła z kulą w głowie.

Jakie to proste, myślał listonosz Perez, trzeba wyjąć kulę.

Jakie to proste... Znów ręka doktora popchnęła go w stronę sypialni. — Idź do żony człowieka, mała pana nie potrzebuje.

„Jak to może być, że ona go nie potrzebuje?” pomyślał. Ale widać jeśli doktor tak mówił — tak musiało być. Teraz wszystkim najważniejszym był doktor, ważniejszym nawet od Mirty.



Senora Reyes wysunęła się drobnymi kroczkami ze swojego pokoju. Już od chwili słyszała głosy pielęgniarek i ich ściszony śmiech. Piją sidrę, a jej nie zaprosiły. Zrobi im niespodziankę. O tak, przecież jej wolno już chodzić i wolno jej wypić kieliszek sidry. Dr Rowland nie mówił, że nie. Senora Reyes przydreptała do dyżurki w momencie, kiedy zadzwonił telefon. Magdalena zderzyła się z nią w drzwiach, ale zaprosiła do środka. „Jedynie ta Polka jest dobrze wychowana” — pomyślała senora Reyes. „Kiedy będę wychodziła ze szpitala dam jej jakiś ładny prezent. Wtedy tamte zobaczą czy opłacało się ignorować mnie w taki sposób. One myślą, że jak mnie nie przynoszą kwiatów, i co dzień mnie nie odwiedzają, to znaczy, że ja już nic nie jestem warta... Zdziwią się bardzo...”

Usiadła na stołeczku i zwróciła się z bardzo uprzejmym uśmiechem do Marii Rosy — ale ta położyła palec na ustach

— Cóż się stało, Maria Rosa? Nigdy nie było telefonów w nocy?

— Chwileczkę, senora Reyes. Zdawało mi się, że Magdalena wymieniła nazwisko dr. Rowlanda. Jeśli on dzwoni, to coś musi być ważnego...

— Może chce wam życzyć *feliz ano nuevo* — zagadnęła wesoło senora Reyes.

— *Ufa! Callese de una vez!* wtrąciła pielęgniarka Norma.

„To już jest szczyt wszystkiego” pomyślała senora Reyes. Jutro poskarży się oficjalnie dr. Rowlandowi. Jak ją tu traktują. Poszłaby bardzo obrażona do swego pokoju, gdyby nie to, że była strasznie ciekawa po co dzwonił doktor. Może rzeczywiście stało się coś ważnego?

Weszła Magdalena. Policzki miała zaróżowione od sidry, ale na twarzy jej nie było uśmiechu. Nie było też żadnego specjalnego wyrazu. Po prostu zawodowy wyraz dobrze wyszkolonej pielęgniarki.

— *Chicas* — powiedziała spokojnie — dziś żadna z nas nie idzie do domu. Zaraz będzie tu dr Rowland i przywiozą dziecko z kulą w głowie. Ciężki przypadek.

— *Malá suerte* — powiedziała Norma — miałam iść na zabawę z narzeczonym. Będzie zły. Że też nawet w taką noc,

jak dziś, nie może być spokoju. Co za zwierzę strzelało do dziecka?

— Nie wiem — powiedziała Magdalena — może to wypadek? Tyle teraz strzelają po ulicach...

— Kto będzie dawał narkozę? — zapytała rzeczowo. Maria Rosa.

— Nie wiem, pewnie stary doktor...

— Prawdę powiedziawszy nigdy nie byłam przy operacji — powiedziała niepewnie Norma.

— Magdalena była w czasie wojny, przerwała jej Maria Rosa — pewnie ją weźmie doktor.

— Ja jedna nie wystarczę, musi być druga. Maria Rosa, pójdziesz?

— Jasne. A teraz posłuchaj, co ci powiem. Idź zadzwonić do twego męża, a ja pójdę na salę operacyjną. Przyjdź tam i przygotujemy, co możemy same, a potem nadjedzie doktor i powie nam co robić. A... a pani co tu robi, senora Reyes?

Zdawało się, że dopiero teraz Maria Rosa ją zauważyła.

— Proszę iść do swego pokoju, doktor zaraz tu będzie.

To poskutkowało. Senora Reyes odmaszerowała drobnymi kroczkami, została jednak przezornie w drzwiach swego pokoju. Takich zdarzeń nie wolno było przepuścić. Postawiła krzesło w progu, usiadła wygodnie i uznała, że wybrała doskonały punkt obserwacyjny. Myślała jeszcze, żeby pójść do szafki i wziąć cukierki miętowe, ale nie miała czasu, bo drzwi frontowe otworzyły się i wszedł dr Rowland z ojcem. Rozmawiał chwilę z Normą, a potem znikł z pola jej widzenia w dalszej części korytarza. Poszli do sali operacyjnej. Jaka szkoda. Senora Reyes pośpieszyła do szafki po cukierki.



Korytarz ciągnął się na prawo i na lewo od małego hallu wejściowego. Prawa część tonęła w półmroku, lewa, przy której znajdowała się sala operacyjna, gabinet roentgenowski i przychodnia była jasno oświetlona. Panowała normalna cisza szpitalnej nocy; tylko szybkie kroki pielęgniarek nadawały jej niezwykajny rytm i tętno.

Norma stała w oszklonych drzwiach wejściowych i wyglądała na zewnątrz. Czekwała na ambulans. Tak jej kazał doktor. Przez otwarte drzwi dyżurki pielęgniarek widać było do połowy opróżnioną butelkę sidry i talerz z ciastem. Obok stała przygotowana do zabrania torba Magdaleny. Nie było tam nikogo. W mroku ogrodu szpitalnego zabłyśły światła ambulansu, który za chwilę zatrzymał się cicho przed wejściem. Norma otworzyła

szeroko drzwi. Dwu sanitariuszy wniosło na dużych noszach małą, nieruchomą figurkę. Norma szła przodem, oni za nią. Otworzyła drzwi pokoju, stanowiącego przedsionek sali operacyjnej. Był tam dr Rowland z ojcem. Wniesiono nosze i drzwi zamknęły się przed Normą. Została sama w korytarzu.

Obejrzała się. Koło drzwi wejściowych stał człowiek. Młody dosyć człowiek w zwykłych roboczych spodniach i czystej niebieskiej koszuli. Podeszła do niego.

— Pan jest ojcem małej?

Listonosz Perez skinął bez słowa głową. Miał oczy suche i zaczerwienione, twarz zeszywniałą w napięciu, w oczekiwaniu czegoś — pięści zaciśnięte, ręce opuszczone wzdłuż ciała.

— Niech pan siada, powiedziała Norma — to długo potrwa, nie może pan cały czas stać.

Mężczyzna nie ruszył się. Wzięła go delikatnie za rękę i pociągnęła do stojącego w rogu hallu krzesła. Aż dziwne, że tak łatwo za nią poszedł, przecież wyglądał tak sztywno... Usiadł. Norma czuła, że powinna była coś do niego powiedzieć. Była zła z powodu zepsutej nocy. Myślała jak zawiadomić narzeczonego. Nie miał telefonu, będzie na nią czekał i nie doczeka się. Trudno. Poczwała się bardzo zmęczona i pomyślała sobie, że gdyby nawet w tej chwili mogła iść na zabawę — nie miałyby siły tańczyć. Jakie to głupie, jeszcze przed chwilą czuła się zupełnie inaczej. Tak — była zła na operację, i na siebie, i na tego milczącego, sztywnego człowieka. A jednocześnie coś jej kazało do niego się odezwać, coś mu powiedzieć takiego, co by go odprężyło, przyniosło ulgę. Norma była prostą dziewczyną i nie miała pojęcia jakie to mogłyby być słowa. Powiedziała więc tylko:

— Pana córka jest w dobrych rękach. Będzie żyła.

Powiedziała to z taką wielką pewnością siebie i przekonaniem, że sama się zdziwiła skąd ona to wie. Mówiąc to patrzyła ojcu dziecka w oczy spokojnie i pogodnie. Człowiek spojrzał na nią równie zdziwiony i tak samo, jak ona, pomyślał sobie: „Skąd ona to wie?”. Ale ponieważ musiał komuś uwierzyć, musiał od kogoś posłyszeć coś, co by mu przywróciło zdolność czucia i myślenia, musiał, bo inaczej nie wiedział co by się stało — więc uwierzył nieznanemu pielęgniarce. Poczuł nagle zupełny spokój i zaufanie do wszystkich ludzi, którzy znajdowali się pod tym dachem. Po raz pierwszy pomyślał o Mircie, która została pod opieką sąsiadki. Pomyślał, że ona nawet nie wie gdzie jest dziecko i on.

— Seniorita, zwrócił się do Normy — czy mogę zatelefonować do jednego sklepu obok mego domu, żeby powiedzieli mojej żonie gdzie jesteśmy z dzieckiem. Będzie jeszcze otwarty, bo dziś jest Nowy Rok...

— Tak, naturalnie, zaraz pana połączę, jaki to numer?

Ale nim zdążył jej powiedzieć — rozległy się najpierw dalekie i bliskie syreny, potem poważnie rozkołysały się dzwony różnych kościołów, z różnych miejsc, jakby z różnych światów. Dźwięk ich był tak potężny, tak ogarniający wszystko, że zatopił w sobie suche, szczekliwe wystrzały. Wszystko zlało się w muzykę, płynącą wśród nocy, jak jakiś statek-widmo na wydętych porywistym wiatrem żaglach. Z wieży kaplicy szpitalnej mocnym, radosnym głosem wybił się jeden dzwon, wyliczając dwanaście uderzeń.

Norma zatrzymała się ze słuchawką w ręku. Listonosz Perez urwał w pół słowa numer telefonu i pobiegł wzrokiem poza szklane drzwi wejściowe. Odgłos dzwonów dotarł do sali operacyjnej, przesączył się przez zamknięte szczelnie okna i zatańczył pod oślepiającym światłem lampy operacyjnej. Dr Rowland, zamiast powiedzieć Magdalenie nazwę potrzebnego mu w tej chwili instrumentu — mruknął nie przerywając operacji:

— *Feliz ano nuevo, chiquita... Y para usted chicas.*

Senora Reyes żując przez sen cukierki miętowe westchnęła z głębi obfitej piersi. Z żalem? Z nadzieją?



Norma siedziała na łóżku w dyżurce pielęgniarek i trzymała rękę Mirty Perez, która przyjechała godzinę temu. Ręka była zimna i lekko drżała. Listonosz Perez przemierzał wielkimi krokami korytarz. Chodził od sali operacyjnej, przy której odruchowo ściszał kroki — do półotwartych drzwi pokoju numer dziecięć, w których drzemała senora Reyes.

— Kiedy skończą? — zapytała Mirta Perez Normy.

— Już zaraz, lada chwila. Byłam tam przed chwilą przecież i mówiłam pani, że Maria Rosa już wyszła, bo doktor kończy opatrunek. Jeszcze minuta, dwie...

— Już upłynęło pięć... — powiedziała niepewnie Mirta, patrząc na zegarek stojący na marmurowym blacie stołu.

Nagle wstała i wyszła na korytarz. Podeszła do męża i zatrzymała go w połowie jego wędrówki. W tej samej chwili otworzyły się drzwi sali i na wysokim, białym wózku, zakryta po szyję prześcieradłem, bladziutka i z zamkniętymi oczami, których długie rzęsy rzucały półogrągly cień na jej dziecinne policzki — wyjechała uśpiona Anamaria. Obok niej siedł dr Rowland. Był bardzo blady i miał szarą, zmęczoną twarz. Wózek popychała Magdalena spokojna i uśmiechnięta. Perezowie nieśmiało, potracając się w zdenerwowaniu, podeszli do doktora. Nie odezwali się nic. W ich oczach było pytanie, na które dr Rowland odpo-

wiedział również spojrzeniem. Uścisnęli sobie nerwowo ręce, które nie wiadomo jak spotkały się w drodze za wózkiem. Wjechali do małego pokoiku. Dr Rowland podsunął krzesło Mircie, drugie Perezowi, sam przyniósł sobie trzecie.

— A teraz, póki mała śpi — porozmawiamy sobie. Napijecie się kawy? Zaraz poproszę Marię Rosę.

Powiedział to wszystko tak, jakby siedzieli sobie, ot tak, na patio.

Listonosz Perez pokręcił z niedowierzaniem głową. Gdyby mu ktoś o tym opowiadał — nie uwierzyłby, że można tyle przeżyć w jedną noc.

Magdalena otworzyła oszklone drzwi i wyszła do ogrodu. Za nią szła Norma. Maria Rosa została na dyżurze. Szły nic nie mówiąc do siebie. Minęły portiernię i znalazły się na ulicy. Z cienia wyłonił się mężczyzna i podszedł do Magdaleny.

— Roman — powiedziała zdziwiona — dlaczego nie wszedłeś do środka?

— Wiedziałem, że będziesz zajęta, wolałem tu czekać.

— Norma, to jest mój mąż. Odprowadzimy cię do autobusu.

— *Mucho gusto y muchas gracias* — odrzekła Norma; zwracając się do Romana powiedziała: — Pańska żona miała ciężką noc.

Roman uśmiechnął się i wziął Magdalenę pod rękę. Zniknęli we trójkę za rogiem ulicy.



Senora Reyes przebudziła się nie wiadomo czemu. Może dlatego, że było jej niewygodnie spać na krześle. Spojrzała zdziwiona dookoła siebie i w pierwszej chwili nie wiedziała co tu robi w drzwiach swego pokoju. Potem sobie przypomniała wszystko, a przede wszystkim to, że usnęła zanim zobaczyła coś ciekawego. Przecież po to tu siedziała zamiast spać wygodnie w łóżku. Czuła się bardzo zawiedziona. Spojrzała na zegarek, który miała na ręce — zawsze go miała na ręce, żeby jej ktoś nie ukradł — była czwarta. Korytarz wypełniał półcień tak, jak każdej nocy. Może jednak mimo wszystko nic się nadzwyczajnego nie zdarzyło? Westchnęła, wstała i podreptała do łóżka. I zanim zasnęła, pomyślała sobie na pocieszenie: „Tak, na pewno nic ważnego nie zdarzyło się jednak tej nocy”.

Wiersze

PSALM NA SPOTKANIE Z NOCĄ

Stanisławowi Piętałkowi
tragicznie zmarłemu

*Nie wiem czy serce Twoje nie powinno być
wykute w brązie dla przyszłych pokoleń —
A droga wypisana z najwierniejszych słów
które czuwały z Tobą do ostatka?
Bo gdy poeta odchodzi w obłąkaniu,
to świat jest chyba szpitalem dla żywych,
nocą nad brzegiem wiecznie czarnej Lety
gdzie ciszy nie rozerwie żaden wystrzał słowa
i nie ma dzwonów iskrzących się spżem.
Sternik o oczach fosforyzujących
i kocich ruchach, łupiąc twardą falę
przesunie czołno po rufie księżycy
a potem stanie trzaskając milczeniem
w zamkniętym porcie — po tamtej już stronie.
Samotność — oto muzyka jaką przewidziały
na Twoje odejście dłonie sprawiedliwych?*

*Nie wiem czy wolno nam nad Twoim grobem
odmawiać słońcem pisane kantaty
składać pod głową żywe pęki słów
nieśmiało trawy wiązać w wiejski bukiet
i stawiać wieczność, tak jak ją sam siałeś.
Łączyłeś w sobie w słowa sens zieleni
jak fala łączy się i jednoczy z plażą*

*i krucha piana spina z brzegiem oceanu.
Wiem że dwa razy odchodziłeś od nas
i dwa razy — mówiono — wracałeś z uporem
by nam powiedzieć że świtu nie będzie!
Noc stała przy nas ciemną różgą —
W gryzącym stroju, pozbawiony ciała
księżyc nas ranił swoim ślepym wnętrzem.
Żywi nie mogli pozbierać się w sobie!*

*Miałeś oczy okrągłe i smutne jak bursztyn
zwłaszcza gdy czarny upał ziemi
wybuchał lawą sztukowanych czasów.
Gdy dno otwarło się nam pod nogami
i zagniewane psy — węsząc — szukały zdrady.
Dokąd ci było wtedy biec, do jakiej bramy —
Pod czym dachem szukać ocalenia?
Raz nawet chciałeś przydeptać tęb żmii
ale Historia zwała Ci buty z nóg
otówkiem mistrza rachowała kości.
Stałeś jak szydełkiem robiony dmuchawiec
wołając o sprawiedliwość, lecz nikt Cię nie słyszał.*

*Czyż mógłbym Ciebie odebrać pamięci?
Czyż mógłbym Ciebie obnażyć ze słowa
smakować krzykiem który zęby łamie?
Ptaku, przy Tobie struna pokorniej cisza
miłą orkiestry i błędną strojne pawie.
Ty, guślarz ziemi — wiejski Dante z różą —
Tylko nie wiemy, dla jakich pokoleń?*

2.

*Siedzą nad brzegiem wody marząc o złotej rybce.
Staw jest królestwem elektrycznych lamp
i mądrych cytów wiatru.
Łuki mostów w naszyjnikach wierzb
ustawiono tu dla zakochanych.
W dole na rzece pływają żdźbła pontony!*

*Czasem przychodzą tu zwolennicy żarcia i tłustego śmiechu —
Zostają po nich rozżalone trawy, rozbite butelki
i klęska szklanek. Poeci-pajace
urządzają tu loterię słowa —*

*i udając że wiedzą coś więcej o życiu
głoszą wolność w klatkach.*

*Mój Boże, w tym wspólnym ogrodzie
gdzie drzewa stroiły się w wibrujące liście
gdzie żywe krzaki nakrywał haft kwiatów
wchodziliśmy kiedyś w nasze upalne prowincje.
Szkoda że Ciebie już nie ma — wielka szkoda!
Kto tak cierpliwie czuwał
i noc prowadził cichą stopą wiersza —
Cierpieniu z warg zdejmował słowem ból
całując jego poetyckie runo.
Kto tak sam z sobą rozmawiał na ucho
i umiał sowom układać ich pieśni —
bić w nas świtami z alabastru
wierszem — jak ogni gilotyną —
może dziś łączyć brzegi obu światów
i z ziarn zebranych u podnóża nocy
własne roraty odmawiać w ciemności —
zmówiony z wiatrem jak skrzydło gołębie.*

3.

*Z mrówką być mrówką budującą świat
a ludzi zawsze zadziwiać pokorą.
Jesteś jak olbrzym w skórze niemowlęcia
który się lęka dalekiej podróży.
Gdzie jest nasz czas i jakie ma oczy?
Po drogach ludzие-ducky idą do ślepych okolic.
Ciemność dokoła, aż truchleją słowa!
Mój dzień — niestety — nie jest już dniem Twoim —
więc śpisz i męczysz się w gęstwinie własnej nocy!*

P T A K I

*Jesienne ptaki niosąc na skrzydłach niebo
wołają do mnie: Wracajmy do domu!
Pogoda wkoło jest słodsza od brzoskwiń
świty pękają ciepłą strugą
wrześniowe słońce spręża gorejące ognie
i chmury leżą jak obłe giganty.*

Niebo czeka na przelot! Ustawione w sobie
 jak do parady, uprzętnęło drogi.
 Bluszcze bławaty wstążkami się pienia
 i świecą lampy upięte nad głową.
 Drobne na ziemi chorągiewki jezior
 są jak drogowskazy
 dla przelatujących nad głowami rot.

Scylla, Charybda — nie wierzmy potworom!

Orszak prowadzi herold długoszyi —
 Piękna purpura opina mu stopy.
 A za nim podążają idealnym rombem
 pary weselne. Ich białe welony
 mówią że od północnych zatok jak tlen czystych
 łabędzie pierwsze wyruszyły w drogę.

Ich kraj na pewno zapada już w sen
 choć u nas ziemia paruje żniwami
 ogród wybucha urodzajnym żarem
 i ognie kwiatów nie pogasty jeszcze.
 Żal więc że w nocy pruje nasze sny
 lament pielgrzymów, że nas budzi
 przewidująca i trzeźwa ich pamięć.
 Może więc lepiej zacząć się pakować
 i być gotowym, bo nikt nie wie kiedy
 wyrwie nas ze snu okrzyk —
 Wracajmy do domu!

CIĄGLE SIĘ BOJĘ ZE PRZEDWCZESNA NOC

Ciągle się boję że przedwczesna noc
 obejmie mnie w południe ramieniem ciemności.
 Że czas zaprze się mnie, podstawiając nogę —
 Przewrócę się na promieniu i z wargą przy ziemi
 będę pił, jakbym nigdy przedtem
 nie smakował dna samotności.
 Otoczony zapomnianą ciszą
 W miękkim baroku wzgórza i cierplichych roślin
 zapomnę o grozie ziemi.
 Jej delikatność wchodzi w moje ciało

szeptem garbatych okwieconych róż
o roziskrzonych płatkach. Cierniem melancholii
ranią krajobraz pinie. Ich pokręcone upałami ciała
twarze płaskie i ciemne
otacza cisza utlenionych wzgórz.

Wkoło w aureoli płonie kolumna lata
i noc swą włosiennicą upada na ziemię.

Kto z nas nie kocha tej architektury
Nie wspina się po schodach wiszących w powietrzu
które pobiela pianą bliski oddech morza?
Czyż nie lepiej dziś schronić się w ustronne wnętrza,
nakryć strąkiem kamienia, wmieszać w krzyk marmuru,
śledzić ćmy — forpoczty aniołów — szalejące w gruzach —
i ruchem świętych rozkładać w żalu ręce?
Nie wierzyć nieba metalicznym ogniom
gdy wabi kwiatem i czuli się wierszem; podszyte mgłami
drży w kroplistych potach.
Poeci — patrząc — są tu jak pielgrzymi
wiedzą że ich ponownie oszukano. Boją się cnoty.

Krucze powietrze łamie się pod słowem
Kamienne fale rozsypuje piasek
Winnica spada lawiną w zatokę.
I nic nie pozostało po spalonym dniu
oprócz ruin opisanych w szkolnych podręcznikach
które poeci nazywają klęską.
A uproszony wiersz choć idzie na kolanach
i nie wyjawia lecz łagodzi słowem
choćby zamienił się w anachoretę —
wierząc — wciąż będzie tu nieporozumieniem.

Wacław IWANIUK

Trzy wiersze

„BUDZĄCY SIĘ NIEWOLNIK”
MICHALA ANIOŁA
(Akademia w Florencji)

*Jakie będzie to ciało,
Co jeszcze w skale tkwi?
Już się serce odezwalo —
Jeszcze z kamienia,
A już z krwi.*

*Jak przebudzi się słowo
Wolne od młotka i dłuta?
Laurowo, marmurowo?
W akcie strzelistym?
Purpura czy chłód?*

*Ale ust nie odkuto.
Twórca się przebudzenia bał.
Zostawił młotek i dłuto,
Przeżegnał się
I odszedł do śpiących skał.*

ANTYKWARIAT

*Rąk zakochanych para;
Nieśmiała — stara i obca:
Bez ciekawości i strun,
Pachnie jałmużną jak grosz.*

*Ledwo jej pamięć została,
Musuje wśród pustych palców.
Chłód. Zapytają cię: „Co?”
Cytat, przenośnia i żart.*

*Czego się dotknąć? Nagości?
Nagość powinna być w ruchu,
Ale tu tylko spiż;
Kamień bez palców i stóp;*

*Piersi pośmiertnie pokryte
Omżą zielonej pleśni;
Wosk, teraktora, klon;
Akt wyciosany z pnia.*

*Nagość kojarzy się z morzem.
Tu tylko martwa natura:
Puste butelki, flet,
Wachlarz na żółtym tle.*

*Melancholijne portrety,
Klepsydry umarłych modelów:
Markiz, dama czy chart —
Smutek zawsze ten sam.*

*O, zapomniane perfumy:
Paczula, piżmo, lewkonია —
Tutaj święcą swój złot
Snując się resztką tchu.*

*Każda obwiewa swój przedmiot
Wypełzłych grzęd aureolą:
Upiór ogrodu trwa
Dłużej niż jedwab i mól,*

Dłużej niż ty i ja.

SENNIK

*Spełnią się snów obietnice,
Wyśnią się zanim się przyśnią:
Tabiti, wyspa pod wieczną pełnią,
Amamioszima pod wielką wiśnią.*

*Ale jeszcze dalej, że nie zobaczysz —
Lepiej nie patrz, tylko cię oczy rozbolą:
Stoi chłopak i kosę klepie
Pod mazowiecką topolą.*

Artur Marya SWINARSKI

Zmierzch WASPS

WASPS? W amerykańskiej socjologii skrót ten oznacza białych anglosaskich protestantów (*White-Anglo-Saxon-Protestants*). Wydaje się, że można by spokojnie zrezygnować z określenia *white* — ponieważ wszyscy Anglosasi są biali z racji swojej przynależności rasowej, bez względu na to czy są protestantami czy nie.

W artykule pt. „Polska-Rosja-Ameryka” („Kultura” nr 200) — wysunąłem tezę, że światowy system „dwu-biegunowy” dobiega kresu. Podstawą tego systemu jest nie tylko monopol atomowy Waszyngtonu i Moskwy — lecz również hegemoniczny status dwóch ras, tj. Anglosasów i „ludzi radzieckich”. Ani Anglosasi ani „ludzie radzieccy” nie są narodem.

Robert McKenzie w szkicu pt. „Revolt of the Outsiders” — zwrócił uwagę na ruchy odśrodkowe, zagrażające dominującej pozycji WASPS w wolnym świecie.

Protestanczy Anglosasi stanowią rządzącą elitę w Anglii, w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Australii, i w tzw. białych dominiach brytyjskiego *Commonwealth*.

Można przyjąć, że od upadku Napoleona Anglosasi wywierali wpływ, a często decydujący wpływ we wszystkich sprawach Zachodu. Pax Britannica a obecnie Pax Americana — były manifestacjami owego hegemonicznego stanowiska protestanckich Anglosasów.

Rewolta przeciw hegemonii WASPS prowadzona jest równocześnie na dwóch frontach — zewnętrznym i wewnętrznym. Brytyjska Wspólnota Narodów” przestała być brytyjską i jest dominowana przez afro-azjatów. To samo dotyczy „Ogólnego Zgromadzenia” (*General Assembly*) Organizacji Narodów Zjednoczonych.

McKenzie podkreśla, że choć Ameryka Łacińska wyprodukowała do tej pory tylko jednego Castro, jest oczywiste, że Połud-

niowi Amerykanie odmawiają dziś Waszyngtonowi wyłącznego prawa decydowania o losach ich półkuli.

Tak w Ameryce jak i w Kanadzie obserwujemy ruch emancypacyjny mniejszości na skalę dotąd nienotowaną w historii. Po drugiej wojnie światowej w Stanach Zjednoczonych wielu nie-Anglosasów dobiło się bardzo poważnych stanowisk. Dotyczy to zwłaszcza Amerykanów włoskiego pochodzenia. Szczytowym osiągnięciem ruchu anty-WASPS — był wybór J.F. Kennedy'ego na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wybór ten określano jako zwycięstwo „mafii irlandzkiej”. Niewątpliwie był to przełom zarówno w sensie wyznaniowym jak i etnicznym. W ten sposób zwycięstwo swego brata ocenił Robert Kennedy, który podkreślił, że skoro katolik i Irlandczyk zasiadł na fotelu prezydenckim, można przypuścić, że za 30 czy 40 lat amerykański Murzyn odniesie podobne zwycięstwo.

Odbrytanizowanie ongiś brytyjskiego *Commonwealth'u* wywarło bezpośredni wpływ na emancypacyjny ruch Murzynów amerykańskich. Murzyni w Ameryce zdali sobie sprawę, że jeżeli szczyty ich rasy w Afryce obdarza się niepodległością — to mniejszości murzyńskiej w Stanach Zjednoczonych, w sto lat po zniesieniu niewolnictwa, należy się pełne równouprawnienie.

Również niemal po stu latach, które upłynęły od utworzenia Kanadyjskiej Konfederacji — francuscy Kanadyjczycy przypomnieli sobie nagle, że w porównaniu z WASPS są wybitnie upośledzeni. Nie ulega wątpliwości, że w tym dwujęzycznym i dwukulturowym kraju — język angielski i kultura anglosaska dominują. Francuscy ekstremiści domagają się podziału Kanady — bardziej umiarkowani głoszą program zasadniczej reformy dotychczasowych prawno-społecznych ram współżycia Francuzów i Anglosasów kanadyjskich.

Robert McKenzie przyznaje szczerze, że człowiekiem, który trzeźwo ocenił powyższą sytuację jest prez. de Gaulle. Jest nonsensem posądzać de Gaulle'a o idiosynkrazję w stosunku do Anglosasów. Natomiast Generał bardzo wcześnie zdał sobie sprawę z ich malejących wpływów i doszedł do wniosku, że nadszedł moment zastąpienie hegemonii anglosaskiej instytucjami bardziej reprezentatywnymi.

McKenzie w swoim szkicu rejestruje fakty, nie analizuje natomiast przyczyn. Nie wspomina również, że Anglosasi pod koniec drugiej wojny światowej znaleźli się w sytuacji wręcz wyjątkowo uprzywilejowanej, która nigdy dotąd w historii nie była udziałem żadnej rasy czy narodu. Odniesli totalne zwycięstwo nad Niemcami, Włochami i Japonią i w pierwszym okresie powojennym byli monopolistami broni atomowej. Wówczas trzeba było zdobyć się na „myśli nie do pomyślenia”, by użyć słów senatora Fulbright'a.

W marcu br. sen. Fulbright — przewodniczący senackiej komisji spraw zagranicznych — w dłuższym przemówieniu nawoływał swych rodaków, by w dziedzinie polityki zagranicznej odwa-

zyli się myśleć „myśli nie do pomyślenia” (*to dare to think unthinkable thoughts about foreign policy*).

Nieporozumienie polega na tym, że nie jest rolą obywatela-wyborcy produkować w dziedzinie polityki zagranicznej „myśli nie do pomyślenia”. To jest obowiązkiem i przywilejem przywódcy i tylko przywódcy.

Publicysta w oparciu o swoją analizę może czasem odważyć się „myśleć myślami nie do pomyślenia”. Lecz rolą publicysty jest dotrzeć do właściwych wniosków, a nie do właściwych decyzji. Te dwa elementy w praktyce nie zawsze się pokrywają.

Gdybym miał wysunąć tylko jedną przyczynę niepowodzenia WASPS — podkreśliłbym brak przywódców wielkiej miary. Anglosasi nie mają wielkich przywódców nie dlatego, że ich nie posiadają — lecz dla tego, że ich nie chcą. Gdyby Winston Churchill był o 30 lat młodszy — również nie byłby wielkim przywódcą. By mąż stanu miary Churchilla mógł w świecie anglosaskim stać się wielkim przywódcą — konieczna jest wojna.

Czytałem w ubiegłym roku w prasie amerykańskiej, że wielotysięczny tłum, który przepłynął obok trumny prez. Kennedy’ego na Capitol Hill — w 80% składał się z ludzi młodych, pomiędzy 20 a 30 rokiem życia.

Kennedy nie wiele zdziałał lecz myślał „myśli nie do pomyślenia” i był urodzonym przywódcą. Przyciągał młodych — bo młodych przyciągnąć można tylko wizją i planem. Sądzę, że bystry socjolog mógłby napisać potężne dzieło wykazując, że rewolta „teenagerów”, frustracja młodzieży, ucieczka talentów — spowodowane są brakiem wizji i planu. Brak wizji i planu jest *de facto* brakiem jutra. Żaden młody człowiek z tego rodzaju układem łatwo się nie godzi.

Interesujące światło na te zagadnienia rzucił Peter Calvocoressi w szkicu pt. „Democracy in low gear”. Anglosasi mają organiczny wstręt do skrajności. Przejawia się to zarówno w polityce jak i w literaturze. Wszelka skrajność w 99 wypadkach na 100 jest sprzeczna z *commonsens*’em. Lecz w pewnych sytuacjach bez owych skrajnych „myśli nie do pomyślenia” nie ma twórczości. Tam gdzie nie ma twórczości nie ma i postępu. Naukowiec, który by się cofnął przed myślą, która jeszcze wczoraj była nie pomyślenia — nie dokonałby żadnego odkrycia. Statki kosmiczne, loty wokół orbity ziemi — jeszcze wczoraj były nie pomyślenia.

Słusznie podkreśla Calvocoressi — że jeżeli naukowiec, pisarz czy polityk ma odważyć się na nową myśl, często skrajną w swej nowości — to warunkiem sukcesu jest, by jego „ethos” jako twórcy nie stał w sprzeczności z „ethosem” społeczeństwa. Innymi słowy z linią polityczną władzy, która ów „ethos” społeczny reprezentuje.

Sięgnijmy po jeszcze inny przykład.

„Gdyby Napoleon zmartwychwstał w roku 1917” — pisze prof. A.J.P. Taylor — „zastałby świat bez większych zmian czy różnic. Te same europejskie mocarstwa jak za jego dni — pro-

wadzące wojnę na nieco większą skalę. Napoleon rozpoznałby carów i cesarzy a nawet liberalni politycy nie wprawiliby go w zdumienie. Lecz gdyby Napoleon opóźnił swój powrót i zmarł, wstąpił przy końcu roku 1917 — jego zdumienie byłoby bezgraniczne. Na jednym krańcu Europy pojawił się bolszewizm — całkowicie nowy system zarówno myśli jak i rządu. Na drugim końcu świata Stany Zjednoczone, mocarstwo nie związane z Europą, którego potęgą przyćmić miała wszystkie tradycyjne europejskie państwa i imperia. W roku 1917 historia europejska w jej dawnym sensie i stylu dobiegła kresu. Rozpoczęła się historia światowa. Był to rok Lenina i Woodrow Wilsona. Zarówno Lenin jak i Wilson odrzucali tradycyjne kryteria polityczne. Obaj głosili utopię: niebo na ziemi. Jest to data narodzin nowoczesnego świata”.

Należy dodać, że utopia Lenina — choć niezmiernie daleka od nieba na ziemi częściowo zatriumfowała nad utopią Wilsona. Polska, Czechosłowacja, Węgry — do których zgodnie z polityczną filozofią Wilsona zastosowano zasadę samostanowienia — utraciły niepodległość. Jeden z następców Woodrow Wilsona w Białym Domu — prez. Roosevelt — porzucił utopię i wrócił do tradycyjnych kryteriów politycznych (*might is right*).

Anglosasi pomimo (a może na skutek) swojego pragmatyzmu przyjmują niemal zawsze postawę defensywną. Izolacjonizm amerykański, brytyjska *splendid isolation*, wszystko *appeasementy* najpierw w stosunku do Hitlera a później w stosunku do Stalina i Chruszczowa, NATO — to wszystko jest defensywa.

NATO jest czysto negatywnym sojuszem. Przypomina do złudzenia straż pożarną. Straż pożarna gasi pożar i nie ma innych celów ani ambicji. NATO nie ma również innych ambicji. Z chwilą kiedy niebezpieczeństwo pożaru wydatnie zmalało — ubóstwo koncepcji NATO ujawniło się w całej pełni. Trudno się więc dziwić, że nacjonalizm i polityki „interesów narodowych” wracają na scenę. Turcja i Grecja walczą o Cypr — Francja prowadzi mocarstwową niezależną politykę, Anglicy bronią Adenu a NATO nikt się nie przejmuje.

Owa defensywna postawa — wyrażająca się przekonaniem, że *status quo* jako sytuacja znana jest korzystniejszy od ewentualnej korektury, która jest sytuacją *nieznaną* — doprowadzi w końcu do „bałkanizacji świata”.

Taylor uważa, że Woodrow Wilson głosił utopię. Lecz czy Anglicy ku swojej chwale nie głoszą również utopii? To przecież demokratyczna kultura brytyjska wychowała i uzbroiła elity w krajach kolonialnych. Samostanowienie, rządy reprezentatywne, praworządność — tradycyjne kryteria demokracji brytyjskiej na dalszą metę nie były do pogodzenia z imperializmem. Można było godzić imperializm z demokracją dopóki kolonie nie osiągnęły pewnego minimalnego stopnia rozwoju. Szybko jednak przekonano się, że ludy kolonialne nie podzielały tej filozofii. Lepszy jest własny rząd — choćby nieudolny — niż obcy rząd — choćby najbardziej światły i sprężysty.

◆

Pozycja Anglosasów opierała się przede wszystkim na monopolu atomowym. Dziś można uznać za pewnik, że w obrębie najbliższej dekady atomowa mapa świata ulegnie wielkim przemianom. Według doniesień „The Guardian” zarówno Egipt jak i Izrael są już „w połowie” państwami atomowymi. Indie, Chiny, Afryka Południowa, Japonia i garść innych państw albo już posiadają albo posiadać będą w niedalekiej przyszłości bazę przemysłową umożliwiającą podjęcie zbrojeń atomowych.

Chińskiego smoka można ignorować dopóki nie ma atomowych zębów. Z chwilą gdy mu atomowe zęby wyrosną nie będzie go można dłużej ignorować. Wówczas znalezienie *modus vivendi* z Pekinem stanie się koniecznością, za którą wypadnie zapłacić daleko wyższą cenę niż dziś.

Rozpowszechnienie broni atomowych nie musi prowadzić do światowego kataklizmu. Zagrozić bytowi ludzkiemu na ziemi będą nadal władne tylko dwie super-potęgi atomowe, tj. Rosja i Stany Zjednoczone. Pojawienie się średnich państw atomowych zagraża natomiast polityczno-terytorialnemu *status quo*, który z kolei stanowi fundament obecnego dwu-biegunowego systemu światowego. Policentryzm atomowy wróży koniec hegemonicznego statusu zarówno WASPS jak i „ludu radzieckiego”.

Niebezpieczeństwo rozwoju sytuacji po tych liniach zagraża nie tyle wojną światową ile bałkanizacją sceny międzynarodowej. Weźmy dla przykładu Egipt i Izrael. Optymiści twierdzą, że z chwilą gdy oba te państwa dysponować będą siłami atomowymi — ich wzajemne stosunki upodobnią się do stosunków panujących pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą. Obecną płynną sytuację zastąpi miniaturowa „równowaga terroru”, która w dalszej ewolucji prowadzić może do odprężenia, a nawet do zbliżenia obu antagonistów.

Powyższa analogia i rozumowanie wydają mi się całkowicie błędne. Ani Egipt ani Izrael nie są super-mocarstwami tylko pionkami na szachownicy globu. Z chwilą gdy weszliśmy w epokę historii światowej — wojny lokalne i konflikty lokalne utraciły niepowrotnie charakter lokalny. Mała wojna na Środkowym Wschodzie podjęta w imię miejscowych nacjonalistycznych interesów mogłaby zachwiać *balance of power* pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą. Epoka wojen lokalnych należy do przeszłości ponieważ zarówno Sowiety jak i Ameryka w stosunku do żadnego konfliktu nie mogą być neutralne. Każdy bowiem konflikt lokalny może zmienić *status quo*, który stanowi fundament równowagi pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą.

W takiej sytuacji jedność obozu zachodniego nabiera podstawowego znaczenia. Wydaje mi się również, że w tej zasadniczej sprawie pod adresem Anglosasów wysunąć można najpoważniejsze zarzuty.

W obecnej epoce nie można organizować świata, ani nawet

Europy po tradycyjnych liniach. W wielu wypadkach anglosaska krytyka Francji jest słuszna. Anglicy zarzucają de Gaulle'owi nacjonalizm, tradycjonalizm, anachronizm. Powiadają, że generał myśli kategoriami z 19 wieku.

Lecz jakimi kategoriami myślą Anglicy?

W „The Observer” z 17 maja br. ukazał się zbiorowy artykuł pod interesującym tytułem „Anatomy of de Gaulle”. Autorami omawianego artykułu są dyplomatyczny korespondent „The Observer” Robert Stephens, członek paryskiego biura „The Observer” William Millinship, oraz autor głośnej książki „Anatomy of Britain” Anthony Sampson. (Stąd tytuł artykułu: „Anatomy of de Gaulle”).

Autorzy omawianego artykułu piszą dosłownie:

„Gdy de Gaulle w roku 1958, po 12 latach na pustyni, powrócił do władzy, we Francji panował chaos. Francuski system polityczny pod ciężarem problemów kolonialnych najpierw w Indochinach, później w Algierii — walił się w gruzy. Zagrozała wojna domowa a Francja nie była zdolna sprostać swym zobowiązaniom wobec wspólnego rynku. Dla świata Francja stała się pośmiewiskiem. (*France had become a joke to the rest of the world*)”.

W przeciągu 6 lat Francja nie tylko przestała być *joke to the rest of the world* — lecz przekształciła się w najpotężniejsze mocarstwo zachodniej kontynentalnej Europy. Trzeba pamiętać, że Francja to nie tylko de Gaulle, ale również Robert Schuman i Jean Monnet.

Anglicy instynktownie i tradycyjnie zwracają się zawsze przeciw najpotężniejszemu mocarstwu na kontynencie. Ich reakcje w stosunku do de Gaulle'a są klasycznie 19-wieczne. Straszy ich napoleońskie widmo zjednoczonej Europy pod przywództwem Francji. Wszystkie stare narody uformowane długą i bogatą historią wykazują skłonność do anachronizmu. Dotyczy to zarówno Francuzów jak i Anglików.

W myśl tradycyjnej polityki angielskiej europejska kontynentalna „równowaga sił” winna umożliwiać Wielkiej Brytanii politykę manewru zabezpieczającą ją przed hegemonią jednego mocarstwa na kontynencie.

Jeżeli Europa zachodnia ma być zjednoczona — to owo zjednoczenie — jeżeli nie ma zagrażać Anglii — musi obejmować wyspy brytyjskie. Europa zjednoczona nie obejmująca Anglii — stanowi antytezę tradycyjnej polityki brytyjskiej.

Czy istniały możliwości wejścia Anglii do Europy? Możliwości takie istniały lecz zostały przekreślone przez Anglosasów — ściślej mówiąc przez prez. Eisenhowera i prem. Macmillana. Trzeba również podkreślić, że de Gaulle w tej całej sprawie okazał się znacznie mniejszym tradycjonalistą niż politycy anglosascy.

Dużo się pisze o proponowanym przez de Gaulle'a „triumwiracie” amerykańsko-francusko-brytyjskim, lecz nie wielu zna dokładnie szczegóły tej inicjatywy. W dniu 17 września 1958 r. de

Gaulle przesłał Eisenhowerowi i Macmillan'owi swoje memorandum. W nocy tej generał domagał się *de facto* zrównania w prawach sojuszniczych Francji z Anglią. Proponował utworzenie dyrektoriatu trzech mocarstw, który decydowałby wspólnie o sprawach obrony i strategii.

Autorzy cytowanego artykułu w „The Observer” wysuwają pogląd, że owo memorandum miało służyć za pretekst do późniejszych ataków de Gaulle’a wymierzonych przeciwko NATO. Generał bowiem (zdaniem wzmiankowanych autorów) musiał sobie zdawać sprawę, że jego projekt był całkowicie nie do przyjęcia dla Kongresu Stanów Zjednoczonych.

Od takiej interpretacji projektu de Gaulle’a jest tylko ćwierć kroku do stwierdzenia, że memorandum było perfidnym „blufem”, który w przyszłości ułatwić miał generałowi rozgrywkę z Anglosasami.

W rzeczywistości jednak de Gaulle w swym memorandum z 17 września 1958 r. wyraźnie zaznaczył, że Francja nie rości sobie prawa „veto”. Proponowany w omawianym memorandum dyktoriał w niczym nie naruszał ani nie uszczuplał suwerenności Stanów Zjednoczonych. De Gaulle domagał się natomiast zapewnienia Amerykanów, że nie użyją broni atomowych bez aprobaty członków dyktoriał. Lecz to wynikało logicznie z sensu proponowanego trój-porozumienia. W tej całej sprawie nie chodziło bynajmniej o przebudowę NATO — jak się często czyta w prasie anglosaskiej.

Dyktoriał miał stanowić zarząd sojuszu zachodniego i decydować o wszystkich sprawach polityki międzynarodowej — strategii atomowej nie wyłączając.

Eisenhower i Macmillan odrzucili projekt de Gaulle’a nie z uwagi na Kongres. Odrzucili propozycję de Gaulle’a, bo nie chcieli przyznać Francji wielko-mocarstwowego statusu, co w praktyce byłoby równoznaczne z likwidacją monopolu Anglosasów w świecie zachodnim.

Wszystko co nastąpiło później było konsekwencją odrzucenia oferty współpracy de Gaulle’a. Dziś wyprostowanie tych stosunków byłoby znacznie trudniejsze niż w roku 1958. Uznanie rządu w Pekinie przez Francję niewątpliwie nie ułatwia sytuacji.

Anglosasi nie doceniają kompleksu Jałty. Ów kompleks oznacza co innego dla wschodnich Europejczyków — a co innego dla Francuzów. Dla de Gaulle’a kompleks Jałty oznacza niebezpieczeństwo porozumienia amerykańsko-sowieckiego w sprawie Europy ponad głowami Europejczyków. Proponowany dyktoriał z udziałem Francji jako nie-anglosaskiego, kontynentalnego mocarstwa miał w przyszłości uniemożliwić tego rodzaju praktyki.

Na tym tle należy oceniać uznanie Chin komunistycznych przez Francję. To było posunięcie nie tyle anty-amerykańskie ile anty-jałtańskie. Jeżeli Waszyngton jest uprawniony do szukania odprężenia z Moskwą — trudno odmówić Paryżowi prawa szukania odprężenia z Pekinem. Mao-Tse jest zajadłym przeciwni-

kiem jakiegokolwiek porozumienia pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem, a tym samym jest przeciwnikiem Jałty.

De Gaulle budzi nieufność Anglosasów ponieważ jego polityka przeczy pewnym założeniom pragmatycznym. Niewątpliwe i obiektywne sukcesy polityki de Gaulle'a zostały zaprojektowane i dokonane nie z pozycji siły, lecz przeciwnie z pozycji słabości. W tym sensie polityka de Gaulle'a stanowi dokładną antytezę polityki Anglosasów. Anglosasi, a zwłaszcza Anglicy, nie chcą uwierzyć w sukces Francji. Autorzy cytowanego artykułu w „The Observer” mówią o de Gaulle'u jako o *the great illusionist*.

Anglicy mają nieprzepartą niechęć i nieufność do przywódców zarówno swoich jak i cudzych. Lew brytyjski na co dzień jest biurokratą i pragmatykiem. Staje się prawdziwym lwem w momentach śmiertelnego zagrożenia, i wówczas jest groźny.

W czasach pokoju w Anglii można być wielkim filozofem czy wielkim aktorem zabiegać o *publicity* i występować w telewizji. Lecz od polityka nikt nie oczekuje twórczości, oryginalności, anty-konformizmu. Od polityka nikt nie oczekuje talentu. Dlatego Anglikowi jest niezmiernie trudno przyznać, że siłą de Gaulle'a — zarówno wówczas gdy był nic nie znaczącym alianckim oficerem w wojennym Londynie — jak i dziś, jest jego talent polityczny. Politycy utalentowani często robią błędy — niemniej talent polityczny jest realną siłą.

De Gaulle jest stary. Anglosasi sądzą, że czas jest ich sprzymierzeńcem. Przyjdzie chwila gdy de Gaulle'a zabraknie. Wówczas ambicje Francji będzie można przykroić do właściwych proporcji. Anglia we „wspólnym rynku” — Amerykanie w Niemczech — odbudują na kontynencie zachwianą pozycję WASPS zdobytą w czasie wojny i utrwaloną bezpośrednio po wojnie.

Skłonny jestem przypuszczać, że perspektywy Anglosasów nie przedstawiają się ani tak prosto ani tak różowo. Od zakończenia wojny tzw. „wolny świat” oczekiwał od Anglosasów przywództwa. Nikt nie kwestionuje hegemonii autentycznego przywódcy. Lecz hegemonia bez przywództwa jest trudna do zniesienia i jeszcze trudniejsza do usprawiedliwienia.

Zmiana na stanowisku prezydenta Republiki Francuskiej — nie odmieni sytuacji. Francuzi, a z czasem Niemcy i Włosi będą domagali się coraz natarczywiej udziału w zarządzaniu Zachodem.

Amerykanie patrząc zza Oceanu na Europę myślą niemal wyłącznie kategoriami strategicznymi i gospodarczymi. Nie dostrzegają natomiast problematyki politycznej, która jest źródłem wszystkich nieporozumień pomiędzy Paryżem a Waszyngtonem.

Europa jest zjednoczona gospodarczo i wojskowo, lecz nie jest jeszcze zjednoczona politycznie. Proponuje się europejski „*deterrent atomowy*”. Lecz to jest typowe stawianie wozu przed koniem. Najpierw musi być utworzona europejska władza polityczna, która decydowałaby o użyciu owego europejskiego *deterrent*.

W wywiadzie telewizyjnym BBC w połowie maja br. min. Couve de Murville powiedział m.in. „powtarzamy od wielu lat,

że prawidłowy rozwój jedności europejskiej musi postępować od zjednoczenia gospodarczego po zjednoczenie polityczne. Zjednoczenie polityczne oznacza oczywiście utworzenie europejskiej politycznej władzy. Nic bardziej nie odmłodziłoby NATO jak zorganizowanie pewnego typu europejskiej politycznej unii, która pod każdym względem stanowiłaby potęgę po tej stronie Oceanu. Wówczas można by mówić o tzw. atlantyckim *partnership*.

W moim przekonaniu z punktu widzenia anglosaskiego było korzystniej przyjąć propozycję de Gaulle'a z września 1958 niż znaleźć się kiedyś *vis-à-vis* politycznie zjednoczonej Europy. Oczywiście Anglosasi sądzą, że politycznie zjednoczonej Europy nigdy nie będzie. Anglosasom najbardziej odpowiadałaby Europa zjednoczona gospodarczo a politycznie włączona w maszynię atlantycką. Tak pojmowany *partnership* byłby w gruncie rzeczy politycznym NATO, w którym uczestniczą wszyscy, lecz decydują wyłącznie Amerykanie.

Problemem, któremu poświęcony jest ten artykuł, nie jest jednak ani zjednoczenie Europy ani *partnership* atlantycki. Chciałem wykazać natomiast, że Anglosasi w swoim własnym interesie winni zdać sobie sprawę z konieczności zastąpienia hegemonii instytucjami, które pełniej reprezentowałyby świat zachodni. Trudność polega na tym, że w grę wchodzi Europa z bagażem historycznych uprzedzeń i kompleksów. Anglikom łatwiej przyszło pozbyć się tradycyjnych okularów w stosunku do Indii niż w stosunku do Francji.

Anglosasi są wspaniałą rasą, której świat Zachodu niezmiernie wiele zawdzięcza. W przeszłości wykazywali zdumiewający instynkt adaptacyjny, który umożliwiał im bez wstrząsów i rewolucji harmonizować tradycję z szeroko pojętym postępem. Ufać należy, że i tym razem ten instynkt ich nie zawiedzie.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

REFLEKSJE I KOMENTARZE

I

Jak to się stało, że p. Kliszko poucza polskich pisarzy? Kim jest p. Kliszko? Dlaczego p. Wilhelmi i p. Bratny redagują z wiadomymi rezultatami reprezentacyjny polski tygodnik społeczno-literacki?

Czy w Polsce wymarli zdolni i wybitni ludzie? Zdolnych i utalento-

wanych ludzi w Polsce nie brak, lecz niemal wszyscy są poza partią. W pewnej mierze obecna sytuacja jest wynikiem „Października”. Po klęsce — bardzo wielu wybitnych ludzi odesłało legitymacje partyjne, wielu usunęto, wielu wegetuje na bocznym torze. W partii pozostali karierowicze, „zamordysci”, pół-inteligenci i ci panowie nadają ton polityce.

Od „Października” odbywa się w kraju swoisty plebiscyt. Skompromitowana partia przyciąga elementy najmniej wartościowe — budząc niechęć wśród zdrowego odłamu społeczeństwa. W rezultacie rządzi krajem partia, która nie jest reprezentatywna ani w sensie politycznym, ani intelektualnym, ani moralnym.

Tego rodzaju obraz sytuacji nie stanowi reguły w bloku wschodnim. W roku 1949 w Związku Sowieckim zaledwie 40% członków Prezydium Partii i Sekretariatu łącznie posiadało wyższe wykształcenie. W roku 1962, 76%, czyli przytłaczająca większość. 19% posiadało niedokończone wyższe studia. 95% członków Politbiura i Sekretariatu uczęszczało więc na wyższe uczelnie. Z tych, którzy posiadają wyższe studia, przeszło połowa ukończyła politechnikę i wyższe instytuty technologiczne.

Należy obiektywnie stwierdzić, że w sensie intelektualnym — jeżeli przez „intelektualizm” w tym kontekście rozumieć stopień wykształcenia — członkowie Prezydium Partii i Sekretariatu w Sowietach są reprezentatywni w stosunku do swojego społeczeństwa. Innymi słowy reprezentują w pełni technokratyczną cywilizację swojego kraju.

Wyrażam wątpliwość czy 95% członków KC PZPR — zasiadało na ławach uniwersyteckich.

II

W kwietniu br. w jednym z czechosłowackich periodyków literackich ukazał się wywiad z György Lukacs'em pt. „Kreatywny marksizm a literatura”. Wywiad ów — niezmiernie śmiały w treści i w formie — przedrukowały czołowe pisma Zachodu. Polska prasa tak krajowa, jak i emigracyjna nie zauważyły wypowiedzi sędziwego „rewizjonisty”.

Warto może przypomnieć, że Lukacs jest jednym z najwybitniejszych filozofów świata komunistycznego. Jest również znakomitym historykiem i teoretykiem literatury. Przed węgierską rewolucją antykolonialną w roku 1956 Lukacs był profesorem uniwersytetu w Budapeszcie, a jego wykłady przyczyniły się w znacznej mierze do zaszczepienia antystalinowskiego fermentu wśród młodzieży. W czasie rewolucji był ministrem w rządzie Imre Nagy. Po upadku powstania został deportowany przez władze sowieckie. Według informacji prasy zachodniej Lukacs'owi pozwolono wrócić do Budapesztu pod warunkiem, że powstrzyma się od jakiegokolwiek działalności politycznej.

Patrząc na losy i działalność Lukacs'a warto może zauważyć, że o ile rewizjoniści ekonomiczni w bloku wschodnim wywierają pewien wpływ — o tyle rewizjoniści humaniści nie odzyskali utraconego gruntu.

Na froncie literackim dzieją się rzeczy, które dosłownie nie śniły się filozofom. Jak wiadomo nie wszystkie pozycje ogłoszonej w Sowietach „literatury łagiernej” — uzyskały pieczęć cenzury komunistycznej w Polsce.

Dlaczego? Opisy łagrów stanowią fragment procesu de-stalinizacji. Celem tych utworów jest zilustrowanie martyrologii „dobrych” komunistów przesładowanych przez „złych” komunistów. Z tego schematu wyłamał się tylko Sołżenicyn.

Jeden z dziennikarzy krajowych, który odwiedził mnie przed kilku miesiącami — opowiedział mi następującą historię. W mieście X na zebraniu dziennikarskim — pod adresem obecnego na sali delegowanego z Warszawy partyjnego dygnitarza — padło zapytanie w sprawie sowieckiej „literatury obrachunkowej”. Dygnitarz dał odpowiedź wymijającą. Tegoż dnia w zamkniętym kole przy wódce i zakąskach — cytowany dygnitarz powtórnie naciskany w tej sprawie oświadczył: „towarzysze radzieccy mogą rozpisywać się o łagrach, bo nie oni — tylko my mamy problem Katynia”.

Na pierwszy rzut oka trudno dopatrzeć się logiki w powyższej argumentacji. Po namyśle doszedłem jednak do wniosku, że ów aparaczyk miał rację. Jeżeli obrachunek — to obrachunek. Jeżeli wolno pisać o łagrach dlaczego Katyń miałby stanowić tabu. Katyń jest zbrodnią Stalina bynajmniej nie największą. Szerokie ziemie „radzieckie” są usiane Katyniami. Lecz niewątpliwie tylko jeden z tych Katyniów — jest problemem polskim.

Obrachunek ze stalinizmem w Polsce Ludowej nie może przekroczyć pewnej linii. Nie może zbliżyć się do punktu z którego widać Katyń. Dlatego w Polsce nie może być rzetelnej de-stalinizacji.

Dla Rosjanina Katyń jest jedną z setek zbrodni „minionego okresu” która tylko na marginesie wiąże się z krwawym widowiskiem stalinizmu. Likwidacja organizatorów i budowniczych Armii Czerwonej z Tuchaczewskim na czele — jest dla Rosjanina daleko boleśniejszą zbrodnią i krzywdą niż Katyń. Innymi słowy w procesie de-stalinizacji, którego „literatura obrachunkowa” jest przejawem — Katyń w aspekcie rosyjskim stanowi epizod — w aspekcie polskim kardynalny problem.

Lecz dziś w tej sprawie nie chodzi o Stalina. Wersję stalinowską o Katyniu zażyrowali zarówno Chruszczow jak i Gomułka i to stanowi główny problem. Nieboszczyka Stalina można obarczać wszystkim zbrodniami. Jednak ani Chruszczow ani Gomułka, którzy kłamstwo o Katyniu podtrzymują przez tyle lat — nie mogą dziś wycofać się z tej ponurej legendy bez całkowitej utraty twarzy. Można przypuszczać, że prawda o Katyniu za ich życia nie zostanie ujawniona.

III

„Literatura obrachunkowa” jest krytyką minionego okresu. Lecz czy możliwa jest krytyka współczesnego okresu?

Warszawska „Kultura” z 24 maja br. zamieściła tekst dyskusji na zbliżony temat. Nim przyjrzymy się bliżej tym wypowiedziom warto zauważyć, że choć cytowana dyskusja poświęcona jest krytyce — na temat krytyki dyskutują nie krytycy, lecz dyplomowani „yes-man'i”. Jak stworzyć krytykę bez krytyków — oto jest pytanie? Wymaga to pewnej akrobatyki intelektualnej i jak zauważył Toeplitz „odcięcia się od istniejących koncepcji, że w tym systemie jest niemożliwe pogłębienie, rozszerzenie wolności słowa. Że sam

fakt istnienia systemu socjalistycznego przekreśla możliwość swobodniejszej demonstracji twórczej i artystycznej”.

Okazuje się, że tego typu poglądy i koncepcje istnieją nie tylko w redakcji paryskiej „Kultury”, lecz również w kraju. Skłonni jesteśmy przypuszczać, że ludzie wyznający powyższe poglądy stanowią w Polsce znaczącą większość. Nie można odcinać się od opinii poważnego odłamu społeczeństwa. Ludzi reprezentujących owe poglądy należałoby włączyć do dyskusji i przekonać. Tym bardziej, że 20 lat dziejów Polski komunistycznej dostarcza wielu niezbitych faktów, które potwierdzają w całej rozciągłości koncepcje i poglądy od których odcina się Toeplitz.

Jest jednak rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że klasyczni „yes-man-i” à la Bratny, Wilhelmi, Toeplitz, na niemal dwóch stronach druku mówią w kółko o wolności słowa i prawie do krytyki. To jest hołd złożony idei wolności przez jej wrogów.

Zapytajmy słowami Toeplitza: „czy w tym systemie (komunistycznym) jest możliwe pogłębianie, rozszerzanie wolności słowa?”

Odpowiedzi udzielił Toeplitzowi Włodzimierz Sokorski:

„Sprawa zerwania z praktyką asekurowania się tysiącem zapytań, telefonów i to telefonów do ludzi często do tego niepowołanych. W ten sposób sami zastawiamy sieć do której z ulgą wpadamy, by tylko uchylić się od własnej decyzji”.

W tych dwóch zdaniach uchwycyony jest cały problem. Ustrój komunistyczny (w odniesieniu do literatury i krytyki) to nie jest kwestia oficjalnej cenzury. To jest zagadnienie uwarunkowania postawy jednostki. Gdyby jutro zniesiono cenzurę nic by się nie zmieniło. Pisarze i wydawcy ze zdwojoną gorliwością telefonowaliby do dygnitarzy partyjnych, wykreślali z tekstów każde śmielsze zdanie i w rezultacie żyliby w większym strachu niż obecnie. Ludzie nie boją się cenzury — ludzie *boją się ustroju*. Boją się represji, utraty posady, wstrzymania druku książki, czarnej listy w radiu i telewizji itd.

Każdy rynek literacki ma swoje tabu i w każdym kraju odważnych pisarzy jest nie wielu. Pieniądze i kariera okupowane są często konformizmem, kompromisami i schlebieniem „masowemu odbiorcy”. Niezależny sąd, krytycyzm, cywilna odwaga — to są przymioty rzadko spotykane nawet wśród ludzi żyjących w materialnie, społecznie i politycznie najkorzystniejszych warunkach. A cóż dopiero mówić o systemie, w którym ludzie sami na siebie zastawiają sieci do których z ulgą wpadają. Sami siebie pozbawiają resztek wolności, bo boją się wolności. Boją się, ponieważ nie wiedzą czy linia partyjna, która obowiązywała wczoraj obowiązuje dzisiaj. Boją się czy to, co wczoraj było „konstruktywną krytyką” — nie okaże się jutro „działalnością antypartyjną”. W świecie komunistycznym nie ma współczesności — jest tylko „okres miniony”, który nie chce minąć.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Ograniczenie wolności ma swoje „zalety” — ponieważ w praktyce ograniczenie wolności oznacza *ograniczenie konkurencji*. W żadnej innej sytuacji p. Mitzner-Szeląg nie mógłby strofować i pouczać ludzi miary Kotarbińskiego czy Marii Dąbrowskiej. W żadnej innej sytuacji pp. Bratny i Wilhelmi nie byłiby redaktorami reprezentacyjnego tygodnika literackiego. Ograniczenie wolności stwarza jedyną w swoim rodzaju koniunkturę dla miernot i karierowiczów. Ci panowie stają się fana-

tycznymi obrońcami linii partyjnej, gdyż zdają sobie świetnie sprawę czym im grozi „odwilż” i liberalizacja. Liberalizacja oznaczałaby powrót na scenę literacką prawdziwych talentów.

Najpełniejszy wyraz tym obawom w cytowanej dyskusji dał Bohdan Czeszko:

„Moim zmartwieniem politycznym związanym... z rozszerzeniem strefy swobody wypowiedzi jest niestety będący regułą u nas pęd do zdobywania sobie łatwej popularności, przy całkowitym złuzowaniu rygorów intelektualnych. Jeśli przy tym chałtura i łatwizna myślowa są, jak to u nas często bywa preferowane, jeśli na zasadzie owczego pędu tłumi cwaniaczków, kompilatorów i mydłków „kulturowych” rozpoczynają masowe biegi ku złotodajnym polom zwolnionym przez cenzurę, kiedy wszystko, co powinno być domeną pełnego godności namysłu poczyną się zmieniać w haniebny jarmark głupców, to wtedy nie dziwota, że na wszelki wypadek dmucha się na zimne”.

Teraz wiemy czym grozi „rozszerzenie strefy swobody wypowiedzi”. Rozpocząłby się „masowy bieg ku złotodajnym polom zwolnionym przez cenzurę” — a pp. Czeszko, Bratny i Wilhelmi nie mieliby żadnej szansy zajęcia czołowych miejsc w tym biegu. Znaleźliby się na szarym końcu, gdzie jest ich właściwe miejsce. Trudno się jednak dziwić, że perspektywy tego rodzaju konkurencji nie budzą w nich entuzjazmu. Dlatego najmniejszy podmuch „odwilży” wprowadza ich w panikę.

IV

W moim osobistym i wskutek tego omylnym być może przekonaniu, mamy przed sobą bardzo długi okres pokoju i koegzystencji w Europie. Zakładając, że przez 30 lat ramy sytuacji nie ulegną zmianie — czy można mieć nadzieję na ewolucję komunizmu?

Jeżeli nie będzie wydatnej pomocy z zewnątrz w formie choćby pośredniej jak np. uznanie granicy na Odrze i Nysie — szanse ewolucji są niewielkie, lecz niemniej istnieją. Przede wszystkim należy wyciągnąć pewne wnioski z 20 lat rządów komunistycznych w Polsce. Zaczniemy od przykładu. Wyobraźmy sobie, że połowa pisarzy i intelektualistów, którzy podpisali protest 34 — to są członkowie partii. W takiej sytuacji protest stałby się jednego dnia wydarzeniem międzynarodowym pierwszej rangi. Bo czy nam się to podoba czy nie — ważne jest przede wszystkim to, co robią komuniści. Trudno się dziwić takiemu ogólnemu podejściu do sprawy. Jak dotąd, wszystkie przemiany i rozłamy w komunizmie spowodowane zostały przez komunistów a nie przez „outsiderów”. „Tajny” referat Chruszczowa dokonał większych spustoszeń w partiach komunistycznych świata niż wszystkie lata antykomunistycznej propagandy. Rewolucja węgierska była również dziełem komunistów. Zarówno Imre Nagy jak Pal Maleter byli komunistami. I „last but not least” komunistami są autorzy największego rozłamu pomiędzy Pekinem a Moskwą.

Moskwa uznaje dziś za legalną opozycję w łonie danej partii komunistycznej jeżeli frakcja opozycyjna zwrócona jest przeciwko pro-chińskiemu kierownictwu. Odwrotnie, Chińczycy uważają za legalną opozycję pod warunkiem, że frakcja opozycyjna zorientowana jest na Pekin. W ten sposób

zasada opozycji w ramach partii komunistycznej została uznana za legalną zarówno przez Sowiety jak i przez Chiny.

Do tej pory panowała powszechnie zasada „centralizmu demokratycznego” i wszelka opozycja uważana była za działalność antypartyjną. Lecz komunista, który uprawia opozycję w stosunku do pro-chińskiego kierownictwa swojej partii — w opinii Moskwy nie może być oskarżony o działalność antypartyjną.

Wyłom został dokonany — chodzi już tylko o ulegalizowanie samej zasady opozycji. Należy podkreślić, że są daleko bardziej istotne sprawy niż pro-chińskość czy pro-rosyjskość. Suma różnic dzielących Chruszczowa i Mao Tse jest znacznie większa od sumy różnic dzielących Gomułkę i Piaseckiego (przywódcę Paxu). Paxowcy są komunistami nie-materialistami, którzy w dziedzinie filozoficznej — *lecz nie politycznej* — wyznają zasadę wieloświatopoglądowości. Uznanie za legalną opozycji światopoglądowej w ramach PZPR — umożliwiłoby paxowcom wstąpienie do partii. Ponieważ paxowcy są super-lojalni politycznie — partia komunistyczna w Polsce uległaby *de facto* wzmocnieniu. Jednak byłby to krok naprzód o wielkim znaczeniu i w pożądanym kierunku. Paxowcy — jako organizacja nie komunistyczna, lecz pro-komunistyczna — spełniają *rolę ujemną*. Ci sami paxowcy jako opozycja światopoglądowa w ramach partii komunistycznej — spełnialiby *rolę pozytywną i postępową*.

Można przyjąć pogląd, że systemy zamknięte, oparte na dogmatycznej doktrynie — są niezdolne do ewolucji. Lecz przykład kościoła katolickiego wskazuje, że nawet w systemach zamkniętych — w ostatecznym rozrachunku decyduje nie doktryna tylko ludzie, którzy ją interpretują. Systemy zamknięte nie są izolowanymi wyspami i podlegają wpływowi „ducha czasu”. Lecz reform w systemach zamkniętych nie może dokonać nikt z zewnątrz.

Świat zachodni wywiera niewątpliwie wielki wpływ na blok państw komunistycznych. Lecz nasz wpływ może być tylko pośredni, a reformy muszą być dokonane rękami komunistów.

W Polsce nie wydaliśmy ani wielkich marksistów ani głośnych apostatów. Wyprodukowaliśmy natomiast miliony kolaborantów. Kolaborant uspakaja swoje sumienie i opinię swoich znajomych stwierdzeniem, że nie jest komunistą. Równocześnie jednak godzi się na polityczny status pańszczyźnianego chłopca. Kolaborant, nie będąc komunistą, prześciga w swej gorliwej pro-partyjności prawdziwych komunistów. Nie ma jednak żadnych praw politycznych i nie wywiera żadnego wpływu na działalność i ewolucję partii. W wiecznym strachu o jutro odrabia pańszczyznę i na tym koniec.

Mógłbym wymienić intelektualistów, członków partii — dziś na bocznym torze — którzy sprawie wolności słowa i przekonań oddali tysiącokrotnie większe usługi niż pisarze czy uczeni, którzy nie będąc komunistami od lat występują się partii.

Doświadczenia 20 lat dyktatury komunistycznej w Polsce — ująć można w jednym zdaniu: kolaboracja nie prowadzi do niczego. To jest polska droga do nikąd.

Trzeba albo zdobyć się na permanentny opór — by użyć słów Herlinga-Grudzińskiego — albo, trzeba wniknąć w organizację partyjną, by móc wywierać wpływ na politykę partii i jej ewolucję.

KOMUNIZM DEGENERUJE KAPITALIZM

Stulecia tradycji „wolnej inicjatywy” uwarunkowały przekonanie milionów ludzi Zachodu, że wszystko musi być opłacalne — innymi słowy przynosić zysk. Jedynym miernikiem sprawności przedsiębiorstwa jest jego rentowność. Pan X może produkować obrzydliwą tandetę, degenerować zmysł estetyczny społeczeństwa i zarabiać legalnie na tej haniebnej operacji miliony funtów rocznie.

Bernard Hollowood, były członek zespołu redakcyjnego „The Economist”, a obecnie redaktor „Punch” — wystąpił z tezą, że kryterium rentowności należy zastąpić miernikiem użyteczności społecznej. Oczywiście nie wszędzie i nie zawsze. Pewne gałęzie przemysłu należy pozostawić w sektorze wolnej inicjatywy, ponieważ jest to z korzyścią dla społeczeństwa. Lecz jest rzeczą śmieszną odmawiać podwyżki uposażeń listonoszom — argumentując, że zyski poczty nie usprawiedliwiają takiej podwyżki. Oczywiście pocztę można by przemienić w kwitnące przedsiębiorstwo podwyższając wszystkie opłaty o 300%. Płacimy jednak spore podatki i należą nam się pewne świadczenia.

W okresie kiedy mieszkaliśmy w dżungli — przy życiu najdłużej utrzymywali się najmocniejsi, najbardziej zaradni i najbardziej przedsiębiorczy. Nieograniczona „wolna inicjatywa” — w opinii Hollowood’a — jest w gruncie rzeczy ucywilizowanym nieco prawem dżungli.

W świecie zachodnim chleb, transport i praca mogłyby być darmo dla wszystkich. Wymagałoby to jednak gospodarki planowanej. 30 lat temu system kapitalistyczny dojrzał do poważnych i zasadniczych reform. Potrzeba planowania i nacjonalizacji wielu gałęzi przemysłu — były tak oczywiste, że wielkie przeobrażenie kapitalizmu wydawało się sprawą najbliższych kilku lat.

Nagle pojawił się komunizm. Planowanie, upośleczenie, upaństwowienie, porzucenie motywu zysku — urzeczywistniono w Rosji z jak najbardziej katastrofalnymi rezultatami. Anglosasi — ludzie skądinąd pragmatycznie myślący i chodzący po ziemi, patrząc na doświadczenia najpierw sowieckie, a później w bloku wschodnim — ufundowali sobie zbiorowy kompleks na temat planowania, nacjonalizacji i wszystkiego, co choćby w pozorach przypominało instytucje gospodarcze w świecie komunistycznym.

Tak oto komunizm — a raczej jego gospodarcze niepowodzenia — działają hamująco na rozwój kapitalizmu.

A rezultat? Dobrobyt na Zachodzie jest dobrobytem „prywatnym”. Ludzie dobrze zarabiają, mieszkają wygodnie, często w luksusowo urządzonych domach z telewizorami, lodówkami, „gadżetami” niezbędnymi i niepotrzebnymi. Lecz ten luksus i dobrobyt kończy się w chwili gdy znajdziemy się na ulicy. Nie ma gdzie zaparkować samochodu, koleje podziemne są zatłoczone i brudne, w wypadku choroby na łóżko w szpitalu trzeba czekać miesiąc, a czasem dłużej. Linie kolejowe likwiduje się bo są nie rentowne, a na wielu odcinkach kasuje się wozy restauracyjne i sypialne z tych samych przyczyn. Życie poza domem staje się coraz mniej wygodne, a w wielu wypadkach wręcz uciążliwe.

Jest oczywiście, że służb społecznych jak transport, poczta, szpitale itp.

nie można oceniać wyłącznie kryterium rentowności. Nie chodzi bowiem o to by koleje i kolejki podziemne przynosiły zysk, lecz by prawidłowo spełniały swoją funkcję społeczną. Bo co nam z zysku, jeżeli wracając z pracy ryzykujemy codziennie uduszenie?

TRANSPARENT

Smith w czasie śledztwa („Rok 1984” Orwell) upiera się przy twierdzeniu że dwa razy dwa równa się cztery. O'Brian, członek „wewnętrznej partii” powtarza: „nie zawsze, Winstonie, nie zawsze!”.

Warszawska „Kultura” z 12 maja br. przyniosła wiadomość, że w pochodzie 1-majowym maszerowała grupa młodych ludzi z transparentem, na którym widniało następujące hasło:

$$2 + 2 = 4$$

Nic poza tym. Żadnych wyjaśnień ani komentarzy. Tak oto Orwell doczekał się realnej inscenizacji na warszawskiej ulicy.

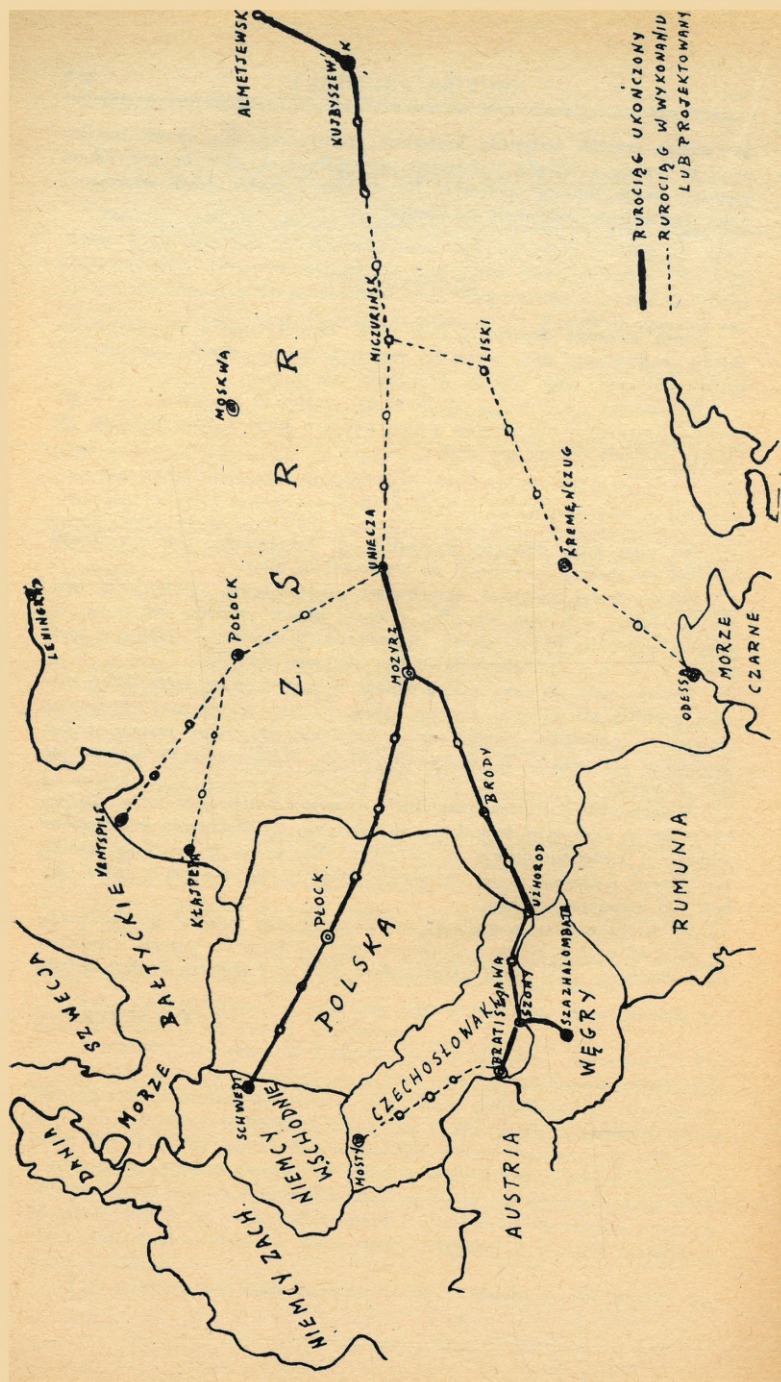
Mitzner-Szeląg zwietrzył natychmiast „antypartyjne” nastawienie lapidarnego hasła. I w tym wypadku skłonny jestem przyznać mu rację. W powodzi sloganów, drętwej mowy, tromtadrackich napisów — tablica z napisem $2 + 2 = 4$ symbolizowała protest zdrowego rozsądku.

Mitzner stara się całą sprawę obrócić w żart. Lecz są żarty, które bardziej poniżają niż policzek. Dowcip polega na tym, że ten sam transparent niesiony w pochodzie 1-majowym w Londynie nie byłby żartem. Byłby nonsensem bez pointy. W Warszawie, 20 lat Polski Ludowej oprawia ów żart w pointę.

Małachowski („Rzeczniepospolita”) uwiecznił następującą scenę: kasjerka w barze mlecznym wystukuje na maszynie do dodawania poszczególne pozycje, a następnie dodaje je ołówkiem. Nie wolno jej nacisnąć guzika sumującego ponieważ papier na wałku przesuwają się wówczas o jeden „ząbek” co utrudnia kontrolę.

W kraju w którym kasjerka mając przed sobą maszynę do dodawania — musi dodawać w głowie i ołówkiem wpisywać sumę dla wygody i widzimisię biurokratów — w kraju takim hasło $2 + 2 = 4$ niestety nie jest żartem.

LONDYŃCZYK



Rurociąg naftowy "Przyjaźń"

I

Rurociąg o powyższej nazwie, często na Zachodzie zwany również rurociągiem „Komekon”, jest przeznaczony do tłoczenia ropy naftowej z Zagłębia Uralsko-Nadwołżańskiego do Czechosłowacji, Polski, Węgier i Wschodnich Niemiec, a przez projektowane odnogi również do stacji pompowych na Bałtyku i morzu Czarnym i do leżących na trasie rafinerii na terytorium sowieckim.

Budowa całej sieci o łącznej długości powyżej 6000 km., jak widać z załączonej mapki, nie jest ukończona. Najbardziej zaawansowana w budowie jest część zwana „Przyjaźń”. Odcinki, znajdujące się w granicach państw bloku sowieckiego, zostały ukończone z wyjątkiem projektowanej odnogi Bratysława-Mosty w Czechosłowacji. Natomiast sektor na terenie Z.S.S.R. nie był na początku bieżącego roku w całości gotowy, skutkiem czego jeszcze w marcu tego roku, jak podają źródła sowieckie, transport ropy do Czechosłowacji, Polski, Wschodnich Niemiec i Węgier był kombinowany: ropę dostarczano cysternami kolejowymi do Brodów, a stamtąd pompowano rurociągami do miejsc przeznaczenia.

Łączna długość rurociągu „Przyjaźń” wynosi ok. 4490 km., na co składają się następujące odcinki: Almetjewsk-Kujbyszew-Mozyrz ok. 1700 km., odnoga północna z Mozyrza przez Polskę do Wschodnich Niemiec ok. 1200 km. i południowa do Czechosłowacji i Węgier ok. 1590 km. Odcinek polski podzielić można na dwie części: od granicy sowieckiej do rafinerii w Płocku 240 km i przedłużenie do rafinerii w Schwedt na terenie Wschodnich Niemiec ok. 425 km.

Rząd Niemiec Wschodnich pierwszy wystąpił w r. 1957 z pomysłem budowy rurociągu dla ropy sowieckiej. Projekt był skromniejszy od dzisiejszego i różny w założeniu: dostawa ropy sowieckiej miała odbywać się tankowcami do Szczecina, a stamtąd ru-

rociągiem do Saksonii i odnogami na Morawy i Śląsk. W roku 1958 projekt w znacznie szerszym zakresie był przedmiotem dyskusji na posiedzeniu RWPG (1) w Pradze i w tymże roku zaakceptowany został w dzisiejszej postaci według planów przygotowanych przez Główny.

Przedsięwzięcie na tak wielką skalę najeżone było trudnościami zarówno natury technicznej, jak i organizacyjnej i gospodarczej. Według „Stroitelstwo Truboprowodow” na stosunkowo niewielkim odcinku Brody-Użhorod, rurociąg musiał przekroczyć 35 razy rzeki, 71 — strumienie, a drogi i tory kolejowe 81 razy. Z Użhorodu do Bratysławy było 25 nadziemnych przejść i 116 przekroczeń. W częściach górzystych trasa prowadziła przez szczyty, dochodzące do wysokości 1000 metrów.

Długość rurociągu wymagała budowy wielkich stacji tłoczeniowych, z których dwie największe mają po 7000 m³/godz. wydajności każda i około dwudziestu stacji kompresorowych.

Największą trudnością w budowie okazała się dostawa rur o wielkich średnicach. Odcinek od kopalni do Mozyrza wymagał rur o średnicy 1000 mm. i grubości ścianek 11 mm. Ani huty sowieckie, ani kraje satelickie nie mogły ich dostarczyć na czas w potrzebnych ilościach. Toteż Sowiety zmuszone były zakupować je w krajach kapitalistycznych. W latach 1959-1963 następujące ilości zostały dostarczone przez:

Niemcy Zachodnie	—	710.000	ton
Włochy	—	180.000	„
Szwecję	—	135.000	„
Japonię	—	5.000	„

W roku 1962 NATO zaleciło swoim członkom wstrzymanie Sowietom sprzedaży rur o wielkich przekrojach, co mogło przyczynić się do opóźnienia budowy odcinka na terytorium ZSSR.

Dostawy rur o mniejszych przekrojach (od 300 do 600 mm.) dla budowy odcinków na terenie czterech państw nie napotkały na większe trudności, bowiem dostarczyły je huty wymienionych krajów. Dla przykładu, Polska pokryła prawie w całości własne potrzeby, tj. ok. 42.000 ton, a specjalnie uruchomiona huta we Wschodnich Niemczech, mimo, że rurociąg na ich terenie wynosił tylko ok. 25 km. (od granicy polskiej do rafinerii w Schwedt), dostarczyła rur na pokrycie ok. 800 km. rurociągów, leżących w granicach innych państw. To było głównym powodem, że odcinki lokalne mogły o tyle wyprzedzić ukończenie robót na terytorium sowieckim, że już na początku roku 1962 ropa, dowożona do Brodów koleją, mogła być pompowana do rafinerii w Bratysławie w Czechosłowacji i Szony na Węgrzech.

Poza trudnościami natury technicznej i materiałowej przy przedsięwzięciach zakrojonych na taką skalę zawsze występują i muszą być pokonane trudności, wynikające z konieczności uzgod-

(1) Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.

nienia i synchronizacji robót w pięciu państwach, oraz znalezione kompromisy w sprawach, kryjących sprzeczne interesy. Należy również sądzić, że i problem sfinansowania projektu nie miał tego samego oblicza dla poszczególnych kontrahentów, z których każdy musiał we własnym zakresie finansować przypadającą na niego część robót i pokryć inwestycje rafineryjne, będące dalszą konsekwencją całego projektu.

Ze wszystkich tych trudności państwa w grę wchodzące niewątpliwie zdawały sobie sprawę. Toteż należy przypuszczać, że ważne racje towarzyszyły narodzinom tego projektu. Nazwa „Przyjaźń” implikuje, że jest on manifestacją przyjaznych uczuć, łączących kraje komunistyczne oraz wyrazem wzajemnej pomocy państw, wchodzących w skład RWPG. Z pewnością i te elementy odgrywały rolę, ale nie wydaje się, aby wyłącznie im należało przypisać zrodzenie się pomysłu tej wielkiej inwestycji. Może więc warto spojrzeć na nią jeszcze z innego punktu widzenia, a jej genezę i realizację rozpatrzyć na tle polityki naftowej Związku Sowieckiego.

II

Od zarania przemysłu naftowego Rosja zajmowała drugie miejsce w światowej produkcji ropy. Zdystansowana w r. 1927 przez Wenezuelę dzieliła z nią to miejsce na liście producentów na przemian, aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Od roku 1945 pozostawała w tyle za Wenezuelą, aby ją znowu wyprzedzić w r. 1961.

Po wojnie, w kolejnych 5-cio i 7-io letnich planach, nafta, jako element kluczowy w rozwoju przemysłu, rolnictwa i transportu, zajmowała w hierarchii ważności wysokie miejsce. Dzięki rozbudowie zagłębia Uralsko-Nadwołżańskiego następuje gwałtowny wzrost produkcji.

PRODUKCJA W TYSIĄCACH TON

<i>Rok</i>	<i>Z.S.S.R.</i>	<i>Stany Zjednoczone</i>	<i>Wenezuela</i>
1939	28.906	173.300	27.400
1948	29.249	273.000	71.462
1953	52.777	318.535	94.229
1955	71.000	340.000	107.800
1958	113.216	330.955	139.067
1961	166.000	354.303	153.888
1962	186.000	356.800	155.866
1963	206.000	376.900	162.842
1965 (plan)	240.000	—	—
1970 „	350.000	—	—

Od roku 1948 do 1963 produkcja wzrosła siedmiokrotnie. W ostatnich kilku latach wzrost wynosi ok. 10%, prześcigając wzrost

wydobycia ropy w Stanach i Wenezueli. Ten sam mniejwięcej wzrost przewidują plany na kilka lat najbliższych.

Uwzględniając rezerwy naftowe, oceniane w r. 1963 na terenach sowieckich na blisko 4 miliardy ton, oraz wykonanie planów z lat poprzednich, preliminowane ilości na lata 1965 i 1970 nie nastręczają wątpliwości. Plany perspektywiczne na rok 1980, które przyjmować należy ze znacznie większą ostrożnością, a przewidujące wydobycie ok. 690 milionów ton rocznie, leżą w granicach możliwości.

Temu poważnemu wzrostowi produkcji nie towarzyszy w równym stopniu wzrost konsumpcji wewnętrznej, jak to ilustrują poniższe cyfry:

<i>Rok</i>	<i>Konsumpcja wewnętrzna</i>	<i>Stosunek konsumpcji do produkcji ropy</i>
1955	67.8 mil. ton	86%
1958	89.7 mil. ton	79%
1962	131.1 mil. ton	70%

Bliższa analiza tego problemu przekraczałaby ramy niniejszych rozważań. Należy stwierdzić jedynie, że mimo zwiększającego się zapotrzebowania nie nadąża ono za wzrostem produkcji. Nożyce się rozwierają i rozpiętość między konsumpcją a wydobyciem się zwiększa. Warto równocześnie zaznaczyć, że utrzymanie się tego stanu rzeczy, aczkolwiek w mniejszym stopniu, niż w latach ubiegłych, przewidują plany na lata nadchodzące. Zgodnie z preliminarem na rok 1970 zapotrzebowanie naftowe na rynku wewnętrznym ma wynieść 68.5% wydobycia. Innymi słowy, w najbliższych latach spodziewać się należy wzrostu nadwyżek, które mogą znaleźć zbyt jedynie na rynkach zagranicznych.

Jeszcze w roku 1950 import produktów naftowych do ZSRR przewyższał jego eksport. W roku tym eksport wynosił 1.1 mil. ton — import (z krajów bloku sowieckiego) 2.6 mil. ton. Sytuacja zmienia się szybko w miarę zwiększania się wydobycia:

<i>Rok</i>	<i>Eksport w tys. ton</i>	<i>Eksport w % w stosunku do produkcji</i>
1955	8.006	11.1
1958	18.138	16.0
1960	33.217	22.4
1961	41.213	24.8
1962	45.383	24.4
1963	50.000 (według oceny Nat. Petroleum Council)	24.3

Do krajów komunistycznych

Do krajów nie-komunistycznych

1955	3.967.000 ton	49 %	4.049.000	51 %
1961	18.408.900	„ 44.7%	33.804.300	55.3%
1962	20.519.300	„ 45.4%	24.792.500	54.6%
1963 (ocena Nat. P.C.)	18.500.000	„ 37 %	31.500.000	63 %

Planowane nadwyżki eksportowe na rok 1965 wyrażają się cyfrą około 72 mil. ton, na rok 1970 — 105 mil. ton.

Według oceny National Petr. Counc. ilości te są przesadzone i z nadwyżek tych zdolnych do eksportu będzie w roku 1965 ok. 60 mil. ton, a w r. 1970 od 65 do 80 mil. ton. Są to ilości poważne. Nie należy jednak sądzić, jakoby Związek Sowiecki był pod tym względem w sytuacji przymusowej; ma on bowiem możliwość regulowania produkcji ropy w zależności od potrzeb rynku wewnętrznego. Jeżeli podtrzymuje wydobywanie przewyższające zapotrzebowanie krajowe, to przyjąć wypada, że czyni to zgodnie ze swoim programem eksportowym.

Światowy obrót naftą odbywa się w twardych walutach. Można przeto pominąć wysuwane często względy poza-gospodarcze, mogące skłaniać Związek Sowiecki do eksportu naftowego, bowiem wystarczającym motywem jest potrzeba dewiz na zakup ekwipunku i materiałów, dostępnych jedynie na Zachodzie. Nie dostarcza ich wprawdzie eksport ropy do krajów bloku sowieckiego, ale zabezpiecza korzyści, jakie daje nafcie jej uprzywilejowana pozycja w wymianie towarowej.

Penetracją sowiecką, zwłaszcza do krajów Europy Zachodniej, zaniepokoiły się światowe koncerny naftowe, biorąc pod uwagę wzrastające nadwyżki eksportowe Związku Sowieckiego i jego możliwości konkurencyjne nie oparte o kalkulację handlową. Sowiety utrzymują się na zdobytych rynkach zachodnich kosztem poważnych obniżek cen. W roku 1955 kraje zachodnie płaciły średnio za baryłkę ropy sowieckiej \$2.16. Cena ta obniżała się systematycznie, aż w r. 1962 spadła do \$1.36 loco granica sowiecka. Według Nat. Petr. Coun. cena ta równa się \$1.00 w przeliczeniu na FOB zatoka Perska, podczas gdy równoważycielska ropa arabska kształtowała się w cenie \$1.80.

Nie brak głosów, że cena ropy sowieckiej jest dumpingowa. Trudno tego dojąć. Próbował na to odpowiedzieć. P. Zieber („Erdöl und Kohle”, 1960), dochodząc do wniosku, że nie ma dostatecznych powodów, aby uznać ją za leżącą poniżej kosztów produkcji. Sprawa ta ma zresztą znaczenie raczej teoretyczne. Skoro Sowiety decydują się na eksport nafty do Krajów Zachodnich, to muszą zgodzić się na ceny, jakie im odbiorcy gotowi są płacić.

Ponieważ próby podwyższenia cen, czynione w ostatnich latach, nie dały wyników, jedyną drogą podniesienia rentowności jest obniżenie kosztów własnych. Składają się one z kosztów wydobycia ropy loco kopalnia i kosztów transportu do portu załadowania lub innego miejsca dostawy. Ten drugi składnik można obniżyć z łatwością przez zastąpienie przewozu kolejowego lub wodnego tłoczeniem rurociągami, co przy wielkich przestrzeniach rosyjskich ma szczególne znaczenie zarówno dla dystrybucji wewnętrznej, jak i eksportu. Ta od lat panująca na świecie tendencja jest dla sowieckiego przemysłu naftowego pewnego rodzaju nakazem: skraca czas dostaw i redukuje koszty przewozu.

Długość sieci rurociągowej w ZSSR zwiększa się stale, a tendencja ta jest utrzymywana w planach na lata 1965 i 1970.

Rok	Długość sieci rurociągowej na paliwa płynne w 1000 km.	Rok	Długość w 1000 km.
		1958	14.4
		1959	16.7
		1960	17.3
		1961	20.1
1913	1.1	1962	21.6
1940	4.1	1965 (plan)	28.0
1955	10.4	1970	„ 44.0

Gros tej sieci służy do transportu ropy i jej pochodnych na pokrycie zapotrzebowania rynku wewnętrznego. Sieć ta obejmuje również odcinek sowieckiego rurociągu „Przyjaźń”, który po raz pierwszy umożliwia sowieckiemu przemysłowi naftowemu tłoczenie ropy poza granice państwa. Dwa odgałęzienia doprowadzają naftę do Bałtyku i Morza Czarnego, alimentując flotę na obu morzach, rafinerie leżące po drodze (Połock i Kremieńczug) oraz stacje eksportowe na północy i południu.

Zmniejszenie kosztów transportu ilustrują następujące przykłady. Według Ziebera koszt transportu koleją jednej tony na przestrzeni 1300 klm. wynosi 40 rubli. Na tej samej przestrzeni koszt tłoczenia wynosi 12 rubli.

W dziedzinie eksportowej Nat. Petr. Coun. przeprowadza następującą kalkulację: koszty transportu z Kujbyszewa do portu bałtyckiego koleją \$ 0.90 za baryłkę — rurociągiem 0.31 za baryłkę, a więc 1/3-cią. Dodatkowy koszt z tegoż portu bałtyckiego do Sztokholmu — \$ 0.17. Łączny koszt dowozu z Kujbyszewa do Sztokholmu wynosi \$ 0.48. Dla porównania, koszt przewozu ropy arabskiej z Zatoki Perskiej do Sztokholmu wynosi — \$ 0.64.

Tłoczenie zatem rurociągiem nie tylko wpłynie dodatnio na podniesienie rentowności, ale i na zdolność konkurencyjną ropy sowieckiej wobec faktu, że fracht jej będzie o 25% tańszy od frachtu ropy arabskiej.

Wspomniałem wyżej, że światowe koncerny zaniepokoiły się sowiecką ekspansją naftową. Są opracowania wskazujące, że w wyniku tej ekspansji w latach 1954-1963 wpływy przemysłu naftowego wenezuelańskiego i arabskiego zmniejszyły się o około 800 mil. dolarów. Wskazuje się również na to, że eksport naftowy w stosunku do całego eksportu sowieckiego wynosił w r. 1955 — 6.7%, a w r. 1962 — 11.5%. Należy podkreślić, że w tymże roku 17.8% całego eksportu sowieckiego do krajów zachodnich stanowiła nafta, która była największą pozycją w tym eksporcie.

Rurociąg „Przyjaźń” uważa się za wzmoczenie ofensywy sowieckiej na kraje zachodnie w dziedzinie ropy i gazu ziemnego. Charakterystyczne w tym względzie było oświadczenie p. Gerard de Corvel z „Société Commerciale de Méthane Saharien” o możliwościach spotkania się gazu ziemnego z Algieru z gazem ziemnym sowieckim w Europie środkowej.

Sfery sowieckie zaprzeczają, jakoby zamierzały użyć rurociągu „Przyjaźń” do tłoczenia ropy na zachód Europy. Prezes Sojuznefteksportu oświadczy, że w obecnych stanie rzeczy rurociągiem tym da się przepompować rocznie 15 do 18 mil. ton. Wprawdzie przez rozbudowę stacji pompowych i kompresorowych można będzie w latach najbliższych tę wydajność podwoić, ale osiągnięcie się w ten sposób ilości, których właśnie państwa bloku sowieckiego będą potrzebowały. Jeśli to obliczenie jest nawet słuszne, nie zmieni to faktu, że przez część rurociągu, leżącą na terytorium sowieckim (Kujbyszew-Uniesza), da się przetłoczyć 40-50 mil. ton; nadwyżkę po zaspokojeniu czterech państw bloku sowieckiego da się przetłoczyć przez odnogę Uniesza-Połock-Ventspils. Zgadzałoby się to z informacją „Sowietskaja Rossija”, według której z Ventspils ropa będzie dostarczana tankowcami do Europy zachodniej.

Zbyt wiele niewiadomych cyfrowych i sytuacyjnych kryje przed nami nawet niedaleka przyszłość, aby kusić się o szczegółowe przewidywania, jak będzie się kształtował sowiecki eksport naftowy w latach najbliższych, ale już dziś w związku z budową rurociągu „Przyjaźń” można pewne rzeczy ustalić. Jego znaczenie przekracza korzyści, płynące z bardziej ekonomicznego transportu.

W obliczu zwiększających się nadwyżek naftowych

- a) rurociąg zapewnił sowieckiemu przemysłowi naftowemu cztery kraje, które ustawiły swoją politykę naftową w oparciu o ten rurociąg, wiążąc się w ten sposób bardzo silnymi węzłami z sowiecką naftą;
- b) rurociąg przyczynia się do zwiększenia rentowności sowieckiego eksportu naftowego i jego konkurencyjności na rynkach zagranicznych;
- c) rurociąg, dochodząc do punktów wyjściowych dla eksportu morskiego, a przez kraje sąsiednie do środka Europy, pozwala sowieckiemu przemysłowi naftowemu na giętkość w dostosowaniu się do zmieniających się warunków i zwiększa jego swobodę w wyborze kierunku eksportu.

Toteż można niewątpliwie stwierdzić, że rurociąg „Przyjaźń” jest znakomitym instrumentem w realizacji planów sowieckiej ekspansji naftowej.

III

Rozważania powyższe prowadzą do wniosku, że budowa rurociągu „Przyjaźń” mieściła się bez reszty w ramach sowieckiej polityki naftowej. Nasuwa to pytanie, czy w tym samym stopniu odpowiada również innym kontrahentom umowy. Odpowiedzieć na to pytanie można by tylko na podstawie dokładnej znajomości umów, zawartych między sygnatariuszami układu. Dane te, rzecz prosta, nie są dostępne. Można tylko bardzo ogólnie przyjrzeć się blaskom i cieniom tego układu oraz porównać pozycję nego-

cyjacyjną, w jakiej znajdować się będą kontrahenci w miarę wykonywania umowy.

O ile zbudowany rurociąg zwiększył swobodę sowieckiego przemysłu naftowego w przystosowaniu eksportu do zmiennych koniunktur, to pozostali kontrahenci znaleźli się w sytuacji biegunowo odmiennej. Oparłszy zaopatrzenie w surowiec naftowy na rurociągu „Przyjaźń”, nie tylko usztywnili swój handel naftowy, ale predestynowali swoją politykę naftową. Cztery państwa, wchodzące w rachubę, mają bardzo niską produkcję ropy w stosunku do zapotrzebowania, z wyjątkiem Węgier. Ale i ten kraj zmuszony jest do importu, który we wszystkich czterech państwach będzie poważnie wzrastał w latach najbliższych.

PRODUKCJA I KONSUMPCJA W TYSIĄCACH TON

	1956		1962		1965 (plan)		1970 (plan)	
	Prod.	Kons.	Prod.	Kons.	Prod.	Kons.	Prod.	Kons.
Czechosłowacja	108	1591	175	4356	200	5100	400	9570
Polska	184	1484	203	3703	250	5450	300	8720
Wschodnie Niemcy	0	2259	30	3549	200	4150	300	5630
Węgry	1252	1559	1691	2697	2250	4800	3550	6800

Każde państwo skazane na import naftowy staje przed problemem importowania produktów gotowych, czy też budowania przemysłu rafineryjnego w oparciu o importowany surowiec. Jest to nie tylko problem kalkulacyjny, ale również inwestycyjny. Kraje o wielkiej konsumpcji naftowej i łatwości dokonywania inwestycji rozwiązują ten problem — w całości lub części — w oparciu o import ropy, przerabianej we własnych rafineriach. Warunkiem osiągnięcia tą drogą najkorzystniejszych wyników jest pełna swoboda ruchów w polityce inwestycyjnej i handlowej. Dla przykładu, Francja między wojnami stworzyła wielki przemysł rafineryjny, angażując stosunkowo niewiele własnego kapitału, ale drogą odpowiedniego ustawodawstwa skłaniając obce koncerny do budowy rafinerii na terenie Francji.

Również w polityce handlowej najlepsze wyniki zapewnia swoboda manewrowania w wyborze dostawców w zależności od sytuacji na rynku światowym.

W krajach bloku sowieckiego sytuacja jest odmienna, bowiem nie zostawia im luzu do manewrowania. Podpisując układ rurociągowy musiały one automatycznie włączyć do swego programu inwestycje rafineryjne i finansowanie rurociągu na własnym terytorium, a wiążąc się z jednym dostawcą pozbawiły się możliwości wyszukiwania koniunktur.

Tym cieniem wypada jednak przeciwstawić blaski umowy. Przyjmując koncepcję rozwiązania zagadnienia naftowego w oparciu o własny przemysł rafineryjny i obcą ropę, kraje te mają możliwość uczynienia tego w obrocie bezdewizowym, przy bardzo zredukowanych kosztach transportu, przy szybkich dostawach, eli-

minujących zaburzenia i przeszkody w dostawach morskich i kolejowych.

Ale w sprawach gospodarczych ostatnią instancją jest kalkulacja; w danym wypadku ceny ropy. Nie są one znane. Z oświadczeń, płynących ze źródeł czeskich wynika, że ceny ropy będą opierać się na cenach światowych w porcie załadowania z dodatkiem za transport w wysokości połowy kosztów przewozu z Bliskiego Wschodu do Hamburga. „Ceny światowe” są jednakże w danym wypadku terminem zbyt enigmatycznym, aby mogły służyć za podstawę do naszych rozważań kalkulacyjnych, a to tym bardziej, że transakcje z lat ubiegłych nie wskazują na to, aby państwa komunistyczne płaciły za ropę sowiecką te same ceny co państwa kapitalistyczne.

Różnice według Nat. Petr. Coun. wykazuje poniższa tabela. Ceny przeciętne płacone za ropę sowiecką w rublach za tonę i w dolarach za baryłkę, loco granica rosyjska.

Rok	Kraje kapitalistyczne		Kraje komunistyczne	
	Ruble/tona	Dolary baryłka	Ruble/tona	Dolary/baryłka
1955	14.2	2.16	22.2	3.38
1956	14.3	2.17	21.7	3.30
1957	16.8	2.55	21.6	3.28
1958	13.7	2.08	19.5	2.97
1959	12.4	1.88	19.8	3.01
1960	10.3	1.56	19.8	3.01
1961	9.1	1.38	19.5	2.97
1962	8.9	1.36	19.5	2.98

Cyfr tych nie należy przyjmować bezkrytycznie. Aby wyrobić sobie właściwy obraz transakcji, w obrocie bezgotówkowym trzeba znać ceny produktów, które stanowią ekwiwalent płacony za ropę. Nie znamy ich. Tym niemniej jest niewątpliwe, że obie kategorie odbiorców różnie były traktowane. Powyższa tabela wskazuje nie tylko na to, że kraje bloku sowieckiego płaciły więcej, niż kraje kapitalistyczne, ale że nie partycypowały one w zniżce, która nastąpiła w roku 1950 i trwała do 1962 roku. Kraje zachodnie płaciły w r. 1958 za baryłkę ropy \$ 2.08, a w r. 1962 \$ 1.36. Kraje bloku sowieckiego — w r. 1958 \$ 2.97, a w r. 1962 \$ 2.98.

Można uważać za pewnik, że ropa tłoczona będzie kosztowała taniej, niż poprzednio dowożona koleją. Według danych z Czechosłowacji fracht ropy dowożonej w 40-tonowych cysternach dochodził do 41% ceny ropy. Fracht rurociągowy będzie naturalnie mniejszy i należy sądzić, że o tę różnicę cena będzie niższa. Czy jednak kontrahenci umowy będą traktowani na tej samej płaszczyźnie, co kraje kapitalistyczne — trudno przewidzieć. Praktyki z lat poprzednich nie dają podstaw do zbytniego optymizmu.

Umowy wzajemne z pewnością zawierają klauzule rewizji cen w zależności od fluktuacji cen ropy na rynkach światowych, lub innych zmiennych elementów. Tu występuje owa, poruszona już,

nierówność w sytuacji negocjacyjnej kontrahentów, bowiem w wytworzonym stanie rzeczy zależność odbiorcy od dostawcy jest o wiele większa, niż odwrotnie. Celowo pomijam tu, wzmiankowaną często, zależność pod kątem politycznym, ponieważ ten czynnik wykracza poza ramy niniejszych rozważań.

Zajmujemy się wyłącznie zależnością ze stanowiska gospodarczego. Odbiorca zmuszony do amortyzowania swojej części rurociągu, oraz nastawiwszy rafinerię na pewien gatunek ropy, ustaliwszy okresy odbioru, etc., znajduje się niejako w sytuacji przymusowej i ma niewielkie szanse przeprowadzenia swoich decyzji. Giętkość dostawcy w regulowaniu kierunków eksportu — o czym już była mowa — stwarza mu w pertraktacjach pozycję dominującą.

Ta jednostronna zależność odbiorcy od dostawcy jest jedną z charakterystycznych cech całego układu.

IV

Sytuacja Polski nie różni się w zasadzie od położenia innych sygnatariuszy umowy. Korzystną dla Polski okolicznością jest fakt, że rurociąg do Wschodnich Niemiec biegnie przez terytorium Polski. Nie znamy szczegółów układu polsko-niemieckiego w tej sprawie. Wiadomo tylko, że w związku z przedłużeniem rurociągu z Płocka do rafinerii w Schwedt, Niemcy Wschodnie udzieliły Polsce dziesięcioletniej pożyczki w wysokości 57.825.000 rubli, jak podaje „World Petroleum”. Niemcy Wschodnie dostarczyły też rur na budowę odcinka od Płocka do Schwedt. Według „Erdöl und Kohle” pożyczka ta (265 mil. marek) jest oprocentowana w wysokości 1,1/2%. Spodziewać się też należy, że samo tłoczenie ropy przez polskie terytorium powinno być dla Polski transakcją rentowną.

Naturalną konsekwencją polityki naftowej, opartej o import surowca, jest wzrost przywozu ropy i spadek gotowych produktów. W r. 1962 import ropy sowieckiej do Polski wynosił ok. 1 miliona ton, a produktów naftowych z Rosji i innych krajów — ok. 2,5 mil. ton; w stosunku do konsumpcji (ok. 3,3. mil. ton) import ropy wynosił ok. 30%. Plany na 1965 rok przewidują przeszło trzykrotny import ropy i 25%-owy spadek przywozu gotowych produktów, a w optymistycznych przewidywaniach na r. 1970 preliminujących konsumpcję w wysokości przekraczającej 8 mil. ton, przywóz ropy będzie stanowił ok. 90% całego importu. To przestawienie wiąże się z koniecznością dostosowania aparatu przetwórczego do tego stanu rzeczy. Istniejące obecnie w Polsce jeszcze przedwojenne rafinerie częściowo zmodernizowane, mają ogólną wydajność około 1,3 mil. ton. Toteż równocześnie z podpisaniem układu w sprawie rurociągu przystąpiono do budowy wielkiego agregatu rafineryjnego w Płocku pod nazwą „Mazowieckie Zakłady Rafineryjne i Petrochemiczne”. Jak nazwa wskazuje, kombinat ten ma objąć nie tylko przeróbkę ropy w celu otrzymania

nia pochodnych naftowych (benzyna, nafta, oleje etc.), ale w oparciu o surowiec naftowy ma rozpocząć produkcję chemiczną przede wszystkim w dziedzinie kauczuku i plastyków.

Jak podaje „Przemysł Chemiczny”, uruchomienie rafinerii nastąpi w roku bieżącym, a przeróbka tegoroczna ma wynosić 1 milion ton. Przewidziana przeróbka na rok 1965 — 2 mil. ton, na 1967 — 4 mil. ton, a na 1968 — 6 mil. ton. Surowcem ma być ropa romaszkinińska, odbiegająca charakterem od rop polskich. Próbną jej przeróbkę, w celu opracowania metody przetwórczej, przeprowadziła rafineria Czechowice.

Czy koncepcja rurociągu i oparcie polityki naftowej na importowanym surowcu wpłynie ujemnie na poszukiwania własnych złóż ropy?

Polska, jak wiadomo, należy do najstarszych krajów naftowych. W pierwszym 10-leciu XX wieku znajdowała się na trzecim miejscu wśród producentów na świecie. Od punktu szczytowego w r. 1909 datuje się spadek wydobycia, trwający do r. 1938. Polska w tym roku pokrywała wprawdzie swoje zapotrzebowanie, ale jej produkcja stanowiła tylko drobny ułamek produkcji światowej. Toteż istota ówczesnego problemu naftowego sprowadzała się do odkrycia nowych złóż. Po wojnie i utracie terenów na wschód od Sanu zagadnienie to zaostrzyło się, zwłaszcza, że konsumpcja produktów naftowych w Polsce, jak na całym świecie, rośnie z roku na rok w tempie przyśpieszonym.

Poszukiwania w Polsce trwają. Jak podaje „Nafta”, w planie pięcioletnim 1960-1965 budżet na prace geologiczno-badawcze jest o 50% wyższy, niż w pięcioletku poprzedniej. W budżecie tym preliminowano 5 miliardów złotych na badania naftowe. Poszukiwania nie ograniczają się do Przedgórze Karpat, ale prowadzone są również na Niżu, w północnych częściach kraju, w okolicach Krakowa, Łodzi itd. Dotychczasowe wierceńia eksploracyjne stwierdziły w wielu miejscowościach ślady ropy, a nawet odkryły niewielkie, ale obiecujące pokłady na Niżu (Rybaki na Monoklinie Przedsudeckiej) i w Bochni koło Krakowa. Nie doprowadziły jednak dotąd do poważnych złóż. Ogłoszony ostatnio „World Petroleum Report” ocenia stwierdzone rezerwy ropne w Polsce na 3,4 miliona ton. Dla porównania: węgierskie — na 20 mil. ton, a rumuńskie na 137 mil. ton. Te niewielkie rezerwy są powodem skromnych planów wydobycia ropy w latach 1965 i 1970, a mianowicie: 250 i 300 tys. ton zamiast 203, co ma miejsce obecnie. Tym nie mniej, zarówno badania w kraju, jak i odkrycia w sąsiednich państwach na terenach o podobnej strukturze, dają powody do optymizmu i nadziei, że poszukiwania doprowadzą wkońcu do nowych, poważnych złóż. I dopiero wtedy będzie można problem naftowy w Polsce uważać za rozwiązany, w odróżnieniu od paliatywu, jakim jest poleganie na obcym surowcu.

W związku z koniecznością importu surowca naftowego wysuwano zastrzeżenia co do celowości budowy rurociągu z dale-

kiego Uralu zamiast z sąsiedniej Rumunii. Niewątpliwie koszty inwestycyjne i transportu byłyby niższe. Rumunia jednakże, w dzisiejszym stanie rzeczy, nie jest wystarczającą podstawą surowcową dla takich poczynąń. Jej produkcja w r. 1962 wynosiła 11.9 mil. ton, konsumpcja — 5.8 mil. ton, zatem nadwyżki eksportowe — 6.1 mil. ton. Plan na r. 1970 przewiduje wydobyć w wysokości 12.5 mil. ton, konsumpcję — 7 mil. ton, zatem nadwyżki eksportowe — 5.5 mil. ton, które nie pokryłyby zapotrzebowania polskiego, preliminowanego na 8 mil. ton. Kopalnictwo sowieckie może oczywiście przez wiele lat zaspakajać potrzeby naftowe sygnatariuszy układu rurociągowego.

W istniejących warunkach politycznych, ustrojowych i gospodarczych, a w szczególności w sytuacji naftowej na tych obszarach — koncepcja rurociągu „Przyjaźń” ma swoje uzasadnienie. Jest niewątpliwie korzystna dla kontrahenta sowieckiego, a *może* być również korzystna dla pozostałych kontrahentów pod warunkiem, że pompowana ropa będzie dla krajów zaprzyjaźnionych przynajmniej tak „życzliwa”, jak dla krajów wrogich.

Damian S. WANDYCZ

Źródła: Oil and Gas Journal; World Petroleum; World Petroleum Report; National Petroleum Council; Pipe Line Industry; Pipe Line News; Facts and Figures; World Statistics; Soviet Weekly; Stroitelstwo Truboprowodow; Nafta; Przemysł Chemiczny; Revue Petroliere; Erdöl und Kohle.

Sprawy i troski

Opieka i pomoc (III)

KOMITET OBYWATELSKI, TOW. POMOCY POLAKOM I INNE FUNDUSZE „CYWILNE”

W przyszłym roku, 1965, Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polskim będzie święcił 25 lat swego istnienia.

Twórca, prezes i władarz tego Komitetu dr Karol Poznański, b. konsul generalny RP. w Wielkiej Brytanii, już w roku 1963 obchodził swój wielki jubileusz: 45-lecie pracy w służbie zagranicznej i 70-lecie urodzin (patrz „Kultura”, styczeń/luty 1964, str. 110, „W oczach Londynu”).

Te dwa fakty mając na uwadze trudno nie podchodzić do instytucji Komitetu Obywatelskiego z szacunkiem należnym wiekowi. Trudno też nie mieć w pamięci zasług i dorobku Komitetu dla sprawy polskiej, a jest ich, jak zobaczymy, niemało.

Należy jednak obok szacunku zachować możliwie daleko idący obiektywizm i nie ma powodu by traktować fundusz konsula Poznańskiego inaczej niż każdy inny polski fundusz na emigracji.

Konsulat wciąż działający

Do siedziby Komitetu Obywatelskiego idzie się tuż obok ambasady Polski Ludowej na Portland Place. Wielki budynek z obszernymi salami reprezentacyjnymi stanowi kontrast z ciemnym, smutnym domem 33 Weymouth Street, gdzie na drzwiach wisi tabliczka „Polska Przychodnia Lekarska”. W tym właśnie domu od 25 prawie lat mieści się Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom i tu urzęduje konsul generalny dr Karol Poznański.

Komitet powstał w roku 1940, inicjatorem jego i opiekunem od samego początku był konsul Poznański, zarząd stanowili wybrani przez niego ludzie, protektorat i honorowe przewodnictwo nadano pani Helenie Sikorskiej.

Celem Komitetu jest, jak sama nazwa wskazuje, pomoc polskim uchodźcom w tym rozumieniu, że są oni uchodźcami cywilnymi. Obok indywidualnej pomocy Komitet pomaga organizacjom jak Polskiemu Uniwersytetowi na Obczyźnie, Związkowi Harcerstwa, Towarzystwu Naukowemu i wielu wielu innym. Już w protokole z roku 1940 znajduje się pomoc Stowarzyszeniu Techników funtów 10 i dla Koła Zrzeszenia Sędziów funtów 60. (Obie te pozycje nawiasem mówiąc były kwestionowane przez komisję rewizyjną).

Wedle słów prezesa Komitetu, w ciągu lat udzielono około 15.000 zapomóg i 145.000 pożyczek, za które 1.500 emigrantów założyło warsztaty pracy. Suma pożyczek sięgała 300.000 funtów, z tego straty Komitetu wyniosły tylko 3 i pół %.

Charakter działalności Komitetu jest filantropijny; jest on instytucją opiekuńczą i właściwie nie posiada zaplecza społecznego. Składa się z kilkudziesięciu (około 60) członków, posiada zarząd wybierany na Walnym Zebraniu, Komisję Rewizyjną; sprawę rozdziału zapomóg załatwia specjalna komisja powołana spoza członków Komitetu; nadzór nad pracą Komitetu sprawuje b. ambasador Edward Raczyński.

Dobór członków jak i nadzór ambasadora sprawia wrażenie, że Komitet jest niczym innym, tylko przedłużeniem nie istniejącego dziś konsulatu generalnego R.P., który został wyparty przez konsulat P.R.L.

I rzeczywiście dr Poznański w dużej mierze zatrzymał wiele ze swych praw (moralnych raczej niż formalnych) i czuje się w dalszym ciągu opiekunem Polaków przebywających „chwilowo” na ziemi brytyjskiej (1).

Stąd prawdopodobnie pochodzi niechęć podawania do wiadomości publicznej sprawozdań z działalności Komitetu, mimo że od czasu do czasu Komitet jest o te sprawozdania publicznie proszony.

Na 25-lecie życia i działalności Komitetu dr Poznański przygotowuje jednak wielkie i wyczerpujące sprawozdanie-monografię a więc i na pełną ocenę Komitetu Obywatelskiego musimy wciąż czekać.

(1) Jedną z trudności Polaków w Wielkiej Brytanii była sprawa uwierzytelniania odpisów zagubionych dokumentów, albo wystawianie nowych. Konsul Poznański w tej sprawie podjął się pewnego ryzyka i zaczął potwierdzać odpisy i wystawiać zaświadczenia pieczętując je dawną konsularną pieczęcią. Władze brytyjskie uznały precedens i w ciągu lat tysiące takich spraw zostało w „konsulacie” na Weymouth Street załatwionych bez uciekania się do pomocy konsulatu „reżymowego”.

Powszechnie znana jest również działalność dr. Poznańskiego w sprawach spadków Polaków obywateli polskich nie posiadających paszportów reżymowych. Wiele testamentów zostało przez konsula Poznańskiego załatwionych i wiele spadków przeszło przez jego ręce.

Dr Poznański też razem z Kazimierzem Sokołowskim, byłym ministrem Spraw Zagranicznych w rządzie Bora-Komorowskiego, posiada biuro International Law Consultants na Victorii w Londynie.

Starzy i chorzy

W Komitecie Obywatelskim każdy potrzebujący może otrzymać zasiłek. Ilu otrzymuje go dzisiaj? Trudno odpowiedzieć na to pytanie; ludzie zbliżeni do Komitetu określają sumę zasiłków na kilkaset funtów rocznie (około 300 na rok 1963).

Znacznie większą pomoc okazuje Komitet organizacjom, ale i ta nie dochodzi do 1000 funtów. Dzieje się to z dwóch powodów — pierwszy to ostrożność w wydatkowaniu, drugi to po prostu zapomnienie o istnieniu Komitetu; nie ma nigdzie ogłoszeń o udzielaniu pomocy, nie ma sprawozdań.

Dwie jednak instytucje dobroczynne Komitetu są wszystkim znane to Antokol i Przychodnia Lekarska.

Przychodnia powstała jeszcze w roku 1940 i obecnie jest prowadzona przez grono lekarzy polskich w oparciu o brytyjskie ministerstwo zdrowia; korzysta z niej stosunkowo niewielu pacjentów i to przeważnie cierpiący na choroby nerwowe, którzy szukają porady znanego Polakom dyrektora ośrodka dla nerwowo chorych tzw. w Londynie Mabledonu. W powstaniu tego ośrodka nie mała jest zasługa dr. Poznańskiego.

Przychodnia lekarska na Weymouth Street jest przedsięwzięciem kosztownym, deficyt jej wynosi około 500 funtów rocznie.

Prowadzony przez Komitet Dom dla starszej inteligencji, Antokol w Bickenham pod Londynem nie kosztuje wiele. Wielki dom z ogrodem został w roku 1951 nabyty za 6853 funty i na prowadzenie go Komitet otrzymuje od brytyjskiego funduszu społecznego (Assistance Board) znaczne sumy. W roku 1962 deficyt Antokolu wynosił 21 funtów, w roku 1963 Antokol przyniósł nieznaczny przychód.

Antokol pomyślany był jako „Ognisko domowe dla zasłużonych Polaków”, mieszkają w nim rzeczywiście ludzie zasłużeni dla Polski jest ich około 30, sami starsi ludzie: wiek przeciętny waha się około lat 80.

Zasługą Komitetu jest powołanie do życia tego ośrodka i zorganizowanie go w ten sposób, że obecnie może on istnieć nawet samodzielnie, choć Komitet w dalszym ciągu opiekuje się Antokolem bardzo troskliwie.

Otwarcie ośrodka w roku 1951 odbyło się z wielką pompą; ludzie, którzy mieli szczęście otrzymać w nim mieszkanie, czuli się wyróżnieni, obiecywano sobie, że będzie tu coś w rodzaju centrum kulturalnego. Z czasem Antokol przekształcił się w normalny dom dla starszych osób mających zwykłe troski i nieporozumienia. Najsmutniejszą sprawą Antokolu jest to, że podopieczni ośrodka wciąż odchodzą, a na ich miejsce nie brak kandydatów.

Obok osiedla polskiego w Penhros w Walii urządzonego staraniem Funduszu Społecznego Żołnierza Antokol jest instytucją potrzebną dziś bardziej niż kiedykolwiek.

Domy dla starców to naczelną potrzeba polskiej emigracji,

która starzeje się w szybkim tempie. Ocenia to prezes Komitetu Obywatelskiego i oświadcza, że zamierzeniem Komitetu na przyszłość jest zbudowanie i utrzymanie polskiego ośrodka dla starców nie mogących mieszkać samotnie i bez opieki oraz ośrodka rehabilitacyjnego dla osób chorych nerwowo albo wypuszczonych ze szpitali. A jest tych osób coraz więcej.

Czy Komitet uczci swoje 25-lecie otworzeniem takiego ośrodka, albo obu? Są ludzie, którzy twierdzą, że sprawa wlecze się już zbyt długo i żądają przyspieszenia jej. To zagadnienie będzie prawdopodobnie przedmiotem dyskusji na najbliższym Walnym Zebraniu Komitetu, na którym wybrane zostaną władze, a prezesem na pewno zostanie nadal b. konsul generalny dr Karol Poznański.

Nie będzie mogło być inaczej, gdyż dr Poznański i Komitet to jedno, nie tylko dlatego, że od 25 lat prowadzi go z poświęceniem i doświadczeniem ogromnym i zasługi jego są znane i uznawane przez wszystkich: dr Poznański jest przede wszystkim prawie całkowicie wyłącznym dysponentem funduszy Komitetu.

„Polcit” i Komitet Obywatelski

Żeby zrozumieć lepiej sytuację finansów Komitetu Obywatelskiego przypomnijmy sobie zasady, na jakich tu w Wielkiej Brytanii operują spółki handlowe i powiernictwa dobroczynne.

Pierwsze zakłada się w oparciu o akcjonariuszy odpowiedzialnych za spółkę do wysokości posiadanych akcji. Rejestracja spółki handlowej jest publiczna, jej statut i roczne bilanse są dostępne do wglądu każdemu za małą opłatą tzw. „search fee”.

Powiernictwa rejestruje się u „Charity Commissioner’a”, który kontroluje działalność zarządców powierzzonego majątku i wkracza, gdy pieniądze są używane niezgodnie z przeznaczeniem. Nie wolno przede wszystkim, aby koszty administracji funduszami przeniosły wysokość wydatków statutowych na dobroczynność.

Spółki handlowe z ograniczoną odpowiedzialnością (Limited Companies) płacą podatki, fundusze zarejestrowane jako dobroczynne nie płacą.

Fundusze Komitetu Obywatelskiego powstały z dotacji rządu polskiego w Londynie, a następnie przez włączenie do niego funduszy konsularnych w rok 1945, po cofnięciu uznania rządowi i po likwidacji konsulatu.

Ile tego było? Różnie mówią o wysokości sum otrzymanych przez Komitet Obywatelski. Cyfra pożyczek 300 tysięcy funtów i działalność cała wskazuje na to, że było ponad 200 tysięcy. Przedstawiciel władz finansowych polskich z czasów wojennych oświadczył, że gdy po cofnięciu rządowi uznania władze angielskie ofiarowały Polakom 100.000 funtów „na otarcie łez”, te pieniądze oddano dr. Poznańskiemu do rozporządzenia.

Komitet początkowo znalazł się nie tylko w posiadaniu wielkich sum, ale stanął także w obliczu licznych i pilnych potrzeb, które miał zaspakajać. Tysiące rąk wyciągało się po pomoc. Kiedy sporządzono plan działania Komitetu, okazało się, że pieniędzy starczy może na dwa lata najwyżej. Dr Poznański wtedy uczynił to, co za nim w kilka lat później uczyniła większość polskich funduszy — zabezpieczył pieniądze w spółce handlowej, umieścić je w nieruchomościach i zapewnił Komitetowi stały dochód.

To że dzisiaj, jak pisaliśmy w pierwszym artykule, fundusz wart jest 200 tysięcy funtów, jest zasługą dr. Poznańskiego.

W roku 1950 powstał Polcit Company Limited. Udziałowcami jego byli Karol Poznański, Franciszek Kollat, Jan Baliński-Jundziłł i Kazimierz Sokołowski. Każdy z nich otrzymał po 24 udziały jednofuntowe, 4 akcje otrzymali z urzędu adwokaci zakładający spółkę. Kapitałem początkowym spółki było 7.249 funtów pożyczonych z Komitetu Obywatelskiego, z czasem wysokość pożyczki urosła do 70.000.

70.000 nominalnie wart jest Polcit, spółka z ograniczoną do 100 funtów odpowiedzialnością. Pieniądze ulokowano w nieruchomościach, które ocenia się w bilansie na 58.660 funtów, w tym Antokol 10,555 i Weymouth Street 8.300. Razem Polcit posiada sześć nieruchomości, z których cztery są wynajęte i przynoszą dochód; w roku 1962 czysty dochód Polcitu wyniósł 4.694 funty, podatek, jaki w tym roku zapłaciła spółka określony został na 1.335 funtów.

Od pożyczonych Polcitowi 70.000 Komitet Obywatelski pobiera roczny procent w wysokości około 2.000 funtów i to jest zasadniczy dochód Komitetu.

Jaki jest prawny stosunek Polcitu do Komitetu Obywatelskiego poza tym, że spółka jest wierzycielem Komitetu?

Statut spółki spisany został jako normalny statut handlowy i nie mówi nic o odpowiedzialności wobec Komitetu, o afiliowaniu spółki, ani o społecznych celach, na jakie spółka wypracowuje pieniądze.

W 10. paragrafie przypisów (Memorandum) stwierdzone jest, że dyrektorzy spółki mają wyłączne i całkowite prawo gospodarki funduszami spółki. W par. 15 określone zostały sprawy spadkowe; na wypadek zgonu udziałowca jego udział przechodzi na prawnych spadkobierców. Paragraf 66 mówi o możliwości wyznaczania dywidend od udziałów — w sprawozdaniach finansowych Polcitu żadne dywidendy nie zostały wykazane. Wedle par. 70 tylko dyrektorzy spółki mają prawo wglądu w gospodarkę.

Krótko mówiąc spółka niczym się nie różni od setek tysięcy spółek handlowych niczym nie związanych z funduszami społecznymi.

Polcit z Komitetem Obywatelskim łączy się tylko osobami dyrektorów, którzy są w zarządzie Komitetu i rozdzielają zarobione przez spółkę pieniądze na cele społeczne.

Co się stanie, jeżeli Walne Zebranie Komitetu Obywatelskiego nie wybierze do zarządu dyrektorów Polcitu?

Co się stanie, jeżeli wskutek nieprzewidzianych okoliczności Polcit zbankrutuje?

Co się stanie, jeżeli udziałowcy Polcitu, osoby szanowane i godne zaufania, umrą i akcje spółki przejdą na inne osoby?

Z tymi pytaniami do Komitetu Obywatelskiego kierują się zaniepokojeni emigranci. O to pytają także członkowie Komitetu.

Tym bardziej niepokojący jest stan prawny Polcitu i Komitetu, że Komitet Obywatelski nie jest zarejestrowany u Charity Commissioner'a, a zatem nie podlega kontroli takiej, jaką sprawuje on nad innymi organizacjami dobroczynnymi i powiernictwami (2).

Towarzystwo Pomocy Polakom

Towarzystwo Pomocy Polakom (TPP) wywodzi się w prostej linii z Polskiego Czerwonego Krzyża, po którym odziedziczyło

(2) Zamierzony wywiad z dr. Poznańskim nie doszedł do skutku. Prezes Komitetu Obywatelskiego i dyrektor spółki Polcit nie chciał wyjawiać spraw finansowych Komitetu, ani nie chciał pozwolić na wywiad ze sobą. Była przeprowadzona tylko rozmowa „przedwstępna”, w czasie której dr Poznański stwierdził, że istnieje pięć powodów, dla których nie może zgodzić się na wywiad:

1. Uważa, że wyjawianie wysokości polskich funduszy jest ze szkodą dla spraw emigracji.

2. Nie czuje, by „Kultura” paryska była pismem nadającym się do tego rodzaju artykułów.

3. Sądzi, że należy pisać o pracy społecznej i zagadnieniach organizacyjnych, sprawy finansowe zostawiając na boku.

4. Czuje, że istnieje ze strony różnych osób specjalny nacisk na niego, aby ujawnił gospodarkę Komitetu i nie może zgodzić się na działanie pod przymusem.

5. Wobec tego że w roku 1965 sam ogłosi szczegółowe sprawozdanie z prac Komitetu Obywatelskiego za okres 25 lat, nie widzi potrzeby podawania tego samego przez ogłaszanie artykułów w „Kulturze”.

Wobec odmowy dr. Poznańskiego dane dot. Komitetu Obywatelskiego opracowane są bez jego udziału, na podstawie dostępnych sprawozdań finansowych Polcitu i rozmów z osobami znającymi zagadnienia emigracyjne i historię Komitetu.

Powstały więc pewne luki, które uzupełnić mogłby tylko dr Poznański albo członkowie Zarządu Komitetu.

A to:

Jaka jest wartość nieruchomości Polcitu i kiedy było ostatnie badanie rzeczoznawców?

Dlaczego Polcit płaci podatki?

Ile wynoszą wynagrodzenia dyrektorów Polcitu, jakie są zyski akcjonariuszy, jak została załatwiona sprawa dziedziczenia akcji?

Jaki jest rzeczywisty majątek Komitetu Obywatelskiego, ile poza 70.000 pożyczonymi Polcitowi posiada Komitet na swoim koncie?

Jakie zabezpieczenie na Polciecie posiada Komitet Obywatelski?

Miejmy nadzieję, że na te pytania otrzymamy kiedyś odpowiedź.

zadania, placówki w kilkunastu krajach i fundusze przekraczające 200.000 funtów.

PCK odrodził się na ziemi angielskiej natychmiast po przybyciu tutaj Polaków w roku 1940. Doceniając potrzebę tej organizacji Brytyjski Czerwony Krzyż wpłacił 10.000 na jej potrzeby, kanadyjski dał 32 tysiące, ale stale i w olbrzymiej wysokości w gotówce i materiale wspomagały PCK w czasie wojny wszystkie polskie organizacje dobroczynne ze Stanów Zjednoczonych. W roku 1943 PCK wydał na swoje zadania 812.248 funtów. W tym czasie jego szpitale, przychodnie, ambulatoria, pracownie medyczne, sanatoria, domy wypoczynkowe, świetlice, biblioteki, magazyny i składnice istniały we wszystkich krajach od Persji i Indii po Afrykę Wschodnią.

W Londynie centrala PCK mieściła się na Belgravii i delegatury istniały w Szkocji, Kanadzie, Nowej Zelandii...

Olbrzymią pracę prowadził PCK wśród polskich jeńców wojennych, wielkie zasługi poniósł biorąc udział w międzynarodowej organizacji poszukiwania osób zaginionych i przebywających w niewoli.

W październiku 1946 roku PCK w Londynie wraz z delegaturami musiał zakończyć swe prace. Przejęło je Towarzystwo Pomocy Polakom, którego statut podpisany został 17 października 1946 roku.

Prezesurę Zarządu objęła pani Helena Sikorska, dyrektorem finansowym został dr Stanisław Ożga.

Cele i charakter pracy nowego Towarzystwa wzorowane były na PCK i statut wymieniał wszystkie zadania, jakie miał Czerwony Krzyż.

Towarzystwo przejęło wszystkie ośrodki PCK i całą prawie administrację.

W roku 1947 (sprawozdanie zarządu) TPP posiadało 35 świetlic w obozach wojskowych w Wielkiej Brytanii, 2 Domy Polskie, 2 domy dla matki i dziecka, wiele żłóbków, przedszkoli i punktów dożywiania.

Udzielano opieki i pomocy pieniężnej, rozdzielano odzież i żywność, otaczano opieką chorych w szpitalach i prowadzono punkty informacyjne w obozach wojskowych i w miastach.

Praca Towarzystwa sięgała do Niemiec, Francji, Belgii i do Polski; „pomoc towarowe” do tych krajów w roku 1947 sięgały 207 ton.

Początkowo Towarzystwo prowadziło akcję na miarę PCK, a nawet na terenie Wielkiej Brytanii rozbudowywało ją stwarzając nowe kluby i Domy Polskie. Szczególnie potrzebna okazała się pomoc Polakom w Niemczech i wysyłka paczek do Polski. Z czasem zasięg działalności kurczył się coraz bardziej, zamykano ogniwa, likwidowano placówki i w rezultacie obecnie Towarzystwo posiada domy w Birmingham, w Leeds, Leicester i Brandon, jest właścicielem sporego hotelu (Shellbourne Hotel) w Londynie; ma aptekę na Eccleston Street i dzierżawi wielki

dom 55 Princess Street, w którym znajduje się znane Ognisko Polskie.

W tym domu Towarzystwo ma swoje biura, bibliotekę i wysyłkę paczek.

Na jesieni w roku 1963 TPP otworzyło Ośrodek Rehabilitacyjny dla Polaków opuszczających szpitale. Ośrodek mieści się w Walii koło Herefordu, gdzie pracuje sporo Polaków; dom został nabyty przez Brytyjską Radę Pomocy Uchodźcom i oddany Towarzystwu w dzierżawę. W urzędzeniu Ośrodka pomagał Brytyjski Czerwony Krzyż.

Na ogół biorąc Towarzystwo Pomocy Polakom prowadzi pożyteczną robotę, mało jednak znaną Polakom w Wielkiej Brytanii, a, jak głosi opinia, mało się objawiającą na zewnątrz.

Przedsiębiorstwa TPP

Towarzystwo Pomocy Polakom podawało rok rocznie swoje sprawozdania i informowało publicznie o swojej gospodarce bez robienia tajemnic, jednak właściwe pojęcie o stanie majątkowym Towarzystwa daje wgląd w sprawozdania finansowe Relief Society for Poles Ltd. spółki stworzonej do gospodarowania funduszami Towarzystwa.

Spółka ma swój statut zatwierdzony przez Board of Trade i podlega kontroli jak wszystkie handlowe przedsiębiorstwa. Jednak w statucie jest wyraźnie określony cel spółki i sposób użycia wypracowanych pieniędzy. Pokrywa się ten angielski statut ze statutem polskim i powiada, że pieniądze będą użyte na organizowanie i utrzymywanie pomocy byłym wojskowym, kobietom polskim, cywilnym i wszystkim Polakom, którzy z powodu wojny znaleźli się w Wielkiej Brytanii i są w potrzebie.

Kapitał zakładowy spółki wynosił w roku 1948 — 225.332 funty. Trzeba przecież uznać, że tak jak Stowarzyszenie Polskich Komбатantów otrzymawszy spadek po wojsku musiało wiele zawartości magazynów i warsztatów przepisać na straty, tak i TPP odziedziczywszy magazyny PCK miało z tym niemałe kłopoty. Za to jako spadkobierca PCK i jego tradycji bardzo długo korzystało Towarzystwo z pomocy obcych Czerwonych Krzyży i z dobroczynności publicznej, zwłaszcza w postaci paczek z odzieżą.

Przejęte sklepiki, świetlice, Domy Polskie w zasadzie przynosiły dochód, jednak nie taki, aby Towarzystwo nie musiało dopłacać do kapitału. Od początku postanowiono stworzyć nowe placówki, które by pracowały na Towarzystwo.

Dwa przedsiębiorstwa, które się utrzymały to hotel Shellbourne i apteka prowadzona przez spółkę pod nazwą Resofopo Limited.

Zysk z hotelu trudny jest do uchwycenia; jako przedsiębior-

stwo handlowe jest on zarejestrowany w Edynburgu i tam przechowywane są sprawozdania z jego działalności (3).

Przykładem względnie dobrej gospodarki Towarzystwa jest apteka w Londynie założona za pożyczkę z TPP w wysokości 14.666 funtów i jeszcze w roku 1956 dająca 1361 funtów dochodu. Dyrektorem Resofopo jest prezes Zarządu Towarzystwa, a statut prawny przewiduje jako głównego udziałowca TPP, czyli istnieje zabezpieczenie organizacji na spółce handlowej.

Tak jak apteka (Resofopo Limited) jest towarzystwem handlowym podlegającym głównej spółce Relief Society for Poles Ltd; tak samo w takiej zależności były dwa przedsiębiorstwa, które się nie udały Towarzysztwu: Home and Art i Short Transport. Home and Art miało być czymś w rodzaju Ładu warszawskiego, miało dawać możliwość pracy ludziom znającym się na przemyśle artystycznym, jednak nie poszło i w roku 1948 przeszło do towarzystwa Home and Art Trading Company posiadającego dom w Londynie na Balcombe Street, obciążony pożyczką hipoteczną.

Short Transport Ltd było spółką, która w oparciu o pozostawione przez PCK samochody miała zajmować się przewożeniem towarów za opłatą. Dyrektorem spółki jest dr Ożga, akcje jej całkowicie posiada TPP — wynosi to 3016 funtów zaangażowanych w to nie istniejące dziś już przedsiębiorstwo.

Osobno prowadzone przez Towarzystwo biuro wysyłki paczek daje umiarkowany zysk.

W roku 1951 Towarzystwo nabyło dzierżawę wielkiego domu w dzielnicy Kensington i wydzierżawiło z kolei lokal na Ognisko Polskie, klub polski założony przez angielsko-polski komitet w czasie wojny. Ognisko jest centrum polskiego życia, tu odbywają się przedstawienia teatru emigracyjnego, zabawy i odczyty i tu zjada obiad i kolację każdy, kto się liczy w polskim Londynie. A często obiady te są dla osób zasłużonych darmowe. Ognisko posiada około 500 członków i rządzi się własnym statutem. Ze składek członkowskich i z dochodu za restaurację, bar, dzierżawę sali teatralnej i z bridża, który tu ma swoją twierdzę, Ognisko przynosi spory dochód — do 500 funtów rocznie.

Za dziewięć lat kończy się dzierżawa 55 Princess Gate i TPP zarówno jak Ognisko Polskie będą musiały szukać nowych lokali.

Czy będą do tego czasu istnieć?

W sprawozdaniu z 15 lat swej działalności Towarzystwo podaje, że do roku 1961 wydało na pomoc Polakom 683.575 funtów; pełna pomoc do roku 1963 wynosi 692.800. Dochody Towarzy-

(3) Hotel Shellbourne jest sporym składającym się z dwóch domów budynkiem i dobrze prowadzony powinien przynosić duże dochody. W czasie Festiwalu w roku 1950 zyski były pokaźne. W tym hotelu położonym w dzielnicy Kensington na Lexham Gardens w roku 1952 została zabita Krysztyna Skarbek-Granville znana ze swej działalności wojennej. Jej śmierć i sąd nad zabójcą Irlandczykiem były swego czasu sensacją Londynu.

stwa z prowadzonych przedsiębiorstw wynoszą za rok 1961/62 14.694 funty, za rok 1962/63 — 15.784 funty.

Majątek wedle sprawozdania finansowego spółki za rok 1963 przedstawia się sumą 74 tysięcy, z tego 56.879 funtów ulokowane jest w nieruchomościach. Ale na tych nieruchomościach wiszą pożyczki hipoteczne wartości 28.054 funtów. Te pożyczki, z których pewne zaciągane są w ostatnich latach, wskazują na trudności, w jakich żyje Towarzystwo i na to, że wydatki przerastają dochód.

Fundusze zmarłe i odżywające

W tym samym czasie, gdy PCK przekształcał się w TPP, a Komitet Obywatelski przejmował fundusze konsulatu, rząd londyński pod premierostwem Tomasza Arciszewskiego organizował nowe towarzystwa, które miały przejmować pracę społeczną i opiekuńczą rządu wraz z jego funduszami.

Jednym z takich pomysłów był „UNION”, pełna nazwa: POLISH UNION IN GREAT BRITAIN FOR MUTUAL ASSISTANCE. Zadaniem „Union” miało być organizowanie opieki i pomocy kulturalnej, materialnej i prawnej dla uchodźców i emigrantów polskich oraz ogólna koordynacja w tych sprawach. Początkowy skład „Unionu” wynosił 20 członków i miano nadzieję dokooptowania dalszych. Rząd wypłacił 200 funtów jako kapitał początkowy i za te pieniądze Stanisław Józwiak kupił dom na Cornwall Gdns. Dom ten później sprzedano z ogromnym zyskiem za 4000, a pieniądze wróciły do rządu londyńskiego.

„Union” nie wykazał się żadną działalnością.

FUNDUSZ POMOCY POLAKOM (Help to Poles Fund) urodził się jeszcze w Teheranie w roku 1943 i stamtąd wysłał 46.517 paczek do Rosji pomagając tam przebywającym Polakom. Następnym krajem, gdzie Fundusz działał, była Palestyna; w końcu Fundusz osiedlił się w Londynie na Pembroke Road i stąd wysłał paczki do Polski aż do roku 1958, kiedy sprzedano dom i po trzech latach dalszej działalności wyczerpano resztę kapitału. W roku 1961 Fundusz został zlikwidowany.

Rząd Arciszewskiego ulokował w tym funduszu 35 tysięcy funtów.

Mniejszym funduszem był KOMITET POMOCY RODAKOM W KRAJU. Ten żył całkowicie ze zbiorów i przez trzy lata swej działalności zdołał zebrać wśród sympatyzujących z Polakami organizacji i pojedynczych osób przeważnie z terenu Wielkiej Brytanii 10.238 funtów w gotówce i 18.500 w darach (odzież i obuwie).

Działalność Komitetu polegała na wysyłce paczek do Polski. Ustała, gdy ofiarność publiczna zaczęła się wyczerpywać.

Zupełnie odmienna jest historia TOWARZYSTWA POLSKIEGO, „najstarszego stowarzyszenia polskiego w Anglii”.

Towarzystwo Polskie założone zostało w roku 1886 i miało poza sobą długą i szanowną historię. Mieściło się początkowo na Camden Town, w domu wynajętym, potem otrzymało w czasie wojny piękną siedzibę na Regent Park Road.

Wśród członków Towarzystwa były zapisane nazwiska Raucha, Zabielskiego, Reichla, Krupińskiego i wielu działaczy niepodległościowych sprzed pierwszej wojny światowej. W siedzibie Towarzystwa gościli Piłsudski, Wojciechowski, Daszyński, Paderewski...

Kiedy to szacowne i dostojne Towarzystwo dostało się w zarząd nowych emigrantów po początkowym wzroście działalności nastąpił krach. Najpierw odebrano im dom na Regent Park; musieli go oddać władzom Polski Ludowej, a sami przenieśli się do domu na Earls Court.

Towarzystwo było w rękach czterech powierników, z których dwóch umarło i własność ich przeszła na spadkobierców. W rezultacie trzema głosami na jeden przegłosowano sprzedanie domu i zamknięcie Towarzystwa, które od dłuższego czasu nie objawiało działalności.

Tylko jeden z powierników, p. Franciszek Białas, zobowiązał się swój udział ze sprzedaży przekazać na cele dobroczynności.

Łatwość, z jaką powiernicy dobra społecznego mogli rozwiązać swój kontrakt i sprzedąć dom, powinna być ostrzeżeniem dla wszystkich organizacji społecznych opierających się na powiernictwie.

Zatarg między powiernikami a organizacją, w której interesie oni działają, istniał na terenie Związku Pisarzy.

„DOM PISARZA” znajdujący się w dobrej dzielnicy Londynu na Hampstead został po wojnie kupiony przy pomocy funduszy wojskowych i zarejestrowany jako „trust” z celem zapewnienia polskim pisarzom na obczyźnie mieszkania i możliwości pracy zawodowej.

Organizatorem „Domu Pisarza” był prof. Stroński i tak się stało, że po jego śmierci i po odejściu jeszcze kilku powierników Dom przeszedł w ręce ludzi, z których żaden nie jest pisarzem.

W rezultacie, gdy w domu przestali mieszkać pisarze i wskutek złej gospodarki budynek stał się trudny do utrzymania, powiernicy postanowili Dom sprzedać i pieniądze przenieść na inny „trust”, wprowadzając też mający za cel pomoc pisarzom, ale o wiele bardziej uniezależniony od kontroli Związku Pisarzy.

Dość długo trwała walka Związku Pisarzy z powiernikami, aż doszło do pewnego kompromisu. Dom utrzymano, wykupiono własność gruntu, odnowiono częściowo, a do grona powierników doszli dwaj przedstawiciele Związku Pisarzy.

Dom, który w czasie ubiegłych lat wzrósł na wartości, oceniany jest obecnie na przeszło 10 tysięcy i pisarze mają nadzieję, że po wyreperowaniu i odpowiednim zagospodarowaniu zaczną im wreszcie po latach przynosić upragniony dochód.

Mówiąc o Związku Pisarzy nie sposób nie wspomnieć innej imprezy pieniężnej. W roku 1945 zostało założone „TOWARZYSTWO PISARZY”, Polish Writers Association, które minister-

stwo informacji wyposażyło w kapitał 3000 funtów. Do tego z czasem doszła pomoc Komitetu Obywatelskiego w wysokości 600 funtów. Te pieniądze zużyto na wydawnictwa książek takich jak wiersze Stanisława Balińskiego i inne.

Ponieważ książki nie poszły, więc Towarzystwo zwinęło swoją działalność.



Obok tych funduszków z przeszłości, umarłych, umierających, albo na łożu boleści — istnieją w Londynie fundusze nowe i to czasem sprężyste.

Takim nowopowstałym funduszem jest POLSKA MACIERZ SZKOLNA. Trudno tę organizację nazwać funduszem, gdyż operuje tylko tym, co uzbiera ze składek albo drogą publicznej kolektory i to wszystko wydaje prawie natychmiast.

Roczny dochód Macierzy wynosi około 3.000 funtów z tym, że składki członkowskie stanowią zaledwie ok. 10%. Głównym źródłem, które zasila Macierz Szkolną, jest publiczna zbiórka na 3 Maja.

Każdy uzyskany grosz jest wydawany na szkoły prowadzone przez Macierz (120) i na wydawnictwa szkolne.

Rok 1962/63 zamknął się sumą 4489 funtów obrotu.

Majątek Macierzy wynosi 5.410 funtów, z tym że 3.400 z tego to wartość wydawnictw w magazynie.

Nowymi funduszami są gminy i kościoły. Coraz więcej istnieje na terenie Wielkiej Brytanii polskich kościołów kupowanych za składki zbierane wśród wiernych. Pierwszy kościół w Manchesterze kosztował 9.000 funtów, które miejscowy proboszcz polski ksiądz Bas zebrał chodząc po domach.

Kościół pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli w Londynie kupiono i przerobiono kosztem 30.000 tysięcy zadłużając się znacznie. Nabyto kościół w Bradford, wybudowano kaplicę w Meltown Mobray i wciąż wszędzie zbiera się pieniądze na ten cel.

Formalnym i prawnym właścicielem polskich kościołów jest fundacja katolicka POLISH BENEVOLENT FUND, a gdyby nawet z czasem zabrakło Polaków na tych wyspach, nabyte i wyposażone przez nas kościoły przejdą w ręce miejscowych katolików.

Kościół naturalnie i Polish Benevolent Fund nie wchodzi pod nasze rozważania o funduszach emigracyjnych.



Natomiast przykładem nowych społecznych funduszków są POLSKIE GMINY powstające coraz częściej.

GMINA POLSKA LONDYN POŁUDNIE, na przykład, choć składa się z niepokażnej ilości członków, przecież zdołała zebrać i wygospodarować spory kapitał, za który nabyła dom czynszowy i opierając się na jego dochodzie zamierza w dalszym ciągu rozrastać się aż będzie w stanie zbudować własny ośrodek kulturalny. Majątek Gminy wynosi 4.105 funtów.

Podobną organizacją „gminną” jest DOM SIKORSKIEGO W GLASGOWIE. Tam oparto się na dwóch domach, które kiedyś przez rząd polski były przekazane Zrzeszeniu Profesorów i zarządzane przez powierników złożonych z przedstawicieli z Londynu i Glasgowa. W domach glasgowskich mieściła się Szkoła Rolnicza i Ośrodek Nauczania Korespondencyjnego. Gdy je zlikwidowano, domy zostały oddane w ręce powierników glasgowskich, a ci przerobiwszy nieznacznie statut „trustu” stworzyli z niego Towarzystwo Społeczne oparte na Domu imienia Sikorskiego. W krótkim przeciągu czasu Towarzystwo zdołało odnowić domy, przerobić i stanąć na nogi finansowo.

Orzeł Biały i Wdowy

Kilkakrotnie uprzednio wspomniałem o Funduszu Wdów i Sierot, którego los napawa wszystkich niepokojem. Obecnie możemy się ze sprawą tego funduszu zapoznać dokładniej.

Powstał on z przekształcenia biura Rodzin Wojskowych w instytucję społeczną. Fundusz Wdów i Sierot po Żołnierzach Polskich Sił Zbrojnych przejął konto bankowe Biura Rodzin Wojskowych i otrzymał w posagu około 25 tysięcy funtów.

Cele funduszu były wyraźne: udzielanie zapomóg wdowom i sierotom, fundusze przeznaczone na tę pomoc z miejsca zaczęły topnieć, więc postanowiono je zabezpieczyć biorąc udział w zakładaniu dochodowych przedsiębiorstw.

W czasie swego życia Fundusz był właścicielem dwóch hoteli w Brighton nad morzem i centrali handlu żywnością oraz sklepu z delikatesami. Zdawałoby się, że te przedsiębiorstwa rokować powinny dobry dochód, ale wszystkie po kolei zostały zmarnowane przez nieumiejętną albo nieszczęśliwą gospodarkę.

Jeden hotel musiał być oddany po wygaśnięciu dzierżawy, drugi sprzedano, aby pokryć dług w Funduszu Społecznym Żołnierza (4).

Centrala handlowa P. and B. Supply Centre zbankrutowała obciążając Fundusz długiem 17.000. W rezultacie z początkowych 25 tysięcy i z otrzymanych z sum włoskich 12 tysięcy zostało w kasie 350 funtów.

Fundusz jednak żyje, odbiera od dłużników mniejsze i większe sumy i działa wysyłając paczki do swych podopiecznych.

Obecny prezes Funduszu płk Sulisławski i członkowie zarządu pani Jadwiga Hausnerowa i Henryk Messing starają się do końca prowadzić zadanie Funduszu Wdów i Sierot.

(4) Dług Funduszu Wdów w Funduszu Żołnierza pochodził z czasów gdy obydwa fundusze zaangażowane były w przekazywaniu pomocy do Niemiec. Pomoc ta szła przeważnie w formie papierosów, handel którymi opłacał się nadzwyczajnie. Towarzystwo Pomocy Polakom np. posiadało własną hurtownię tytoniową, którą zlikwidowało, gdy przesyłanie papierosów do Niemiec przestało być dobrym interesem.

Zupełnie oddzielną kartą historii tego funduszu, a bardzo ciekawym epizodem dziejów naszej emigracji jest sprawa Orła Białego, polskiego klubu w Londynie na Knightsbridge.

Został on w czasie wojny założony przez władze angielskie jako klub żołnierski dla członków Polskich Sił Zbrojnych i oddany w zarząd Polakom. Dzierżawa pięknego w samym sercu Londynu położonego budynku wynosiła wtedy symbolicznego funta rocznie.

Biały Orzeł — White Eagle po angielsku — znany był wszystkim polskim żołnierzom, którzy przyjeżdżali na urlop do Londynu. Był przeznaczony właściwie dla szeregowych, ale zawładnęli nim w końcu oficerowie nie stroniący od towarzystwa żołnierskiej braci.

Przy kryzysie w roku 1945 Białego Orła przekształcono w klub ogólnopolski i oddano w dzierżawę panom Józefowi Olechnowiczowi i Epszteinowi.

Budynek był olbrzymi, sale wspaniałe, położenie idealne, ale przy angielskich ścisłych przepisach klubowych i polskiej fantazji trudno było tę instytucję prowadzić i wciąż przechodził Biały Orzeł kryzysy. Wreszcie jeden z dzierżawców opuścił plac boju, pan Epsztein wyjechał do Ameryki zostawiając współnika z kłopotami. Wtedy p. Olechnowicz chciał się pozbyć Białego Orła. Wpierw pertraktował z Samopomocą Marynarki Wojennej, której chciał go odstąpić, wreszcie sprzedał Funduszowi Wdów i Sierot.

Z początku gospodarka nowych właścicieli zaczęła przynosić spore dochody. W Białym Orle zdomowił się teatr Hemara, odbywały się zabawy, przychodzono licznie do restauracji, do sal gry w karty i do baru.

Niestety, zaczęto ryzykować. Przekraczano przepisy o godzinach wyszynku, wmontowano niedozwolone jeszcze wtedy maszyny do gry i w rezultacie policja zrobiła nalot na klub. Słynny był to najazd, gdyż w tym czasie wśród gości na sali znajdował się prezydent Zaleski i liczni dostojnicy rządowi. Był to na emigracyjną skalę wielki skandal.

Po sprawie sądowej i małej stosunkowo karze pieniężnej klub musiał skończyć z intratnym hazardem i ostrożniej sprzedawać alkohol. Za to zyskał nowego klienta: redakcję „Dziennika Polskiego”, która usadowiła się na najwyższym piętrze budynku.

Wreszcie zdarzyła się prawdziwa katastrofa. Zaproszono ogień i wybuchł poważny pożar na górnych piętrach. Na wpół spalony klub Białego Orła musiał się zamknąć. Całej imprezie groziła katastrofa, mimo że istniała możliwość otrzymania odszkodowania z towarzystwa ubezpieczeniowego.

Nie chcąc rozstać się z pięknym klubem Polacy zaczęli radzić, jakby uratować Białego Orła.

Dwóch znanych antagonistów na gruncie londyńskim panowie Kirken z „Dziennika Polskiego” (ówcześnie) i Stanisław Józwiak członek Rady Narodowej i znany człowiek interesu, próbowali każdy na swój sposób nie dopuścić do zguby.

Dr Kirken chciał zebrać fundusze wśród polskich organizacji

na odnowienie i prowadzenie dalsze klubu. Potrzebne na prze-róbkę pieniądze oceniał na sumę 75 tysięcy funtów i chciał, aby ją złożyły emigracyjne bogate organizacje. Do tego naturalnie nie doszło.

Stanisław Józwiak prywatnie ofiarowywał za Orła Białego 19.000 i miał już za sobą zgodę Funduszu Wdów i Sierot, ale kiedy zjawił się z czekiem w rękę, powiedziano mu, że budynek został odstąpiony komu innemu. Kupił go Mr Harris za 20 (21?) tysięcy funtów.

Rzutki przedsiębiorca podjął odszkodowanie od ubezpieczenia w wysokości 18 tysięcy, dołożył resztę do 75, odnowił budynek, przerobił na biura, podpisał kontrakt z Koroną na długą dzierżawę za 5.000 rocznie i wynajmował biura różnym firmom za 10.000 rocznie.

Jedną z firm mieszczących się obecnie w dawnym Orle Białym jest biuro specjalistów-doradców dla przedsiębiorstw upadających, albo będących w trudnościach.

Polskie fundusze zetknęły się z tymi specjalistami za późno.

Czesław DOBEK

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



List od przyjaciół

Warszawa, maj 1964

Drogi Panie!

Czy Pan pamięta te rozmowy, jakie prowadziliśmy z Panem podczas naszego ostatniego pobytu na zachodzie? Były one przecież tak wzajemnie instruktywne. Naszym zdaniem, myśmy się od Pana dowiedzieli więcej niż Pan od nas. Widzieliśmy u Pana nie tylko krytykę, ale i prawdziwą radość z naszych osiągnięć w Polsce. Widzieliśmy także i niekłamaną Jego troskę o stan rzeczy w kraju; ta Pana troska zwróciła naszą uwagę na wiele istotnych spraw, które uchodziły naszym oczom bądź obok których przechodziliśmy obojętnie bez ich zrozumienia. Każdy z nas — a przecież wszyscy należymy do partii, czynił — jak to mówi poeta „w swoim domku, co każe duch boży” i wierzył, że całość sama się składa. Nie zastanawialiśmy się, czy składa się na lepsze czy na gorsze. Dziś zbieramy się często, rozmawiamy, liczymy, rozważamy. I oto pierwsze rezultaty naszych rozważań. Nie kompletne i nie ostatnie. Nie od razu da się wszystko osiągnąć. Dobrze jednak jest to, że zaczęliśmy się zastanawiać.

Co nas w tych obserwacjach i rozważaniach najbardziej uderza w polskiej rzeczywistości, co nas najbardziej drażni i boli?

Głównie dwie sprawy.

Niesamowity wprost bałagan, który powstaje w rezultacie odgórnego planowania i krępowania działalności gospodarczej tymi właśnie planami, powstającymi przy biurkach różnych Wydziałów partyjnych, przy biurkach Ministerstw i tzw. Zjednoczeń. Rezultatem tego bałaganu jest astronomiczne wprost marnotrawstwo, a nadto pole do nadużyć, dokonywanych bardzo często z *musu*, a czasami przez rozmaitych cwaniaków, którzy potrafią się

wśliznąć między, jakże często nierealne i wzajemnie wykluczające się ustawy, przepisy i rozporządzenia, i którzy korzystają z tego że rzeczywistość aż nadto często domaga się korektywy papierowych teoretycznych planów;

I drugie — to *zakuwanie* Polski i jej gospodarki w coraz cięższą „ekonomiczną niewolę” ZSRR, wskutek polityki partii i rządu w ramach RWPG, a jak Wy to nazywacie: KOME-KONU.

Zacznijmy od pierwszego zagadnienia. Jest zrozumiałe i zgodne z życiem, że każdy większy czy mniejszy zakład przemysłowy musi współpracować z innym czy całym szeregiem innych. One to dostarczają mu surowca, bądź fabrykatów czy półfabrykatów. Weźmy dla przykładu przemysł radiowy czy radioelektroniczny, o którym ostatnio wiele pisała nasza prasa. Fabryka radiowa czy telewizyjna jest szczególnie uzależniona od dostaw innych zakładów przemysłowych, które muszą jej dostarczyć np. opory, kondensatory, transformatory, lampy, transistory nie mówiąc już i dziesiątkach i setkach gatunków drutu, metalu na chasis itp.

Otóż taka fabryka radiowa, jak zresztą i każdy inny zakład przemysłowy, musi złożyć zapotrzebowanie na te dostawy co najmniej na pół roku naprzód — a jeśli chodzi o dostawy z importu, co najmniej na rok. Jeśli coś w swoich zamówieniach przegapi, już tego nie dostanie, albo po pokonaniu największych trudności, wszystko bowiem weszło do planu ogólnego i stąd jakiegokolwiek zmiany naruszają ten plan ogólny. Dodajmy, że fabryka nie może domagać się w swoim zamówieniu, aby dany produkt dostarczono np. do dnia 10 stycznia lub 10 kwietnia. Nie. Terminy zamówień są kwartalne, a więc — w pierwszym kwartale, w drugim itd. Co u nas znaczy dostawa w pierwszym kwartale? Oto jeśli dostawca nadeśle zamówiony towar dnia 31 marca — to jest w porządku: on wykonał obowiązek dostawy w pierwszym kwartale. No dobrze, a gdy fabryka nie ma dostatecznych zapasów, tedy od 1-go stycznia ma siedzieć z założonymi rękami? Nie, bo nie wykona planu i stąd wiele nieprzyjemności, o których niżej. Gorzej jest jeszcze, gdy fabryka ze swej strony dostarcza innej podzespoły (np. wzmacniacze). Sama otrzymała surowce czy półfabrykaty dnia 31 marca, nie ma więc cudu; tamtej gotowych podzespołów, zamówionych na pierwszy kwartał nie dostarczy. Tu więc plan będzie kulał; tam zdecydowanie *leży*. Dopiero później idzie gwałtowne nadrabianie, aby plan roczny dogonić. A stanowcze przepisy domagają się, aby zapasy w każdej fabryce nie przekraczały potrzeb miesięcznej produkcji. Tu więc życie wnosi konieczną korektywę; tu zaczyna się *przymusowe* nadużycie. Zapobiegliwy dyrektor fabryki gromadzi wszelki-

mi sposobami i wbrew przepisom zapasy na trzy, cztery i więcej miesięcy, aby sobie zabezpieczyć możliwość wykonania planu. Musi. Inaczej odpadają premie, które są bardzo poważnym dodatkiem do stosunkowo mizernych zarobków: od dyrektora czy inżyniera do robotnika. Zrozumiałe jak demoralizująco to działa. Zapasy tworzone są na wyrost. I z tych zapasów nie chce się oddać nic, choćby sąsiedni zakład czegoś jak najbardziej potrzebował. Gdy więc partia i rząd dowiedzieli się, że przytłaczająca większość zakładów ma wielomiesięczne zapasy surowców czy innych materiałów, postanowiono z tym skończyć. Dyrektorzy i inni kierownicy zakładów bronią się jak mogą. „Dobrze — powiada jeden z dyrektorów — upłyniajcie moje nadmierne zapasy łożysk. Czy jednak dostaniemy gwarancję, że zakład otrzyma te łożyska, gdy mu będą potrzebne, czy też będzie się musiał za nimi uganiać tak jak dzisiaj ugania się za odkuwkami, których sąsiedni zakład ma w bród, ale nam ich nie daje”. Dyrektor tamtego znów zakładu powiada: „Owszem, upłynniajcie odkuwki; jutro każecie się nam pozbyć nadmiernych waszym zdaniem zapasów silników, potem pójdą odlewy i wkrótce będziemy ze wszystkim w takiej sytuacji jak obecnie z łożyskami. Proszę, sąsiedni zakład ma zapas na kilka lat, a spróbujcie od niego wziąć”. We wszystkich przedsiębiorstwach jest niemal identyczna sytuacja: każde ma czegoś w nadmiarze i każdemu czegoś brak, czegoś niezbędnego do wykończenia produktu. Oddać zaś coś bezodpłatnie, a więc bez otrzymania w zamian czegoś, co mi jest niezbędnie potrzebne („damy wam łożyska, jeśli nam dacie trochę pyłu aluminiowego”) jest właściwie niespotykane.

A plany są trojaki: ilościowy, jakościowy i finansowy. Oczywiście ideałem jest aby wszystko szło harmonijnie, aby więc dostarczyć, wypuścić produkt zgodnie z zaplanowaną ilością, jakością i kosztami. Co jednak jest najważniejsze? Oto plan *finansowy*, czyli tzw. „przerób finansowy”. Od niego w zasadzie zależy tzw. fundusz płac, który stanowi pewien procent ogólnej kwoty „przerobu finansowego”, różny dla różnych zakładów. Wyda się mniej na materiał i płace razem — otrzyma się mniej na fundusz płac. Podamy znów przykłady z przemysłu elektronicznego. To są rzeczy sprawdzone, acz cytujemy tu za naszą prasą (Życie Gospodarcze, Polityka itd.). Weźmy na warsztat magnetofony. Okazało się, że magnetofony produkcji krajowej nie cieszą się zbyt dużym powodzeniem. W r. 1962 sprzedano ich 11.800 sztuk. W magazynach hurtowych specjalnego Zjednoczenia Sprzedaży produkcji elektronicznej: odbiorniki, magnetofony, głośniki, wzmacniacze, telewizory itp. (skrót tego szanownego Zjednoczenia: ZURiT) leżało pod koniec roku przeszło 15 tys. sztuk. Magnetofonów innej fabryki „Wilg” sprzedano 1932 sztuki, a w maga-

zynach zostało przeszło 3 tysiące. Najprościej byłoby wstrzymać produkcję na pewien czas. Zamiast tego do planu produkcji magnetofonów wstawiono jako „wskaźnik dyrektywny”, a więc nie podlegający dyskusji 24 tysiące sztuk. Czemu zakłady miałyby ich nie produkować? Przecież PRODUCENTOWI BYŁO I NADAL JEST ZUPEŁNIE OBOJĘTNE, czy wyroby jego są kupowane czy nie. Nic go nie obchodzi, że uprawia sztukę dla sztuki, czyli produkcję na magazyn i marnuje w ten sposób materiał, pracę ludzką, fundusz płac itp. Inny przykład. Jako cyfrę wyjściową dla produkcji nowego typu głośników przyjęto do planu na rok następny 70 tysięcy sztuk. Na tę ilość zamówiono materiał. W końcu roku zmieniono już tę cyfrę na 20 tys. sztuk, a w kwietniu, a więc w toku już rozpędzonej produkcji — na 9 tys. sztuk! A zapas materiałów, który musiał zostać? Co to kogo obchodzi; magazynuje się aby potem spisać na straty. W taki sam sposób marnotrawi się tak przecież cenne dewizy. Np. w marcu 1963 r. „Tonsil” (wytwórnia głośników) zamawia 30 tys. łożysk z importu. Mówiliśmy już, że na produkty z importu zapotrzebowania trzeba składać co najmniej na rok naprzód. Później okazało się, że według nowych dyrektyw wystarczy 15 tys. łożysk. Kontrakt z dostawcą został jednak podpisany kilka miesięcy wcześniej i z umowy nie można już było się wycofać. Obecnie więc łożyska, za które zapłacono poważną sumę w dewizach, zalegają magazyny fabryczne. Takich przykładów można by mnożyć na dziesiątki i setki.

Jak uparcie i nierozumnie przestrzegana jest treść zawczasu składanych zamówień, niech świadczy następujący fakt. W pewnym PGR'ze podczas silnego wichru został nadwyreżony dach wielkiej stodoły. Trzeba było kilku kilogramów gwoździ, aby dach naprawić. Niestety, PGR nie przewidział tego losowego wypadku w r.ub. i gwoździ nie zamówił. Nie mógł więc ich dostać w żaden sposób normalną drogą. Oczywiście PGR za pewne swoje produkty mógł z łatwością dostać gwoździe „na lewo”, ale stojący na czele PGR'u partyjny tępak nie godził się na żadną taką transakcję. Rezultat? Cała stodoła wraz ze zmagazynowanym zbożem poszła w diabły. Dla 2 czy trzech kilogramów gwoździ! Zagrał przepis i zagrał wierny przepisowi człowiek.

Wróćmy do zrozumiałej, choć może czasami zbyt energicznej pogoni za zapasami. Tutaj znów cytujemy za naszą prasą. Nad planami i zapasami czuwa także Narodowy Bank Polski. Jeszcze więc jedna instytucja poza Zjednoczeniami, Ministerstwami itp. (Zupełnie podobnie jak przy imporcie działają specjalne komisje importowe, które oceniają czy dany import jest istotnie niezbędny — oraz komisje antyimportowe, które oceniają to, co tamte już oceniły. Biurokracja biurokrację pogania i stąd te

olbrzymie ilości urzędników, których żaden normalny aparat nie wytrzymałby finansowo). Kiedy zapasy przekraczają przepisaną normę miesięcznego zapotrzebowania produkcji, NBK nadwyżkę tę ocenia finansowo i obkłada ją karnym oprocentowaniem od 4 do 10% rocznie. Według jego oceny zapasy — te nadmierne — określane były w końcu września 1963 r. na blisko 8 i pół miliarda złotych. Przyczyny ich powstawania, częściowo już opisane, NBK określa w sposób następujący: 40% powstaje wskutek przesunięć w czasie wykonywania planów produkcyjnych, 30% — wskutek zmiany planów produkcji, 8% — wskutek trudności w dziedzinie kooperacji między-zakładowej, 7% wskutek niemożności zbytu itd. Rozpoczęto więc walkę z ich przerosdami. Ostatnio ukazało się szereg rozporządzeń, domagających się sprawdzenia, a następnie upłynnienia nadmiernych, zdaniem rządu i partii, zapasów. Pomijając przykłady oporu ze strony dyrektorów, już przytoczone, faktem jest że wielu zmagazynowanych produktów nie da się upłynnić. Te gotowe produkty lub półfabrykaty są bardzo często przestarzałe i nikt ich nie chce kupować. Każdy woli kupować nowe a nie te, pochodzące z remanentów. „Po co się mamy zabublować?” powiadają kierownicy zakładów. I słusznie. Nie pomagają również specjalnie potworzone giełdy towarowe, gdyż dostaje się na nie materiał wielokrotnie przebrany, przestarzały i istotnie niepotrzebny zakładom, które usiłują się go pozbyć. Pewno, ostatecznym ratunkiem byłoby oddanie tego wszystkiego, co jest przestarzałe „na złom”. Ba, ale z przepisów wynika również, że nikomu np. niepotrzebne łożyska nie powodują większych strat jeśli leżą w magazynach nawet i 15 lat. Co najwyżej płaci się NBK ów karny procent. „Przerób finansowy” na tym nie traci — zyskuje. A oddanie „na złom” i uzyskanie za to jakiejś choćby minimalnej zapłaty kładzie „przerób finansowy”; strata więc natychmiastowa.

Po wielkich debatach, tam na XIV Plenum KC PZPR, postanowiono rozdzielić owe magazynowane zapasy na „normalne”, a więc nie przekraczające jednomiesięcznego zapotrzebowania produkcji i „celowo tworzone rezerwy” na czarną godzinę, a więc na wypadek zaburzeń w transporcie (niedawna zima), handlu zagranicznym, klęsk żywiołowych itd. W takich bowiem okolicznościach przedsiębiorstwo, nie mające dostatecznych zapasów zaczyna kuleć. Na tak ujętą sprawę zapasów odpowiadają Dyrektorzy i Kierownicy zakładów: „Zgodzę się oddzielić tzw. zapasy produkcyjne od „rezerw na czarną godzinę”, a więc tych, które będą poddane innym rygorom, niż moja swobodna decyzja — kiedy się przekonam, że zakład mój będzie mógł sięgnąć do tych rezerw, gdy zajdzie tego potrzeba, bez konieczności uciekania się aż do interwencji władz naczelnych. Muszę do tego nabrać zau-

fania. Na razie tego zaufania nie mam". I nie ma go tym bardziej że PZPR aby upewnić się, że rezerwy znajdują się całkowicie w gestii rządu i partii, pragnie je skoncentrować w specjalnych na ten cel budowanych magazynach w określonych rejonach przemysłowych „blisko potencjalnych konsumentów rezerw”. Nowe więc, zupełnie nieprodukcyjne inwestycje, nowa armia biurokratów, która tym będzie zarządzać. I jak się obawiają kierownicy zakładów, nowe możliwości utrudnień, bałaganu i prawdopodobnych nadużyć.

Wróćmy do planów „przerobu finansowego”. Gdy fabryka wyda wszystkie przeznaczone na produkcję pieniądze, dostaje swój normalny fundusz płac, dostaje nadto premie za wykonanie planu itd. Bo decyduje globalna wartość produkcji. W wypowiedziach naszej prasy znajdzie Pan zawsze jednakowy i niechybnie powtarzający się schemat: na początku roku, gdzieś do jego połowy, zakłady stale spóźniają się z wykonaniem planu. Potem następuje zryw i pod koniec roku plan zostaje wykonany. Jak to się dzieje? Niewątpliwie na początku roku działają, prócz innych także i przyczyny, o których już mówiliśmy: spóźnione dostawy w pierwszym kwartale. Później materiał już jest i zakład zaczyna pracować „normalnie”, usiłując dogonić plan. Nagle coś nawala i zakład nie jest w stanie wykonać wszystkich trzech planów (ilościowy, jakościowy i finansowy) naraz. Wtedy przerzuca się na wykonanie planu „przerobu finansowego”. To w naszej rzeczywistości nie jest trudne. Są produkty, jak to się u nas określa, bardziej i mniej „pracochłonne” i bardziej i mniej „materiałochłonne”. Te „pracochłonne” to raczej kłeska, bo zwiększona robocizna wymaga zwiększonego funduszu płac, a wykonanie „przerobu finansowego” postępuje niedostatecznie szybko. Zakład tedy w odpowiednim czasie przestawia się na produkcję mniej „pracochłonną”, a bardziej „materiałochłonną”, a więc kosztowniejszą. Oto znów przykład: „TONSIL” — jeden z największych zakładów produkujących głośniki dla zakładów „Kasprzaka”, „Elektry”, „Diory” i innych. Produkuje głośniki duże, miniaturowe, oraz o mocy ułamkowej (podobnie i silniki o tej słabej mocy) stosowane w magnetofonach lub adapterach. W czerwcu zakład wykonał tylko 72% produkcji zaplanowanej. Potem przystąpił do nadrabiania zaległości. Dyrekcja triumfalnie ogłosiła: „znaleźliśmy rezerwy”, a tzw. organizacje społeczne zakładów dodawały: „dzięki właściwej postawie załogi nadrobiliśmy zaległości”.

Istotnie, we wrześniu wykonano już 105% planu, w październiku 118% w listopadzie nawet 121%. Ogółem za rok 1963 dano produkcję wartości 210 milionów złotych, czyli tyle, ile przewidywał plan roczny. Jak się to stało? Po prostu zaczęto rea-

lizować plan od jego wartościowej strony. Cały wysiłek załogi przerzucono na produkty „materiałochłonne” — a więc przede wszystkim głośniki duże — te droższe po 110 złotych, gdy te małe przedstawiają wartość finansową tylko 40 złotych. W dodatku w IV kwartale „Tonsil” wyprodukował 80 tysięcy głośników, które w ogóle nie miały pokrycia w zamówieniach, a tylko w zapewnieniu biura zbytu „ZURiT”: „jeśli wyprodukujecie — zabierzemy i jakoś sprzedamy”. Zresztą zakład niekoniecznie był winien jeśli chodzi o niewykonanie planów, podobnie jak i stratom, które wynikły. Przecież już w czerwcu 1962 r. Zjednoczenie Przemysłu Elektronicznego ustaliło, że „Tonsil” będzie musiał wyprodukować 77 tys. głośników pewnego typu. Powstały więc odpowiednie zamówienia na surowce i półfabrykaty. Wyasygnowano pieniądze i materiały zaczęły napływać. Już jednak w październiku 1962 r. zakład dowiedział się, że będzie potrzeba tylko 24 tysiące głośników, a w grudniu Zjednoczenie zawiadomiło zakłady, że: „niestety, tylko *tysiąc!*”. A więc produkuje się na magazyn, bo surowce i półfabrykaty płyną. Podobnie było z magnetofonami, których plan kilkakrotnie był zmieniany, ciągle w kierunku zmniejszania pierwotnie zaplanowanej ilości. Zresztą nawala i synchronizacja w produkcji przemysłowej. Jeśli np. zbyt magnetofonów w kraju spadł, przyczyną była nie tylko słabsza ich jakość niż magnetofonów importowanych. Zabrakło również taśmy. Krajowy przemysł obiecywał, że w r. 1963 wyprodukuje 30 milionów metrów taśmy do magnetofonów. Wobec tych obietnic zrezygnowano z importu taśmy. Tymczasem przemysł krajowy wyprodukował tylko 5 milionów metrów, wobec czego klient nabywający magnetofon otrzymuje maksymalnie 300 metrów taśmy. Tymczasem według wszelkich realnych obliczeń niezbędne minimum warunkujące celowość nabycia magnetofonu wynosi 1000 metrów taśmy. Jaka spekulacja rozwinęła się wokół tego produktu! Zbyt magnetofonów spadł i to, co się produkuje, idzie na składy. Ale „przerób finansowy” został wykonany. I jeśli Pan spotka w prasie entuzjastyczne opisy, jak to te lub owe zakłady nadgoniły zaległości, może Pan być pewien, że w drugim półroczu przestawiły się na produkty mniej „pracochłonne” a więcej „materiałochłonne”. Plan finansowy został wykonany, zarobki nie uległy zmniejszeniu, bo fundusz płac został utrzymany i premie lecą. I słusznie, bo co winien jest robotnik czy nawet inżynier, że mamy takie „planowanie”. Dodajmy dla całości, (choć kto by to choćby z grubsza wyczerpał!) obrazu także i to, że wobec nastawienia na wykonanie „przerobu finansowego” bardzo źle są widziane wszelkie wynalazki młodych inżynierów, nastawionych do pewnego czasu entuzjastycznie, usprawniające i potaniające produkcję. Potanie-

je? Jak więc będzie z „przerobem finansowym”? Do diabła z usprawnieniami! Tak nam się opalają piórka entuzjazmu i uczciwego podejścia do pracy — w tej codziennej praktyce. Myśmy sądzili, że marnotrawstwo, bałagan itp. są wynikiem tego, że przez dłuższy czas na czele zakładów stali ludzie z tzw. społecznego awansu, a więc bez dostatecznego wykształcenia, i że gdy wreszcie przyjdziemy my, już wykształceni i najczęściej wybierający zawód z powołania — my to wszystko usprawnimy, my to pchniemy na nowe, właściwe tory. Dowiadujemy się zaś, że tego wszystkiego może dokona tylko partia, która tym czy innym nowym przepisem lub rozporządzeniem nagnie i wyprostuje realne wymogi życia. A wiemy jak to wygląda w praktyce.

Olbrzymim polem do „zaplanowanego” marnotrawstwa są tzw. Zjednoczenia Przewozowe. Obejmują one ściśle rejony. Wszystkie znajdujące się w takim rejonie zakłady przemysłowe, instytucje państwowe, sklepy, hurtownie itp., mają dokładnie ustalone etaty własnych środków przewozowych. Dopiero gdy im z jakichś powodów własny transport nie starcza, mają się zwracać o pomoc do tych Zjednoczeń Przewozowych. I tylko do nich, choćby kto inny, np. jak się u nas mówi „inicjatywa prywatna” wysuwała ofertę kilkakrotnie korzystniejszą. Tylko rachunek, wystawiony przez Zjednoczenie Przewozowe może być uznany.

Istniejące w Katowicach Zakłady Chemiczne składają się z dwóch kompletów zabudowań, odległych o jakieś pięć kilometrów. Jeden komplet przerabia surowiec na półprodukt, drugi na produkt ostateczny. Trzeba więc półprodukt przewieźć. Transport, stanowiący własność Zakładów, może przewieźć przy największej sprawności 97% potrzebnej ilości półproduktu. Wyliczono, że koszt własny tego przewozu wynosi 1 milion złotych. Pozostałe 3% przewozi zgodnie z przepisami Zjednoczenie Przewozowe i bierze za to półtora miliona złotych. Ktoś, oglądając bilans wydatków Zakładów Chemicznych, spytał naczelnego Dyrektora: „Czy nie lepiej byłoby nabyć 3 lub cztery odpowiednie auta transportowe na własność Zakładów, co by kosztowało mniej niż półtora miliona złotych. Przewozilibyśmy wszystko sami, auta zamortyzowałyby się w okresie mniejszym niż rok, a potem już czysty zysk”. Niestety, z jednej strony z jakichś wyższych, a nieznanych nam względów Zjednoczenie Przemysłu Chemicznego stanowczo nie zgadza się na powiększenie etatu środków transportowych, z drugiej zaś i kierownictwo Zakładów nie bardzo się przy tej myśli upiera. Dlaczego? Oto produkt dziś kosztuje o półtora miliona złotych rocznie drożej, jutro kosztowałby o tę kwotę taniej. Czym nadgonić plan „przerobu finansowego”? Zresztą Zjednoczenie Przemysłu Chemicznego powiada, że pieniądze i tak i tak idą do wspólnej państwowej kieszeni, więc nie

warto zmieniać dróg przepływu pieniędzy. A zysk zakładów? Kogo obchodzi zysk w przedsiębiorstwie socjalistycznym? Inny przykład. Pewna fabryki chemiczna w budowie (nie chcemy podawać zbyt wielu nazw i miejscowości ze zrozumiałych względów) potrzebowała u siebie jakichś obwałowań. Brakło jej ziemi na te obwałowania. Brakło również dostatecznego transportu własnego i ludzi do poszukiwań, skąd tę ziemię wziąć. Zwrócono się więc do najbliższego Zjednoczenia Przewozowego. Przyjechało dwóch jego przedstawicieli. Zadania się podjęli i zapowiedzieli rozpoczęcie zwózki ziemi za jakieś dwa tygodnie. Koszt — 300 tys. złotych. Zgoda? Zgoda. Zwózka miała trwać co najmniej dwa tygodnie. W dwa czy trzy dni później pojawili się ci sami faceci i pytali, czy mogą rozpocząć zwózkę prędej. Zakładom w to graj. Zgoda. I już po trzech dniach zaczęły sznureczkiem zajeżdżać na teren fabryczny transportery z ziemią. Dzień i noc. W rezultacie zwózkę i nasypy ukończono w tydzień. Zachwycony administrator wypłacił umówione 300 tys. złotych. I wszystko byłoby pięknie, gdyby jacyś ciekawscy nie zaczęli wypytywać szoferów owych ciężarówek skąd to oni tę ziemię wożą. Okazało się, że w odległości mniej więcej pięciu kilometrów buduje się duża szkoła wraz z zabudowaniami gospodarczymi, domkami dla personelu itd. To samo Zjednoczenie Przewozowe zostało zakontraktowane do *wywózki* ziemi, gromadzącej się w związku z niwelacją terenu, wykopami pod fundamenty. Ziemia stamtąd miała być wywożona na odległość przeszło 10 kilometrów, gdzie ją pozwolono wywalać i gdzie w zasadzie nikomu nie była potrzebna. Oczywiście za wywóz ziemi zapłacono Zjednoczeniu Przewozowemu grube dziesiątki tysięcy złotych. Spryciarze skorzystali z okazji jaką im nastręczyły Zakłady Chemiczne i ziemię zwieźli tam: o wiele bliżej i za grubą zapłatą. Sprawa oparła się o sąd, który długo się głowił, czy popełniono przestępstwo czy nie: oba przecież zadania zostały pierwszorzędnie wykonane. Dopiero gdy wyszło na jaw, że z owych 300 tys. złotych, wypłaconych przez Zakłady Chemiczne, dziesięciu wtajemniczonych dostało po 10 tys. zł. a resztę zafasowali sobie owi dwaj przedstawiciele Zjednoczenia Przewozowego, zapadły wyroki skazujące.

Jeszcze jeden przykład. Przeprowadza się Departament jakiegoś Ministerstwa. W związku ze stałą „planową” rozbudową i przebudową organizacyjną naszej biurokracji, przeprowadzki takie są nader częste. Kto ma przewieźć meble, akta itp. Oczywiście Zjednoczenie Przewozowe. Przychodzą jego przedstawiciele i z odpowiednim administratorem zawierają umowę. Przeprowadzka będzie trwała trzy doby. Koszt — 80 tys. złotych. Cóż robić, zgoda. Kilka godzin później przychodzi dwóch innych

facetów i powiada: Panie Administratorze, my się podejmujemy wykonać przeprowadzkę w ciągu jednej nocy: dziś o trzeciej po południu urzędnicy kończą pracę, jutro na nowym miejscu będą mogli zacząć o 8-ej rano. Gwarancja nadto, że żaden mebel nie będzie nawet zadrapany. Proszę nam tylko dokładnie wskazać jaki określony pokój stąd ma zająć pokój tam”. Niestety — nie da rady. Administrator musi mieć wszystko urzędowo poświadczane przez Zjednoczenie Przewozowe. Propozycja acz bardzo zachęcająca nie może być przyjęta. Wraca się więc do pierwszego wariantu. Jak się to odbywa? Ano, wyciąga się na piętrze z jakiegoś pokoju szafkę czy biurko i woła: „Walek trzymaj” i szuur po schodach. Walek jak przy innej okazji, która się oparła o sąd, zeznawano wobec sędziego, nie głupi narazić się na kalectwo lub zgniecenie, wieje więc z drogi toczącego się z trzaskiem mebla. Rezultat? Przeprowadzka trwa siedem dni i Departament musi następnie zdobyć większość mebli na nowo.

Idźmy dalej. Niepojętym dla nas a olbrzymim w swoich rozmiarach marnotrawstwem są kampanie zorganizowanych powitań różnych wielkości socjalistycznego obozu. Przyjeżdża więc Ulbricht i wyganiają dziesiątki i setki tysięcy ludzi na ulice dla „spontanicznego powitania”. Albo Tiereszkowa. Jak się to robi? Znowu „odgórny plan”. Dzieli się na odcinki ulice, którymi „znakomity gość” ma przejeżdżać i te odcinki przydziela się dzielnicowym komitetom partyjnym. Ich przedstawiciele obchodzą znajdujące się w ich dzielnicy zakłady przemysłowe, biura, składy, nawet sklepy i wyznaczają kontygenty ludzi na ową „spontanyczną manifestację serdecznych uczuć. Bo niechby który odcinek był za rzadko obsadzony, dostałoby się dzielnicowemu komitetowi partyjnemu. Ponieważ my, inżynierowie, zazwyczaj walczymy do upadłego o ludzi zajętych bezpośrednio na produkcji, grożąc nieuniknionym zawaleniem planu, ofiarą padają biura, których personel wypędza się, jak jeden mąż na ulice. Idą więc urzędnicy, sprzątacze, zamiatacze, stróże (wtedy z fabryki ludzie wynoszą, co się da) itd. Wszyscy oni są płatni za czas spędzony na ulicy. Oczywiście tu i ówdzie są wśród tłumu zadowolone twarze, ale przecież nie z radości na widok gościa, a dlatego, że nic się nie robi a dniówka leci. Te manifestacje to tylko demoralizacja i niesłychane marnotrawstwo pieniędzy z zakładowych funduszków płac. Potem przychodzi się do nas po ofiary na szkoły tysiąclecia. Jeden z naszych kolegów — architekt — obliczył z grubsza, że za same koszty powitania Tiereszkowej w samej tylko Warszawie, można by zbudować co najmniej 15 takich szkół.

Czy oni, tam na górze, tego nie widzą? Przecież widzieć muszą, a więc marnotrawstwo celowe. Przecież tak je łatwo obliczyć, gdy ktoś skończył jaką taką szkołę. Nie darmo więc na

jednym z zebranych, gdy omawiano tzw. błędy i wypaczenia i któryś z partyjnych oczywiście mówców tłumaczył nam, że „uczymy się na błędach” — ktoś z końca sali krzyknął: „Uczcie się na uniwersytetach nie na błędach”.

Ileśmy już przeszli reorganizacji, ile nowych pomysłów góry i setek i tysiące wynikających stąd przepisów, które miały wszystko poprawić, a bałagan wciąż rośnie. Nie raz tym większy podziw nas ogarnia, że przecież w Sowietach, taka sama rzeczywistość trwa od prawie 50-ciu lat, że więc mogli się wreszcie czegoś nauczyć, a my od nich. Nic podobnego, oni wszystko przerabiają od początku i my wszystko przechodzimy od początku, jakby żadnych doświadczeń przez te 50 lat nie było. Często zresztą nie korzystamy i nie chcemy korzystać z tamtych doświadczeń, że przytoczymy tutaj przykład z innej całkiem dziedziny. Gdy „tam” uchylono troszkę cenzury na tematy osławionego „okresu minionego”, u nas na przykład nadal najbardziej zakazanym jest słowo „łagier”. Czytamy więc o tych „łagrach” dopiero wtedy, gdy komuś uda się w czasie pobytu w Sowietach zdobyć jakąś książkę na te tematy w Moskwie czy gdzie indziej i następnie tego jakiegoś Solżenicyna, Dudincewa itp. do Polski przesmyglować. Pokazał nam Pan książkę „We własnych oczach”. Myśleliśmy, że to Wasza propaganda, a tymczasem okazało się, że to dosłowne tłumaczenia powieści czy nowel, wydanych w Sowietach, a więc takich, które już przeszły cenzurę „starszego brata” (Coś jak przez analogię można powiedzieć o naszych komisjach importowych i antyimportowych — a więc powtórna cenzura książek zaakceptowanych przez „starszego brata”). Książek tych u nas nie ma. Dlaczego?

Jeśli nachodzą nas czarne myśli przy obserwowaniu opisanego wyżej bałaganu i marnotrawstwa w przemyśle i całym systemie życia gospodarczego Polski, to zgoła już przerażenie ogarnia na widok urzędowego entuzjazmu na temat ciężkiego przemysłu i petrochemii. Pomijając już tę czysto polityczną planowość, która kazała zniszczyć setki tysięcy hektarów niezmiernie urodzajnej ziemi, aby koniecznie umieścić Hutę Pokoju tuż pod bokiem „niepewnego Krakowa”. Przecież o 50 km. dalej na tzw. Pustyni Błędownskiej nie byłoby żadnych szkód gospodarczych, a i do węgla byłoby bliżej. Gorzej jednak, że wszystkie piece hutnicze tych zakładów zostały i nadal są przystosowywane wyłącznie do przerobu rudy krzyworogskiej, że więc w razie innej sytuacji nawet ruda szwedzka nie będzie się do nich nadawała. Nadto znów ogromny, no i w danym wypadku konieczny rozwój Płocka i okolic, a więc cała owa petrochemia, wisieć będzie znów jak Huta Pokoju na jednym jedynym wyłączniku sowieckim. Trzask, i wszystko leży. I co gorsza w miarę upływu czasu i roz-

woju agend KOMEKONU dążenie do uzależnienia i spełnienia produkcji przemysłu polskiego posuwa się w dół. Samochody przestaliśmy już w zasadzie produkować. Nawet, naszym zdaniem udany Mikrus po wystawie w Moskwie w r.ub. w maju przestał być produkowany. Objawił się natomiast w moskiewskim „Sputniku”. Traktory, które na konkursie międzynarodowym w Indiach pobiły wszystkich konkurentów, nawet Anglików, dziś nie są już produkowane samodzielnie: nakazano tę produkcję sprząć z produkcją czeską. Wyprodukowane były doskonale i całkowicie w oparciu o polskie pomysły i z naszego materiału; nasze zakłady traktorowe wypracowały sobie standardowe części oraz odpowiednie instalacje techniczne. Dziś wszystko na nic. Czeskie części często nie pasują, muszą być dotaczane, doszlifowywane, a nasze instalacje stoją. Podobnie z chemią. Sprowadza się ten przemysł, mający przecież własną bazę surowcową i doskonałych inżynierów do wytwarzania półproduktu, resztę ma robić Czechosłowacja i Niemcy Wschodnie. Doskonale rozumiemy, że Was w pierwszym rzędzie obchodzą i może boleć sprawy czysto polityczne, a więc ów socjalizm-komunizm, ale, na rany boskie, przecież przez Komekon robi się najważniejszą i dla Polski najgroźniejszą *politykę*. To nas skuje tak, że *żadnej* samodzielnej polityki w *żadnej* dziedzinie nie będziemy mogli uprawiać. Tu trzeba bić na alarm, póki czas. Za lat kilka, jak tak dalej pójdzie, nie będzie w Polsce ani jednego przemysłu, którego produkt nie byłby uzależniony od dostaw z innych „bratnich republik”, a szczególnie z ZSRR. Dziś ta polityka rozbicia każdego produktu na części składowe, dostarczane z różnych krajów sięgać zaczyna przemysłu konsumpcyjnego i spożywczego, o czym napiszemy innym razem. Prawda, Polska się powoli uprzemysławia, ale co będzie warte to uprzemysłowienie, gdy Polska razem z całym swoim tak reklamowanym przemysłem nie będzie w stanie wypracować sobie żadnego, podkreślamy *żadnego* produktu, który by wytwarzała samodzielnie i np. mogła go eksportować.

Widzimy, że w niektórych „bratnich” krajach zaczynają się orientować, jak sowiecki instrument nacisku stara się je na stałe wepchnąć w niewolę ekonomiczną. Dlaczego nasza góra partyjna tego nie widzi?

Oto pytania, które nam się nieodparcie nasuwają pod adresem naszej góry:

Dlaczego Rumunia nie ma już ani jednego żołnierza sowieckiego na swoim terytorium?

Dlaczego nigdzie nie możemy się dowiedzieć, po jakich cenach sprzedajemy Sowiетom węgiel i czemu to Sowiety sprowadzają od nas ten węgiel najdroższym środkiem transportu, jakim jest kolej i jak im się to opłaci? Przecież mają u siebie węgla

w bród i możliwości nowych okrywek? Więc jeśli im się to opłaci, to samo za siebie mówi.

Dlaczego tak skrupulatnie, jak jakaś największa tajemnica wojskowa, ukrywane są ceny, jakie Sowiety płacą nam za wywożone do nich towary i te które płacimy my za import z Sowie-
tów?

Mamy nadzieję nie tylko na podtrzymanie kontaktu, ale i na konkretną i rzeczową współpracę.

Korupcja

W końcu maja, na szpaltach gazet krajowych, pojawił się w powodzi wiadomości przedzjazdowych krótki komunikat o konferencji warszawskiej organizacji partyjnej, połączony z suchą wzmianką, że „w sprawach organizacyjnych plenum podjęło uchwałę o zwolnieniu Stefana Harasimowskiego z funkcji sekretarza i członka Komitetu Warszawskiego PZPR”.

Wiadomość bez większego znaczenia, sprawa na pozór drobna. Jednakże nie jest z tym tak prosto. Bo w tej paroszpaltowej notatce po raz pierwszy dostaje się do gazet wiadomość o przechodzącej przez różne ogniwa śledztwa wielkiej aferze mięsnej.

Podobno z dotąd odkrytych afer ta jest największa. Zamieszanych w nią jest paręset osób, z tego kilkadziesiąt znajduje się pod kluczem.

Nie jest rzeczą ważną jednak, że akurat ta afera jest większa, że zamieszanych jest w nią więcej niż w innych wypadkach osób, gdyż nie jest ona bynajmniej wypadkiem odosobnionym. Przeciwnie jest jeszcze jednym symptomem niebywale rozwiniętej w Polsce korupcji.

Jak zwykle bywa w podobnych wypadkach — wielkie afery, których nie da się już ukryć dostają się na światło dzienne z rozgłosem, przy przykładnym zakończeniu w postaci mniej lub więcej pokazowego procesu.

Problemem istotnym jest natomiast podkład socjologiczny tych afer i światło jakie rzucają na ustrój społeczno-polityczny kraju.

Polacy są narodem zdolnym i żywotnym. Potrafią też być bardzo pracowici, gdy zachodzi tego potrzeba. System gospodarczy w Polsce skonstruowany został jednak w sposób, który nie daje żadnych premii za pracowitość (stąd popularna gadka: „śmierć frajerom — szafa gra”), czy inicjatywę („nie usprawniaj, nie podskakuj — siedź na d... i potakuj”). By dobrze sobie dawać radę w Polsce trzeba udawać że się pracuje („mało pracuj, dużo stę-kaj”), no i sprycić. Sprycić rozmaicie: raz zgodnie z obowiązującymi prawami, raz przeciwko nim. Przeważnie obok, czy wbrew prawom.

Zaczyna się często od tego, że przepisy są zbyt wyraźnie głupie, czy nie-
życiowe, by można było w myśl nich postępować. Potem idzie to już dalej.

Czasem bardzo daleko — do wielkich afer, z których każda wykazuje przedsiębiorczość, i rozmach ich autorów.

Wykazuje również, że niepoślednią rolę w nich odgrywają przedstawiciele partii rządzącej. Nie było ani jednej większej afery, w którą przedstawiciele partii nie byliby w jakiś sposób zamieszani. Nie wychodzi to na dobre autorytetowi i partii i władzy jaką sprawuje w kraju. Przeciwnie — pogłębia nieufność i staje się przyczyną dalszej demoralizacji.

Do niedawna za największą aferę uchodziło w Polsce afera skórzana. Główną rolę odgrywał w niej Galicki, członek egzekutywy w jednym z Komitetów Dzielnicowych PZPR w Warszawie.

Afera mydlana. Czy do opinii publicznej dojdą szczegóły, o kogo zaczęła?

Nadużycia na cle. Z kogo składa się aparat celny? Aktualni, lub byli urzędnicy UB, z generałem Konarzewskim, jako prezesem Centralnego Zarządu Ceł i wiceprezesem Zarakowskim na czele. Tym samym Zarakowskim, który jako prokurator w „minionym okresie” dziesiątki ludzi oskarżał o przestępstwa, których nie popełnili.

Czy społeczeństwu zostanie powiedziane jak właśnie ci sami ludzie zza okienka celnika, którzy tak surowo i arbitralnie wyceniali wartość każdego drobiazgu do oclenia, w paczkach przesyłanych dla rodzin, potrafili sprytnie zmontować łańcuch szmuglu, pod pozorem przywozu majątku repatriantów? Czy przy nazwiskach podane zostanie wyraźnie, że chodzi o „zaśłużonych działaczy”, o ludzi o długim stażu partyjnym?

Afera mięsna. Obojętne, czy Harasimowski „tylko” wygrywał w karty od aferzystów sumy, odpowiadające wielomiesięcznej, przeciętnej pensji człowieka pracy w Polsce, obojętne, czy „tylko” przyjmował kosztowne zaproszenia, lub podarki. Natomiast nie jest obojętne, że w całej serii artykułów, mów, peanów i propagandowych chwaleb, z racji dwudziestolecia władzy ludowej, nie znalazła się ani jedna, która stwierdziłaby uczciwie, że nie tylko produkcja stali i węgla wzrosła silnie w Polsce powojennej, ale wzrosła też w niebywałych rozmiarach korupcja.

Wielkie afery odkrywane są od czasu do czasu. Pomimo prób tuszowania ich powstaje dookoła nich hałas. Groźniejszym objawem są dziesiątki i setki mniejszych afer, o których już nawet „mówić nie warto”. Należy wręcz zastanowić się, w jakiej mierze pewne formy nadużyć nie są w Polsce systemem.

Jest także rola partii. Samokrytycyzm nie jest zbyt silnie rozwinięty w PZPR. Nie ma też do niego skłonności i sam pierwszy sekretarz PZPR, który woli obwiniać o wszelkie swoje i partii niepowodzenia społeczeństwo, „drobno-mieszczańską kołtunerię”, dawne „klasy wyzyskujące”.

W Polsce rozwinął się ostatnio swoisty podział na dwie klasy: tych którzy mają wszystkie przywileje i tych którzy ich nie mają. Tym pierwszym posiadane przywileje nie zawsze wystarczają. Wtedy kradną. Wiedzą o tym dobrze ci inni, stojący w ogonkach po mięso — kiedy znika ono za „żółtymi firankami”.

A więc do samokrytycznych rozważań, jako „Czyn na dwudziestolecie” temat: „czy 'awangarda narodu' ma także być 'awangardą złodziejstwa' i czy z racji przynależności partyjnej aferzystów należy im się łagodniejszy wymiar sprawiedliwości, bądź w ogóle zawieszenie jej karzącej ręki”. „Zasłużeni towarzysze” — Pomyślcie!

Jeśli na warszawskiej konferencji partyjnej, w przededniu IV Zjazdu Partii Gomułka znalazł słowa potępienia dla członków partii nadużywających swej władzy i stosunków dla popierania bądź tolerowania korupcji, to wynikało to z wewnątrzpartyjnych porachunków: Titkow popierał i bronił Harasimowskiego, a trzeba było zdusić opozycyjne nastroje panujące w organizacji warszawskiej.

Są cynicy, którzy twierdzą, że wielka ilość odkrytych afer pozostaje w prostym związku z walką o władzę wewnątrz partii. Że byłyby inne afery do odkrycia, tym razem jednak w tych okęgach kraju, gdzie panują praworządne tendencje wśród miejscowych organów partyjnych.

j. w.

Konsekwencje protestu 34

Anonimowy autor krajowy omawiający w ostatnim numerze „Kultury” antygomułkowską broszurę słusznie stwierdza, że „siła moralna, tkwiąca za wystąpieniem „34” działać będzie długofalowo, tak jak np. przed trzydziestu laty protest profesorów przeciwko uwięzieniu działaczy Centrolewu w Brześciu”. Istnieją jednak również bezpośrednie konsekwencje protestu, zarówno w Polsce, jak i na płaszczyźnie międzynarodowej.

Jeśli chodzi o konsekwencje w Polsce, trudno o bardziej autorytatywne świadectwo niż Jarosława Iwaszkiewicza. W wywiadzie udzielonym „Życiu Warszawy” (17-18 maja) stwierdza on: „Kierownictwo Partii zapewniło nas o stopniowym zwiększaniu przydziałów papieru. Już obecnie został zwiększony o około 25 procent przydział papieru na wydawnictwa literatury pięknej. Wiąże się z tym również możliwość powstawania nowych pism... Przede wszystkim miesięcznik lub kwartalnik poetycki... poza tym pismo poświęcone przekładom z literatury obcej... a wreszcie miesięcznik literacko-polityczny... Jeżeli chodzi o nową konwencję literacką, to również zostaje ona wprowadzona w życie”. Tak więc przynajmniej drobna część postulatów polskich pisarzy, o które Z.L.P. stara się od lat, i których nie uzyskał mimo zjazdów, mimo szeregu konferencji z Kliszką, mimo hucznego jubileuszu swego prezesa, zostaje raptem załatwiona w miesiąc po proteście Trzydziestu Czerwem...

Drugi, ważniejszy moim zdaniem skutek: *jakościowe* fiasco sławetnego „Kontrprotestu”. Po przeczytaniu ogłoszonej w „Trybunie Ludu” listy podpisów, stwierdziłem ze zdumieniem, że na tych kilkaset nazwisk zaledwie czterdzieści jest mi znanych (z tym że szesnastu tych pisarzy znam osobiście). Sześciu tylko re-

prezentuje bezsporną wagę literacką lub intelektualną: Iwaszkiewicz, Iłakowiczówna, Przyboś, Różewicz, Szymborska, Żółkowski. Wystarczy pomyśleć o kilkudziesięciu polskich pisarzach, których się zna i najwyżej ceni, a staje się jasne, że linia podziału w Polsce jest nie tylko polityczna i moralna: jest to linia w znakomitej większości odgradzająca autentycznych pisarzy od masy grafomanów, wśród których Broszkiewicz czy Bocheński, Matyszewski czy Newerly, Pasternak czy Szelburg-Zarembina wydają się dziwnie zabłąkani, a Czajka, Magdalena Samozwaniec i Wiech dorzuceni z poczucia humoru. Jeśli dodać, że każdy członek Z.L.P. otrzymał telegram lub list polecony zachęcający go do podpisania kontr-protestu, nie udzielenie podpisu urasta do miary prawdziwej, rzetelnej decyzji.

Na płaszczyźnie międzynarodowej protest Trzydziestu Czerwem przyczynił się do obalenia „Mitu o Polskim Liberalizmie”. Jest to tytuł artykułu Andrew Fielda w lewicowym amerykańskim tygodniku „The New Leader”. Autor opisuje stopniowe wycofywanie się Gomułki z pozycji październikowych, i analizuje sytuację wywołaną Protestem 34-ch. Stwierdza on następnie, że Stany Zjednoczone dały Polsce w ciągu ostatnich lat 538,2 miliony dolarów, oraz cytuje raport byłego ambasadora amerykańskiego w Warszawie, Jacob Beama, który pisał już dwa lata temu, że amerykańska polityka pomagania Gomułce w przezwyciężeniu jego gospodarczych trudności „nie doprowadziła do bardziej liberalnej ewolucji w Polsce, której można było oczekiwać”. — „Czy to oznacza, że amerykańska pomoc Polsce powinna zostać zaprzestana lub ograniczona?” — zapytuje Field — „Nie. Stany Zjednoczone mają historyczne zobowiązania w stosunku do wolności narodu polskiego. Ale sęk w tym, że nie używamy tej pomocy w tym celu”.

Field stwierdza dalej, że z pomocy amerykańskiej Polsce olbrzymia suma 477,2 milionów dolarów jest pożyczką bezprocentową, teoretycznie zwrotną w ciągu 40 lat — czyli, realistycznie mówiąc — darem. O wiele mniejsza suma, 61 milionów dolarów oprocentowana jest na 4,5 procent i zwrotna w ciągu 20 lat. Field sugeruje, aby uzależniać warunki pomocy amerykańskiej od stanu wolności w Polsce: „Gomułka jest człowiekiem nad wyraz praktycznym i historia już nam pokazała, że jest on zawsze o tyle liberalny o ile jest do tego zmuszony”. Zwraca on wreszcie uwagę na fakt, że amerykańska pomoc jest w Polsce niemal całkowicie nieznana opinii publicznej, oraz że olbrzymi kredyt amerykański w złotych (ponad 11 bilionów) powinien być używany na cele humanitarne, nie-polityczne, w rodzaju szpitala dla badania chorób dziecięcych pod Krakowem, na który Ameryka wydała 4,3 miliony dolarów.

Skądinąd „New York Times” z 12 maja donosi, że delegacja Kongresu Polonii Amerykańskiej została przyjęta przez prezydenta Johnsona w sprawie Protestu 34 i jego konsekwencji. Prezes Rozmarek oświadczył prezydentowi, że reakcja opinii światowej

na sankcje przeciw pisarzom zmusiła reżym do ich cofnięcia, oraz stwierdził, że polityka amerykańska winna zająć czynniejsze stanowisko w sprawach wolności w Polsce.

W tym samym sensie został zredagowany komunikat „Komitetu Francuskiego Przyjaciół Polski”, zwracający uwagę zarówno na sytuację kulturalną w świetle Protestu 34, jak i na sytuację Kościoła w Polsce. Akcja rządu polskiego w tych dziedzinach, stwierdza komunikat, „jest sprzeczna z wolnościami zagwarantowanymi przez Konstytucję Polską i z zasadami Deklaracji Praw Człowieka, oraz grozi usunięciem w niedalekiej przyszłości tego co jeszcze pozostało wolności w Polsce”.

„Komitet uważa, że fakty te nie powinny być obojętne dla rządów zachodnich. Powinno się zwrócić uwagę polskich przywódców na fakt, że ewolucja obecna w Polsce, obracająca w nicłość nadzieje wywołane wypadkami z października 1956, może odebrać Polsce sympatię, którą sobie wówczas zyskała na Zachodzie”.

Prezesem „Komitetu Francuskiego Przyjaciół Polski” jest liberalny parlamentarzysta, b. minister Claudius-Petit. W zarządzie sąsiadują tak wybitne i znane osobistości polityczne U.N.R. i opozycji jak Pierre Billotte, Maurice Faure, Gérard Jaquet, Edmond Michelet i Louis Terrenoire.

Również na płaszczyźnie politycznej należy zanotować list Międzynarodowego Związku Wolnych Dziennikarzy do Sekretarza Generalnego O.N.Z. U Thanta w sprawie Protestu 34, z prośbą aby załączone do listu materiały (tekst protestu, informacje o sankcjach itd.) zostały udostępnione delegacjom do O.N.Z. Co zostało wykonane.

Prasa międzynarodowa nadal poświęciła sporo miejsca w ubiegłym miesiącu Protestowi 34 i jego konsekwencjom. Francuski lewicowy miesięcznik literacki „Les Lettres Nouvelles”, redagowany przez Maurice Nadeau, podał tekst Protestu wraz ze wszystkimi podpisami i opatrzył go długim, bardzo życzliwym komentarzem. Po raz pierwszy w prasie francuskiej, na łamach „Lettres Nouvelles” została również ogłoszona wiadomość o liście protestacyjnym wysłanym w tej sprawie do Cyrankiewicza przez Union des Ecrivains pour la Vérité. Powróciły również do sprawy protestu czasopisma, które omawiałem w poprzednim numerze.

Należy również zasygnalizować wyjątkowo dobrze poinformowany artykuł Lucienne Rey w „Est-Ouest” z czerwca 64, pt. „Walka o wolność słowa w Polsce”. Lucienne Rey obszernie analizuje wszystkie okoliczności, które doprowadziły do protestu 34 oraz zdaje dokładnie sprawę z jego konsekwencji.

W prasie krajowej największą przyjemność sprawił mi artykuł „Współczesności” (13-27 maj), pod tytułem „Cui Bono?”, ponieważ, kpiąc w moim poprzednim artykule z szowinistycznej nuty reżymowej propagandy udało mi się ten właśnie tytuł przewidzieć. Jest to zresztą pierwszy artykuł krajowy, który podaje pełny tekst Protestu Trzydziestu Czterech. Tekst, tak. Ale pod-

pisy — nie. W morzu polemik, artykułów, kontrprotestów — nigdy, nigdzie nie odważono się w Polsce podać nazwisk Trzydziestu Czterech. Polemiki (przed „Współczesnością”) dotyczą tekstu, którego nikt oficjalnie nie zna. Kilkuset polskich pisarzy publicznie się desolidaryzuje z ludźmi, których nazwiska są im nieznane. Nie spotkałem nawet w polskiej prasie liczby „Trzydzięści Cztery”. Wobec autorytetu tych ludzi, reżym wołał się ośmieszyć, mobilizując wszystkie środki dla walki z „Czarną Ręką” lub „Fantomasem”.

K. A. JELEŃSKI

Dalsza lista oportunistów

„TRYBUNA LUDU” Nr 142 z 24.5. 1964

Poniżej zamieszczamy dalszą listę pisarzy i krytyków literackich, którzy złożyli swoje podpisy pod protestem przeciwko uprawianej na łamach prasy zachodniej oraz na falach dywersyjnej rozgłośni „Wolna Europa”, zorganizowanej kampanii szkalującej Polskę Ludową:

Feliks Araszkiewicz, Bohdan Arct.

Władysław Bochenek, Izabela Bielińska, Wanda Borucka, Lech Bądkowski, Salomon Legis Belis, Aleksander Baumgarten, Janina Brzostowska, Andrzej Baszkowski, Karol Bunsch, Lesław Bartelski, Wincenty Burek.

Włodzimierz Chełmicki, Stefan Chmielnicki, Stefania Ciesielska-Borkowska, Edward Csato, Bronisław Cirić, Wanda Chylicka, Romuald Cabaj.

Nadzieja Druka, Jadwiga Dackiewicz, Kornelia Dobkiewicz, Elżbieta Drzewińska, Stanisław Dąbrowski.

Zofia Ernst.

Zygmunt Falkowski, Ludwik Flaszen, Alfred Fiderkiewicz, Ziemowit Fedecki, Rajmund Florans, Mieczysław Fijałkowski, Franciszek Fenikowski, Józef Andrzej Frasik, Mieczysław Frenkiel.

Kamil Giżycki, Stanisław Stefan Gębala, Leszek Goliński, Jan Górec-Rosiński, Anzelm Gorywoda, Marcelina Grabowska, Zygmunt Greń, Zdzisław Gozdawa, Stefania Grodzieńska, Jan Paweł Gawlik.

Bronisław Heyduk, Stanisław Horak, Zdzisław Hierowski, Kazimierz Hofman, Stanisław Helsztyński, Małgorzata Hillar, Roman Husarski.

Ludmiła Ike-Dunikowska.

Jerzy Jesionowski, Marian Jachimowicz, Zbigniew Jakubik.

Tymoteusz Karpowicz, Teofil Kowalczyk, Tadeusz Kudliński, Jerzy Krasicki, Krystyna Kleczkowska, Zbigniew Kubikowski, Józef Kelera, Jan Mirosław Kasjan, Czesław Kuriata, Stanisław Kaszyński, Józef Kapuściński, Wanda Karczewska, Kazimierz Kowalski, Maria Krukowska, Zenon Kosiodowski, Jadwiga Korczakowska, Jerzy Krzysztoń, Jadwiga Kopciowa, Krystyna Kuliczewska, Zofia Kierszys, Irena Kozłowska, Kazimierz Korcelli, Sławomir Kryska, Maria Karwowska-Pruszkowska, Ryszard Kosiński, Kazi-

mierz Koszutski, Maria Kann, Lech Konopiński, Maria Kaliska, Waldemar Kiwilszo, Maria Kasprowiczo.

Bohdan Loeb, Michał Lengowski, Gustaw Leydin, Mieczysław Lepecki, Lucyna Legut, Zofia Lewandowska, Bolesław Lubosz, Mirosław Leyk, Jerzy Lutowski, Anna Lau-Gniadowska, Jerzy Lau, Ryszard Liskowacki.

Stanisław Łukasiewicz.

Mira Michałowska, Tadeusz Mikołajek, Czesław Michniak, Leszek Maruta, Henryk Markiewicz, Janusz Moszczeński, Anna Markowa, Eugeniusz Mroczo, Zdzisław Morawski, Aleksander Minkowski, Bernard Mark, Zbigniew Mitzner, Elżbieta Miłanczówna, Andrzej Mularczyk, Wanda Melcer, Mieczysław Miszewski, Mieczysław Markowski, Edward Martuszewski.

Roman Niewiarowicz, Krystyna Nepomucka, Stanisław Nędza-Kubinieć, Anna Nieławicka-Rewska, Wojciech Natanson.

Aleksander Olszakowski, Karol Okoński, Róża Ostrowska, Stefan Ordega-Różnicki, Andrzej Ostoj-Owsiany, Jan Bolesław Ożóg, Klemens Oleksik, Marta Okołów-Podhorska, Józef Ożga-Michalski, Wacław Olszewski.

Jadwiga Popowska, Jan Piepka, Halina Pośniatowska, Witold Piechoczek, Henryk Panas, Jerzy Przymanowski, Henryk Piotrowski, Leszek Prorok.

Henryk Rostworowski, Maria Rosińska, Bohdan Rutha, Teofil Ruszyński, Józef Ratajczak, Teresa Rządowska, Mikołaj Rostworowski, Janusz Rychlewski, Józefina Rogosz-Walewska.

Julian Stawiński, Władysław Studencki, Jerzy Sulima-Kamiński, Janusz Stępowski, Jan Stoberski, Zofia Sroczyńska, Włodzimierz Sokorski, Tadeusz Stępowski, Maria Skibniewska, Stanisław Maria Saliński, Maria Szpyrkówna, Mirosław Stecewicz, Dawid Sfar, Stanisław Sielski, Zbigniew Stolarek, Maria Szypowska, Ewa Szumińska, Zygfryd Sawko, Jan Szczawiej, Michał Sumiński, Józef Szczawiński, Wacław Stępień, Roman Szydłowski.

Tadeusz Śliwak, Włodzimierz Ścisłowski, Alojzy Śliwa, Ludwik Świeżawski.

Irena Tuwim, Leonard Turkowski, Fryderyka Turska, Władysław Terlecki.

Rafał Urban.

Maria Wardasówna, Marek Antoni Wasilewski, Henryk Worcell, Alfred Woyciecki, Ludwika Woźnicka, Zofia Woźnicka, Jan Wilczek.

Izydor Zaczekiewicz, Juliusz Znamierowski, Bronisław Zieliński, Andrzej Zeyland, Apoloniusz Zawilski, Marian Załucki.

Krystyna Żywulska, Leonard Życki.

Taras Szewczenko 1814-1964

I

Każdy naród ma swoje wielkie rocznice, swoich świętych patronów, swoją mitologię. To normalne. Bez tego zanikałaby pamięć historyczna a tym samym trwanie kultury narodowej uległoby zagrożeniu. Ale formy obrzędowe, które się przy tym wytwarzają, mają skłonność do kostnienia i zamieniania się w martwą literę. Wtedy na scenę wkraczają brązownicy i zaczyna się złożenie posągów.

Kult Tarasa Szewczenki, którego sto pięćdziesięciolecie od dnia urodzin obchodzi w roku bieżącym naród ukraiński, powstał właściwie już za życia poety. Chłop pańszczyźniany, „wykupiony” od swego właściciela, jakby chodziło o martwy przedmiot — pańszczyzna w Rosji była od czasów Katarzyny II autentycznym niewolnictwem — genialny samouk, sam jeden dokonał dzieła, które w innych warunkach wymagałoby wysiłków niejednego pokolenia: położył podwaliny pod odrodzenie uśpionej świadomości narodowej. Zapewne, poczucie odrębności znajdziemy nawet u pisarzy osiemnastowiecznych, piszących raz po ukraińsku, raz po rosyjsku — u Kapnista, Kotlarewskiego, ale nie było w tym drożdży historiozoficznych, bez których nie można upiec chleba samostniej kultury narodowej.

Pisząc o Mickiewiczu, że „wszyscyśmy z niego”, Krasiński miał na myśli tych polskich pisarzy, którzy elementarz poetycki sylabizowali z „Balladami i romansami” w rękę; o Szewczenku mógłby powiedzieć to samo cały naród, słowami „Kobzarza” przemawiający oczy, zaspane od długoletniej niewoli. Poezja ta była dla współczesnych objawieniem, przeżyciem o takim napięciu emocjonalnym, że wszelkie analogie wydają się w ogóle niemożliwe, nawet analogie z polskim romantyzmem. Uznany za proroka narodowego, Szewczenko pozostał nim po dziś dzień. Taki stosunek do niego — stuprocentowo wyznawczy — kryje jednak w sobie rozliczne niebezpieczeństwa.

Tu wypadnie mi przypomnieć własne uwagi, wyrażone przed dziesięć laty w studium „Scylle i Charybdy ukraińskiej poezji” („Kultura”, 5/79 i 6/80 — 1954).

„Nie ma w nim — pisałem, omawiając twórczość Maksyma Ryłskiego — nic z ludowego etnografizmu, nawet w skali Szewczenki, parafialnego zaklepienia, upartego wieszania poetyckiego garnka na kołku chrześcijańskiego płotu od wiśniowego i słowiczego ogrodu. Nie jest przypadkiem, że zarówno Zerow jak Ryłskij — i to w jeszcze silniejszym stopniu — świadomie, programowo odeszli od Szewczenki: w szkicu o poetach słowiańskich, który narobił wiele hałasu, Ryłskij wysunął na pierwsze miejsca Puszkina i Mickiewicza; Szewczenko znalazł się zaraz po nich, ale jak gdyby od niechcenia, „dla honoru domu”. Złośliwi twierdzili, że Ryłskij najchętniej zastąpiłby autora „Kobzarza” własnym nazwiskiem. Nie lękajmy się herezji i oświadczmy bez ogródek: ze stanowiska ściśle artystycznego miałyby całkowitą rację”.

Tę mimochodem rzuconą uwagę, przez samego autora określoną jako herezja, trzeba rozwinąć i uzasadnić. Jakie miejsce wyznaczyć Szewczenko w poezji ukraińskiej? Był prorokiem — niewątpliwie; odegrał rolę przełomową na największą miarę historyczną — także nie ulega wątpliwości: jego portret można było znaleźć w chatach chłopskich tuż obok świętych obrazów — to rzeczy powszechnie znane. Czy jednak mają rację Ukraińcy, gdy uważają go za swego największego poetę wszystkich czasów, a także za jednego z największych poetów Słowiańszczyzny?

Zmarły w roku 1962-im Todoś Ośmaczka oświadczał kategorycznie, że Szewczenko jest pierwszym poetą ludzkości. Cytuję tę opinię nie po to, by ją obalać — w danym wypadku dyskusja jest zbędna — lecz by dać przykład do jakich skrajności może doprowadzić ślepe, bezkrytyczne uwielbienie. Jeśli *największy* nawet w powszechnej skali, to i jego wpływ literacki powinien być żywy i twórczo zapładniający. A to już brzmi dosyć groźnie.

Wiadomo dobrze z dziejów literatury, że u wielu poetów rozpiętość między talentem, potencjalnymi możliwościami, a realnymi wynikami bywa niekiedy bardzo znaczna. To zależy nie tylko od umiejętności gospodarowania w zakresie własnego artystycznego warsztatu, ale także od szeregu elementów ubocznych: warunków życiowych, wpływów środowiska, ogólnego klimatu kulturalnego. Otóż rozpiętość ta u Szewczenki jest wyjątkowo *wielka*.

Autor „Kobzarza” żył niespełna pięćdziesiąt lat. To nie decyduje, bo znamy znakomitych poetów, którzy dali szczytowe osiągnięcia w bardzo wczesnej młodości, a w każdym razie przed trzydziestym rokiem życia: Keats, Lermontow, Rimbaud, etc. Ale znaczna część życia Szewczenki była nadzwyczaj trudna, obfitująca w długie okresy, absolutnie nie nadające się do twórczej pracy. Tamci ulubieńcy bogów, skazani na przedwczesną śmierć, ścigali się z bezlitosnym czasem i często wygrywali; ten Prometeusz skowany musiał dosłownie kraść nieliczne chwile i lata, by utrwalić swój ślad na ziemi.

Tworząc, był zdany właściwie niemal wyłącznie na własne

siły. Z jakim bagażem przyjechał młody Ukrainiec do nadnewskiej stolicy? Niewiele więcej poza umiejętnością czytania i pisanie. Trzeba było zaczynać wszystko od początku. Żywioł pieśni ludowej, z którym był zespolony tak organicznie, że trudno przeprowadzić jakiś rozdział, dawał łatwą odskocznnię i bliski kontakt z masowym czytelnikiem, ale to ułatwienie stanowiło *jednocześnie* i obciążenie. Gdyby losy osobiste ułożyły się inaczej, gdyby nie sołdecki szynel i długa wegetacja w azjatyckich pustkowiach, gdyby wreszcie Szewczenko miał więcej czasu na pracę nad samym sobą i na lepsze poznanie literatury zachodniej, być może, narodowy prorok i odnowiciel stałby się również *artystą* na miarę swego wielkiego talentu.

Niestety, na boisku świata decydują realne zwycięstwa, a nie okoliczności odciażające, które dostrzec może tylko oko wyjątkowo ludzkie i współczujące. Coraz to powtarza się historyjka owego londonowskiego boksera, który przegrał walkę, a wraz z nią swoją ostatnią szansę, bo nie miał pieniędzy na zjedzenie dobrego befsztyka przed wejściem na ring. Okoliczności odciażające nic widzów nie obchodziły.

Po tym wstępnym wywodzie już czas przybić nad wejściem do ukraińskiej świątyni narodowej kartkę z heretycką tezą: Forsowanie Tarasa Szewczenki jako największego poety Ukrainy nie ma sensu. Tej części jego twórczości, która dziś ma znaczenie już tylko historyczne, takie forsowanie nie uratuje, zaś literaturze ukraińskiej szkodzi, gdyż sprowadza ją do rodzaju i poziomu, na pewno od dawna przezwyciężonego.

A teraz proszę nie oddawać mnie w katowskie ręce za rzekome bluźnierstwo, zanim tej, prowokacyjnej dla wielu opinii, odpowiednio nie uzasadnię.

II

Któryś z rosyjskich krytyków słusznie napisał, że nie ma gorszej lektury od tak zwanych „utworów zebranych”. Każdy pisarz — niezależnie od jego miary — popełnia książki, które z biegiem czasu stają się całkowicie nieczytelne. Jeżeli nawet Homer ucinął sobie drzemkę od czasu do czasu, cóż tam mówić o innych! Dla historyka literatury ważne jest w mniejszym czy większym stopniu absolutnie *wszystko*; czytelnik ma prawo do wyboru i, naturalnie, z tego prawa korzysta.

„Kobzarz” jest świętą księgą pokonanego i pozbawionego wolności narodu, ale w dużej mierze stał się pozycją właśnie nieczytelną. Wskazania i maksymy, którymi usiane są długie utwory dydaktyczne, stały się powszechną własnością i dzięki temu nabrały autonomii, uniezależniły się od kontekstu. I niejednen, cytując Szewczenkę na taki czy inny użytek, prawdopodobnie nie potrafiłby wskazać bez pudła, z jakiego utworu pochodzi cytowane zdanie. To normalne zjawisko — nie powinno dziwić nikogo. W „Księgach narodu i pielgrzymstwa” również znajdziemy poszczególne zdania, które nigdy nie stracą siły żywotnej; było-

by jednak grubą przesadą żądać od czytelnika polskiego — nie mówiąc o obcym — aby zachwycał się całością.

Szewczenko stosował słownictwo i rytm pieśni ludowej do poematów o szerokim oddechu epickim i dydaktyczno-historiozoficznym. Był to błąd artystyczny, który musiał zemścić się. Niekiedy instynkt poetycki zdobywał się na dostateczną prężność, aby wyjść z takiej próby zwycięsko. W „Hamaliji” pisarz zastosował rytmy ludowe tam i tylko tam, gdzie tego wymagała sytuacja; w innych partiach poematu potrafił wyjść poza ludowość i tam właśnie zdobył się na najlepsze osiągnięcia. Sądzę, że „Hamalija”, przełożony adekwatnie, wytrzyma porównanie z najlepszym romantycznym utworem poetyckim tego rodzaju na Zachodzie. Zaś szczęśliwym połączeniem siły epickiej z liryzmem na pewno go przewyższy.

Znam jeden dobry przekład „Hamaliji: polski — wyszedł spod mego pióra. Pójdę dalej w zarozumiałości; w hiszpańszczyźnie wyszłoby chyba też nie najgorzej. Gdy zdobędę tekst oryginalny, którego w tej chwili nie mam, udowodnię, że nie jest to zwykła przechwałka.

Co pozostanie z Szewczenki na użytek przyszłych pokoleń? W Ukrainie niepodległej, żyjącej normalnym życiem narodowym, cała *wieszczą, prorocką* część tej wysiłonej patriotycznie poezji będzie musiała odejść na dalszy historyczny plan. Więc pozostaną przede wszystkim niektóre drobne wiersze liryczne, świadczące kim Szewczenko mógłby się stać, gdyby inaczej potoczyły się jego życiowe i pisarskie dzieje. Przekłady psalmów, osiągające niekiedy taką czystość językową i uczuciową, na jaką zdobyło się niewiele w literaturze światowej. To już nie zwykłe przekłady, to coś więcej, jak nie jest tylko tłumaczeniem z łaciny „Psalterz Dawidowy” Jana Kochanowskiego.

Heretyk jest uparty, więc oto następna bluźniercza teza: — Szewczenkę można by pokazać cudzoziemcom jedynie i wyłącznie w bardzo szczupłym wyborze. O „Hamaliji” już wspominałem. To i owo z niewielkich rozmiarami wierszy ludowych, dających szczęśliwy przykład, że poeta może zatrzeć granicę między własną twórczością liryczną, a spontaniczną pieśnią. Niewiele? Rzeczywiście niewiele, ale lepiej zadowolić się minimum, niż łudzić się i przekonywać nieobecnych, a raczej wyimaginowanych słuchaczy o wielkości proroka, nieznanego i nieuznanego gdzie indziej.

Kurhan pod Kaniowem pozostanie na zawsze świętą górą. Byłoby dla niego niezasłużoną krzywdą zestawianie z Olimpem poezji światowej.

III

Rocznicę szewczenkowską obchodzi się w Związku Sowieckim niezmiernie hucznie. Fałszywie, po uzurpatorsku, ale hucznie. I nie bez kozery. Oficjalna, choć niepisana i otwarcie niewyłożona polityka partii w literaturze i w ogóle kulturze idzie po linii od-

powiednio skorygowanej *małorosyjszczyzny*. Szewczenkę wykląda się „socjologicznie”, kładzie się niemal wyłączny nacisk na akcenty protestu społecznego, nakładając tłumik na postawę antymoskiewską.

Ale to tylko jeden i bodaj nie najważniejszy aspekt tej sprawy. Stawka na Ukrainę, jako na „młodszą siostrę” wielkiego „starszego brata”, to zarazem stawka na etnografizm, czyli na hajdamaczyznę, na „wiśniowe sady”, na „rewé taj stohne Dnpr szyrokyj”, na szarawaryzm i banduryzm, na to wszystko, co swoją malowniczą fasadą pozoruje i osłania prawdziwy stan rzeczy. Soc-realizm w wydaniu regionalnym przeskoczył nad tym, co działo się w literaturze prawdziwie ukraińskiej w okresie bujnego odrodzenia kultury narodowej. Już nie mówiąc o emigrantach, skazanych na całkowite przemilczenie, gdzieś tam tylko można dostrzec ślady młodego Tyczyńskiego, kijowskich neoklasyków, po barokowemu rozrzutnego Bażana. W pod-sowieckiej poezji w języku ukraińskim święci triumfy tradycyjny etnografizm z czerwoną wstążką u wyszywanej koszuli. Związki z Zachodem, o które tak uparcie i konsekwentnie rozbijał się Mykoła Zerow, uległy zerwaniu i starannej eliminacji.

I tu właśnie partia bolszewicka, dbająca pilnie, aby Ukraina nie wyłamała z kolein „regionu”, znalazła wygodną legitymację w osobie Szewczenki. Jeżeli wielki, „największy”, poeta ukraiński grał na kobzie, to z jakiej właściwie racji jego następcy mają zmieniać instrument? „Oj, hop, moi czerewyki...”, „a muzyka hraje” — tyle że na kołchoźniczych odciskach. Pewnie, można protestować, wolno wołać, że to nadużycie, bo twórczość Szewczenki nie ogranicza się do hopaków i bandur, ale pretekst jest i do tego bardzo ładnie uzasadniony.

Podobnie postępowano w Polsce w okresie „błędów i wypażeń”. Systematycznie obniżano poziom, i większość soc-realistów, gdy nie pisała pod Majakowskiego, to pod Konopnicką, Syromkłę, nawet Wincentego Pola, szumiała żytnio i oberkowo, rezygnowała ze zdobyczy nowoczesnej techniki poetyckiej, zadziwiała jako łatwo upodobniając się do przeciętnej „klasy” propagandowej grafomanii sowieckiej. Potem to się urwało, ale precedens został. Amatorzy analogii mają wdzięczny materiał do badania.

Szewczenko dał ze siebie więcej, niż ktokolwiek inny mógłby dać w podobnej sytuacji i warunkach życiowych. „Więc już można mogiłą spokojnie się przykryć, dobrze wiedząc, że żem żył nie na darmo...” — te słowa, które włożyłem w usta poety, pisząc o nim przed dwudziestu kilku laty, chyba najlepiej wyrażają ocenę roli, jaką odegrał. Zdziałał dostatecznie wiele, aby mu nie przypisywać zasług niestniejących.

IV

Dzieła sztuki nie wolno mierzyć tylko jego użytecznością społeczną czy narodową, gdyż jest to wartość przemijająca. Nie

ma bodaj w dziejach piśmiennictwa światowego przykładu tak wielkiego wpływu poezji na społeczeństwo, jak w okresie polskiego romantyzmu. Jego potężny utylitaryzm często szedł w parze z równą w natężeniu wartością poetycką, ale nie zawsze. Wspomniane już, także przykładowo, „Księgi narodu i pielgrzymstwa” odegrały rolę olbrzymią, dziś jednak stanowią już tylko pozycję archiwalną; erotyczne sonety tegoż Mickiewicza ulokowały się poza wszelkim utylitaryzmem, lecz i po stu kilkudziesięciu latach należą do literatury żywej.

Szewczenko, oglądany w perspektywie rozwoju narodowego, jest olbrzymem; jako artysta zasłużył na to miano jedynie w nielicznych utworach. Wybór jego wierszy, dokonany z takiego właśnie punktu widzenia, musiałby ograniczyć się do kilkunastu zaledwie pozycji. Kto *całego* „Kobzarza” pragnie lekką ręką przekazać nieśmiertelności, ulega miłemu, patriotycznemu złudzeniu.

Poezja ukraińska, mimo niektórych wzlotów Iwana Franko, drugiego po Szewczenku Prometeusza, zakutego w więzy dyktando narodowego (wielkość Łesi Ukrainki legitymuje się dramatem, nie liryką), wzniosła się na poziom europejski dopiero w wieku XX-tym. Z poważnym opóźnieniem, to prawda — np. znakomite sonety Zerowa gdzie indziej byłyby pewnym anachronizmem — ale nie ma powodu do dyskwalifikowania opóźnień, historycznie usprawiedliwionych. Nie mówię tego na wiatr — wszystko można sprawdzić. Sprezentujcie w równie kongenialnym przekładzie najlepsze utwory Szewczenki, a obok chociażby poetycką prozę Pawła Tyczyny z „Zamiast sonetów i oktaw”, a przekonacie się jaka będzie reakcja zachodniego czytelnika.

Nadmierny kult autora „Kobzarza”, nieuzasadnione a bezkrytyczne rozszerzanie pojęcia wielkości, bezspornej w człowieku, na wszystko, co napisał, utrudnia, a niekiedy nawet skutecznie paraliżuje proces dalszego wydobywania się z zaściankowości, z etnografizmu, z wyszywanych koszul, z jarmarku w Soroczyńcach, z pseudobukolicznej Małorosji, z „Natałok-Połtawok”, „*pereljicowanych* na sowiecki ład. Natomiast odbrazowując poezję Szewczenki, nie popełniamy żadnego zamachu na jego wielkość duchową: po prostu ustawiamy sprawy na właściwym miejscu, trzymamy się rzeczywistych proporcji.

Wszystko sprowadza się do zasadniczego stwierdzenia. Historyczna rola, odegrana przez tego człowieka, była niepomrotnie większa od wartości artystycznych jego utworów. Znamienne były reakcje współczesnych pisarzy i krytyków rosyjskich, ogarniające wszystkie odcienie: od niepowstrzymanego entuzjazmu do skrajnej niechęci. Pogardliwie pisał o Szewczenku Bielin-skij, mimo że akcenty wolnościowe nie powinny były budzić w nim zastrzeżeń. Znanego zwrotu o „*dziegciu*” nie należy brać dosłownie; liberał i „wolnodumiec” był pod skórą wielkodzierzawym szowinistą i właściwie oceniał niebezpieczny ładunek tkwiący w tych wierszach. Niebezpieczny nie tylko dla carskiego ustroju — dla Rosji samej.

Postawa Gogola była na pewno o wiele bardziej skompliko-

wana. Na miarę własnego rozdwojenia. Hohol-Janowskyj, czernikowski szlachcic i autor „Wieczorów na chutorze koło Dikańki”, musiał chyba wyczuć siłę telurycznego prądu, trzaskającego raz po raz ostrym, antymoskiewskim spięciem; Gogol, mieszkaniec Sankt Petersburga i autor apostrof do „matki-Rosji”, odwracał się do Szewczenki plecami.

A inni? A ci Rosjanie, którzy reagowali pozytywnie, czy nawet z zachwytem? To co pod innymi względami było obciążeniem — chłopskie, pańszczyźniane pochodzenie — w kołach liberalizującej inteligencji stanowiło przewagę i świetny bilet wizytowy. Bielinskij okazał się jednak bardziej przenikliwy, podczas gdy olbrzymia większość petersburskich wielbicieli Szewczenki widziała w nim przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie szermierza ludowej wolności. Oceny artystycznej było w tym niewiele. Ciekawe, gdy już po latach, a więc z pewnej perspektywy, Niekrasow na wiadomość o śmierci Szewczenki napisał o nim wiersz wyraźnie dytyrambiczny, zabrakło w nim miejsca dla najlżejszej choćby wzmianki o narodowej postawie poety. Dla Niekrasowa był to człowiek *rosyjski*, walczący z niesprawiedliwym ustrojem, i nic więcej. Po tej samej linii idą dziś także sowieccy gloryfikatorzy.

Ważne rocznice, właściwie obchodzone, są okazją do utwierdzenia się we wspólnotcie narodowej, ogarniającej nie tylko żywych, ale także pokolenia, które dawno odeszły. O to jednak chodzi, aby przy tak dogodnych okazjach zdobywać się na wybór i z przeszłości brać to, co daje projekcję na przyszłość. I tak pojęty wybór zmusza do radykalnego rozróżnienia między Szewczenką-prorokiem i wielką postacią historyczną, a współczesnym wydzwiękiem jego sztuki poetyckiej.

Józef ŁOBODOWSKI

O Franciszku Anczewiczu

Przyszła wiadomość o jego śmierci, więc piszę o nim. Poznałem go na proseminarium teorii prawa, prowadzonym przez docenta Ejnikównę. To proseminarium było ostatnim bastionem wpływów Petrażyckiego na naszym uniwersytecie, a rzecz działa się chyba w roku kiedy Petrażycki, nie mogąc się po swojej sławie petersburskiej zadomowić w warszawskim chłódzie, popełnił samobójstwo, a więc w 1931, albo trochę wcześniej. Nie pamiętam o czym tego dnia dyskutowano; jako ostatni zabrał głos ktoś siedzący w tylnych ławkach i wszyscy się odwrócili na jego gul-

gotanie. Wysoki, ogromna głowa z okazałym, ostro zakończonym nosem, okulary w rogowej oprawie i szopa konopianych włosów. Twarz jego była czerwona od emocji, onieśmienia, i po kilku słowach było jasne, że nie może się wyjęzyczyć, bo nie umie po polsku, bąka coś mieszaniną rosyjskiego i niemieckiego. Gdyż Pranas Ancevicus dopiero co zjawił się na wydziale prawa a przywędrował z Wiednia.

Urodził się na Żmudzi w ubogiej chłopskiej rodzinie i jego życiowa kariera długo była podzielona na równi pomiędzy gimnazjum i pasanie krów. Wcześniej stał się wolnomyslnikiem i rewolucjonistą. Myślę, że dopomogła w tym literatura rosyjska, bo rosyjski był jedynym obcym językiem jaki wtedy znał. Kiedy zaprzyjaźniliśmy się i mieszkaliśmy na tym samym piętrze w nowym domu akademickim na Górze Bouffałowej (z okna patrzyłem tam na wnętrza znanych na pamięć klas mego gimnazjum), recytował nieraz Gorkiego „Piesniu o buriewiestnikie” i Majakowskiego. W 1926 r. wziął udział w nieudanym puczu socjalistycznym i musiał z Republiki Litewskiej uciekać — do socjalistycznego Wiednia, gdzie znalazł ciepłe przyjęcie, możliwość studiów i swój kąt w Karl Marx Hof. Z nieznanym mi powodów przeniósł się do Wilna, bo rozgromienie socjal-demokracji austriackiej nastąpiło przecie dopiero w 1934 r.; prawdopodobnie dość miał obczyzny, albo po prostu Wiedeń był dla niego za drogi, w Wilnie można było utrzymać się za grosze.

W Wilnie jednak sytuacja draugasa, jak go nazywałem, była najzupełniej paradoksalna. Litwin, ale anty-kowieński, a więc tępiący przez lokalne nacjonalistyczne organizacje litewskie i odpłacający się im pogardą, a przecie bynajmniej nie pro-warszawski. Uchodźca, tolerowany przez polskie władze, zagrożony, w chwilach kiedy te władze nabierały szowinistycznego zapału, przymusową repatriację, która równała się dla niego trafieniu do mamra. Co gorsze, w miarę jak zyskiwały u nas na sile tendencje lewicowe i komunistyczne, okazywało się jak źle być marksistą. Gdyż w tych sprawach Pranas, rewolucjonista, żeby tak rzec, spontaniczny, dobrze się orientował, stąd jego kąśliwość w dyskusjach, co dało powód do wieloletnich szeptanych kampanii oczerniających: że moralnie podejrzany. Pomagała temu nieznanomość jego źródeł dochodu. Te źródła znałem. Związany był z grupką litewskich socjalistów i wolnomyslników w Chicago, pisał artykuły dla ich prasy, dostawał stamtąd skromne sumy, które tyle że wystarczały na budżet wiecznego studenta, gdyż tym był z przeznaczenia. Wiecznie obłożony czasopismami i książkami, ciekawy wszystkiego co się działo w polityce, entuzjastycznie-depresyjny, potężnej siły i zdrowia a zarazem neurastenik, coraz bardziej zadomawiał się w swojej roli obserwatora, badacza, zresztą w niczym, jako uchodźca, nie mógł brać udziału. Zdał magisterium, napisał pracę doktorską i otrzymał dyplom doktora praw. Prace naukowe i wykłady w Instytucie Badań Europy Wschodniej zdawały się być danymi jego dalszych losów. Sekre-

tarzem Insytutu był poeta Teodor Bujnicki, wszystko w naszym mieście wiązało się najdziwaczniej.

Draugas miał na mnie duży wpływ, czasem zły, czasem dobry. Starszy ode mnie, wtajemniczał mnie w różne polityczne zażyłości i dawał tego rodzaju perspektywę międzynarodową, jakiej moi koledzy z „Żagarów” na ogół nie mieli. Tak że szczególność mojej własnej ścieżki w porównaniu z ich ścieżkami i jemu w znacznym stopniu muszę przypisać. Co prawda wpływ ten ograniczał się do pewnej sfery zagadnień; dziwactwa poetyckie, bardzo dla mnie płodne, nie miały do niego dostępu. Tłumaczyliśmy z nim litewskie wiersze rewolucyjne, np. Kazysa Boruty — tylko taki gatunek poezji czułem.

Gdyby został w Wilnie za okupacji sowieckiej, byłby jednym z pierwszych deportowanych do łagrów, jak przydarzyło się innym litewskim lewicowcom. Po przyłączeniu Wilna do Litwy jakoś uładził się z władzami, dawne grzeszki przyschły, i zaczął pracować w gazecie liberalno-demokratycznej czy socjalistycznej, „Lietuvos Žinios”. Kiedy jako korespondent tej gazety, a więc prasy neutralnego kraju, pojechał do Berlina, Litwa nagle przestała istnieć i Ancewicz raz jeszcze stracił przynależność państwową. Potem, po zajęciu Litwy przez Niemców, zdołał powrócić i otworzył kancelarię adwokacką w Szawlach. Tam to, na Żmudzi, spotkał się znów z naszym wspólnym przyjacielem, Teodorem Bujnickim, który schronił się z rodziną we dworze swoich krewnych, bo w Wilnie Gestapo rozwaliliby go natychmiast jako świeżo-upieczonego poetę komunistycznego. Bujnicki bał się ponownego zajęcia Litwy przez wojska sowieckie i układał plany ucieczki na zachód. Gdyby to zrobił, zapewne dostałby się do Polski i żyłby może dotychczas, zamiast zginąć bezsensownie od kuli fanatyka-patrioty w tym samym domu przy ulicy Podgórznej 5, gdzie mieszkiałem przez wiele lat, aż do szóstej klasy gimnazjum (wszystko wiąże się dziwacznie w naszym mieście). Rodzina Ancewiczów, z małymi dziećmi, przebrnęła przez bombardowane Prusy Wschodnie i w Niemczech rozpoczęła życie dipisów. Stamtąd wyemigrowała do Kanady.

Zaletom charakteru, żeby mogły się ujawnić, trzeba czasu i spokoju. Uparty, jak to Żmudzin, Pranas, Franciszek, Frank, zawsze zostawiony samemu sobie i niemal permanentny emigrant, dorobił się domu z ogrodem w miasteczku koło Toronto i miłości współobywateli, małego kosmopolitycznego zbiornika robotników mówiących mnóstwem języków i narzeczy. Dorobił się za cenę poświęceń. Doktor praw, pracował w fabryce jako robotnik, bo gdyby zajął się nostryfikacją dyplomu, dzieci musiałyby wcześniej iść do pracy. A wszystkie dzieci otrzymały wyższe wykształcenie. I być może dopiero w Kanadzie zdołał dowiedzieć, że jego socjalizm to nie były tylko porywy młodości, o których się zapomina. Bezinteresowny, żarliwy, gotów nieść każdemu pomoc, zasłynął wkrótce jako doradca prawny swoich kolegów, sąsiadów, i działacz związku zawodowego. Wybierano go do miejscowych urzędów, raz kandydował do parlamentu. Zapewne, miasteczko

Oakville nie jest wielkim światem ani państwem, które się urządza według swoich zasad. W innych okolicznościach wypłynąłby jako litewski mąż stanu — jeżeli nie przeszkodziłaby mu gwałtowność i niechęć do kompromisów. Ale wydaje mi się, że po wielu wędrówkach zrealizował siebie pełniej w fabryce, w związku zawodowym, w swoim pokoju-bibliotece wypełnionym najnowszą literaturą polityczną w wielu językach, niż potrafi to niejeden z tych o których głośno w międzynarodowej prasie.

Jaka była moja przyjaźń? Dzieliło nas wiele, i, uległy mu, zdawałoby się nieraz, całkowicie, zachowywałem swoje własne pomysły.

Ale nad wszystkim górował odruch uczuciowy, niemal fizyczny, pociąg do jego niedźwiedziowatości, dobroci, hałaśliwości, tkliwości — bo był naładowany serdecznymi wzruszeniami jak litewska *daina*. Hołdowaliśmy razem wielu radościom prymitywnym. Zakuwanie do egzaminów z jakichś całkiem dziś dla mnie obłąkanych przedmiotów, a potem pod prysznic tuż obok w korytarzu i tam nasze dzikie ryki, pieśni. To znów na „domowe obiady” tuż obok, za rogiem ulicy Mała Pohulanka, smaczne, choć w mieszkaniu smrodliwym, „wydawane” przez nieco oblesną wdowę. Albo na wódkę do żydowskich restauracji w zaułkach koło ulicy Niemieckiej, a takich restauracji i zaułków nigdzie poza Wilnem w tej części Europy nie było. Tylko że tutaj chwytam nitkę i czuję przerażenie, bo za nią rozwija się cały motek obrazów zbyt dotykalnych albo, przeciwnie, zbyt i zagadkowo, zatarzonych, obolałości ściśle prywatnych, twarzy, nazwisk. Tak czy owak, draugas, jako fizyczna obecność, pozostaje dla mnie jednym z głównych przewodników po labiryncie pamięci i jego śmierć tego nie zmienia.

Czesław MIŁOSZ

Antykolonialny „manifest” rumuński

W ostatniej dekadzie maja br. w miastach rumuńskich odbyły się liczne antysowieckie demonstracje. Charakteru antysowieckich demonstracji nabierały zebrania organizowane przez partię w fabrykach, w urzędach, na wyższych uczelniach a nawet w szkołach średnich.

Celem tej — na szeroką skalę — organizowanej kampanii propagandowej jest przekonanie społeczeństwa, że rumuńska partia komunistyczna prowadzi politykę narodową i niepodległościową. W opinii obserwatorów zagranicznych „narodowy komunizm” rumuński z każdym miesiącem zbliża się coraz bardziej do modelu jugosłowiańskiego.

Celem cytowanych zebrań organizowanych przez partię było zapoznanie ludzi pracy z głównymi wytycznymi „manifestu” uchwalonego przez rozszerzone Plenum Komitetu Centralnego Rumuńskiej Partii Komunistycznej w kwietniu 1964 r.

Kierownictwo partii nie obawia się by wybuchy uczuć antysowieckich spowodować mogły interwencję na wzór węgierskiej w roku 1956. Partia rumuńska nie zamierza zrywać z Moskwą, dąży natomiast do maksymalnego uniezależnienia się od Sowietów tak w sensie gospodarczym jak i politycznym.

Inicjatorem nowej polityki rumuńskiej jest Georghiu-Dej, pierwszy sekretarz KC i szef biura politycznego. Georghiu-Dej dążył systematycznie do wydobycia swego kraju spod kontroli sowieckiej. W roku 1958 na skutek jego nieustępliwych żądań Sowiety wycofały swoje garnizony wojskowe z terytorium Rumunii.

„Manifest” rozszerzonego Plenum KC Rumuńskiej Partii Komunistycznej z kwietnia br. jest obszernym dokumentem liczącym 32 strony pisma maszynowego.

Pierwsza część poświęcona jest sporowi pomiędzy Pekinem a Moskwą. 14 lutego KC RPK wystosował list do KC ChPK z propozycją natychmiastowego zaprzestania publicznych polemik. 17 lutego Rumuni otrzymali odpowiedź Mao Tse, który wysunął sugestię dyskusji na wyższym szczeblu. Mao zaznaczył również, że jeżeli Rumuni wyślą natychmiast delegację partyjną do Pekinu — KC Chińskiej PK wstrzyma na pewien okres publikowanie materiałów polemicznych.

Delegacja rumuńska wyjechała do Pekinu i po dłuższych debatach otrzymała od KC chińskiej PK autorytatywne stwierdzenie, że zaprzestanie polemik musi być poprzedzone uzgodnieniem warunków i poglądów w negocjacjach pomiędzy Pekinem a Moskwą. Dopóki to nie nastąpi Chińczycy nie zamierzają zaprzestać publicznych polemik.

Warto podkreślić, że Rumuni wysłali ostentacyjnie swą delegację do Pekinu w okresie szczególnego nasilenia wojny ideologicznej rosyjsko-chińskiej. W omawianym „manifestie” rumuńskiego Komitetu Centralnego — choć wiele mówi się o jedności i zgodzie — nie ma niczego, co mogłoby urazić Chińczyków. W rzeczywistości Rumuni nie tylko nie potępił Chińczyków, lecz wstrzymali się nawet od ideologicznej krytyki ich stanowiska.

25 marca br. KC RPK wysłał projekt ugody do KC ChPK oraz do KC PKZS. Rumuni sugerowali by obie strony w sporze zaprzestały polemik i przedyskutowały z delegacją rumuńską projekt ugody. W ten sposób Rumuni wystąpili w roli głównego mediatora pomiędzy Moskwą a Pekinem.

Ponieważ inicjatywa mediacyjna nie została uwieńczona sukcesem — KC RPK zdecydował się ogłosić „manifest” dotyczący podstawowych problemów „budowy socjalizmu”.

Autorzy „manifestu” wypowiadają się za pokojową koegzystencją i wyrażają przekonanie, że ożywienie stosunków tak handlowych jak naukowych i kulturalnych z państwami kapitalistycznymi przyczynić się winno do odprężenia i poprawy klimatu w polityce międzynarodowej.

Dla polskiego czytelnika najbardziej interesujące są tezy „manifestu” proklamujące niezależność polityki rumuńskiej w stosunku do Sowietów.

Prasa warszawska poświęciła ostatnio sporo uwagi tzw. „Radzie Wzajemnej Pomocy Gospodarczej” powołanej 15 lat temu przez Stalina. Członkami owej Rady (zwanej na Zachodzie Komekonem) są: Polska, Bułgaria,

Czechosłowacja, Niemcy wschodnie, Rumunia, Węgry i Związek Sowiecki.

Polska prasa krajowa nie zdobyła się jednak ani na ocenę ani na krytykę 15-letniej działalności Komekonu. Natomiast w omawianym manifestie rumuńskim publicznie podważano fundament organizacyjny tej instytucji.

Komekon jest instrumentem imperialistycznej polityki sowieckiej. Celem tej instytucji było stworzenie ram dla zorganizowanego i najbardziej wydajnego wyzysku krajów satelickich przez Sowiety. Temu zadaniu miało służyć powołanie komisji planowania, która planowałaby polityki gospodarcze dla poszczególnych członków Komekonu. W praktyce oznaczałoby to oparcie wyzysku sowieckiego na naukowych zasadach przy zastosowaniu kolonialnego podziału pracy i produkcji.

W rumuńskim „manifestie” stwierdzono co następuje:

„W opinii naszej partii — istotę proponowanej inicjatywy (Komisji Planowania Komekonu) — stanowi rezygnacja z części uprawnień zarządzania przemysłem na rzecz instytucji ponad-państwowej. Powyższa sugestia jest sprzeczna z zasadami, na których opierają się stosunki międzynarodowe pomiędzy państwami socjalistycznymi.

„...Planowanie i zarząd narodową gospodarką stanowi jeden z fundamentalnych, zasadniczych i niepozbywalnych atrybutów suwerenności państwa socjalistycznego”.

„...Pełna suwerenność wymaga by władze państwowe dzierżyły w swym ręku całość decyzji tak w sprawach gospodarczych, jak i społecznych. Planowanie państwowe jest jedno i niepodzielne. Ani jego całość ani fragment nie mogą być przeniesione na instytucje ponad-państwowe”.

Równocześnie w tym samym manifestie stwierdzono, że „socjalistyczny międzynarodowy podział pracy nie może oznaczać izolacji państw socjalistycznych i odcięcia ich od światowych powiązań gospodarczych”.

Ilustracją powyższej tezy jest podpisanie serii układów handlowych pomiędzy Rumunią a Stanami Zjednoczonymi w ostatniej dekadzie maja br. Warto dodać, że w przeddzień podpisania układów rumuńsko-amerykańskich — radio Moskwa apelowało do Rumunów i innych narodów satelickich by szukały pomocy gospodarczej w ramach Komekonu, a nie na Zachodzie.

Wyraźnie antykolonialny charakter ma również następujące stwierdzenie: „Indywidualne *interesy jednego państwa* nie mogą być przedstawiane jako *interes ogólny* ruchu socjalistycznego”.

Jak wiemy, imperialistyczna teza sowiecka głosi, że wszystko co jest dobre dla Związku Sowieckiego jest automatycznie dobre dla rewolucji i odwrotnie, co nie przynosi zysku Sowietom nie leży w interesie międzynarodowego ruchu komunistycznego.

Nawiązując do praktyk Kominternu — autorzy „manifestu” stwierdzają że w obecnym okresie ingerowanie w sprawy wewnętrzne państw socjalistycznych, narzucanie gotowych rozwiązań — jest niedopuszczalne i szkodliwe.

„Nie ma i nie może być” — cytujemy dosłownie — partii „macierzystej” i partii „synowskiej” — partii „rządzącej” i partii „podporządkowanych”. Wszystkie partie komunistyczne i robotnicze są równe i mają równe prawa.

Tak oto w rumuńskim „manifestie” pogrzebano mit Związku Sowiec.

kiego jako „ojczyzny światowego proletariatu”, i zdezonizowano partię komunistyczną Lenina-Stalina-Chruszczowa obdzierając ją z jej przywódczych tytułów.

Rumuni byli pierwszym narodem satelickim, który skorzystał z możliwości zastrzeżonych w mowie prez. Johnsona w Lexington dla państw satelickich usiłujących umocnić swą niezależność w stosunku do Sowietów. Rumunia w pełni odpowiada hipotezie polityki amerykańskiej. Pomoc gospodarcza i wymiana kulturalna mogą w Rumunii przyspieszyć ewolucję w pożądanym kierunku.

Niestety nie wszystkie państwa satelickie są w sytuacji Rumunii. W artykule pt. „Polska-Rosja-Ameryka” („Kultura” nr 200) — staraliśmy się wykazać, że ewolucja komunizmu w Polsce zależna jest przede wszystkim od *momentów politycznych*, a nie tylko gospodarczych i kulturalnych. Dopóki Stany Zjednoczone — choćby nieoficjalnie — nie uznają granicy na Odrze i Nysie, dopóty Polska nie ma żadnej szansy uniezależnienia się od Sowietów. Uniezależnienie się od Sowietów jest kardynalnym warunkiem ewolucji komunizmu w kierunku stopniowej liberalizacji. Ponieważ brakło owych warunków politycznych polski „Październik” załamał się nie dokonawszy najmniejszej rysy na panującej doktrynie.

L.

Posag dla Ulbrichta

Zaledwie w kilka tygodni po swojej wizycie w Moskwie, z racji 70.ej rocznicy urodzin Chruszczowa, ruchliwy władca Niemiec Wschodnich zjawił się znowu w Rosji. Tym razem podróż Ulbrichta trwała dłużej: kilkanaście dni.

Po krótkim pobycie w Moskwie Ulbricht rozpoczął podróż po różnych ośrodkach przemysłowych Syberii. Nie ulega wątpliwości, że nie była to ani podróż podjęta dla celów propagandowych, ani nie stanowiła okazji turystyczno-wypoczynkowej.

Po co więc Ulbricht uważał za niezbędne podjęcie nowej peregrynacji do Moskwy?

Z licznych oznak wydaje się wynikać, że sprytny szef państwa wschodnio-niemieckiego próbuje upiec parę ważnych dla siebie pieczeni jednocześnie. Jedną z nich stanowi rola przemysłu wschodnio-niemieckiego w zaspokojeniu potrzeb inwestycyjnych Rosji. Jak wiadomo wśród głównych trosk Chruszczowa jest problem podniesienia produkcji rolnej w najbliższych latach. Do tego celu chce on dojść poprzez intensyfikację gospodarki na ziemiach tradycyjnie dostarczających płody rolne dla potrzeb ludności miast rosyjskich, tj. przede wszystkim na Ukrainie.

Potrzebne mu są do tego nawozy sztuczne, m.in. wschodnio-niemieckie sole potasowe. Potrzebne mu są też liczne fabryki innych nawozów sztucznych, które to fabryki w części przynajmniej może mu dostarczyć NRD.

W dokonanym wewnątrz RWPG podziale pracy, NRD przysługuje czołowa rola w dziedzinie przemysłu chemicznego. Komisja Przemysłu Chemicznego RWPG ma swoją siedzibę w Berlinie. Toteż kiedy rozwój chemii otrzymał w Rosji tak wysoki priorytet, rośnie na tym tle i rola głównego dostawcy sprzętu inwestycyjnego dla przemysłu chemicznego.

Już od lat NRD ma wyjątkowo korzystny układ wymiany handlowej z Rosją: eksport rosyjski do NRD składa się niemal wyłącznie z surowców (w tym w znacznej mierze z tzw. „dewizowych” surowców, tj. takich, które Rosja mogłaby w każdej chwili sprzedać za dewizy na rynkach światowych), gdy eksport NRD do Rosji to w 4/5 całości sprzęt inwestycyjny. Tego rodzaju wymiana maszyn za surowce zabezpieczyła NRD pomyślnie warunki rozwoju i umożliwiła stopniowe podnoszenie stopy życiowej do poziomu rozwoju.

Teraz, wobec zwiększonych zapotrzebowań Rosji na aparaturę dla przemysłu chemicznego, Ulbricht, jako główny jej dostawca (NRD jest najważniejszym dostawcą wszelkiego rodzaju maszyn do Rosji, nie tylko maszyn dla przemysłu chemicznego) będzie mógł prawdopodobnie przedstawić nową, słoną fakturę.

W eksporcie Rosji do NRD ważną rolę odgrywały produkty rolne. Z obliczeń ekspertów wynika, że sama Rosja będzie musiała sprowadzić w najbliższym roku ok. 5 mln. ton zboża. Czy będzie mogła zaspokoić rosnące potrzeby Ulbrichta?

„Nie tylko chlebem człowiek żyje” — Niemcy Wschodni przyzwyczaili się do stosunkowo wysokiego poziomu spożycia mięsa, masła, jaj i innych artykułów hodowli. Po dokonanym w zimie i na wiosnę bież. roku masowym wybijaniu zwierząt gospodarskich w Rosji, w wyniku braku pasz, czy Rosja będzie w stanie zaspokoić popyt NRD na produkty hodowlane?

Łatwiej będzie z surowcami przemysłowymi eksportowanymi z Rosji do NRD, lecz znów nie z wszystkimi. Ropa naftowa, tarcica, niektóre metale zapewniają Rosji dopływ dewiz, za które sama będzie musiała kupować potrzebne jej płody rolne i hodowlane, nie mówiąc o maszynach dla wyekwipowania fabryk. Wiele z tego będzie mogła odstąpić NRD?

Jest więc o czym mówić w Moskwie! Nie wydaje się jednak, by były to jedyne tematy rozmów z Ulbrichtem.

Nie odbyło się na pewno bez wymiany poglądów na tematy stosunków chińsko-rosyjskich, sytuacji w „obozie”, w tym w szczególności w ramach RWPG.

Niemcy Wschodnie, obok Czechosłowacji potrafiły sobie zapewnić najlepszą pozycję w RWPG. Są dostawcami maszyn i wyrobów przemysłowych, nie tylko do Rosji, ale i do innych krajów socjalistycznych Europy. Otrzymują w zamian potrzebne im surowce i półfabrykaty. W ten sposób Rosja przerzuca na inne kraje RWPG koszt utrzymywania swego wymagającego, niemieckiego satelity. Jak wiadomo jednak nie wszyscy znoszą potulnie wyznaczoną im rolę — Rumunia zbuntowała się przeciwko podziałowi pracy, który nie dawał jej możliwości rozwojowych. Zagadnienia RWPG stały więc niewątpliwie na porządku rozmów w Moskwie.

Podróż Ulbrichta do Syberii wiąże się, jak się zdaje także z inną sprawą: Rosja chce jak najszybciej zagospodarować Syberię, m.in. ze względu

na toczącą się rozgrywkę z Chinami. Mikołaj w czasie swego ostatniego pobytu w Tokio czynił Japończykom konkretne propozycje, w zakresie ich współpracy przy rozwoju gospodarczym Syberii. NRD będzie miał na pewno niejedno do dostarczenia dla budowanych na Syberii fabryk. Podobno swymi planami syberyjskimi Chruszczow chciałby również zainteresować koncern Kruppa, który dostał przywilej stworzenia własnej placówki w Moskwie.

Współpraca wschodnich i zachodnich Niemców przy rozbudowie przemysłu syberyjskiego? Może jeszcze zbyt wcześnie wysuwać tego rodzaju hipotezę. Nie ulega jednak wątpliwości, że między wschodnimi a zachodnimi Niemcami przedzione są obecnie różne nici.

Ulbricht wykazał zdumiewająco dużo elastyczności, gdy przyszło do odcięcia się od stalinizmu, do przeprowadzenia zmian w zarządzaniu gospodarką itd. Najbliższa przyszłość wykaże, czy chodzi tu o zmiany prawdziwe, czy tylko pozorne — by wykazać, że on też potrafi się oderwać od „Minionej epoki”. Najwyraźniej ten chytry Sas stara się wszelkimi sposobami zbić posag na trudnościach chińsko-rosyjskich, by nie zostać na uboczu, kiedy sprawa niemiecka będzie rozstrzygana na forum międzynarodowym.

W wielu wypadkach Ulbrichtowskie postulaty dotyczą Polski. Zwracaliśmy już parokrotnie uwagę na pogłoski, dotyczące sprawy odstąpienia przez Polskę NRD Szczecina. Wydaje się, że po próbach nacisku ze strony Chruszczowa który proponował Polsce „odszkodowanie” (Lwów? Królewiec?) rozbiło się wszystko o słuszny opór Gomułki.

Ale Ulbricht nie przestał szukać posagu, który uczyniłby go bardziej nadobnym w oczach wschodnich i zachodnich Niemców. Tak się zwykle dzieje, że na posag ten mają się złożyć świadczenia ze strony Polski. Czy skończy się tym razem na żalach, że Polska nie dostarcza NRD dostatecznej ilości artykułów rolnych, które woli sprzedawać za dewizy chociażby w NRF. Czy odżyją nowe projekty korektur terytorialnych?

Prasa reżymowa w kraju trąbi ciągle o niebezpieczeństwie zagrażającym Polsce ze strony „rewizjonistów zachodnoniemieckich”. Niemcy Wschodnie, Niemcy Ulbrichta są do Polski nie mniej wrogo nastawione niż przedstawiciele ziomkostw śląskich, czy pomorskich w NRF. I dlatego inicjatywy i podróże władcy z Pankow nie wróżą Polsce zwykle nic dobrego.

m. k.

O czytelnictwie na emigracji

W r. 1960 ukazał się w „Kulturze” (nr 7/8-153/4) artykuł M. Danilewiczowej i Z. Wilczyńskiej pt. „Miłosz contra Kraszewski (Uwagi o upodobaniach czytelników Biblioteki Polskiej w Londynie)”. W ciągu czterolecia dzielącego od owego przeglądu sytuacja uległa pewnym zmianom a w hierarchii autorów ulubionych dokonały się ciekawe przesunięcia.

Próba oceny sytuacji czytelniczej w W. Brytanii opiera się na materiale umożliwiającym porównania z opracowaniem poprzednim. Są nim dane statystyczne ze stycznia rb., miesiąca przeciętnego i typowego, w którym ogólna liczba wypożyczeń wyniosła 5513. Biblioteka była, jak i poprzednio, dostępna dla czytelników po 47 godzin w tygodniu (w tym trzy dyżury wieczorne i najpracowitsze soboty). Ilość czytelników uległa niewielkiemu podwyższeniu — w ciągu stycznia odnotowano 25 nowych zgłoszeń, w tym 14 czytelników poniżej 30 roku życia.

Na frekwencji w Czytelni i Wypożyczalni odbiły się dodatkowo zmiany w losach Biblioteki. W lecie 1962 uzyskała ona nową, choć znów tymczasową siedzibę w domu Polish University College Association Ltd. (PUCAL'u) pod nr. 9 przy Princes Gardens, S.W. 7, w bliskim sąsiedztwie dawnej siedziby w nieistniejącym już, zburzonym domu. W nowym lokalu, dzięki wygodniejszym magazynom i celowym adaptacjom podziemia, dało się lepiej rozwiązać problem rozmieszczenia zbiorów.

Najwymowniejszą zmianą w zakresie upodobań jest niewątpliwie rozszerzenie kręgu nazwisk autorów współczesnych krajowych znanych przeciętnemu czytelnikowi. Wpłynęły na to, poza bezpośrednimi radami przyjeżdżających z kraju, recenzje i notatki o nowościach ogłaszane na łamach prasy emigracyjnej. Bezpośrednim echem dowolnej wzmianki czy ogłoszenia firm księgarskich

są zgłoszenia czytelników poszukujących owej „nowości” na półkach wypożyczalni albo zamawiających ją w wypożyczalni wysyłkowej względnie angielskiej biblioteki publicznej. Analogiczne zjawisko zaobserwowała Centrala Bibliotek Ruchomych, wysyłająca zestawy książek polskich do bibliotek angielskich.

Innym źródłem wiadomości o nowych książkach, zwłaszcza emigracyjnych, są nagrody, wieczory autorskie, imprezy Związku Pisarzy, wreszcie dyskusje radiowe, których stenogramy publikuje od czasu do czasu miesięcznik „Na Antenie” (dod. do „Wiadomości”).

Czytelnicy przynoszą z sobą karteluski, pożal się Boże, jak nabazgrane a mające odegrać rolę listy interesujących ich książek. Po bliższym zbadaniu okazuje się, że są to mozolnie pozbierane wiadomości o książkach — często nawet wycinki ze „Środy Literackiej”, z ogłoszeń w „Dzienniku”, „Gazecie Niedzielnej” itp., z rubryki „książek nadesłanych” w „Kulturze”, „Wiadomościach”, „Kontynentach” itp.

(Warto wspomnieć nawiasem, iż żywo daje się odczuwać potrzeba zwięzłego zarysu powojennej literatury krajowej opracowanego na Emigracji. Krajowe publikacje na ten temat (Matuszewski!) zniechęcają czytelników tendencyjnością ujęcia i jaskrawymi lukami).

Oaza ciszy i spokoju

Ci, którzy rzadko odwiedzają bibliotekę, widzą w niej swego rodzaju oazę ciszy i spokoju a na pracę w niej patrzą jako na niemal mechaniczną wymianę książek, które o własnych siłach wskakują na półki. Stali bywalcy wiedzą doskonale, że jest to raczej ul, w którym wre praca i niestannie coś się dzieje. Dzwoni np. telefon: prośba o informacje. Zapytania dotyczą nie tylko godzin otwarcia czy stwierdzenia, że biblioteka posiada poszukiwaną książkę czy numer czasopisma. Zdarza się, że Angielka przygotowująca się do przyjęcia polskich gości pyta „How to make Polish *baba*?”. Polak, który zgromadził pokaźną biblioteczkę pyta o sposoby zabezpieczenia owych skarbów przed atakiem „książkowego mola”. Anglik pochodzenia polskiego, z dawnej emigracji, chce stwierdzić na poczekaniu jakiego herbu był jego dziad i czy informacje posiadane przez niego potwierdza herbarz.

Większość zapytań telefonicznych stanowią jednak zapytania o książki potrzebne do konkretnej i poważnej pracy. Czytelnik, zamieszkały na dalekim przedmieściu pyta telefonicznie, by oszczędzić wydatku na przejazd kolejką. Dowiedziawszy się, że interesu-

jąca go książka jest wypożyczona — prosi o włączenie jego nazwiska na listę czekających.

Angielskie instytucje naukowe i urzędy zgłaszają się coraz częściej, poszukując, niemal z reguły, bardzo specjalnych książek i czasopism z zakresu nauk ścisłych i przyrodniczych. Biblioteka Polska załatwia kilkadziesiąt takich zapotrzebowań miesięcznie. Częstymi klientami są także biblioteki angielskie, których czytelnicy, Polacy, korzystają z doskonale zorganizowanej obsługi w zakresie wypożyczeń międzybibliotecznych za pośrednictwem National Central Library, z którą Biblioteka Polska współpracuje od wielu lat.

Na najnowsze wydawnictwa i książki, które z jakichś specjalnych względów cieszą się popytem na nowo (np. „Dożycie” Fredry i komedie Mrożka w okresie występów teatru polskiego w Londynie) trzeba czekać, zrobiwszy uprzednio zamówienie. Czytelnicy wzdrali się dawniej przed wypełnianiem odpowiednich formularzy (na adresowanych do siebie pocztówkach). Obecnie czynią to chętnie, niemal automatycznie, przekonawszy się, że system działa. W styczniu rb. w kartotece zamówień występowały następujące tytuły:

Z *książek emigracyjnych*: Czapska: „Szkice Mickiewiczowskie”, Grubiński: „Listy pogańskie”, Guenther: „Pióropusz i szpada”, Herling-Grudziński: „Drugie przyjście” oraz „Skrzydła ołtarza”, Jedlicki: „Klub Krzywego Koła”, Korboński: „W imieniu Polski walczącej”, Lednicki: „Pamiętniki”, Mackiewicz: „Sprawa płk. Miasojedowa”, Sakowski: „Asy i damy”, Wittlin: „Orfeusz w piekle XX wieku” — oraz świeżo wydane „Pingwiny” Fundacji Dziennika Polskiego (Bączkowska, Bogusławski, Hemar, Kiersnowski, Czarnyszewicz).

Z *książek krajowych*: Andrzejewski: „Idzie skacząc po górach”, Dobraczyński: „Gra w wybijanego”, Herbert: „Barbarzyńca w ogrodzie”, Nowak: „Obcoplemienna ballada”, Woroszyński: „Sny pod śniegiem”. Z pozycji wydanych dawniej rekord popytu biją wspomnienia A. Grzymały-Siedleckiego.

Inne, bardziej specjalne aspekty popytu pewnych książek i działów, omówione będą niżej.

Liczby i fakty

W życiu współczesnym matematyka i gałąź jej, statystyka matematyczna, ma coraz większe znaczenie. Biblioteki posługują się nią często, szczegółowo analizując sprawozdania. Zwracają one uwagę na wiele nowych i ciekawych problemów. Już sam fakt, że co miesiąc dostaje się do rąk czytelników londyńskich ponad

pięć tysięcy tomów oznacza ogromną dawkę treści intelektualnych wchłoniętych przez społeczeństwo za pośrednictwem biblioteki — a także wielki zastrzyk polszczyzny, odnawiający słownictwo i hamujący wpływy obcego otoczenia.

Jakie są składniki tej dawki i jakie zmiany zaszły od poprzedniego artykułu w ich ilości i kolejności powiedzą najdokładniej same liczby:

Statystyka ogólna wypożyczeń za styczeń 1964 i luty 1960

	1960	1964
1. Beletrystyka polska (klasycy, książki wydane w kraju i na emigracji)	1871	2310
2. Przekłady utworów beletrystycznych z języków obcych na jęz. polski	1323	1304
3. Beletrystyka w jęz. obcych (ang., franc., rosyjskim, ukraińskim)	76	180
4. Książki naukowe (łącznie z biografiami i pamiętnikami) w jęz. pol.	708	1584
5. Książki naukowe w jęz. angielskim (głównie podręczniki techniczne)	558	254
6. Nuty	11	45

Zjawiskiem niewątpliwie dodatnim jest b. poważne zwiększenie wypożyczeń w zakresie książek naukowych (o 122%). Zmniejszenie poczytności książek w jęz. obcych tłumaczy się brakiem funduszy na zakup nowości. Systematycznie nabywane są tylko polonica.

Poczytność książek z zakresu lit. pięknej napisanych przez autorów polskich

	1960	1964
1. Klasycy	566	976
2. Współcześni pisarze krajowi	882	1334
3. Pisarze emigracyjni	423	434

(Do „pisarzy krajowych” zaliczono całą produkcję powojenną autorów, którzy powrócili do kraju lub — jak np. Parnicki — publikują w wydawnictwach krajowych).

Poczytność „klasyków” polskich i pisarzy XX w. (nieżyjących):

1. Kraszewski 158; 2. Sienkiewicz 66; 3. Rodziewiczówna 59; 4. Orzeszkowa 54; 5. Morcinek 51; 6. Żeromski 49; 7. Prus

45; 8. Zapolska 45 9. Weyssenhoff 40; 10. Słowacki 32; 11. Goetel 30; 12. Makuszyński 27; 13. Mostowicz 25; 14. Strug 24; 15. Jeż 21; 16. Nowakowski (Z) 20; 17. Nałkowska 17; 18. Zahorska 17; 19. Tuwim 16; 20. Naglerowa 15; 21. Makarczyk 14; 22. Reymont 14; 23. Sieroszewski 14; 24. Norwid 13; 25. Gąsiorowski 10; 26. Krasiński 10; 27. Mickiewicz 10; 28. Zambrzycki 10.

Kraszewski i tym razem wygrywa, bijąc Sienkiewicza i Rodziewiczównę. Można nawet mówić o niebywałym wzroście poczytności: z 71 wypożyczeń w lutym 1960 skoczył na 158 w styczniu 1964! Nie ma dnia, by ktoś z czytelników nie interesował się pozornie zapomnianymi powieściami Kraszewskiego, a więc np. „Czasami Kościuszkowskimi”, „Niebieskimi migdałami”, „Morituri” itp. Wzrosła poczytność powieści Żeromskiego — i Orzeszkowej. Słowacki z dalekiego 26-go miejsca przesunął się na 10-te, zamieniając miejsce z Norwidem.

W dziale tym dochodzi do głosu moment „pedagogiczny”. Rodzice i szkoła podsuwa nazwiska i tytuły książek z żelaznego repertuaru literatury klasycznej, stanowiących podstawowy zrąb lektury obowiązkowej. Inną przyczyną jest sprawa stopnia trudności: znaczny odłam czytelników uważa książki Andrzejewskiego, Romanowiczowej itp. za zbyt trudne, lub zbyt „nowoczesne”. Odnosi się to nie tylko do czytelników starszych.

Na ilość wypożyczeń mają także wpływ takie okoliczności jak np. zgon pisarza. W styczniu 1964 odbiło się to na poczytności książek Gustawa Morcinka, wcześniej na wyraźnym wzroście wypożyczeń książek Zygmunta Nowakowskiego. Nie bez znaczenia bywa „magia tytułu”, który sugeruje lekturę lekką lub fascynującą: np. Rodziewiczówny „Między ustami a brzegiem pucharu”, Żeromskiego „Dzieje grzechu” — a nawet „Cnotliwi” Orzeszkowej!

Poczytność współczesnych pisarzy krajowych

1. Kossak-Szczucka 86; 2. Dobraczyński 71; 3. Bunsch 57; 4. Iwaszkiewicz 54; 5. Andrzejewski 44; 6. Paukszta 41; 7. Samozwaniec 39; 8. Parandowski 30; 9. Dąbrowska 28; 10. Rusinek 27; 11. Żukrowski 27; 12. Kowalska Anna 26; 13. Malewska 25; 14. Strumph-Wojtkiewicz 24; 15. Zawiejski 22; 16. Fiedler 20; 17. Wiech 20; 18. Szelburg-Zarembina 19; 19. Wańkowicz 18; 20. Bratny 16; 21. Grabski, Wł. J. 16; 22. Nepomucka 16; 23. Sujkowski 16; 24. Brandys 15; 25. Breza 15; 26. Kisielewski, Stefan 15; 27. Boguszevska 14; 28. Fleszarowa 14; 29. Mrozek 14; 30. Newerly 14; 31. Różewicz 14; 32. Starowieyska-

Morstwinowa 14; 33. Tyrmand 14; 34. Bieroński 13; 35. Hołuj 13; 36. Minkowski 13; 37. Pruszyński 13; 38. Rudnicki, Adolf 13; 39. Woroszyński 13.

Poza wymienionymi wyżej autorami wypożyczane są często książki następujących autorów: Bieńkowska, Broszkiewicz, Brycht, Chądzyńska, Chamiec, Dygat, Gołubiew, Grochowiak, Gruszecka, Jackiewicz, Konwicki (poczytność wzrosła ostatnio piorunująco po ukazaniu się „Sennika współczesnego”), Krzyszoń, Kurek, Kuśniewicz, Łaszewski, Łopalewski, Leja, Ligocki, Międzyrzecki, Meissner, Mortkowicz-Olczakowa, Naganowski, Marek Nowakowski, Maria Pruszkowska, Szermentowski, Szmaglewska, Wiktor, Zuławski i in.

U wielu wypożyczających występuje wyraźnie wiara w autorytety uznane — tym tłumaczy się stała dobra poczytność Dąbrowskiej. Mocne pozycje zajmują: Kossak-Szczucka, Dobraczyński, Gołubiew, Malewska. Okres ogromnej poczytności ma za sobą Breza („Spizowa brama” i „Urząd”) — nie miał jej wcale Brandys, którego „Listy do pani Z.”, krajowy „bestseller” nie cieszył się nigdy wielkim powodzeniem. Do książek spopularyzowanych przez filmy należy poza „Popiołem i diamentem” Andrzejewskiego: „Eroica” Kuśniewicza, opowiadania Hena, „Pożegnania” Dygata i „Kanał” Stawińskiego. Okres poczytności „filmowej” przeżyli także „Krzyżacy”.

Literatura piękna.

Pisarze emigracyjni i przebywający poza krajem (proza)

1. Nowakowski T. 42; 2. Mackiewicz J. 39; 3. Miłosz 37; 4. Danilewiczowa 27; 5. Kuncewiczowa 24; 6. Piasecki 24; 7. Hłasko 21; 8. Łobodowski 20; 9. Herling-Grudziński 19; 10. Czarnyszewicz 17; 11. Romanowiczowa 17; 12. Bogusławski 16; 13. Chciuk 14; 14. Guilley-Chmielowska 14; 15. Mostwin 14; 15. Sądek 14; 17. Terlecki 14; 18. Surynowa-Wyczółkowska 13; 19. Pietrkiewicz 10; 20. Bączkowska 9; 21. Bielatowicz 8; 22. Witlin 8; 23. Gombrowicz 6; 24. Pankowski 6; 25. Kiersnowski 6; 26. Obertyńska 6.

Przy analizowaniu danych zawartych w tabl. 5 pamiętać należy, iż oparta jest na materiałach statystycznych za okres jednego tylko miesiąca. Można jednak, zestawivszy ją z cyframi sprzed czterech lat mówić o trwałej pozycji Miłosza, Tad. Nowakowskiego, J. Mackiewicza, Hłaski. Od kilku lat utrwała się także pozycja Łobodowskiego. Na poczytności wielu innych odbiła się data

wydania ostatniej książki: „nowości” przeżywają zawsze okres wzmożonego powodzenia.

Nie przez przypadek wśród ulubionych autorów znalazł się Tadeusz Nowakowski. Książki jego czytane są zawsze i przez wszystkich. Dlatego też na półce, gdzie w teorii stać powinno kilka egzemplarzy „Obozu wszystkich Świętych”, „Szopa za jaśminami” i „Syn zadżumionych” jest ciągle puste miejsce. Książki krążą z rąk do rąk.

Równie niezaspokojony głód obejmuje całą produkcję Józefa Mackiewicza. Często słyszy się prośbę: „Proszę panią o jakąś książkę — tylko dobrą — taką, wie pani — co zostawia wrażenie...” i nagle tłumaczący wszystko gest ręki i olśniewające stwierdzenie: „Koniecznie coś Józefa Mackiewicza, może „Sprawę płk. Miasojedowa” (— jeden z czytelników przechrcił go na „Samojedowa”).

Inaczej ma się rzecz, gdy idzie o pisarzy głośnych i kontrowersyjnych, których utwory po wywołaniu polemik i przetoczeniu się fali sporów przeżywają okresową zniżkę popularności. Tak jest w wypadku Gombrowicza.

Literatura piękna. Poezja emigracyjna

1. Hemar 10; 2. Iwaniuk 5; 3. Wierzyński 5; 4. Baliński 4; 5. Czuchnowski 3; 6. Antologia Grydzewskiego 3; 7. Rostrowski 2.

Poczytność poezji jest ciągle niezadawalająca. Interesują się nią tylko pewne określone kręgi. Większość wypożyczonych tomików, a zwłaszcza „Antologia” Grydzewskiego traktowana była jako lektura użytkowa z myślą o akademiach i imprezach literackich. Hemar wysunął się na pierwsze miejsce w związku z nowowydanym tomem „Im dalej w las”, Iwaniuk obudził zainteresowanie po przyznaniu mu nagrody im. Sułkowskiego. Po ukazaniu się „Kufra na plecach” Wierzyńskiego kolejność uległa zmianie: czytelnicy sięgnęli przy okazji po dawne tomy Wierzyńskiego.

Literatura piękna. Przekłady z języków obcych

1. Tołstoj 61; 2. Greene 60; 3. Hemingway 54; 4. Feuchtwanger 48; 5. Cronin 47; 6. Conrad 46; 7. Zola 45; 8. Curwood 44; 9. Undset 41; 10. Christie 38; 11. Galsworthy 38; 12. Mauriac 35; 13. Maupassant 33; 14. Steinbeck 32; 15. Dumas 31; 16. France 1; 17. Balzac 29; 18. Camus 29; 19. Hasek 27; 20.

Maugham 27; 1. Graves 26; 22. Faulkner 25; 23. Huxley 25; 24. Rolland 25; 25. Mann 24; 26. Szolochow 24; 27. Dostojewski 23; 28. London 23; 29. Cooper 22; 30. Dreiser 22; 31. Stendhal 21; 32. Baum 21; 33. Duhamel 21; 34. Flaubert 21; 35. Dickens 20; 36. Pasternak 19; 37. Czechow 18; 38. Doyle 18; 39. Hugo 18; 40. Maurois 17; 41. De la Roche 16; 42. Proust 16 43. Buck 15; 44. Mitchell 15; 45. Monsarat 15; 46. Zweig 15.

*Książki naukowe i popularno-naukowe
(łącznie z biografiami i pamiętnikami)
(według klasyfikacji Dewey'a)*

	1960	1964
0. Bibliografia	2	—
1. Filozofia	18	43
2. Religia	23	74
3. Socjologia, nauki polityczne i ekonomia, pedagogika	43	72
4. Językoznawstwo	44	88
5. Nauki ścisłe	24	145
6. Nauki techniczne	61	109
7. Sztuka	43	75
8. Literatura (historia i teoria)	88	227
9. a) Geografia, opisy podróży	66	99
b) Biografie i pamiętniki (z wyjątkiem dotyczących wojny, okupacji, obozów)	107	362
c) Dotyczące wojny	130	269
d) Historia	82	275
10. Literatura dla dzieci i młodzieży	—	135

Pamiętnik, zwłaszcza odnoszący się do niedawnej przeszłości, zrobił niewątpliwie zawrotną karierę. Jest modny, poszukiwany, bije więc rekordy popularności. Stał się już dzisiaj poważnym konkurentem innych gatunków literackich a nawet je dystansuje, zdobywając masowo czytelnika swoim autentyzmem i stając się dlań często jedynym i niezastąpionym źródłem poznania najnowszej historii. Najpopularniejsze z nich to: Korboński „W imieniu Polski walczącej”, Kopański „Wspomnienia wojenne”, Starowieyska-Morstinowa „Ci których spotykałam”, Surynowa-Wyczółkowska „W cieniu koronkowej parasolki”, Lednicki „Pamiętniki”, Guenther „Pióropusz i szpada”, Grzymała-Siedlecki „Niepospolici ludzie”, Raczyński „W sojusznicy Londynie”, Dżilas „Rozmowy ze Stalinem”.

Młodzi czytelnicy i książka

Starsze pokolenie ma pewne urobione w ciągu lat nawyki i upodobania. Młodzież — szuka. W poszukiwaniach tych brak jej często przewodnika. Stąd sięganie po książki „dla dorosłych”. Aby temu zapobiec Biblioteka wyodrębniła wyraźnie księgozbiór specjalny przeznaczony dla dzieci i młodzieży z myślą o stopniowym przejściu do księgozbioru ogólnego.

Stosunkowo łatwo o książki odpowiednie dla dzieci najmłodszych. Literatura krajowa dostarcza ich pod dostatkiem. Dotkliwe natomiast daje się we znaki brak książek dla wyższych grup wieku: 10-12 i 12-15 lat. Znikomy procent książek krajowych nadaje się dla młodzieży emigracyjnej i to nie tylko ze względu na częste w literaturze krajowej utwory o wyraźnej tendencji politycznej. Nie nadają się np. na teren tutejszy książki z życia szkolnego, książki pisane gwarą itp. Utrudniają lekturę wzmianki o miarach i wagach, odbiegające od codziennej praktyki dziecka wychowywanego w szkole angielskiej itd. itp. Literatura polskiego pozytywizmu przestała oddziaływać na młodzież wychowaną poza krajem. Dzieci oceniają np. „Janka Muzykanta” czy „Latarnika” jako „śmieszne książki”, książki „wzbudzające wesołość”. Chętnie natomiast czytają Mroźka a nawet Andrzejewskiego. Zdaje się obojętnie inna skala trudności: utwory wybitnie współczesne trafiają łatwiej do młodzieży niż rodziców.

Próby dyskusji o książkach z młodymi czytelnikami wypadają raczej pomyślnie. Chętnie dzielą się uwagami, mówią o ulubionych autorach („Gdybym nie stawiał na pierwszym miejscu Sienkiewicza, wysunąłbym Makuszyńskiego”). Domagają się książek o akcji toczącej się w środowisku polsko-angielskim. Porównują bohaterów książek do siebie samych. Tak np. było w wypadku Kozery z przedrukowanej właśnie staraniem Macierzy noweli Marii Dąbrowskiej pt. „Marcin Kozera”. Poniżej przytaczamy wyjątki z ćwiczeń szkolnych z Ealing Technical College udostępnione przez nauczycieli polskiego pp. Adama Czerniawskiego i Halinę Tabor-ską:

Ewa K. mówi: „Problemy Marcina są bardzo podobne do tych, jakie niektóre dzieci teraz przeżywają. Bo nawet jak dziecko ma rodzinę polską, to nie ma dużo znajomych polskich dzieci, więc bawi się z Anglikami i chodzi do angielskiej szkoły”.

Jerzy S.: „Książka bardzo mi się podobała, bo przedstawia londyńską młodzież polską, która przed tyłu laty miała podobne problemy jakie my mamy dzisiaj. Utrzymanie się przy polskości jest tak samo trudne jak było wtedy. A dzieci nie chcą uczyć się polskiego”.

Piotr B.: „Myślę, że to opowiadanie jest bardzo ciekawe chociaż zostało napisane dla młodszych dzieci. Gdyby miało 200 stron zamiast 40 byłoby wyborną książką”.

Bez podpisu: „M. Dąbrowska obrazowo przedstawia wszystkie problemy i wydarzenia, a ponieważ używa łatwych słów więc nawet dzieci 8-letnie mogą zrozumieć o co chodzi. Styl autorki jest już trochę staroświecki, ale książka wcale na tym nie traci”.

M.P. „Nowela M. Dąbrowskiej wcale mi się nie podobała. Ponieważ była napisana 50 lat temu nie ma nic wspólnego z życiem chłopca Polaka urodzonego w Anglii teraz. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby 12-letni chłopiec tak się zastanawiał i myślał o swojej polskości. Chłopak musiał być fenomenem. Byłem zadowolony, że książka okazała się krótka”.

O innych książkach mówią:

Renata J. lat 17: „Bardzo podobają mi się książki *Rodziewiczówny: „Wrzos”* to wzruszająca tragedia. W innych jej utworach też są bogate opisy otoczenia, przyrody i życia ludzkiego”.

K. Brodziński: „Podoba mi się „W pustyni i puszcy”, „Szatan z VII klasy”, „Chłopcy z placu bronii” i „Piętnastoletni kapitan”. Akcja bohaterów powyższych książek jest bardzo awanturnicza i ciekawa. I co ważne, są dzielni. Chciałbym być na ich miejscu. Ciekawią mnie także historyczne książki o rycerzach średniowiecznych. I interesują powieści z czasów Napoleona i Sobieskiego”.

M. P.: „Duże wrażenie wywarł na mnie „Popiół i diament” Andrzejskiego — to dobra książka. Z innych pisarzy czytam chętnie Mrożka”.

Andrzej P.: „Skończyłem (!) właśnie maturę. Jednym z przedmiotów maturalnych był język polski. Obecnie jestem na uniwersytecie, ale czas mi nie pozwala zajmować się literaturą polską”.

K. MOCHLIŃSKA i Zofia WILCZYŃSKA

Komunikaty

ROZNICE WOJSKOWE

W roku 1964 przypadają trzy wielkie rocznice pracy wojennej żołnierzy odrodzonej ARMII POLSKIEJ.

W sierpniu 1914 roku, w 50 lat po upadku Powstania Styczniowego, z krakowskich Oleandrów wyrusza Pierwsza Kadrowa i patrol ułanów.

Przed 25 laty — we wrześniu 1939 roku — Polskie Siły Zbrojne stanęły przed najtrudniejszym zadaniem. W nierównej walce zmierzyć się musiały z wielokrotną przewagą armii napastniczych dawnych dwu zaborców.

W roku bieżącym przypada dwudziesta rocznica największych wysiłków żołnierza polskiego w ostatniej wojnie na Zachodzie i w kraju: Monte Cassino Falaise, Arnheim oraz Powstanie Warszawskie Armii Krajowej.

II Korpus urządził uroczystości w Italii z udziałem gen. W. Andersa i dowódców wielkich jednostek walczących we Włoszech: 17 maja — na cmentarzu Monte Cassino; 19 maja — na cmentarzu w Loreto; 21 maja — na cmentarzu w Bolonii.

Związek Kombatantów Żydów P.S.Z. złożył hołd polskim żołnierzom Żydom na cmentarzu Monte Cassino w dniu 17 maja.

1. Samodzielna Brygada Spadochronowa zwołuje: 5-6 sierpnia — zlot spadochroniarzy w Leven, Fife, Szkocja; 15-20 sierpnia — zlot w Holandii, główne uroczystości w Driel (20 sierpnia); 27 września — hołd sztandarowi w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego.

Legioniści i Peowiaci organizują swoje uroczystości w Londynie 9-10 sierpnia. W tym celu powstał z inicjatywy Instytutu J.P., pod honorowym przewodnictwem gen. broni K. Sosnkowskiego, Samodzielny Legionowo-Peowiacki „Komitet 50-lecia Czynu Zbrojnego Józefa Piłsudskiego w sierpniu 1914 roku”.

Program: — Nabożeństwo w kościele św. Andrzeja Boboli. Złożenie kwiatów na grobie śp. Aleksandry Piłsudskiej. Zjazd koleżeński w Ognisku Polskim. Uroczysty wieczór w St. Paneras Hall, dla uczczenia pamięci J. Piłsudskiego, z przemówieniem gen. broni K. Sosnkowskiego. Uroczysty wieczór w Hammersmith Town Hall, organizowany przez młodzież.

I Dywizja Pancerna 29 sierpnia — 1 września, uroczystości odbędą się w Langannerie w Normandii, na wzgórzu „Maczuga” pod Chambois i na cmentarzu Montmorency pod Paryżem. Złożenie wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu. 4-8 września odbędą się uroczystości w Belgii: w Lommel i Adegem oraz St. Nicolas i w Brukseli. 16-19 września uroczystości w Axel w Holandii. 19-20 września zjazd żołnierzy I Dyw. Panc. w Londynie. 29 paźdz. — 1 listopada uroczystości w Bredzie w Holandii.

Polska Marynarka Wojenna — 1 września, w 25-tą rocznicę przybycia pierwszych polskich okrętów wojennych do W. Brytanii złoży wieńiec pod tablicą P.M.W., ufundowaną przez społeczeństwo brytyjskie w Plymouth.

Armia Krajowa urządza zlot b. żołnierzy A.K., połączony z apelem poległych i uroczystą akademią 12-13 września. Uroczystości te odbędą się w liceum i gimnazjum oo. Marianów w Fawley Court pod Londynem.

Polskie Siły Powietrzne. — Poza uroczystościami i zjazdami, które odbywają się co roku, ogólny zjazd Lotników Polskich odbędzie się w październiku i odsłonięta zostanie tablica pamiątkowa w kościele St. Clement Dane (kościół RAF). Od 20 lutego do 5 grudnia — składanie wieńców przez reprezentantów dywizjonów myśliwskich i bombowych pod pomnikiem Lotnika Polskiego w Northolk.

Wspólne uroczystości w Londynie. — Uroczyste nabożeństwo w Katedrze Westminsterkiej odbędzie się 15 listopada o godz. 3-ej po południu. Po nabożeństwie złożenie wieńca pod pomnikiem Nieznanego Żołnierza (Cenotaph). Akademia o godz. 5-tej po południu.



WIELKI KROK NAPRZÓD W REALIZACJI OŚRODKA POLSKIEGO W LONDYNIE

Projekt stworzenia Ośrodka Polskiego w Londynie w oparciu o zjednoczony wysiłek polskich organizacji emigracyjnych i posiadany przez nie majątek był w okresie minionego kwartału przedmiotem kilku rzeczowych konferencji z udziałem polskich i angielskich prawników, starających się sformułować właściwe ramy statutowe zgodne z prawem brytyjskim a uwzględniające ideowe cele, charakter oraz specyficzne zadania placówek polskich jak i sposób ich praktycznej realizacji.

Inicjatywa PUCAL'u (*Polish University College Association Limited*) spotkała się z życzliwym i rzeczowym stanowiskiem wielu organizacji. Po zakończeniu pierwszego etapu dyskusji mówić już dzisiaj można o następnym stadium: o rozszerzeniu akcji na grono „organizacji inicjatorskich”, które doprowadziły w dniu 6-go maja br. do uzgodnienia postanowień statutowych i ustalenia wspólnych wytycznych dalszej akcji.

Organizacjami tymi są:

Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Stowarzyszenie Lotników Polskich, Samopomoc Marynarki Wojennej, Komitet Budowy Domu Młodzieży, Związek Harcerstwa Polskiego, Stowarzyszenie Techników Polskich w W. Brytanii, *Polish University College Association Limited*.

Ponadto przystąpienie swe i poparcie akcji zgłosiły: Polski Uniwersytet na Obczyźnie, Polska Macierz Szkolna Zagranicą, Chór im. Szopena, Związek Łącznościowców, Fundacja VERITAS.

Wiele wskazuje na to, że w czerwcu dołączy Związek Pisarzy Polskich, a można się spodziewać, że na skutek uzgodnienia postanowień statutowych, ilość organizacji założycielskich wzrośnie.

W następnym etapie prac przygotowawczych przewiduje się uzyskanie osobowości prawnej przez zarejestrowanie statutu i powołanie Władz organizacyjnych na Walnym Zebraniu Członków Założycieli.



KONKURS LITERACKI IM. CZESŁAWA STRASZEWICZA

(Dodatkowa nagroda)

Zespół pracowników Rozgłośni Polskiej RWE ma do zakomunikowania przyszłym uczestnikom konkursu literackiego im. Czesława Straszewicza — dobrą nowinę: oto na ręce Jury wpłynęła dodatkowo kwota 100 dolarów, co zwiększa ogólną sumę nagród do 300 dolarów. Suma ta stanowi dar Wdowy po pisarzu, p. Ewy Straszewiczowej, której organizatorzy konkursu składają na tym miejscu gorące podziękowanie. (Warunki konkursu podaliśmy w n-rze 4/198 (kwiecień 1964) „Kultury”. Red.).

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

**UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.**

Redakcja, administracja, drukarnia :

Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

"Polityka Becka"

To jest w stu procentach catowska książka. Kontrowersyjna, oryginalna, niesprawiedliwa, świetnie napisana, nigdy nie nudna i często „działająca na nerwy”. Cat jest wolny od pompierstwa historycznego, choć nie jest wolny od romantyzmu — chciałoby się powiedzieć „romantyczności”. W sumie jest ujmujący i irytujący i jako autora można go pasjami lubić albo nieznosić. Należałem zawsze do tych pierwszych. Swoje absurdalizmy Cat okupuje fenomenalną inteligencją i wnikliwością. Absurdalizmy wypływają u Cata z „romantycznego pojmowania dziejów” — mimo, że siebie samego uważa za realistę i zimnego pozytywistę.

Dla Cata historia to jest indywidualny romans osobistości dramatu. Ideologie, prądy społeczne, rewolucyjne przemiany — to tylko kulisy widowiska. Determinizm historyczny jest mu całkowicie obcy. Jest rzeczą zdumiewającą, że Cat, który ma bajeczne wyczucie teatru historii widzi tylko aktorów natomiast nie dostrzega reżysera i w konsekwencji przecenia autonomię postaci na scenie.

Jego krytyka Becka dotyczy głównie rzeczy, których Beck nie zrobił, bo zrobić nie mógł. Nie mógł zrobić, ponieważ nie był reżyserem dramatu tylko aktorem w reżyserowanym widowisku.

Jeden z polskich historyków pisze, że Sławek na miejscu Rydza Smigłego — byłby przekroczył granicę rumuńską z pistoletem w dłoni ostrzeliwując się bolszewikom. Cat uważa, że Beck, deklamujący o honorze — winien był jako prosty szeregowiec walczyć w obronie Warszawy.

Co to ma wspólnego z polityczną historią 2-giej Rzplitej? U nas śmierć z bronią w ręku niesie z sobą „odpuśt zupełny”.

Gdyby Rydz Śmigły zginął z pistoletem w garści przekraczając granicę — a Józef Beck oddał duszę Bogu na barykadzie Warszawskiej — przybyłoby dwóch świętków w panteonie i nikt słowa by nie pisał, Cata nie wyłączając. Romantycznie wierzymy, że moralna siła aktora liczy się więcej niż władza reżysera. Jedną z nielicznych zasług marksizmu jest przybliżenie nam prawdy, że reżyser w historii liczy się znacznie więcej niż aktor.

W przeciwieństwie do sytuacji dzisiejszej — w latach trzydziestych obrona *status quo* leżała w naszym interesie. Obrona *status quo* leżała również w interesie Anglii i dlatego nasz sojusz z Wielką Brytanią nie był egzotyczny. W interesie Rosji Sowieckiej — naszego sąsiada o miedzę — nie leżało zachowanie *status quo* i porozumienie z Moskwą byłoby dla Polski egzotyczne.

Beck popełnił wiele błędów lecz nie leżało w mocy polskiego ministra spraw zagranicznych zorganizowanie obrony wersalskiego systemu. Prof. A.J.P. Taylor krytycznie nastrojony zarówno w stosunku do nas jak i do Becka pisze w swej książce „The Origins of the Second World War”: „Było nieszczęściem, że Polacy są graczami... „Va banque” to było jedyne ich zawołanie i w gruncie rzeczy nie pozostawało im nic innego dopóki chcieli podtrzymywać iluzję swojej mocarstwowości”. Trzeźwi mężowie stanu w polskiej sytuacji z września 1939 r. byłiby skapitulowali — pisze Taylor. Historyk brytyjski sądzi, że gwarancja brytyjska Polaków usztywniła. Mackiewicz wierzy, że gwarancja brytyjska stała się grobem naszej niepodległości.

W moim przekonaniu Hitler byłby uderzył bez względu na gwarancję, a my stawilibyśmy opór i wówczas gdyby gwarancji nie było.

Hitlera można było (i należało) zlikwidować zbiorowym wysiłkiem na 5 lat przed wybuchem wojny. Lecz 2-ga Rzeczpospolita była niepomnie mniej historio-twórczym mocarstwem niż Polska przedrozbiorowa — i bez względu na to co byśmy zrobili a czego nie zrobili los nasz był zdeterminowany. Gdyby jutro na skutek zatargu amerykańsko-sowieckiego zaczęły spadać bomby na Warszawę i Leningrad — cóż za zarzuty można by postawić biednemu Rapackiemu?

Taylor rozdziera szaty, że mniej niż 50% poborowych w Polsce otrzymało wojskowe przeszkolenie. Sytuacja Polski i Europy o jeden włos nie uległaby zmianie, gdyby 100% naszych przedwojennych poborowych jako prymusi ukończyli kurs rekrucki.

Wychodzimy z wadliwych założeń. Nasza podmiotowość historyczna uległa redukcji i dziś „winy ojców” w znacznie mniejszym stopniu niż dawniej decydują o czymkolwiek. Zwiększyć swoją podmiotowość historyczną małe i średnie narody mo-

gą tylko na drodze związków międzypaństwowych — a nie na drodze „roztapiających” sojuszków małych z gigantami (Polska-Sowiety).

Cat jest dzieckiem swego czasu — żywość, inteligencja, temperament i pióro, co za pióro! — wszystko to przywodzi na pamięć refleksję, że to może ostatni w polskiej publicystyce co tak Poloneza wodzi. Bo że to jest Polonez — to nie ulega wątpliwości.

LONDYŃCZYK

System totalitarny dla zaawansowanych

Do jakiego stopnia autor spodziewa się stworzyć swoich własnych czytelników — oto pytanie jakie nasuwa się po lekturze angielskiej powieści Pawła Mayewskiego „The Journey and the Pity” (1). Jeśli założymy że każda powieść powinna być traktowana jako potencjalny best-seller, musi ona być na takim poziomie; czy też poziomach, aby zainteresowała szeroki krąg odbiorców. Wydawałoby się, że kluczem do sukcesu best-sellera jest jego wielo-poziomowość, dzięki której ci, którzy mają niewielkie aspiracje intelektualne mogą się cieszyć książką w równym stopniu jak ci, których ambicje intelektualne są wyższe. Jednak powieści wymagające znajomości tła, na którym rozwija się akcja, mogą być niezrozumiałe dla niewtajemniczonego czytelnika. Dotyczy to zwłaszcza humoru (nie tylko w zależności od kraju ale i od czasu) i polityki. Lektura „The Journey and the Pity” będzie niekompletnym przeżyciem dla kogoś bez dokładnej znajomości problematyki takich książek jak „Darkness at Noon” Artura Koestlera czy „Zniewolony Umysł” Czesława Miłosza.

Akcja rozgrywa się w hipotetycznym osiedlu, na ziemi niczyjej. Nierealność miejsca jest jeszcze bardziej zaakcentowana sztucznością angielszczyzny, jakiej używa autor. Osiedlem rządzi anonimowa siła, działająca z zewnątrz i nic co się wydarza nie uchodzi jej uwagi. Żadne decyzje nie mogą być podejmowane bez jej zgody. Na czele osiedla, składającego się z administratorów, urzędników, robotników, właścicielki zakładu rozrywkowego, itp., stoi Popoff. Rozkazy i wiadomości roznoszone są przez posłań-

(1) „The Journey and the Pity” by Pawel Mayewski, wydana przez Charles Scribner's Sons, New York, 178 str.

ców, którzy odgrywają ważną rolę w życiu osiedla. Cała sceneria bardzo przypomina „Zamek” Kafki.

Książka rozpoczyna się śmiercią Pandura, psa stróża. Czytelnikowi dany jest lekki przedsmak tego, czego może oczekiwać. „He died with a whimper, too” (2), pisze Mayewski, zapewne czyniąc aluzję do słów T.S. Eliot’a „This is the way the world ends/Not with a bang but a whimper” (3). Śmierć psa otwiera łańcuch wydarzeń zamknięty przemówieniem Popoffa do całego społeczeństwa, przy którym obecny jest przedstawiciel z „Zewnątrz” i następującym potem przesłuchaniem podejrzanych o zabicie psa.

W tym samym czasie inżynier nazwiskiem Bryusov, który odpowiedzialny jest za budowę linii kolejowej, ulega tajemniczemu wypadkowi, ma zmiażdżone obie nogi. Przed śmiercią wzywa do siebie swego ewentualnego następcę, kierownika robót, głównego bohatera książki (powieść pisana jest w pierwszej osobie). Po śmierci Bryusova przedstawiciele robotników proszą jego następcę aby przedstawił odpowiednim czynnikom ich petycje w sprawie polepszenia warunków pracy. Obwiniają oni Bryusova o brak zainteresowania ich sprawami, ponieważ nie był w stanie przekazać wyżej ich petycji. Jednakże ani Bryusov, którego niesłusznie oskarżają, ani robotnicy nie są świadomi tego, że wszystkie ich petycje były przejmowane przez kogoś z administracji. Całe życie Bryusova koncentrowało się wokół sprawy ukończenia linii kolejowej, jednakże na łożu śmierci wyznaje, że stracił wiarę w ideały. Mówi z rozpaczą: „I have not conquered anything” (4) po czym dodaje z goryczą: „What is a dream without legs” (5).

Jego następca zgadza się doręczyć petycje robotników wyższym instancjom. Nie ma on złudzeń co do ostatecznego rezultatu tej próby: „I saw that even my pity could not wrench them free of their doom, because all I could offer was ultimate knowledge” (6). Pomimo jego zgody, petycja nigdy nie będzie przedstawiona, robotnicy rozpoczynają strajk, praca przy budowie linii kolejowej zostaje wstrzymana. Praca w administracji kontynuowana jest przez czas jakiś, urzędnicy biegają z miejsca na miejsce, dopóki nie zostaną zwolnieni. Powieść kończy się memorandum z „Zewnątrz”, nazwanym „The Adjudgment” (Rozsądzanie), przesłanym do szeregu ludzi z administracji, między innymi też następcy Bryusova. Memorandum stwierdza, że praca na kolei została zakończona, całe osiedle rozwiązane a wszyscy ci, którzy zapoznają się z jego treścią są zwolnieni od pracy i obowiązków. „Being of no further use, you are now alone. No guidance as to what you ought to do or what sources of substance

(2) Zmarł ze skomleniem.

(3) Tak oto kończy się świat /Nie hukiem lecz skomleniem.

(4) Nie podbiłem niczego.

(5) Czym jest marzenie bez nóg.

(6) Widziałem, że nawet moja litość nie wyrwie ich przeznaczeniu, ponieważ wszystko co mogłem zaoferować to była tylko ostateczna wiedza.

are still open to you will ever be given. No other design can ever be offered, what has once been renounced..." (7). Książka kończy się tymi słowami, cytowanymi z memorandum.

Angielszczyzna Mayewskiego brzmi sztucznie, być może dlatego że autor „stylizuje” wypowiedzi swoich bohaterów. Czasami brzmią one jak tzw. „drętwa” mowa, dobrze znana czytelnikom polskiej prasy. Popoff tak mówi do zgromadzonego społeczeństwa osiedla: „My aversion to falsehood, innuendo and calumny is such that I find it difficult even to enter into polemics with them” (7a). Stylowi Mayewskiego brak też lekkości i elegancji, która jest być może ważniejsza gdy pisze się po angielsku a nie po polsku. We współczesnej angielszczyźnie istnieje wyraźna tendencja do jasności i precyzyjności w pisaniu. W eseju „The Prose of Thought” (Proza myśli) E.W.F. Tomlin pisze: „What is called the analytical or linguistic movement in philosophy (aims)... to effect the liquidation of systems of thought held to batten upon linguistic ambiguity” (8). Gdy więc wprowadza się długie rozwlekłe zdania, czytelnik, wychowany na odmiennym sposobie pisania, może mieć trudności w ich przetrawieniu. Może to zilustrować następujące zdanie: „Vibrant, suddenly released from whatever has held them before — anticipation yes, anticipation of some final solution, vague, of course, forever eluding them although they would continue to long for it and feel its proximity (shall we live from now on?) — these voices were suddenly all around me” (9).

Mayewski bywa czasami poetycki, jeśli nawet niezbyt oryginalny. Zbyt często przypomina nam T.S. Eliot’a, np, gdy pisze o „this April-life, when even the dullest root stirred” (10) (u Eliot’a: „April is the cruellest month... stirring dull roots with Spring rain” (11). Dosłowne tłumaczenie z polskiego na angielski np. „the clerk was sent packing to where pepper grows” (11a) być

(7) Ponieważ nie jesteście już potrzebni, jesteście teraz sami. Żadne wskazówki co do tego coście powinni robić, czy też jakie źródła utrzymania są dla was wciąż otwarte, nie będą wam nigdy udzielone. Żaden inny projekt nie będzie zaoferowany, skoro raz został odrzucony...

(7a) Moja awersja do fałszu, insynuacji i kalumni jest taka, że jest mi nawet trudno wdawać się z nimi w polemikę.

(8) To co nazwano analitycznym czy lingwistycznym ruchem w filozofii (ma na celu)... wpłynąć na likwidację systemów myślowych żerujących na lingwistycznej wieloznaczności.

(9) Wibrujący, nagle uwolnieni z czegoś, co powstrzymywało ich przedtem — oczekiwanie, tak, oczekiwanie jakiegoś ostatecznego rozwiązania, mgliste oczywiście, zawsze zwodzące ich, chociaż nadal tęsknili za nim i czuli jego bliskość (czy będziemy odtąd żyli?) — te głosy otoczyły mnie nagle.

(10) Tym kwietniowym życiu, kiedy nawet najgnuśniejszy korzeń się porusza.

(11) Kwiecień to najokrutniejszy miesiąc... porusza gnuśne korzenie wiosennym deszczem.

(11a) Urzędnika wysłano gdzie pieprz rośnie.

może dodaje malowniczości angielszczyźnie Mayewskiego, ale co znaczy zdanie: „Isn't the rattling of our wasteland a thing to behold?” (12).

Po lekturze książki Mayewskiego nasuwa się pytanie ilu jej angielskich i amerykańskich czytelników zrozumie zamierzoną alegorię. Niewątpliwie docenią książkę polscy czytelnicy, których wiedza o sowieckich i wschodnio-europejskich sprawach jest rozległa i z pierwszej ręki. Skoro jednak autor pisze w języku angielskim, niewątpliwie chodzi mu o znacznie szerszą publiczność, która opiera swą znajomość polityki światowej głównie na prasie. Autor znakomicie obrazuje naturę zależności kraju satelickiego, takiego dajmy na to jak Polska, od zewnętrznej, wszystko kontrolującej siły, takiej jak np. ZSSR. Ponieważ alegoria jest nieco mglista, wyodrębniona część totalitarnego systemu, rządzonego przez centralny rząd nie musi być koniecznie całym krajem, lecz może być miastem lub dużą, stanowiącą zamkniętą całość, fabryką. Stopień zależności, wszechwładny chaos (urzędnicy przekładający papierki z jednego miejsca na drugie, nawet wtedy, gdy praca przy linii kolejowej została wstrzymana) petycje robotników, które nigdy nie docierają do miejsca przeznaczenia, sposób w jakim wszyscy mówią o niczym — cała atmosfera jest nadzwyczaj dobrze oddana. Mayewski pokazuje charakter wpływu systemu komunistycznego na umysły społeczeństwa. Pisze on o tym, co uchodzi uwagi korespondentów zachodnich, którzy powracają z takiego kraju za Żelazną Kurtyną, jak Polska. Piszą o względnej wolności słowa, o kościele katolickim, o cenie masła i opuszczają Polskę nie rozumiejąc jak naprawdę działa *system*. Rozmiar i kierunek tego oddziaływania jest często źle zrozumiany nawet przez ekspertów od zagadnień politycznych.

System komunistyczny trwa już blisko pół wieku i wychował niejedno nowe pokolenie. Nowi ludzie są różni od tych, którzy urodzili się w krajach demokratycznych, mają odmienny światopogląd, odmienną mentalność. Mayewski w swojej książce „The Journey and the Pity” daje odpowiedź na to do jakiego stopnia i w jaki sposób ta mentalność jest inna, ale robi to w tak skomplikowany sposób, zakładając wysoki stopień wtajemniczenia, niczego nie tłumacząc, i nic nie wyjaśniając, że może być niezrozumiany przez amerykańskiego czy angielskiego czytelnika. A byłaby to wielka szkoda.

M. CZAJKOWSKA

(12) Dosłownie: „Czyż grzechotanie naszej pustyni nie jest rzeczą wartą oglądania?”

Czerwone salto

„Strachy” Marii Ukniewskiej, wydane przez „Rój” w 1938 były sensacją tamtego czasu. Dwukrotne wznowienie tej powieści środowiskowej cieszyło się dużym powodzeniem u czytelników krajowych. Powstały przed wojną z tej powieści film pod tym samym tytułem — nie najgorszy zresztą jak na tamtą produkcję — ma podobno na nowo być przeniesiony na ekran. Z końcem ub. r. (październik 1963) Czytelnik — już po śmierci Ukniewskiej, w lipcu 1962 — wydał jej drugą książkę, na którą składają się trzy utwory: „Dom zaczarowany”, „Czerwone salto” i „Urodzaj tęsknoty”.

W przedmowie od redakcji czytamy:

„W roku 1937 Ukniewska wyjeżdża do Czechosłowacji, a w 1939, na krótko przed wybuchem wojny, do Francji. W tych latach pisze powieść „Spadek po Ketlerze” — obraz mieszczańskiego środowiska Krakowa (niestety, zachowały się tylko fragmenty)”.

I dalej:

„Niniejszy tom obejmuje trzy utwory Marii Ukniewskiej... Wraz ze „Strachami” stanowi cały dorobek literacki Marii Ukniewskiej”.

Nie bardzo to odpowiada prawdzie. Ukniewską-Kuśniewiczową poznałem w Tuluzie podczas okupacji. W nielegalnym „Wróćmy”, wydawanym na powielaczu przez Łobodowskiego, a po jego przejściu do Hiszpanii przez prof. Henryka Palmbacha, ogłosiła kilka fragmentów „Spadku po Ketlerze”. *Ale, że związane są one z nazwiskiem Łobodowskiego, dziś płachty na byka dla reżymu, więc się je pomija, choć objętościowo większe są i donioślejsze niż np. nie bardzo udana groteska „Urodzaj tęsknoty”, pisana w Lille w latach 1949-50. Z rozmowy w tym okresie z Ukniewską w Lille, gdzie jej mąż Andrzej Kuśniewicz, przedwojenny urzędnik konsulatu na Rusi Zakarpackiej, a potem w Tuluzie, był reżymowym konsulem po wojnie, wiem, że powieść tę skończyła. Pytałem o to, bo fragmenty z „Wróćmy” pozostawiły duże wrażenie. Z tamtej rozmowy też pamiętam, że ta otyła i potężna kobieta, w której nikt by nie podejrzewał dawnej tancerki ze „Strachów” (występowała nawet w „Morskim Oku”) z lekką pół-kpiną powiedziała o swym mężu, że z Łobodowskiego „Z dymem pożarów” (wydanym przez Tyszkiewicza w Nicei) Andrzejek kładzie się spać, bo znudziło mu się być „panem Ukniewskim” i sam postanowił wiersze pisać. Istotnie, po wojnie zaczął pisać i drukować. Pani Marysia była wtedy po Ravensbrücku i po Bergen-Belsen. Pytałem, czy napisze coś o tym obozie, w którym była z naszą wspólną znajomą Bertą Markiewiczową. „Nie — odpowiedziała zamyślona — o tym nigdy nie będę pisać. Nie chcę i nie potrafię.*

Właściwie dotrzymała tego, bo pewne reminiscencje bohaterów jej „Czerwonego Salta” z tych obozów brzmią prawie że sztucznie. Są zresztą te momenty zupełnie minimalne i dla akcji nie istotne.

Z trzech pozycji zawartych w drugiej książce Ukniewskiej tytułowy

„Zaczarowany dom” (stron 54) to pełna wdzięku i ślicznie napisana — jak niektóre wspomnienia Dąbrowskiej, Kuncewiczowej czy Parandowskiego — opowieść z dzieciństwa w nieistniejącym dziś domu na Nowym Zjeździe 3, w stolicy. „Urodzaj tęsknoty” — to niby groteska o pierwszych latach życia młodego małżeństwa. Pomimo pewnego poczucia humoru autorki, wypadło to sztucznie.

Za to „Czerwone salto” powinno na dłużej zatrzymać naszą uwagę. 214 stron licząca powieść, znowu środowiskowa, ale bez udziwnień „Strachów”, opisuje środowisko artystów cyrkowych i ludzi związanych z cyrkiem, z centralą „Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych”, w których jako urzędniczka pracowała Ukniewska po wojnie przez lat 7, zanim po sukcesie wznowienia „Strachów” w 1958 nie rzuciła pracy i nie powróciła do pisania. Czego owocem jest właśnie „Czerwone Salto”.

Przez swoje tło książka — broń Boże nie przez akcję — przypomina „Złego” Tyrmanda. Nikt artystycznie tak nie zanotował nieurody życia w powojennej Warszawie, brudów, biurokracji, braku grzeczności, samotności wielu bohaterów, ciuchów, paczek z zagranicy, trudności komunikacyjnych i „bytowych”, zmęczenia i jałowości zebranych partyjnych. Inna znajoma z Tułuzi, Małgorzata Hołyńska, też napisała o tych czasach i warunkach miłą powieść („Teoria drobnych złudzeń”), ale zrobiła to jakoś pogodniej. U Ukniewskiej wszystko jest szare i przygnębiające, a scena wypłacania przez Annę gaź pracowników centrali jest ponurym majstersztykiem oddania nastroju beznadziei.

Śmierć Ukniewskiej to duża strata.

Andrzej CHCIUK

Nadesłane nowości wydawnicze

CHABROWSKI O. (Wacław T.). *Madonny. Poezje*. Str. 48. (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1964).

MIŁOSZ (Czesław). *Une autre Europe*. Przełożył z polskiego Georges Sédire. Str. 302 i 2 nlb. (Ed. Gallimard, Paris, 1964, cena 18 F.

CLANCY (Richard). *Marnotrawcy* (sztuka niesceniczna z epilogiem) i *Droga do doskonałości*. Przekład z angielskiego. Str. 123. (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1964, cena 15 sh.).

SÉDIR (Goerges). *Les ombres d'un été romain*. Roman. Str. 226 i 6 nlb. (Ed. Juillard, Paris, 1964, cena F 9,90).

Pamiętnik Kijowski. Tom II. Str. 272. Zawiera opracowania: prof. dr. W. Wielhorskiego, dr. W. Günthera, J. Olechnowicza, ppłk. dypl. Z. Andrzejewskiego, A. Kotłuszynskiego, płk. W. Walewskiego, prof. dr. J. Wilczyńskiego, E. i R.J. Moszyńskich, M. Jałowickiego, I. Bączkowskiej-Zabłockiej oraz Skorowidz nazwisk, plan m. Kijowa z objaśnieniami i spis subskrybentów. (Nakładem Koła Kijowian, Londyn, 1963).

DESROCHES (Alain). *La campagne de Russie d'Adolf Hitler* (Juin 1941 — Mai 1945). Str. 295 i 5 nlb. (Ed. G.-P. Maisonneuve et Larose, Paris, 1964, cena F. 16).

- HARTMANN (Karl). *Das polnische Theater nach dem Zweiten Weltkrieg*. Str. 126, z fotografiami w tekście. (Ed. N.G. Elwert Verlag, Marburg/Lahn, 1964, cena DM. 14,40).
- WIELHORSKI (Władysław). *Trzy pytania i trzy odpowiedzi. Prawda o deportacjach Polaków pod panowaniem sowieckim*. Str. 38. (Nakł. Egzekutywy Zjedn. Nar. Londyn, 1964, cena 3 sh.).
- Wolność sumienia i wyznań religijnych pod rządami komunistów w Polsce*. Str. 24. Debata w Radzie Jedności Narodowej w Londynie w dn. 8 lutego 1964. (Nakł. Egzekutywy Zjedn. Nar., Londyn, 1964, cena 2 sh.).
- HORAK (Stephan). *Poland's International Affairs 1919-1960. A Calendar of Treaties, Agreements, Conventions and Other International Acts, with Annotations, References, and Selections from Documents and Texts of Treaties*. Str. 248. Vol. 31 of Indiana University Publications. Russian and East European Series. (Ed. Indiana University, Bloomington, 1964).
- Katalog czasopism polskich i dotyczących Polski oraz innych krajów słowiańskich, wydanych poza Polską po dniu 1.IX. 1939 r.* Opracowały Maria DANILEWICZOWA i Genowefa SADOWSKA. Str. 75. Powielacz. (Biblioteka Polska, Londyn, 1964).
- Alphabetical List of Periodicals Polish or Relating to Poland*. Supplement to „Books in Polish”, 1963. (The Polish Library, Londyn, 1964. Str. 75. Powielacz).
- Books in Polish or Relating to Poland* (A list added to the collections of The Polish Library between the 1-st January and the 31-st March 1964. Str. 42. Powielacz. (The Polish Library, London, 1964).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *Do Scientific Laws Give a True Image of Reality?* Str. 206-211. Odbitka z „The Proceedings of The American Catholic Philosophical Association”. (The Catholic University of America, Washington, D.C., 1963).
- LEWYTYZKYJ (Borys). *Zur territorialen Verteilung der sowjetischen Arbeitsreserven*. Str. 366-375. (Odbitka z „Osteuropa”, nr 5) 1964, Stuttgart).
- POLONSKA VASYLENKO (Natalia). *Ukraine-Ruś and Western Europe in 10-th-13th Centuries*. Str. 47 i fotografie. (Wyd. Association of Ukrainian in Great Britain, Ltd. (Londyn, 1964, cena 12/6).
- WANDYCZ (Piotr S.). *French Diplomats in Poland 1919-1926*. Str. 440-450. (Odbitka z „Journal of Central European Affairs”, Vol. XXIII, nr 4, January 1964).
- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Russia and Europe*. Str. 428-444. (Odbitka z „Foreign Affairs”, April, 1964).
- BROMKE (Adam). *Political Realism in Poland*. Str. 111-117. (Odbitka z „Survey”, nr 51, April, 1964).
- JORDAN (Zbigniew). *O logicznym determinizmie*. Str. 59-98. (Odbitka z „Studia Logica”, T. XIV, 1963).
- LEŚNODORSKI (Bogusław). *Les Jacobins Polonais et leur confrères en Europe*. Str. 29. Odczyt wygłoszony w Bibliotece Polskiej Akademii Nauk w Rzymie, dn. 3 maja 1962 r. (Zeszyt 22 serii „Conferenze”, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, wyd. PAN, Wrocław-Warszawa-Kraków, 1964).
- GRZĘDZIŃSKI (January). *Geneza sekcji młodych Klubów Demokratycznych*. Str. 44-70. (Odbitka z pisma „Pokolenia”, Warszawa).
- SUBOTIN (Stojan). *Kilka uwag na marginesie polskich przekładów Iwo Andricia*. Str. 247-256. (Odbitka z „Pamiętnika Słowiańskiego”, T. XIII).
- KIELCZEWSKA-ZALESKA (Maria) i BONASEWICZ (Andrzej). *The Location of the Poles Abroad*. Str. 17-32. (Odbitka z „Materiels & Documents”, June, 1961).

Listy do Redakcji

Paryż w czerwcu

Drogi Redaktorze!

W artykule Silonego „Archiwum Rewolucji” natrafiam na zdanie nieoczekiwane pod piórem naszego przyjaciela:

„Odnajdzie się kiedyś świstek papieru z rozkazem wymordowania w Katyniu więźniów Starobielska i Ostaszkowa?”.

W Katyniu zginęli TYLKO więźniowie z Kozielska, groby Starobielszczan i Ostaszkowców (poza garścią ocalałych) są dotychczas nie odkryte. Wersja, że oni spoczywają na dnie morza Białego jest równie możliwa jak ta, że Starobielszczan wymordowano w okolicach Charkowa.

Katyn- to grób Kozielszczan tylko. Należy o tym pamiętać i 24 lata po zbrodni, nie zaciemniać jeszcze dziś faktów stwierdzonych, o których zaciemnienie systematyczne tak dbały i dbają wszystkie sowieckie i prosowieckie propagandy.

Józef CZAPSKI



Boston, 2 czerwca 1964

Szanowny Panie Redaktorze!

Lektura ostatniego „Notatnika nieśpiesznego przechodnia” nastroiła mnie tym razem refleksyjnie i raczej melancholijnie. Po pewnym namyśle uznałem, że uwagi Pawła Hostowca (którego talent cenię wysoko!) o „żałosnym kaszkiecie i portkach marszałka Piłsudskiego”, jako głównych pamiątek dwudziestolecia, wymagają jednak wyjaśnień ze strony historyka, który właśnie pisze pracę o Piłsudskim w latach 1918-1922.

Oczywiście nie zamierzam choćby w najmniejszym stopniu kwestionować swobody publicysty interpretowania tak postaci jak i wypadków historycznych według swego uznania choćby najbardziej subiektywnego. Wydaje mi się jednak, że interpretacja Hostowca jest tak w tym wypadku nietrafna, a wybór symbolicznych pamiątek tak nieszczęśliwy, że woła o komentarz ze strony historyka. Rozumiem zupełnie zażenowanie Hostowca małością, szarością i bezbarwnością dwudziestolecia: nie spełniło ono nadziei Norwida wypowiedzianych w niestety nie-proroczej „Pieśni od ziemi naszej” („Braterstwo ludom dam gdy żyj osuszę...”). Ale za to nie autor odezwy „Do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego” i „Do wszystkich mieszkańców Ukrainy” jest głównie odpowiedzialny... Nie on też był bezbarwności i szarzyzny głównym przykładem.

Jak niesamowity urok i jaką niezwykłą siłę oddziaływania miał człowiek w wyszarzałej maciejówce i przydługich spodniach na najwybitniejszych ludzi swej epoki pisać by można wiele. Rzecz sama warta jest osobnego studium psychologicznego. Były redaktor londyńskiego *Times'a*, Wickham Steed, stwierdził, że choć robił wywiady z najważniejszymi ludźmi swych czasów, żaden człowiek, w przybliżeniu choćby, nie zrobił na nim takiego wrażenia jak Piłsudski. To samo głosił Borys Sawinkow, którego Churchill uważał za „a great contemporary”.

Spośród 30-40 innych przykładów, jakie mam pod ręką, niech mi wolno wybrać jeden, bo pochodzi nie od Polaka a od Rosjanina i laureata nagrody Nobla. Dymitr Mereżkowskij, który na początku roku 1919 przybył z Rosji do Polski i został przyjęty przez Naczelnika Państwa, w ten sposób opisuje swą wizytę w Belwederze. Na umyślnie podaję oryginalny tekst wyjęty z

jego angielskiej broszury (*Joseph Piłsudski*), ogłoszonej w Edynburgu w roku 1921, by nie być posądzony o chęć choćby stylistycznego upiększania.

„When he entered the room that „quiet wind” spoken of in the Book of Kings, wafted about me and I felt at once that this was He — the Hero, *ens realismus*, the „essence of being” as Nietzsche said of Napoleon. I recognized yet did not recognize that form from the innumerable pictures I have seen of it; that rigorous face, almost old, but immutably young; that steep, overhanging convex brow, deep-ploughed with crossing furrows, like hars stone marked by the sculptor’s chisel; those tightly compressed lips of the „great Silent One”, and under the obstinately crisped brilliant eyes, now misty now transparent, with that form would be sculptured more enduringly than in bronze, by the chisel of the great sculptor — History... I was dazzled by simplicity. I imagined that everything would be lofty and solemn and behold, everything was simple”.

W Archiwum Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku znalazłem szereg podobnych świadectw współczesnych, m.in. korespondencję Piłsudski — Sawinkow, który w kulcie Piłsudskiego biłby nieraz nawet autora *Strzępów Meldunków*. Najważniejsze z tych dokumentów będę cytował w mej pracy pt. *A European Federalist: Joseph Piłsudski, 1918-1922*.

Łączę wyrazy głębokiego poważania.

M. K. DZIEWANOWSKI

Paryż, czerwiec 1964

Szanowny Panie Redaktorze!

Nr 10/192 „Kultury” zawierał na pierwszej stronie straszliwy atak przeciw niżej podpisanemu. Chcę przypomnieć czym zasłużyłem sobie na ten honor. Po prostu ośmieliłem się przetłumaczyć i opublikować na łamach warszawskiej „Kultury” spowiedź Picassa swego czasu ogłoszoną przez Giovanniego Papini w książce „Libro Nero”. Pan Jeleński zżyma się i oświadcza, że „nabrałem” redaktorów i czytelników „Kultury” podając za autentyczną wypowiedź Picassa czysty wymysł Giovanniego Papini.

Spowiedź Picassa-Papiniego była publikowana wielokrotnie jako autentyk. Między innymi w „Reforme” dn. 9.XII.1961, w „Combat” 29.XII.1962 w „Musée Vivant” nr 17-18 1963. Prawdopodobnie nigdy spór o autentyczność tego tekstu nie zostanie zupełnie wyjaśniony, gdyż Picasso zdaje się absolutnie lekceważyć ten incydent zachowując milczenie. Picasso żyje i jest człowiekiem aktywnym i nikt nie ma prawa występować w jego imieniu. Nie chcę więc dociekać czy pan Jeleński działał za zgodą Picassa czy też nie. Wydaje mi się raczej, że działał pod wpływem gniewu wywołanego przez mylną i zbyt pochopną interpretację przyczyny opublikowania tego tekstu. Niezawsze jednak najłatwiejsze wytłumaczenie jest słuszne.

Meritum sprawy należy szukać zupełnie gdzie indziej. Biorąc pod uwagę krytykę Picassa-Papiniego atakującą cały szereg przejawów sztuki współczesnej najłatwiej było pomyśleć, że tekst ten ogłasza się po to aby dać argumenty tym elementom w partii, które chciałyby widzieć i popierać wyłącznie sztukę socrealistyczną. Osobiście nie wykluczam, że ten i ów z redaktorów „Kultury”*) mógł mieć takie chęci, chociaż gdy zna się dobrze stosunki polskie, musi się dojść do przekonania, że partii zależy aby w sztuce nie się nie działo, aby był spokój, że partia stara się zgasić każde zarzewie dyskusji, obojętnie kto i z jakich przyczyn ją wywołuje.

Są jednak w Polsce ludzie i do tych ja należałem, którzy patrzą ze

zgrozą na panoszący się snobizm wśród artystów, w dużej większości niezdolnych do samodzielnego myślenia i naśladowujących bezkrytycznie wszystko co przychodzi z Zachodu. Czyż trzeba mówić że naśladową rzeczy najłatwiejsze? Salony sztuki w Polsce są pełne obrazów taszystowskich najgorszego pomiotu. Artyści przechodzą często obok skarbów narodowych z lekceważeniem tak zapatrzeni są w rozmaite izmy, które docierają do Warszawy z drugiej strony żelaznej kurtyny. Oczywiście nie należy sądzić, że mam na myśli to co jest wspólne wszystkim narodom i co tworzy styl epoki, chodzi mi raczej o odpadki epoki, które zostaną odrzucone na pierwszym zakręcie historii. Kiedyś Słowacki nazwał Polskę „pawiem i papugą narodów”. Nic się od tego czasu nie zmieniło, a przecież wszystkie arcydzieła naszej Literatury i Sztuki zawdzięczają swoją wielkość geniuszowi twórcy i jego umiejętnościom wydobywania na światło dzienne walorów narodowych. Chopin, Moniuszko, Szymanowski, Kochanowski, Mickiewicz, Słowacki, Norwid, Gierzyński, Chełmoński, Wyspiański niewątpliwie czerpali ze skarbcza ogólnoludzkiego, ale ich oczy i serca były otwarte także na wartości czysto narodowe. Rosja borykała się z podobnym problemem. Turgeniew był zwolennikiem naśladowania zachodu, Dostojewski zaś nawoływał do czerpania z tradycji narodowych.

Twierdząc, że należy mówić w Polsce głośno, jak najgłośniej o niektórych aspektach sztuki Zachodu, aby podziw Polaków podniecany w dodatku niechęcią do reżymu nie był bezkrytyczny. I oświadczam, że gdyby mi pozwolono mówiłbym dużo częściej na ten temat w czasie mojego pobytu w kraju. Lepiej będzie dla Polski i dla Europy, jeśli Warszawa będzie Warszawą a nie przedmieściem Moskwy czy Londynu.

To powiedziawszy nie mogę nie przytaknąć panu Jeleńskiemu co do niektórych aspektów jego ataku. Mam na myśli krytykę przedmowy do wspomnianej spowiedzi. Oświadczam, że redakcja „Kultury”*) bez porozumienia się ze mną zmieniła aspekt i treść tych kilku zdań. Jednym z przejawów huligańskich obyczajów panujących w życiu literackim w kraju jest samowola redaktorów, którzy bez wiedzy autorów pozwalają sobie nierządno na zmianę ich tekstów.

Będąc w Warszawie nie protestowałem, bo żadne czasopismo nie opublikowałoby mi tego sprostowania. To deptanie indywidualności autora i jego odpowiedzialności wobec swojego dzieła i wobec ludzi jest jednym z głównych sposobów unikania i wykluczenia rzetelnej dyskusji.

Z poważaniem.

Bronisław KAMIŃSKI-DUROCHER

*) Mowa naturalnie o warszawskiej „Kulturze” (Redakcja)



Londyn, 22.5. 1964

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Spieszmy wyrazić nasze serdeczne podziękowanie za rzeczowy artykuł pt. „Miliony polskiej emigracji”.

W podjętej przez nas akcji stworzenia możliwie potężnej fundacji naukowo społecznej, która pozostałaby jako spadek obecnego pokolenia, dla naszych następców tutaj jak i tych przyjezdnych z kraju, którzy zechcą z niej korzystać, napotykamy niestety na przeszkody. Zdecydowani jednak jesteśmy nie tracić energii i czasu na zwalczanie opozycji a wszystkie wysiłki skierować na skupienie tych elementów i ludzi, którzy idę rozumieją.

„Kultura” już kilkakrotnie wykazała przez umieszczanie artykułów o zagadnieniach społeczno-kulturalnych w W. Brytanii, iż jest doskonale informo-

wana o sytuacji na tych odcinkach. Co więcej, wykazała, iż pragnie swych czytelników informować w sposób, który nieraz wymaga dużej odwagi autorów.

Za wszystko to jesteśmy wdzięczni.

Z wyrazami szacunku i poważania.

The Polish University College Association, Ltd.

Za Zarząd R. WAJDA



Bankstown, Australia, 14 maja 1964 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Bardzo wysoko cenię Pana Mieroszewskiego i wyrobiłem sobie pojęcie, że Pan Mieroszewski musi znać bardzo dobrze język angielski.

W numerze „Kultury” 1-2/64 doskonały, jak wszystkie jego artykuły „Źródła polskiej drugorzędności”. Strona 91 — przeraziły mnie błędy angielskie Pana Mieroszewskiego.

„You are a foreigner, are you not?” — źle.

Zaprzeczenie „not” musi nastąpić natychmiast po czasowniku, do którego się odnosi, a zatem winno być „You are a foreigner, are not you” (najczęściej używa się skrótu „aren’t you”).

„Yes I am Polish” — Pan Mieroszewski tłumaczy — jestem Polakiem, natomiast Polish jest przymiotnikiem i znaczy polski, więc nic dziwnego, że jego rozmówca zapytał co ma na myśli: czy polski obywatel? czy polski Żyd? czy polski... itd.

Polak po angielsku pisze się „a Pole”, a fonetyczne „o” w tym słowie wymawia się jak przeciągłe „o” i zanikające „u” (Stanisławski str. 292 i 204).

Pozostaję z szacunkiem.

Kamil ZADEMSKI



Los Angeles, California, 11 czerwca 1964 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwalam sobie przesłać na ręce Pana Redaktora moją skromną uwagę, że „Kulturze” nie przystoi umieszczać na jej łamach rynsztokowych dowcipów zaczerpniętych z c.k. koszarowego słownictwa. Rym do Alma Mater w 600-lecie Jej istnienia jest co najmniej nie na miejscu, nawet w najbardziej dowcipnym zestawieniu, co w tym przypadku absolutnie nie ma miejsca.

Po doskonałej Gawędzie Bielatowicza trudno zrozumieć takie faux pas. Wierząc, że to było przeoczenie, pozostaję z należnym szacunkiem.

Szczepan K. ZIMMER

© Copyright by Institut Littéraire, 1964.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH15wick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,

91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 3^e trimestre 1964

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianer-gasse Nr. 2 (Internationale Leih-bibliotek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, Av. Ipiranga 1071 - 8° Sala 811, Cx Postal 4530, Sao Paulo, Tél. 35-5432			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ Izr.	28 £ Izr.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 223 Geoffrey Street, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : 9-0829; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiastkowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonz-zerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	6,00 Kor.	30.00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetyński, 1603 No Fuller Ave., Hollywood 46, Cal.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown 72, Mass.; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal., V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 600 Imogen Ave., apt. 108, Los Angeles, Cal. 90026; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn.; A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Meuil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56**

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CI

JAN BIELATOWICZ

GAUDE MATER POLONIA

G a w ę d a

Wspomnienie o Uniwersytecie Jagiellońskim

Str. 80

Cena 7 F (10 sh. 6 d.; dol. 1,50)



TOM CII

STANISŁAW MACKIEWICZ

POLITYKA BECKA

Str. 188

Cena egz. 12 F (18 sh.; \$ 2,50)



WINCENTY WITOS

MOJE WSPOMNIENIA

TOM II

Ukaże się w sierpniu rb. i zaraz będzie rozesłany subskrybentom.